



ABBI WAXMAN

*Ogród  
małych  
kroków*

POWIEŚĆ KWITNĄCA OPTYMIZMEM

ABBI WAXMAN

*Ogród małych  
kroków*

tłumaczenie Martyna Tomczak

  
OTWARTE  
Kraków 2017

*Dla mojego męża Davida, który mnie wspierał, choć także dużo mruczał pod nosem o tym, że powinnam „znaleźć sobie prawdziwą pracę”. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.*

*Dla mojej siostry Emily, bo to właśnie dla niej piszę.*

*I dla mojej mamy, Pauli Gosling, która nazywała mnie pisarką, jeszcze zanim nauczyłam się czytać. Teraz może powiedzieć:  
„A nie mówiłam?”. Wszystkie matki to uwielbiają.*

## PODZIĘKOWANIA

Jeśli w piekle jest specjalne miejsce dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet, to mam nadzieję, że w niebie jest analogiczne miejsce dla takich, które sobie pomagają. Albo przynajmniej darmowy parking. Cokolwiek.

Oto kobiety, dzięki którym ta książka mogła powstać: Leah Woodring, która kocha moje dzieci i dzięki której mam czas zajmować się pisaniem. Zginęłabym bez niej, dosłownie i w przenośni. Charlotte Millar, która wysłuchuje moich narzekań i zawsze bierze moją stronę, nawet wtedy, gdy jest jasne, że nie mam racji. Shana Eddy, najbardziej urocza i najinteligentniejsza kobieta w Hollywood, która od początku we mnie wierzyła. Do końca życia będę jej dłużniczką. Naomi Beaty, Hilary Liftin oraz Semi Chellas – trzy niesamowite pisarki, które mi kibicowały i zawsze służyły radą. I wreszcie moja agentka, Alexandra Machinist, elegancka kobieta o umyśle jak brzytwa, zbyt wspaniała, by mogła być prawdziwa – a jednak.

„Nadszedł czas, gdy myśl o pozostaniu ściśniętym w pąku stała się bardziej bolesna niż strach przed rozkwitem”.

Anaïs Nin

## PROLOG

Od śmierci mojego męża minęły ponad trzy lata, jednak pod wieloma względami mam z niego teraz więcej pożytku niż kiedykolwiek. Wprawdzie nie mogę liczyć na to, że wyniesie śmieci, ale świetnie narzeka mi się na niego, kiedy robię to sama, i ogólnie rzecz biorąc, jest wspaniałym towarzyszem – cóż z tego, że niewidzialnym? Także w roli chłopca do bicia nie ma sobie równych, ponieważ został skremowany i w związku z tym nigdy nie protestuje, gdy go o coś obwiniam. Dużo z nim rozmawiam, choć nasze rozmowy – niegdyś metafizyczne dywagacje na temat znaczenia śmierci – z czasem przerodziły się w najzwyczajniejsze małżeńskie pogawędki o tym, co zjeść na obiad albo kto zgubił formularze deklaracji podatkowych.

Kiedy zginął w wypadku samochodowym piętnaście metrów od naszego domu, ja również chciałam umrzeć. Nie dlatego, że miałam złamane serce – choć miałam – ale ponieważ zupełnie nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak zdołam bez niego sprostać wyzwaniom codzienności. Tak czy inaczej, dobrze, że nie umarłam, bo czekałby na mnie w niebie i, o rany, byłby mocno wkurzony. Wieczność w jego towarzystwie trwałaby naprawdę długo, jestem tego pewna.

Zatopiona w beładnych myślach, jechałam samochodem, kiedy zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetlił się numer mojej siostry Rachel.

– Cześć, Lil, pewnie odbierasz dzieciaki? – Sam dźwięk jej głosu sprawił, że się uśmiechnęłam.

– Owszem. To dość żenujące, że tak dobrze znasz mój rozkład dnia.

Włączyłam kierunkowskaz, zwolniłam nieco na światłach, po czym skręciłam, a to wszystko z telefonem wciśniętym nieprzepisowo między ucho a ramię. Czasami zadziwiam samą siebie.

– A możesz w drodze powrotnej podrzucić mi parę rzeczy?

– Umawiałyśmy się, że wpadnę?

Zapomniałam? To nie było wykluczone.

– Całkiem możliwe. Skąd mam wiedzieć? Tak czy siak, od kilku dni nie widziałam dziewczynek, a wiesz przecież, jak za mną tęsknią.

Roześmiałam się.

– Mogę z pełną szczerością zaświadczyć, że ani razu o tobie nie wspomniały.

Rachel zachichotała.

– Pewnego dnia pogodzisz się z myślą, że kochają mnie bardziej niż ciebie. Wypierając to, tylko utrudniasz nam wszystkim życie.

Włączyłam się w sznur oczekujących aut i uśmiechnęłam przez szybę do dyżurującej nauczycielki.

– Niech będzie, przepadają za tobą. Co ci przywieźć? Jakies podstawowe wiktuały

typu mleko czy raczej coś bardziej w twoim stylu, jak lubrykant albo podpałka do kominka?

Mała dłoń plasnęła o szybę, sprawiając, że podskoczyłam z przestachu, i pozostawiając brudny ślad. Właścicielka dłoni, Annabel, zajrzała do wnętrza auta i zmrużyła oczy. Jej młodsza siostra Clare stała nieco z tyłu, rozglądając się nieprzytomnie. Nauczycielka posłała mi zza ich pleców sztywny uśmiech. W jej oczach lśniła wymęczona cierpliwość zabarwiona niejasną groźbą, która nakazała mi natychmiast pakować dzieciaki do środka i wynosić się stąd do diabła. Pośpiesznie odblokowałam drzwi, pragnąc jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem jej morderczego spojrzenia.

– Potrzebne mi pół kilo boczku – mówiła tymczasem Rachel. – Do tego parmezan, spaghetti, jajka, bochenek chleba i butelka czerwonego wina. Aha, i oczywiście masło.

– Oddzwonię do ciebie. – Wyprostowałam głowę i odłożyłam telefon na podłogę. – Pomóc ci ją zapiąć, Bel?

– Poradzę sobie.

Annabel, choć skończyła zaledwie siedem lat, obdarzona była powagą czterdziestopięcioletniej pracownicy dyplomacji. Taka już się urodziła: stopniowo opanowała sztukę ssania piersi, potem raczkowania i spożywania stałych pokarmów, ze stoickim spokojem przyjmując każde kolejne wyzwanie, jakie przed nią stawiałam. Przyglądała się światu z rezygnacją, jakbyśmy wszyscy byli dokładnie tacy, jak opisano nas w broszurce: odrobinę rozczarowujący, ale cóż można na to poradzić? Zapięła Clare w foteliku, mocując się z paskiem.

– Za ciasno?

Clare pokręciła głową.

– Za luźno?

Clare znów zaprzeczyła, wlepiając w starszą siostrę ufne spojrzenie wielkich brązowych oczu. Annabel skinęła głową i zapięła własny pas pewnym ruchem godnym raczej pilota oblatywacza tuż przed pięćdziesiątym startem niż kogoś bez przednich zębów i ze spinką w kształcie Dory Odkrywczyńi we włosach.

– Możemy jechać – oznajmiła.

– Clare? – Chciałam się upewnić, że mała nie straciła od rana umiejętności budowania zdań. Gdyby tak było, pewnie zadzwoniliby do mnie ze szkoły, choć przy tych cięciach budżetowych, kto wie?

– W drogę, hej ho. – W porządku, sygnał z najmniejszej planety w układzie odebrany.

Wymacałam na podłodze telefon i oddzwoniłam do Rachel. Tym razem włączyłam głośnik i położyłam aparacik na kolanach. W końcu w samochodzie są dzieci – bezpieczeństwo przede wszystkim, proszę państwa. Rachel odebrała, zanim zdążył wybrzmieć pierwszy sygnał. Moja siostra jest niezwykle zajęta osobą.

Śledząc inne samochody w poszukiwaniu luki, w którą mogłabym się wcisnąć, wrzasnęłam do mikrofonu:

– Hej, czemu chcesz, żeby ci przywieźć składniki do carbonary? I czemu nie możesz sama ich kupić, kiedy będziesz wracać z pracy?

– Bo lubię ci zadawać zagadki i rzucać drobne wyzwania, żebyś nie wyszła z formy. Inaczej mózg ci obumrze, a kto będzie wtedy pomagał dziewczynkom w lekcjach?

– Czy my też załapiemy się na wyżerkę?

– Jasne. Będzie mi bardzo miło. Czemu na mnie krzyczysz?

– Nie krzyczę na ciebie, zepsuł mi się Bluetooth. Ale cieszę się, że zrobisz obiad.

Skręciłam w lewo.

– Jedziemy do sklepu? – zapytała Annabel. Wiedziałam, że nie lubi sklepów, ale liczyłam na to, że zwycięży nadzieja na nadprogramowe słodycze.

Skinęłam głową.

– Jeszcze jedno – dodała moja siostra. – Będziesz musiała mi powiedzieć, jak się robi carbonarę.

– A potem pojedziemy do cioci Rachel? – spytała Clare.

Przytaknęłam, a po chwili potrząsnęłam głową. Moja siostra właśnie ćwiczyła na mnie sztukę umysłową rycerzy Jedi zwaną „to nie są droidy, których szukacie”.

– Czekaj, Rach, wytłumacz mi coś: skoro to ja robię zakupy i ja będę gotować, czemu po prostu nie przyjedziesz do mnie?

Cisza.

– Rzeczywiście, to znacznie lepszy pomysł. Dzięki! Do zobaczenia.

Ton jej głosu podpowiedział mi, że zaraz się rozłączy.

– Stop – przerwałam jej. – Skoro przyjeżdżasz na obiad, możesz po drodze zrobić zakupy. Nie zapominaj, że ja mam na głowie dzieci.

– No tak. Niech będzie.

Rozłączyła się.

Spojrzałam na Clare w lusterku wstecznym.

– Nie, kochanie. Ciocia Rachel przyjedzie do nas.

Dziewczynki wyraźnie się ucieszyły. Naprawdę lubiły ją bardziej niż mnie. Co w tym zresztą dziwnego? Potrafiła zmienić prośbę o przysługę w zaproszenie na kolację i na dodatek sprawić, że wykiwany nie miał cienia pretensji.



## PRZYGOTOWANIE OGRODU



Gdy gleba jest wystarczająco miękka, należy ją przekopać, a potem zostawić na kilka dni.

Przysyp ziemię 2,5-centymetrową warstwą kompostu. Nie bądź sknerą!

Spulchnij ziemię widłami. Wmieszaj kompost. Wygrab kamyki i inne śmieci, żeby podłoże było gładkie.

Zagon 3 × 5 metrów to dobry rozmiar dla początkujących. Jeśli jednak cię onieśmiela, zacznij od czegoś mniejszego. Pamiętaj, doniczka na balkonie to też ogród.

Na opakowaniu z nasionami znajdziesz morze przydatnych informacji. Dotyczą one chociażby warunków czy pory wysiewu. Masz wątpliwości? Zapytaj w sklepie ogrodniczym lub zadzwoń do najbliższego centrum doradztwa rolniczego. Ogrodnicy uwielbiają hodować sobie naśladowców.

## ROZDZIAŁ 1

Jestem ilustratorką, co brzmi romantycznie – jakbym spędzała dni pod rozłożystym drzewem upstrzonym plamkami słońca, z zestawem akwareli stabilnie opartym na kolanie. W rzeczywistości pracuję przy komputerze, zgarbiona na biurowym krześle, niszcząc sobie kręgosłup. Słońce świeci, owszem – to w końcu południowa Kalifornia.

Uwielbiam tradycyjne ilustracje, wykonywane ołówkiem lub farbami, i żałuję, że nie mam więcej czasu, żeby się im poświęcić, ale po skończeniu studiów znalazłam pracę przy ilustrowaniu szkolnych podręczników. Przyjęłam ją z myślą, że to dobre na start, okazało się jednak, że ugrzęzłam po uszy w strefie komfortu – z niezłą pensją, dodatkami pracowniczymi, darmową kawą i nieograniczonym dostępem do podręczników do drugiej klasy podstawówki. Od niemal stulecia osiemdziesiąt dwa procent amerykańskich uczniów korzysta z pomocy szkolnych wydawnictwa Forest Press. Uwielbiam tę robotę. Uczę się mnóstwa ciekawych rzeczy i tworzę obrazki, które dzieci nie tylko oglądają, ale też nierzadko wzbogacają o miniaturowe kapelusze czy wąsy. Kiedyś Annabel przyniosła do domu jedno z moich dzieł – czwarte wydanie *Historii oczami dziecka* – i zobaczyłam, że przeszło przez dziesiątki rąk, a kolejni właściciele dorysowali moim postaciom historycznym szczegóły, jakich nie byłabym w stanie sobie nawet wyobrazić. Kto by pomyślał, że prezydent Van Buren był tak świetnie wyposażony?

W dziale kreatywnym jest nas czworo, plus zatrudniony na pełen etat autor, troje korektorów i główna asystentka, która praktycznie rzecz biorąc, zawiaduje całym tym majdanem. Kiedy tego ranka weszłam do biura, spojrzała na mnie i złożyła usta w ciup.

– Lilian, korekta odesłała twój wielorybi penis.

Uniosłam brwi.

– Rose, jak długo czekałaś, żeby mi to powiedzieć?

Nawet nie mrugnęła.

– Wiadomość przyszła o siódmej, więc parę godzin.

Nie zatrzymałam się.

– Przekaż im, że jutro rano dostaną go z powrotem.

Zakasłała.

– Już im powiedziałam, że załatwisz to jeszcze dziś.

Przystanęłam i odwróciłam się.

– Dlaczego?

Przełądała ukryte pod biurkiem czasopismo.

– Bo mogłam dodać: „Dostaniecie swojego penisa z powrotem dziś wieczorem, stoi?”.

– Rozumiem, że trudno było się oprzeć takiej pokusie.

Wzruszyła ramionami.

– W oceanie codziennego znoju człowiek chwyta się każdego promyczka słońca.

Sasha, koleżanka z pokoju, podniosła wzrok, kiedy weszłam.

– Hej, czy Rose mówiła ci o penisie?

– Owszem. Dalej potrzebujesz mojej pomocy przy tym podręczniku do biologii?

– Mówisz o stadiach rozwoju kurzego jajka? Mogą poczekać.

– Okej, dzięki.

Wzruszyła ramionami.

– Tak czy inaczej, jestem pewna, że pierwsza była kura.

Powiedzmy to sobie jasno: dział kreatywny Forest Press niecodziennie jest mekką komedii. Często bywa tu bardzo nudno, zwłaszcza gdy uaktualniamy wademekum chemiczne albo coś w tym rodzaju. Zdarzają się jednak dobre chwile, no i nigdy nie brakuje kawy.

Usiadłam, otworzyłam folder i zagapiłam się w ekran. Była tam pojedyncza, dość mała ilustracja z podręcznika do weterynarii. Nie bardzo rozumiałam, do czego jest im potrzebna. Owszem, należy dbać o szczegóły, ale jak często weterynarzom przychodzi operować wielorybie penisy? Kiedy ostatnio się zdarzyło, że ktoś przywiózł do lecznicy papuzkę i nie zmieścił się w poczekalni, bo większość krzesłek zajmował zestresowany wieloryb-impotent? Albo młoda wielorybia para, trzymająca się za pletwy, spoglądająca tęsknie na zamknięte w kartonowych pudełkach kocięta oraz szczeniaczki, od czasu do czasu wymieniająca krzepiące spojrzenia i pokasłująca nerwowo? Zajrzałam do maila: korektorzy odesłali plik, ponieważ jeden z podpisów zawierał literówkę. Jakim cudem ją wyłapali? Sięgnęłam po telefon i wystukałam numer.

– Korekta, mówi Al.

– Al, tu Lili.

– Cześć, Lili. Przykro mi z powodu twojego penisa.

Przekręciłam się na krzesło.

– Jezu, co was dziś wszystkich napadło? Zbiorowa głupawka?

– Można to tak ująć.

– Mam pytanie, Al: czy tam na pewno jest błąd? Z materiałów, które dostałam od wydawcy, wynika, że wszystko się zgadza. Co wy tam u siebie macie, *Encyklopedię penisów? Wielką księgę genitaliów?*

Jego głos zdradzał rozbawienie:

– Nie mogę ujawniać naszych źródeł, dobrze o tym wiesz. Musiałbym cię zabić, a wtedy stracilibyśmy naszą najlepszą ilustratorkę.

Odwróciłam się do Sashy.

– Twój chłopak właśnie powiedział, że jestem najlepszą ilustratorką.

W słuchawce rozbrzmiał krótki wrzask. Sasha wzruszyła ramionami, nawet się nie

odwracając.

– Powiedz mu, że odkąd zobaczyłam harpun Moby Dicka, nie jestem już nim zainteresowana.

– Al, twoja dziewczyna zamierza cię zostawić dla walenia.

– Znowu? Zdzira. Ale serio, nasz człowiek w oceanarium wyłapał literówkę, sprawdziliśmy u wydawcy i okazało się, że machnęli się w oryginalnym tekście. To nic wielkiego, po prostu sprawdzamy fakty. Taka praca.

– W takim razie niech ci będzie. Nie wiedziałam, że macie na łączach specja od wielorybów.

– Powtarzam, nie mogę ujawniać swoich źródeł, ale jak myślisz, jak dwóch zarośniętych humanistów miałoby sprawdzać te wszystkie mądrości, jeśli nie z pomocą całego tłumu tęgich głów o bardzo wąskich specjalizacjach?

– Masz rację, Al.

Odłożyłam słuchawkę, poprawiłam błąd i odesłałam dokument do Rose z dopiskiem, żeby wetknęła im ten penis, gdzie trzeba. Wiedziałam, że to doceni.

Po chwili zadzwonił telefon. Rose.

– Wołają cię na górę.

Nachmurzyłam się.

– Wylatuję z pracy?

Cmoknęła zniecierpliwiona.

– Nie mam pojęcia. Może ruszyłabyś tyłek i sama poszła sprawdzić?

Plotka głosi, że Rose była kochanką pierwszego pana Foresta, który zainstalował ją w dziale artystycznym, jak go wówczas nazywano, aby ukryć ją przed żoną. Jednak gdyby to była prawda, Rose musiałaby dobiegać osiemdziesiątki, a nie dobiega. Mimo wszystko jestem przekonana, że ma tu na kogoś haka. Inaczej wylaliby ją dawno temu. Jej podejście do ludzi przypomina stosunek lwa do gazeli. Westchnęłam i ruszyłam na górę, by stanąć oko w oko z naszą naczelną, Robertą King.

Roberta King była prawdopodobnie mniej więcej w moim wieku, a mimo to miałyśmy ze sobą tyle wspólnego, co wrotki i samochód wyścigowy. (To nie najlepsza analogia, ale przyszła mi do głowy, ponieważ używał jej mój ojciec. Umarł w zeszłym roku, ja jednak wciąż podtrzymuję pamięć o nim, kradnąc jego najlepsze teksty). Widziałyśmy się może kilkanaście razy w życiu, podczas spotkań integracyjnych, mających pomóc nam stworzyć biurową wspólnotę przez grę „zaufanie” i całe mnóstwo innych, równie upiornych zabaw – pamiętam tylko, że wydawała się nimi równie zażenowana jak ja.

Tego dnia ubrałam się w zwykły zestaw pracującej matki – długa spódnica, kozaki (a pod nimi dwie różne skarpetki, niewidoczne jednak pod spódnicą), bluzka z długim rękawem, w której spałam, i nieco rozciągnięty sweter z wycięciem w serek, kupiony w supermarkecie Target. Roberta miała na sobie garsonkę.

Pachniała kwiatami. Ja goframi ze śniadania.

Mimo to uśmiechała się do mnie, jakbyśmy były przyjaciółkami od lat, co oczywiście znaczyło, że zaraz wylecę z pracy.

– Cześć, Roberto. Rose mówiła, że chcesz się ze mną zobaczyć.

– Tak, Lili, cześć, wchodź. Siadaj.

Odsunęła się z krzesłem od biurka i założyła nogę na nogę, co miało zapowiadać nieformalną babską pogaduchę. Podejmując konwencję, usiadłam lekko pod kątem i też założyłam nogę na nogę.

– Jak tam dzieci?

O-o, pytanie osobiste.

– Bardzo dobrze, dziękuję. Wiesz...

Cholera, zatkało mnie. Czemu to było takie trudne? Obie byłyśmy kobietami, obie pracowałyśmy w branży wydawniczej, obie jajeczkowałyśmy, pociłyśmy się, jadałyśmy lody, by czuć potem wyrzuty sumienia, czytałyśmy magazyn „People” w kolejce do kasy i zastanawiałyśmy się, co myślą o nas inni. Powinnyśmy być teraz bardziej wyluzowane.

– Masz dwie córeczki, zgadza się?

Skinęłam głową.

– I martwego męża? – Okej, tego nie powiedziała, sama dodałam to w myślach. Ludzie, którzy mnie nie znają, często dopytują: „A gdzie twój mąż?” albo: „Czym zajmuje się twój mąż?”, i bardzo trudno jest odpowiedzieć: „W niebie, miejmy nadzieję” lub też: „Och, no wiesz, głównie gniciem”. Tak czy inaczej, Roberta o nim nie wspomniała, co oznaczało, że pamięta o moim wdowieństwie i traktuje mnie z wyczuciem oraz empatią. Małpa.

– Lili, jak wiesz, branża wydawnicza ostatnio dość cienko przedzie. W całym kraju tnie się wydatki na edukację, co ma oczywiście bezpośredni wpływ na nas. Forest trzyma się na powierzchni tylko dzięki opanowywaniu kolejnych gałęzi rynku.

Zachichotałam. Roberta zamilkła i lekko zmarszczyła brwi. Zacerwieniłam się.

– Wybacz... Myślałam, że to gra słów. No wiesz, Forest... i te gałęzie...

Gotowa byłam przysiąc, że w ciszy, która zapadła, pobrzmiwały świst wiatru i odległe pohukiwanie sowy.

Roberta odchrząknęła.

– Na szczęście trafiła nam się pewna okazja. Bloem Company to jedna z największych firm ogrodniczych na świecie. – Przytaknęłam. Nawet ja o nich słyszałam, choć nie odróżniam szaławii od szczawiu. – Stworzyli serię przewodników po kwiatkach, a teraz chcą wypuścić kolejną, o warzywach. Tę o kwiatkach wydała nieduża oficyna, która właśnie splajtowała, dlatego zgłosili się do nas.

Pokiwałam głową i przybrałam minę sugerującą absolutne skupienie, dla lepszego efektu marszcząc brwi. W rzeczywistości niczym pies czekałam, aż padnie moje

imię.

– Chcielibyśmy, żebyś to zilustrowała.

Znów skinęłam głową. Roberta zamilkła.

– Byłoby... świetnie.

Nic nie rozumiałam. Po co to całe zamieszanie? Czemu ściągnęła mnie do swojego gabinetu, żeby przekazać mi zlecenie? Zazwyczaj dowiadujemy się o takich rzeczach podczas krótkich zebrań na dole, a szczegóły przychodzą do nas mailem.

– To kawał roboty – podjęła Roberta.

– No tak, na świecie jest mnóstwo rodzajów warzyw.

– Owszem. A ci od Bloema chcą opisać je wszystkie. Planują wydać kilka tomów plus suplement.

– Ubóstwiam suplementy.

– I chcemy, żebyś zrobiła to ręcznie, nie na komputerze. Akwarelami, piórkiem i tuszem, węglem, wybór należy do ciebie. Bloemom zależy na estetyce i ponadczasowości. A jednocześnie na czerpaniu zysków z powracającej mody na slow food, organiczne uprawy i lokalne rolnictwo. – Denerwowała się, słyszałam to w jej głosie. Nagle spojrzała na mnie i wypaliła: – Obawiam się, że zrobiłam coś okropnego. Naprawdę, naprawdę okropnego.

Byłam zaskoczona, bo nie sprawiała wrażenia kobiety zdolnej do naprawdę okropnych czynów, ale przygotowałam się na wstrząs.

– Powiedziałam im, że pójdziesz na kurs ogrodniczy – wyjaśniła. Odchrząknęła i dodała: – Konkretnie kurs uprawy warzyw.

– Słucham? – Zmarszczyłam brwi. – Powiedziałaś: kurs ogrodniczy?

Roberta spiekła raka.

– Rozmawiałam przez telefon z babką od Bloemów, która wspomniała, że jeden z synów właścicieli prowadzi kursy uprawy warzyw tu, w Los Angeles. Obiecałam, że cię zapiszemy.

– Na zajęcia?

– Tak.

– Z uprawy warzyw?

– Tak – powtórzyła wolniej, uznawszy najwyraźniej, że nie rozumiem, o co jej chodzi. – Obiecałam, że weźmiesz udział w kursie uprawy warzyw. – Powiedziała to takim tonem, jakim ktoś inny mógłby oświadczyć: „I będziemy cię powoli zanurzać w beczce z kwasem, nogami w dół”.

– Ale ja nie mam nic przeciwko. To całkiem fajnie brzmi. – Po chwili milczenia dodałam: – Chyba że chodzi o trzyletnie studia i mnóstwo ciężkiej fizycznej pracy.

Roberta pośpiesznie pokręciła głową.

– Sobotnie przedpołudnia, sześć tygodni. Oczywiście wynagrodzimy ci stracony czas.

Kiedy lekko wzruszyłam ramionami, ożywiła się jeszcze bardziej.

– Poza tym dostaniesz dodatkowy urlop.

Zrobiłabym to za nic, ale ona nie musiała o tym wiedzieć.

– Brzmi w porządku.

Roberta zadrzała.

– Sama bym poszła na ten kurs, ale to niemożliwe.

W tym momencie zmieniałam nieco zdanie na jej temat.

– Dlaczego nie?

– Nie znoszę robali. – Wzdrygnęła się jeszcze mocniej i chyba nawet trochę zbladła, choć trudno było to dostrzec pod grubą warstwą makijażu. – Mam złe wspomnienia z dzieciństwa. W ogóle trzymam się z dala od gleby, wiesz, tak na wszelki wypadek.

Musiałam przygryźć wargę, by nie zapytać jej o szczegóły. Czego mogą dotyczyć te złe wspomnienia? Wyobraziłam sobie, jak pędzi przed siebie, mała dziewczynka ubrana w śliczny zestaw z Baby Gap, potyka się, upada, cienkie warkoczyki podskakują w zwolnionym tempie, ślizg na brzuchu po ziemi, spotkanie oko w oko z dżdżownicą... która wyciąga pistolet i strzela? A może gryzie ją w nos? No naprawdę, przecież one nawet nie mają zębów. Ale nie mówi się ludziom takich rzeczy. Nie należy otwarcie drwić z czyichś lęków. Muszę zatem pamiętać, by zrobić to później, w domowym zaciszu.

Wciąż zerkąła na mnie niespokojnie.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Oczywiście, bardzo chętnie. Na pewno mnie to zainspiruje.

Nie dodałam, że mogłabym równie dobrze przeprowadzić analizę przedmiotu na marchewce w supermarkecie. Roberta uważała, że kurs pomoże mi w pracy, a kim byłam, by się z nią spierać?

Wstała, wyraźnie rozluźniona. Garsonka ułożyła się na niej idealnie, bez jednego zagniecenia. Może trzymała pod biurkiem małego człowieczka, który dmuchał na nią gorącą parą? Moje ciuchy wciąż wyglądały, jakby ktoś zmiął je w kulę i nią we mnie rzucił.

– Znakomicie. Początek kursu w najbliższą sobotę. Możesz wziąć ze sobą dzieci.

Podziękowałam jej, a ona mnie, uścisnęłyśmy sobie dłonie i jeszcze raz wymieniliśmy podziękowania, po czym Roberta dodała:

– Bardzo się martwimy o przyszłość wydawnictwa. Ale wiem, że zrobisz dobre wrażenie i świetną robotę i że zdołasz nas ocalić.

– Czyli żadnej presji. – Próbowałam złagodzić sarkazm bladym uśmiechem.

Na to Roberta, po raz pierwszy, odkąd przekroczyłam próg gabinetu, uśmiechnęła się do mnie szczerze.

– Wiem, że dasz sobie radę.

Słaniając się lekko, wyszłam na korytarz i ruszyłam ku schodom.

Weszłam do maleńkiej kuchni i nalałam sobie wielki kubek kawy. Na kubku widniało hasło: „Najlepszy tata pod słońcem”. Uznałam, że pasuje, choć wybrałam go głównie dlatego, że rozmiarem przypominał wiadro. Rose powiesiła nad ekspresem kartkę z napisem: „Jeśli bierzesz właśnie resztkę kawy, wstaw nowy dzbanek albo twoje życie stanie się... skomplikowane”. I to wcale nie był żart. Sasha kiedyś zapomniała i Rose przekierowała jej połączenia wychodzące na numer dyrektora generalnego. Facet pięć razy z rzędu podnosił słuchawkę i trafiał na Saszę. W końcu sam jej zasugerował, by następnym razem pamiętała o dzbanku. Usiadłam przy biurku i zadzwoniłam do siostry.

– Czy przez najbliższych sześć tygodni mogłabyś zajmować się moimi dziećmi w sobotnie przedpołudnia?

Po chwili milczenia padła odpowiedź:

– Tak, jeśli nie będzie ci przeszkadzać ewentualność, że natkną się u mnie na nagich ludzi. Albo tresowane zwierzęta.

Roześmiałam się.

– Nie wymyślaj, twoje życie prywatne nie jest aż tak ekscytujące.

– Tylko ci się tak wydaje. Jak sama zauważyłaś, jest prywatne.

– Zatem odpowiedź brzmi „nie”?

– Czy muszę od razu składać długoterminowe deklaracje? Nie możesz po prostu przywozić ich, kiedy zdarzy się potrzeba?

– Ale właśnie się zdarzyła. Wysłali mnie z pracy na kurs ogrodnictwa, zajęcia są co sobotę przez najbliższe półtora miesiąca. Będę ilustrować przewodnik po warzywach i zleceniodawcy uznali, że zrobię to lepiej, jeśli nauczę się je uprawiać.

– Być może mają rację.

– Wątpię. *Z Klasztorami Europy XIV wieku* poradziłam sobie znakomicie, a nie jestem ani mnichem, ani Francuzką, ani sześćsetletnim truposzem.

– Słuszna uwaga. Nie możesz ich zabrać ze sobą?

– Mogłabym, ale pomyślałam, że wolałyby posiedzieć u ciebie.

– A może będę chodzić z tobą na zajęcia i przy okazji pomogę przy dzieciakach?

Aż odjęłam telefon od ucha, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

– Dobrze się czujesz? Ogródnictwo? Serio?

Westchnęła.

– Moja praca mnie dobija. Właśnie spędziłam dwie godziny, wisząc na telefonie i wrzeszcząc na ludzi, których nigdy nie spotkam, ale którzy trzymają przyszłość naszej firmy w swoich śliskich łapskach. W transporcie zaginął pewien bardzo ważny przedmiot i nikt nie umie wymyśleć, co się z nim stało.

– O rany, „wymyśleć”? Ty chyba naprawdę jesteś zła.

– Pocałuj mnie w nos.

– Co to był za przedmiot?

– A, takie tam, jak zwykle. Bezcenna tysiącletnia rzeźba przedstawiająca konia.



– Może trafiła do innego opakowania albo coś.  
– Ona jest naturalnych rozmiarów. A na końskim grzbiecie siedzi naga kobieta trzymająca w górze bezgłowe ciało orła. Ale poza tymi drobnostkami naprawdę łatwo ją przeoczyć.

– W porządku. – Urwałam. – Nie wiem, co ci powiedzieć. Powodzenia z zaginionym koniem.

Rozłączyłyśmy się. Naprawdę, nasze rozmowy z każdym dniem coraz bardziej przypominają dyskusje starego dobrego małżeństwa. Nie licząc oczywiście tego bezgłowego orła, chociaż zawsze powtarzam, że nigdy nie wiadomo, o czym ludzie gadają za zamkniętymi drzwiami.

– Że co? – Mina Annabel w lusterku była pełna sceptycyzmu.

Znow siedziałymy w samochodzie. Powinnam sobie kupić pokrowiec na siedzenie z drewnianych koralików, podobno są niezłe na kręgosłup, chociaż jego wzór pewnie na stałe odbiłby mi się na tyłku, a i bez tego mam tam za dużo górtek i dołków.

Jechałyśmy ze szkoły do domu. A właściwie stałyśmy w kolejce do wyjazdu ze szkolnego parkingu. Kłopot z kolejkami na szkolnym parkingu jest taki, że nauczycielki wykorzystują je, aby pokazać ci, jak bardzo lubią twoje dzieci, a co za tym idzie – ciebie. Być może wyciągam zbyt daleko idące wnioski, ale jak inaczej wyjaśnić fakt, że często stoję z przodu kolejki, z widokiem wprost na jedną z moich córek, która dłubie w nosie z subtelnością Howarda Cartera buszującego po grobowcu Tutenchamona, a tymczasem nauczycielki zawzięcie wyławiają z tłumu inne dzieci, by odprowadzić je do aut czekających daleko z tyłu? W autach tych siedzą bowiem rodzice, którzy przysyłają do szkoły ciasteczka. I którzy pamiętają o tym, by po przyjęciu urodzinowym napisać liścik z podziękowaniem oraz by wcisnąć dzieciaka w czyste ciuchy częściej niż raz w tygodniu. One, te nauczycielki, oczywiście zawsze traktują mnie uprzejmie, ale mówią rzeczy w stylu: „Och, Annabel jest naprawdę wyjątkowa” albo: „Clare znow powiedziała na lekcji coś bardzo zabawnego”. Albo: „Pani Girvan, pani córka ma niezwykle rozwinięte słownictwo. Właściwie nie wiem nawet, czy tygrysy posiadają łechtaczki”.

Spokojnie odpowiedziałam na pytanie:

– Nauczymy się hodować roślinki.

– A ja już umiem! – zapaliła się Clare. – Robimy to w szkole.

Zerknęłam na nią przez ramię.

– Naprawdę?

Skinęła głową. Annabel potwierdziła rewelacje siostry:

– Maluchy mają na dziedzińcu ogródek. Często widać, jak grzebią w ziemi.

– A ja raz pocałowałam robala.

Czy wspominałam, że Clare jest nieśmiała?

– On ciebie też pocałował?

Roześmiała się.

– Mamo! Skąd wiesz, że to był on? Robale to są naraz chłopcy i dziewczynki!

Hm. Brawa dla programu szkolnictwa publicznego w Los Angeles.

– Robale to hermafrodyty – sprostowała Annabel.

– Nieprawda, chłopcy i dziewczynki – upierała się Clare.

Już prawie wyjechałyśmy na ulicę.

– Tak czy inaczej, zaczynamy w sobotę. Zobaczycie, będzie fajnie. Weźmiemy ze sobą ciocię Rachel.

– Czy mogę poprosić o czas do namysłu? – Najwyraźniej Annabel zamierzała skonsultować tę decyzję ze swoimi prawnikami.

– Ja tam się nie muszę namyślać. – Clare nie potrzebowała niczyjego pozwolenia.

Zaparkowałyśmy przed domem i wypuściłam dzieci z samochodu, cofając się lekko przed minikaskadą śmieci, które wysypały się ze środka, gdy tylko otworzyłam drzwi. Zawsze łatwo poznać, gdzie stoi mój samochód: opakowania po batonikach z granolą, pogięta słomka od kartonika z sokiem, brudna chusteczka. Mamusina wylinka. Wyobraziłam sobie tropiciela z jednego z rdzennych plemion, który kuca, pochylony nad chodnikiem: „Pulchna kobieta w średnim wieku zmierzała na południe w otoczeniu młodych”. Potem wyprostowałby się i ze współczuciem potrząsnął majestatyczną głową: „Poruszała się bardzo powoli”.

Zatrzasnąwszy drzwi, zauważyłam w rynsztoku odłamki szyby samochodowej i natychmiast zaczęłam się zastanawiać, czy leżą tam od dnia wypadku. Oczywiście tak nie było, jednak migawki tamtego wydarzenia często stają mi nieproszone przed oczami. Rozbite szkło. Gwałtowny trzask drzwi samochodu. Rozlana na ulicy, jeszcze parująca kawa. Trzeszczące radia służb ratunkowych.

Kiedy zginął Dan, przyjechali bardzo szybko, choć nie słyszałam syren. Stałam w kuchni, rozpamiętując naszą ostatnią kłótnię, wypowiadając te wszystkie słowa, które powinnam była wypowiedzieć wcześniej. Poprzedniego wieczoru położyliśmy się spać wściekli i równie wściekli się obudziliśmy, cały ranek syczeliśmy na siebie, aż ku obopólnej irytacji musieliśmy odłożyć awanturę na później, żeby Dan mógł odwiedzić dzieci do przedszkola i żłobka.

„Niedługo wrócę”, rzucił na koniec, ale nie brzmiało to jak miłe, pocieszające zapewnienie, raczej jak groźba Terminatora, jakby chciał dodać: „Jeszcze z tobą nie skończyłem”. Zresztą to przecież nie miało znaczenia. Nie wrócił i nie wróci już nigdy.

Odpędziłam wspomnienia i spojrzałam na dziewczynki, które właśnie wysiadały z samochodu, jak to małe dzieci, na wpół wyskakując, a na wpół wypadając na chodnik. Potem sięgnęłam na tylne siedzenie po plecaki, prace na plastykę i zabłąkane buty. Gdy podeszłam do drzwi, usłyszałam szczekanie naszego labradora Franka, który powitał nas radośnie, obwąchując dzieci w poszukiwaniu

przysmaków, po czym zaczął szurać grubym zadem po dywanie.

– Mamo, Frank znów ma robaki – oznajmiła Annabel, mój mały weterynarz, włączając telewizor.

– Może tylko swędzi go pupa – podsunęła Clare. – To się zdarza.

Westchnęłam i zaczęłam opróżniać zmywarkę. Pies ma robaki. Clare trzeba zaplombować mleczny ząb, bo jestem złą matką i daję jej cukier. Moja siostra wprosiła się na obiad. Ja tymczasem od pięciu miesięcy nie byłam u fryzjera i zaczęłam przypominać Kuzyna To. Kuzyn To był oczywiście blondynem, ja jestem mysią szatynką, ale jednak. Niechcący uchwyciłam kątem oka swoje odbicie w kuchennym oknie i przez chwilę wydawało mi się, że widzę swoją matkę. Cudownie.

Mniej więcej godzinę później do kuchni wkroczyła Rachel.

– Czy zauważyłaś, że upodabniasz się do Kuzyna To? – Odłożyła na blat torby z zakupami i wzięła na ręce Clare, która wywrzaskiwała coś o psie i robakach. – Chwila, kto ma robaki? Ty? – Spojrzała na Annabel. – Ty też?

– Tak. – Annabel, nieobecna dla świata, z kamienną twarzą wpatrywała się w ekran telewizora. – Setki robaków.

Nastawiłam wodę na makaron i zabrałam się do przygotowywania obiadu. Przypomniałam sobie, jak moja matka siekała cebulę przy dźwiękach radia, obok stała puszka po pomidorach z wetkniętą do środka drewnianą łyżką, a w powietrzu pachniało topionym masłem. Ciekawe, czy była wtedy tak samo rozczarowana życiem jak ja obecnie. Codziennie o czwartej po południu gotowałam obiad dla dzieci – no i dla siebie, bo inaczej musiałabym jeść sama albo wcale – potem małe (przy odrobinie szczęścia) go zjadały, szły się kąpać, wkładały piżamy, słuchały powieści na dobranoc, zasypiały. Kiedy jeszcze żył Dan, zwykle pojawiał się w domu w połowie bajki, z głową pełną dorosłych myśli i narzekań na pracę, co przynajmniej stanowiło pewne wizualne urozmaicenie oraz dawało nadzieję na dyskusję z użyciem słów mających więcej niż dwie sylaby. Teraz często zastępuje go Rachel, nawet z powodzeniem, choć czasem przyłapuję się na tym, że nucę pod nosem motyw przewodni z *Ciekawskiego George'a* w sposób, który jest prawdopodobnie objawem atrofii komórek mózgowych.

Rachel oparła się o blat i spojrzała na mnie uważnie.

– Wściekasz się o tego Kuzyna To, prawda? Przepraszam. Nie pomyślałam. Właściwie bardziej przypominasz mi Morticię. Wciąż jeszcze widać ci kawałek twarzy. Zresztą bardzo ładny.

Spojrzałam na nią w milczeniu, rozdzielając drewnianą łyżką grudkę pokrojonego w kosteczkę bekonu. Moja siostra była cudowna, zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak i osobowość. Była singielką, ale raczej z wyboru i bynajmniej nie żyła w celibacie. Kiedyś wyszła za męża, bardzo młodo, a potem przysięgła sobie nie popełnić drugiego raz tego błędu. Była ode mnie wyższa i szczuplejsza (ale potrafiłam

jej to wybaczyć, w końcu nie urodziła dzieci), miała ładniejsze włosy i jędrniejsze uda, a jednak często udowadniała, że stawia mnie i dziewczynki wyżej niż własne plany. Czasem martwiłam się, że smutne wydarzenia, do jakich doszło w moim życiu, ograniczyły jej wolność. Kiedyś jej o tym powiedziałam, na co odparła, że smutne wydarzenia w moim życiu są również smutnymi wydarzeniami w jej życiu.

– Hej, mój szwagier, którego bardzo kochałam, zginął w wypadku samochodowym, a moja siostra na moment znikowała, musiałam więc zająć się jej dziećmi. To mnie się to zdarzyło, pamiętasz? Jesteś tylko pomniejszą postacią dramatu pod tytułem *Życie Rachel Anderby*, w roli głównej Rachel Anderby, reżyseria Rachel Anderby, scenariusz Rachel Anderby. W moim życiu jesteś bohaterką drugoplanową, Lili, na liście obsady nawet dzieciaki są przed tobą.

Wiedziałam jednak, że bycie dostępną dla mnie sporo ją kosztowało i że ona wie, że ja wiem, że gdyby przyszło mi kiedyś oddać jej nerkę albo zasłonić ją przed strzałem, zrobiłabym to bez wahania. Jednak w jej życiu towarzyskim mnóstwo się ostatnio działo i bywało, że miała zajęte całe weekendy.

Odcedziłam makaron.

– Co robisz w sobotę po południu? – spytałam. – Po naszej ekscytującej lekcji ogrodnictwa?

– Idę na randkę, a co myślałaś? – Składała serwetki w łabędzie, czego nauczyła się pewnego lata jako kelnerka w restauracji w wesołym miasteczku. Tamte trzy miesiące wydawały się wówczas jedną wielką słoneczną pijacką orgią pracowników sezonowych, ale serwetkowe origami sprawiło, że nie poszły na marne. Gdyby nie to, spędziłaby całe lato, uprawiając fantastyczny, wolny od wyrzutów sumienia seks z innymi szczęśliwymi młodymi ludźmi, a co to w zasadzie za rozrywka?

– Z kim? – Uniosłam brwi, pilnując jednak, by pytanie zabrzmiało neutralnie, czego z kolei ja nauczyłam się pewnego lata podczas stażu w wydawnictwie (zero seksu, zero origami, za to mnóstwo darmowej ironii i tyle zakładek do książek, ile zdołałam unieść).

– Z takim jednym, nie znasz.

– Kolega z pracy?

Rachel pracowała w międzynarodowej firmie zajmującej się importem i eksportem dzieł sztuki oraz zabytków. Kierowała działem logistyki i często można było usłyszeć, jak rozmawiając przez telefon, mówi coś w stylu: „Sarkofag może przenocować w Kairze, ale lepiej żeby wylądował w Budapeszcie przed wtorkiem, inaczej papież się wścieknie”. Poznawała przy okazji wielu mężczyzn, ale nigdy nie umawiała się z kimś, kto współpracował z jej firmą. Była trochę puszczalska, powiedzmy to sobie otwarcie, miała jednak swoje zasady.

– Tak jakby. Poznałam go na pewnym wernisażu.

– Fajny?

Uśmiechnęła się.

– Nie, odrażający, koślawy i z zezem. Uznałam, że czas poszerzyć horyzonty.

– Nieźle.

– Mamusiu?

Spojrzałam w dół. W kuchni pojawiła się Clare.

– Tak, kochanie? – Zatknęłam jej pasmo włosów za ucho i pogładziłam po policzku. Fizyczna doskonałość małego dziecka czasami aż zapiera człowiekowi dech w piersiach.

Czy ona w ogóle ma pory?

– Chcę malować.

– Nie teraz, kochanie. Zaraz będzie obiad.

– Ale ja bardzo, bardzo chcę. – Niestety fizyczna doskonałość często łączy się z bezbrzeżnym egoizmem. Włosy opadły jej z powrotem na policzek.

– Rozumiem, skarbie, ale nie teraz. Może rano.

– Teraz.

Najwidoczniej była głodna. Odsunęła głowę, żebym nie mogła poprawić jej włosów.

– Idź powiedzieć siostrze, żeby przyszła na obiad, dobrze?

Rozważała, czy nie zrobić awantury, na jej zmarszczonym czole wyraźnie odbijała się walka głodu z rozdrażnieniem. W tym momencie do akcji wkroczyła Rachel, porwała ją na ręce, obróciła głowę w dół i zaniósła do Annabel. Wrzuciłam odcedzony makaron na patelnię, dodałam jajko, ser, bekon, masło oraz cebulę i zamieszałam, żeby jajko lekko się ścięło.

Zaniósłam patelnię do stołu. Dotarłam tam pierwsza i kiedy dzieci usiadły, obiad parował już na talerzach. Pogratulowałam sobie w duchu, ponieważ nikt inny nie zamierzał tego zrobić.

Rachel spojrzała na mnie.

– Możesz pójść ze mną na tę randkę, jeśli chcesz. Ten facet na pewno ma jakiegoś kolegę. – Spróbowała makaronu. – Właściwie mam nadzieję, że więcej niż jednego, choć możliwe, że przez tego zezę zniechęca do siebie ludzi.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie gadaj głupot.

Nigdy nie rozmawiałam z nikim o mężczyznach przy dzieciach, a ponieważ miałam je przy sobie niemal cały czas, mogłam z łatwością unikać tego tematu. Nie byłam gotowa na randki, dziewczynki też nie były gotowe, bym na nie chodziła, i nie zamierzałam zacząć, póki nie skończą studiów. Oczywiście uważałam, że po liceum powinny zrobić sobie rok przerwy i wybrać się w podróż po Europie. Poza tym istniała spora możliwość, że zechcą pisać doktorat. Nie musiałam się więc martwić mężczyznami co najmniej przez następane dwadzieścia lat – a po takim czasie i tak wszystko tam, w dole, zasklepi mi się niczym u lalki Barbie.

Przyniosłam szklanki z wodą, potem poszłam jeszcze po swój talerz i wreszcie usiadłam.

– Mamusiu.

Annabel nawijała makaron na widelec – dopiero niedawno nauczyła się tej sztuczki. Często trwało to dłużej, niż powinno, ale opanowanie takich umiejętności wymaga wprawy.

– Tak, kotku? – Sięgnęłam po więcej sera.

– Mówiłam ci, że mam chłopaka?

Zerknęłam na Rachel.

– Nie. Kto to taki?

– James.

Okej, przynajmniej dzieciak, którego znałam. Prawdziwy, nie wymyślony.

– Naprawdę? Lubię Jamesa. Jest bardzo miły.

Zapchałam usta makaronem i w duchu podziękowałam Bogu za Włochów. Spaghetti, pizza, lody. Gdyby nie zajmowali się głównie uprawianiem seksu i śmiganiem po ulicach na swoich vespach, całkiem możliwe, że rządiliby światem.

Annabel się skrzywiła.

– To straszny głupek. Ale jest moim chłopakiem.

– Wie o tym?

Spojrzała na mnie z oburzeniem.

– Nie! Oczywiście, że nie!

Rachel popatrzyła na Clare.

– Ty też masz chłopaka?

– Nie, ja mam męża. – Clare uśmiechnęła się z buzią pełną spaghetti.

– Naprawdę? – Rachel nie przerwała jedzenia. – A kto jest twoim mężem?

– Frank.

Frank na dźwięk swojego imienia zabębnił ogonem o podłogę.

– Hm. Wiesz, że twój mąż ma robaki?

Clare pokiwała głową.

Annabel była cierpliwa, lecz stanowcza. Odłożyła widelec.

– Clare, nie można wziąć ślubu z psem.

– A ja wzięłam. Stało się.

To było jedno z jej ulubionych powiedzonek. „Stało się” było konstatacją kwitującą wiele rzeczy, takich jak zabazgrane kredką ściany, obsikana podłoga czy nielegalne opychanie się cukierkami. Co się stało, to się nie odstanie, koniec kropka. Clare uwielbiała podsumowania.

– Ale człowiek nie może wziąć ślubu z psem.

– Czemu nie? Przecież kocham Franka.

Annabel pokiwała głową.

– Ja też.

– A kiedy ludzie się kochają, to się żenią.

Annabel znów przytaknęła, choć Rachel już otwierała usta, by wyrazić sprzeciw. Zmroziłam ją wzrokiem i leciutko pokręciłam głową.

– Czyli on jest twoim mężem? – zwróciła się do mnie Annabel, wyraźnie nieprzekonana. – Mamo, nie można wziąć ślubu z psem.

– Bel, twoja siostra jest za mała, żeby brać ślub z kimkolwiek. Ale jeśli chce mówić, że są z Frankiem mężem i żoną, a nie kundlem i przedszkolakiem, to chyba nie powinniśmy jej tego zabraniać?

Starsza córka spojrzała na mnie z namysłem.

– Posłuchaj – ciągnęłam. – Nie miałaś nic przeciwko, kiedy w zeszłym tygodniu przez trzy dni udawała, że wanna to rafa koralowa pełna jadowitych węgorzy. Pamiętaj, że Clare ma dopiero pięć lat.

– Chociaż – wtrąciła Rachel – Frank ma prawie osiem, jest sporo starszy.

Popatrzyłam na nią.

– Tak, właśnie to martwi mnie najbardziej: różnica wieku.

– Ale to głupie. – Annabel nie zamierzała ustąpić.

– Co z tego? Na świecie dzieje się sporo głupich rzeczy, nie można wciąż być poważnym.

Clare błędnie zinterpretowała niezadowolenie siostry:

– Hej, jeśli chcesz, możesz wziąć ślub z Henrym.

Henry był królikiem. Mieszkał w klatce w ogrodzie i muszę przyznać, że nieraz zdarzało mi się zapomnieć o jego istnieniu.

Rachel parsknęła śmiechem.

– Czekaście, ja chcę wyjść za Henry’ego. Jest taki słodki!

Trudno było temu zaprzeczyć.

– Jest chyba dla ciebie trochę za niski?

– Za to jaki puchaty. – Annabel wreszcie dała się ponieść nastrojowi rozmowy. – Ma wielkie uszy jak ten chłopak, z którym przyszedł do nas na Gwiazdkę.

Rachel prychnęła.

– Jakim cudem pamiętasz takie rzeczy? Ja już prawie całkiem o nim zapomniałam.

Clare dopiero się rozkręcała:

– A mama może się ożenić z Jane.

Jane była kotką. Annabel znów spochmurniała.

– Mama nie może się ożenić z Jane. Po pierwsze, Jane to dziewczyna, a dziewczyny nie mogą się żenić z dziewczynami... – Rachel otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale Annabel mówiła coraz głośniej: – Po drugie, Jane jest kotem, przecież koty się nie żenią, a po trzecie, mama jest żoną taty, a nie można być w małżeństwie z dwiema osobami naraz.

– Kto ma ochotę na deser? – zaćwierkałam, wstając.

– Ale tata nie żyje – oznajmiła stanowczo Clare.

Zaczęłam trzaskać talerzami.

– Może zjemy lody?

– Tak, ale wciąż są małżeństwem.

Pośpiesznie otworzyłam zamrażalnik.

– Ale tata nie żyje. Stało się.

Policzki Annabel powoli czerwieniały, co nie zwiastowało nic dobrego.

– Tak, ale wciąż są małżeństwem, więc mama nie może ożenić się z nikim innym.

Już nigdy.

Podjęłam jeszcze jedną próbę:

– Ooo, sos czekoladowy, kto chce trochę?

Clare zmarszczyła brwi.

– A jeśli kogoś pokocha? Wtedy może się ożenić.

– Macie ochotę na pianki?

Annabel wstała i zrozumiałam, że nieuchronnie zbliża się awantura. Na szczęście nie uszło to również uwadze Rachel.

– Do wanny! – wrzasnęła, zrywając się z krzesła, i chwyciła Clare w objęcia.

Wzięłam na ręce Annabel, która zaczynała się trząść. Bywało, że przez kilka tygodni ani razu nie wspominała o ojcu. Ale od czasu do czasu zupełnie się rozsypywała. Niejednokrotnie przez coś, co powiedziała Clare, dla której to wszystko miało mniejsze znaczenie. Kiedy zginął Dan, miała niecały rok. Tata to było dla niej tylko słowo, inni ludzie mieli ojców, tak samo jak miewali konie albo odry.

Rachel ruszyła do łazienki, całując Clare po brzuchu, a ja usiadłam i wzięłam Annabel na kolana.

– Skarbie, kocham cię, kocham Clare i ciocię Rachel. Nie zamierzam za nikogo wychodzić za mąż, rozumiesz?

Mała zaczęła już cicho popłakiwać i tylko przytaknęła bez słowa. Przytuliłam ją i pogłaskałam po głowie.

– Zawsze będę kochała tatę, wiesz? On zawsze będzie twoim tatusiem, on i nikt inny. A ja zawsze będę twoją mamą.

– A ciocia Rachel zawsze będzie ciocią?

Skinęłam głową, wtulając policzek w jej włosy.

– A babcia...

– Tak, babcia zawsze będzie twoją babcią.

– A Frank?

Spod stołu znów zaczął dochodzić dźwięk uderzającego o podłogę ogona. Uśmiechnęłam się.

– Frank zawsze będzie mężem Clare.

Wreszcie się roześmiała, więc zaniósłam ją do łazienki.





## PODSTAWOWY SPRZĘT



Każde nowe hobby to dobra wymówka, by wybrać się na zakupy. Oto co będzie ci potrzebne.

rękawice

widły

grabie

motyka

kultywator ręczny albo gracka

konewka lub wąż ogrodowy.

Jeśli masz za mało pieniędzy albo miejsca, wystarczy kupić nasiona i można pracować rękami. Roślinom jest wszystko jedno.

## ROZDZIAŁ 2

Następnego dnia Clare miała spędzić popołudnie u koleżanki. Samantha chodziła do tej samej klasy, zbierała zestawy Littlest Pet Shop i potrafiła wyrecytować z pamięci imiona oraz etapy ewolucji trzystu różnych pokemonów – krótko mówiąc, była przyjaciółką na śmierć i życie. Małe dziewczynki przypominają pod tym względem dorosłych mężczyzn: wystarczą dwa wspólne tematy, by oficjalnie ogłosić przyjaźń. Wędkowanie. Golf. Fascynacja biustami. Niestety, z matką Samantha nie miałyśmy dwóch wspólnych tematów, podrzuciłam więc Clare do jej domu i czym prędzej czmychnęłam. Nie jest to w środowisku rodzicielskim grzech śmiertelny, ale *faux pas* – z pewnością. Trudno. Jeśli zechcą mnie wywalić z Klubu Matki Roku, chrzanić je. To i tak idiotyczny klub.

Rachel zadzwoniła, akurat gdy dojeżdżałyśmy z Annabel do domu.

– Chciałam zaproponować, że odbiorę i przywiozę Clare.

– Znów zamierzasz nas odwiedzić? Drugi wieczór z rzędu? – Umilkłam, po czym dodałam: – Masz w mieszkaniu dezynfekcję? A może nachodzi cię ten facet, który upiera się, że jesteście małżeństwem?

– Mój były mąż? Nie, po prostu wolę rozmowę z małymi niż ciszę pustego domu i wątpliwy smak własnych wytworów kulinarnych.

Postanowiłam poczekać. Rachel była z natury uczciwa, nie umiała kłamać.

– No dobra, smak pizzy na wynos. Ale oczywiście jeśli wolisz mi dokuczać, możesz sama odebrać swojego cholernego dzieciaka.

Ale oczywiście pojechała po Clare i byłam jej za to wdzięczna. Wszystko ma jednak swoją cenę, więc kiedy dziewczynki poszły spać, Rachel rozpoczęła kampanię na rzecz ożywienia mojego życia miłosnego.

Leżałyśmy przed telewizorem w salonie. Nic nie oglądałyśmy, a mimo to był włączony, wieczny towarzysz życia we współczesnym świecie. Broń Boże, byśmy siedziały w ciszy, zajmując się własnymi myślami. Kiedy żył Dan, często spędzaliśmy bez słowa całe godziny. Było nam wtedy cudownie.

– Czyli od trzech lat nie uprawiałaś seksu, zgadza się? – Rachel zdjęła skarpetki i przyglądała się bacznie swoim palcom u stóp.

Wzruszyłam ramionami, bez przekonania usiłując trafić klockiem lego do kubelka w rogu pokoju.

– Dłużej, jeśli liczyć ostatni rok małżeństwa. Byłam w ciąży, a potem miałam malutkie dziecko.

Zmarszczyła brwi.

– Domyślałam się, że istnieją pary, które po ślubie nadal często uprawiają seks?

– Jasne, że istnieją. W telewizji.

– Jakoś mnie nie zachęcasz.

– Nie próbuję.

Kiedy zaczynało mi już iść całkiem nieźle, skończyły się klocki, przerzuciłam się więc na kucyki Pony. Tu wchodził w grę inny kubełek, a dodatkowo, obliczając trajektorię lotu, należało wziąć poprawkę na grzywę. W moim domu bywało czysto raz w tygodniu, po wizycie sprzątaczk, i stan ten utrzymywał się zazwyczaj przez jakieś dwadzieścia minut. Wnętrza urządzone były z przewagą motywu „edukacja przedszkolna” ze szczyptą „oazy młodego małżeństwa”. Spokojne kolory i dużo naturalnych tkanin, a wszystko pokryte patyną farbki do malowania palcami oraz warstwą plastikowych zwierzątek. Sklep z zabawkami ścierał się tu z klasztorem zen: ten pierwszy był górą, ten drugi stawiał bierny opór. Czyli chyba tak, jak na klasztor zen przystało.

Rachel leżała na sofie i bez przekonania usiłowała robić brzuszki, czym wprowadziła mnie w nie lada zdumienie.

– Czy dobrze widzę, że się gimnastykujesz?

– Nie, próbuję osiągnąć pilota.

– Aha.

– No.

Wyciągnęła go wreszcie spod tyłka i zaczęła przerzucać kanały. Zatrzymała się na jakimś programie kulinarnym i znów skupiła uwagę na palcach u stóp.

– Masz lakier do paznokci?

Powoli podniosłam się z fotela. Kiedyś potrafiłam błyskawicznie zerwać się na nogi. Siadałam i wstawałam bez zastanawiania się nad tym, co robię. Jednak ostatnimi czasy wystarczyło, że spędziłam więcej niż pięć minut w jednej pozycji, i byłam całkowicie zeszywniała. Czułam się jak Blaszyński Drwał, z którego znieruchomiłych ust dobywa się jęśliwe błaganie o oliwiarzę.

Zakradłam się do pokoju dziewczynek i wróciłam z niedużym koszykiem.

– Mam tu pięć odcieni różu, trzy fioleto, złoto, brokat, zieleń pachnącą mięętą i miniaturowy pulpit na nuty, który był pewnie kiedyś częścią jakiegoś zestawu...

To wszystko.

Rachel uniosła brwi.

– Czy to kolekcja Annabel?

Skinęłam głową.

– Kiedy ostatnio malowałaś paznokcie u nóg?

Wzruszyłam ramionami.

– A kto jest teraz prezydentem?

Rachel westchnęła ciężko.

– Do jasnej cholery, pamiętasz jeszcze, jaka byłaś kiedyś próżna?! Nabijałam się z ciebie, kiedy każdego ranka godzinami siedziałaś w łazience. Kolor cienia do powiek musiał ci pasować do odcienia butów.

– Wysłałam za mąż. Urodziłam dzieci. Mój mąż zmarł. Zapuściłam się.

Zmarszczyła brwi.

– Dalej jesteś piękna. Mimo całego tego... niechlujstwa.

– O rany, dzięki.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ty i Dan byliście jak król i królowa balu hipsterów. Złota para. Miss i mister szkolnego albumu.

– Dobra, bez przesady. Byłam ładna. Dan był atrakcyjny. Załapałam.

– A ty nadal świetnie wyglądasz. Tylko nie wiedzieć czemu przebierasz się za mamuszkę w średnim wieku. – Pochyliła się do przodu, jakby dla podkreślenia swoich słów, i gdybym chciała, mogłabym jednym ciosem rozkwasić jej nos. Zastanawiałam się nad tym.

– Cholera, Rach, ale mnie motywujesz. Lepiej zmienmy temat, zanim stracę resztki poczucia własnej wartości.

Przez chwilę patrzyła na mnie gniewnie, ale w końcu dała za wygraną i zajęła się malowaniem paznokci, każdego na inny kolor. Sięgnęłam po szkicownik i zaczęłam ją rysować. Była piękna, mimo tych irytujących zapędów, by kierować moim życiem osobistym. Długie ciemne włosy, gęste i układające się w fale, zupełnie inne od moich, twarz anioła i umysł wybitnej specjalistki od księgowości podatkowej lub kogoś podobnego. Wspaniała figura – kobieca i silna – o którą w ogóle nie musiała dbać. Nie szkodzi, rozsypie się, kiedy urodzi dzieci.

– Chodzi mi tylko o to, że musisz zacząć wychodzić z domu i dopuszczać do siebie mężczyzn. – Wpatrywała się w swoje paznokcie, ale ja nie dałam się oszukać.

– Dzięki, ale nie. To ty zawsze skakałaś od faceta do faceta jak drwal po kłodach.

Zapadła cisza.

– O co ci chodzi?

– No wiesz... Drwale mają taką zabawę, skaczą po unoszących się na wodzie kłodach, muszą być bardzo szybcy, żeby nie spaść.

– To rozumiałam, pytam, jak to się niby odnosi do mnie.

Westchnęłam, próbując naszkicować jej zmarszczone czoło.

– Chodziło mi o to, że zawsze lubiłaś się spotykać z mężczyznami. Czasem nawet z kilkoma naraz. Oprócz tego krótkiego okresu, kiedy byłaś mężatką. – Obie odwróciłyśmy głowy, symbolicznie spluwając przez ramię. Była to nasza tradycja, wykonywałyśmy ten gest na każdą wzmiankę o jej byłym. – Nigdy nie wytrzymałaś z nikim zbyt długo.

– Chodzi ci o to, że skaczę z fiuta na fiuta?

– Tak się teraz mówi?

– Bo ja wiem. Czemu nie? – Zakreśliła lakier i przybrała poważny wyraz twarzy. Widziałam go u niej nieraz. – Słuchaj, tu nie chodzi o mnie i mój zdrowy popęd seksualny. Chodzi o ciebie i twój ostentacyjny brak zainteresowania poznaniem faceta. Albo dziewczyny. Albo dwóch dziewczyn i faceta, jak tam sobie chcesz. Dan odszedł dawno temu. Nadal jesteś młoda, atrakcyjna, dowcipna i seksowna.

Czas wyjść do ludzi i trochę pożyć.

– Rachel, Dan nie przeniósł się do Nebraski z jakąś kelnereczką imieniem Lurlene. Umarł. Zginął w okropnym wypadku, właściwie na moich oczach. To prawdziwy wstrząs, kiedy twoja bratnia dusza w tak drastyczny sposób zostaje zmieciona z powierzchni ziemi. Potrzeba czasu, żeby się z tego otrząsnąć. Ja się jeszcze nie otrząsnęłam. Więc proszę, daj mi spokój.

Nie chciałam się na nią złościć, wiedziałam, że ma dobre intencje, ale tego rodzaju rozmowy zawsze były dla mnie wyjątkowo męczące. Wstałam i poszłam sprawdzić, co u małych, z nadzieją, że Rachel zrozumie tę niezbyt zawołowaną aluzję i zmieni temat.

Zadziałało. Kiedy wróciłam, skończyła już malować paznokcie, najwyraźniej gotowa zapomnieć o całej sprawie.

– Hej, mam nowinę: Alison pytała, czy mogłaby któregoś wieczoru zająć się dziewczynkami.

To mnie zawsze zdumiewało. Ludzie, których ledwo znałam, proponujący, że przypilnują moich dzieci. Oczywiście nie wiedzieli, na co się porywają. Rozejrzałam się: Frank leżał w fotelu, Rachel na sofie. Usiadłam na podłodze.

– Jakim cudem przyszło jej to do głowy?

– Otóż niektórzy uważają, że dzieci są fajne. Ty chyba też kiedyś tak myślałaś, czy może poczęłaś je pod groźbą więzienia? Wiem, że Danowi się nie śpieszyło, a więc pomysł musiał być twój.

Tkwilo w tym ziarno prawdy. Przed narodzinami Annabel Dan nie wyrażał najmniejszego entuzjazmu na myśl o posiadaniu dzieci, ale gdy tylko okazało się, że jestem w ciąży, zaangażował się w stu procentach. Kładł się obok mnie i szeptał do mojego brzucha, odpowiadając na rozmaite pytania, które jakoby słyszał. „Nie, ten koń to był Secretariat”, mówił, albo: „Nie przejmuj się i jedz, co znajdziesz”, albo: „Tak, kupimy ci kucyka”.

– Tak czy inaczej, Alison powinna wpaść i poznać je, zanim się zadeklaruje.

Rachel westchnęła.

– Lili, ona je widziała chyba z pięćdziesiąt razy. Jest sekretarką u mnie w biurze. Zajmowała się nimi na okrągło, kiedy siedziałaś w wariatkowie, a ja byłam zajęta.

– Nie w wariatkowie, tylko w szpitalu.

– Z pokojami bez klamek.

– No tak.

– Podawano tam lit i chloropromazyne, a ludziom się zdawało, że są Amelią Earhart.

– Nie ludziom, jednemu facetowi.

– Dobra. Nie zmieniaj tematu. Kiedy ostatnio wyszłyśmy razem na miasto? Kiedy się ostatnio upiłaś i zrobiłaś coś żenującego?

– Powtarzam: kto jest prezydentem?

Sięgnęła po telefon.

– Dość tego. Dzwonię do Alison. Jutro wieczorem idziemy się zabawić.

– Przecież jutro jest piątek. Na pewno masz jakieś plany.

– Owszem – odparła. – Zabieram siostrę na miasto. Za bardzo zaczyna przypominać zasuszoną starą pannę.

Pokręciłam głowę, tym razem bardziej stanowczo.

– Nie, Rach. Ja nie chcę.

Ale ona już zaczęła rozmowę i nagle uświadomiłam sobie, że pozwalam, by ustaliła wszystko z Alison. Cóż, zawsze mogę się wycofać w ostatniej chwili.

Rozłączyła się.

– Załatwione. Tylko nie próbuj się wycofywać w ostatniej chwili. Wiem, że o tym pomyślałaś.

– Ja? Skądże znowu.

## BURAKI



Buraki są wrażliwe na odczyn gleby, ale można im to wybaczyć, biorąc pod uwagę, że są w niej zakopane. Użyj nawozu zakwaszającego, aby uzyskać pH między 5,5 a 6.

Przed sadzeniem nie żałuj kompostowanego obornika i dopilnuj, by było w nim dużo fosforu, ale nie za dużo azotu. Nadmiar azotu może spowodować, że burak będzie miał mnóstwo liści i małe bulwy, co wygląda uroczo, ale nie o to nam przecież chodzi.

Temperatura gleby powinna wynosić co najmniej 10°C.

Zasadź nasiona na głębokości 1,2 centymetra, 2,5–5 centymetrów od siebie.

Kiedy przyjdzie czas zbiorów, skocz do sklepu po kozi ser. Nie ma lepszego dodatku do buraków.



## ROZDZIAŁ 3

W piątek wyszłam z pracy wcześniej, bo umówiłam się z Ruth Graver, moją terapeutką od żałoby. Na tym etapie była już właściwie po prostu terapeutką, ponieważ rozdzierająca tęsknota przerodziła się w coś w rodzaju tępego pulsowania, jakby potwora w szafie rozbolał ząb, powstrzymując go przed wyłożeniem na zewnątrz. Mimo to nadal kilka razy w miesiącu chodziłam na sesje. Od początku zakładałam, że terapia, rozpoczęta po wyjściu ze szpitala, pomoże mi pogodzić się ze śmiercią Dana. Choć doktor Graver robiła, co mogła, nie udało mi się jeszcze dojść do tego punktu. Nie byłam nawet blisko.

– Jak sądzisz, dlaczego Annabel się zdenerwowała?

Ruth Graver była rzeczową brunetką, jeszcze bardziej inteligentną, niż wskazywałaby jej aparycja. Sprawiała wrażenie osoby, która po wrogim najeździe kosmitów oraz unicestwieniu połowy planety organizowałaby ruch oporu i rozdawała kocy. Oczywiście równie dobrze mogła być uzależniona od amfy, mieć osiemdziesiąt procent powierzchni ciała pokryte tatuażami i obsesję na punkcie wczesnych utworów Franka Sinatry, ale w pracy pozostawała zawsze w pełni opanowana.

Nerwowo założyłam nogę na nogę.

– To chyba jasne. Nie chce, żebym ponownie wyszła za męża i zastąpiła jej tatusia kimś innym.

– Twierdziła, że nadal jesteście małżeństwem.

– No tak. Jej zdaniem to bez sensu, by śmierć zmieniała czyjś stan cywilny. Prawdę mówiąc, zgadzam się z nią.

– W swojej głowie wciąż jesteś mężatką – podrzuciła Ruth całkowicie neutralnym tonem. „Nie oceniam cię, Lilian. A teraz wywróć duszę na lewą stronę jak torebkę i wytrząśnij wszystko ze środka”.

Przytaknęłam.

– Nie tylko w głowie, wszędzie. Kiedy muszę wypełnić jakiś formularz i mam do wyboru „panna”, „mężatka” lub „rozwidziona”, zawsze zaznaczam mężatkę i dopisuję pod spodem: „wdowa”. Swoją drogą czemu nigdzie nie ma takiej rubryki? Biurokracja uwzględnia zazwyczaj całą gamę rozmaitych opcji. Gdybym była rdzenną Alaskanką albo posługiwała się językiem urdu, mogłabym dać temu wyraz w specjalnym okienku, ale jako wdowa mam z dnia na dzień wrócić do bycia singielką?

Uświadomiłam sobie, że bezwiednie skubię paznokcie, i przestałam.

Pokój udekorowany był w stylu gabinetów terapeutycznych z lat pięćdziesiątych. Podczas gdy doktor Graver w milczeniu czekała na ciąg dalszy, przebiegłam wzrokiem po znajomych przedmiotach na regale. Nieduży gliniany dzbanek

ulepiony przez jakieś dziecko, miniaturowy fotel przypominający ten, na którym siedziała, zabawne figurki przedstawiające Einsteina i Poe'go. Nie miałam pojęcia, jaka jest prywatnie, choć od czasu do czasu usiłowałam ją nakłonić, by opowiedziała mi trochę o sobie. Ku mojej irytacji wszelkie starania spełzały na niczym.

Zdałam sobie sprawę, że milczę, i uśmiechnęłam się.

– Czemu się uśmiechasz?

– Żeby coś zrobić z ustami. Mam serdecznie dosyć słuchania własnych narzekań. – Znów zaczęłam skubać paznokcie. – Mam dość ludzi wiecznie zadających pytania i nadziei w ich oczach, kiedy widzą mnie z mężczyzną, dość tych krótkich przerw w rozmowie, kiedy mówię, że nic mi nie jest, jakby cały świat czekał, aż zacznę się wreszcie z kimś spotykać. – Ścisnęło mi się gardło, nie ze smutku, lecz ze złości. – Gdyby Dan przeżył wypadek, ale zmienił się w warzywo i zaśliniony leżał w jakimś szpitalnym łóżku, nikt nie namawiałby mnie na randki, prawda? Uznajmy może zatem, że siedzi gdzieś w zamknięciu niczym szalona żona pana Rochester'a, a ja nie jestem wolną kobietą, bo z pewnością nie czuję się wolna.

Doktor Graver nie odpowiedziała, ale pogłębiły jej się zmarszczki wokół oczu. Troska. Dobrze znałam to spojrzenie. Zerknęłam na zegarek i uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

– Czas minął, pani doktor. Do zobaczenia w przyszłym miesiącu.

Wysłałam stamtąd, wyobrażając sobie, jak siedzi bez ruchu i pokrywa się kurzem aż do mojej następnej wizyty.

Próbowałam, rzecz jasna, wykręcić się od umówionej kolacji, ale Rachel ustawiła telefon tak, by przekierowywał połączenia prosto do poczty głosowej. Miała nawet czelność zmienić powitanie, które brzmiało teraz: „Lili, jeśli to ty próbujesz odwołać nasze spotkanie, nie trudź się zostawianiem wiadomości, ponieważ zamierzam ją zignorować. Jeśli dzwoni ktoś inny, zamieniam się w słuch. Biiip”.

Moją irytację dodatkowo wzmagaly dziewczynki, które cieszyły się na wizytę Alison. O dziwo, zgodnie z tym, co twierdziła Rachel, wiedziały, kim jest, i uważały ją za znakomitą opiekunkę.

– Ale ja wychodzę – podkreśliłam, z nadzieją, że któraś zacznie się mazać i będę miała wymówkę, by zostać w domu.

Obie zgodnie pokiwały głowami.

– Alison ma różowe włosy – podsunęła Clare.

Ach tak, wreszcie ją sobie przypomniałam. Może i ja powinnam ufarbować włosy na różowo. Wszystko wskazuje na to, że spotkałabym się z pozytywnym odzewem.

– Nie będę mogła was utulić do snu. – Cel uświęca środki.

Jeszcze raz pokiwały głowami. Był piątek, a w piątki kładzenie się spać to dość płynny koncept, ponieważ następnego ranka nie trzeba wstawać do szkoły. Małe były niewzruszone.

– Kiedy Alison czyta nam bajki, każda postać mówi innym głosem – oznajmiła Annabel.

– Ja też tak robię – przypomniałam jej, nieco urażona, z pilotem w dłoni.

– Tak, ale jej głosy są inne. – Chwila ciszy. – Możesz włączyć telewizor?

O piątej zjawiała się Alison wraz ze swoimi różowymi włosami, w minispódnicze, legginsach w szkocką kratę i T-shircie z napisem „Pieprzyć te bzdury”. Wepchnęła mnie do łazienki.

– Rachel kazała mi cię zmusić, żebyś wzięła prysznic i ubrała się elegancko. Wpadnie po ciebie o siódmej.

– Jakies wskazówki co do stroju? – To miał być żart.

– Seksownie, ale na luzie.

Oślupiałam. Alison wyciągnęła z kieszeni kartkę i odczytała:

– „Czarna koronkowa bluzka z lekko rozchylonym dekoltem i ten ładny stanik, który dostała ode mnie na Gwiazdkę, do tego dzinsy i botki. Wyrazny makijaż. Włosy zebrane w luźny kok”.

Spojrzałyśmy po sobie.

– Powiedziała jeszcze, że masz pomalować paznokcie u stóp, na wypadek gdybyś musiała zdjąć buty.

– Po dworze chodzi się w butach. Takie są przepisy – wtrąciła Clare.

– Na pewno nie ma takiego przepisu – zaprotestowała Annabel, patrząc na Alison.

– Mama mówi, że jest, ale czasem mi się wydaje, że chyba jednak nie.

Alison zmarszczyła brwi.

– Przepisy to tylko tymczasowo obowiązujące zasady narzucone nam przez hegemonię. Pamiętajcie, by zawsze kwestionować nakazy władzy. – Zerknęła na mnie szybko i spytała: – O ile nie masz nic przeciwko.

– Och, jasne, że nie – odparłam, usiłując sobie przypomnieć, czym właściwie jest hegemonia. – Kwestionujcie sobie do woli.

Wyszłam z salonu. Uznałam, że dwie godziny na przygotowanie się do wyjścia to niebywały luksus, i postanowiłam z niego skorzystać. Dzieci miały się dobrze, ja też, pies i kot były nakarmione. Nic się nie stanie, jeśli poświęcę sobie trochę czasu i... Nagle zrozumiałam, że w duchu usiłuję usprawiedliwić wzięcie prysznicza.

Nakładając makijaż, spojrzałam na siebie krytycznym okiem. Osiągnęłam wiek, kiedy mniej znaczy więcej. Zbyt gruba warstwa podkładu odkłada się w zmarszczkach. Kiedyś naprawdę sądziłam, że wspaniała cera jest mi dana na zawsze, a odporność na cellulit dostałam w genach. Ani jedno, ani drugie nie było prawdą, a urodzenie dwójki dzieci odbiło się na moim ciele tak samo, jak odbiłoby się na ciele każdej innej kobiety, nie licząc tych wyretuszowanych. To niesprawiedliwe, ale co zrobić. Zadbana wyglądałam dobrze, w szerokim tego słowa znaczeniu. Dość szczupła, w miarę młoda i umiarkowanie seksowna, o ile można tak określić osobę, której seks jest całkowicie obojętny.

Rachel aż gwizdnęła, kiedy mnie zobaczyła.

– Tak jest, o to mi właśnie chodziło. Świetnie wyglądasz.

Annabel i Clare ten całkiem nowy widok wprawił w pełen podniecenia zachwyty.

– Mamusiu, wyglądasz jak księżniczka – zawołała Clare, podskakując. – I pachniesz jak stoisko z perfumami!

Annabel przeprowadziła bardziej wnikliwą analizę.

– Ale zła księżniczka, zwykle księżniczki nie ubierają się na czarno.

– Ale ma włosy jak zwykła księżniczka, bo uczesane do góry.

– Ale jednak zła, bo nie ma wstążek.

– Ale nie ma przy sobie niskiego pana, złe księżniczki zawsze mają przy sobie niskiego pana. – Clare mówiła coraz głośniej, co zwiastowało awanturę. Czas się ewakuować.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, nagle ogarnęło mnie podniecenie.

– Wyszłam z domu – powiedziałam do Rachel. – Po zmroku!

Roześmiała się.

– No wiem. To ci dopiero przygoda! – Udała, że się rozgląda. – A gdzie dzieci? Zaraz, poczekaj, nie ma ich tu! – Uściskałyśmy się, chichocząc.

O tak. Siostry Anderby i ich olśniewające życie.

Nie mam być może szalonego życia erotycznego, właściwie nie mam go wcale, ale jedna przyjemność wciąż mi pozostała i jest nią jedzenie. Kiedy już zaakceptowałam pomysł wyjścia na kolację, zaproponowałam knajpkę serwującą cały wachlarz rozkosznie urozmaiconych, tuczających i wybornie smacznych przystawek. To dość żalodne, ale gdy tylko otworzyłyśmy duże drewniane drzwi i przywitałyśmy się z kelnerką, serce natychmiast zabiło mi mocniej.

Dwadzieścia minut później radośnie zlizywałam spływające po nadgarstku masło, kiedy oczy Rachel rozszerzyły się na widok kogoś, kto stanął za moimi plecami.

– Charles! Jak się masz? – Wstała, pewnie po to, żeby się przywitać, a ja szybko otarłam masło z podbródka i odwróciłam się.

Charles był wysoki, przystojny i, jak zakładałam, marzył, by się przespać z moją siostrą. Większość jej znajomych płci męskiej jakoś wpisywała się w spektrum jej erotycznych zainteresowań. Nie chodzi o to, że nie miała kolegów, którzy nie zamierzali pójść z nią do łóżka – oczywiście i tacy się zdarzali, Rachel nie jest robotem, na miłość boską – ale z pewnością ma eklektyczny gust.

Przyglądałam im się, ciekawa, jak mają się sprawy w przypadku Charlesa, i uznałam, że jeszcze z nim nie spała, on jednak wciąż ma nadzieję. Uśmiechnął się do mnie i uściśnął mi dłoń, kiedy nas sobie przedstawiła, ale potem znów skupił całą uwagę na niej.

– Może się dosiędziesz? – zapytała, co mnie zaskoczyło. Przesunęłam się i Charles usiadł z nieco przepaszającą miną.

– Nie chcę wam przeszkadzać. – Siedział naprzeciwko mnie i zauważyłam, jak

lekko nerwowym ruchem przekłada sztucce. Okej, zdecydowanie jeszcze z nią nie spał.

– Nie przeszkadzasz – odparła Rachel i zwróciła się do mnie: – Charles przyjechał do nas z wizytą z oddziału w Londynie.

Uśmiechnęłam się do niego, zastanawiając się, ile wypada poczekać, zanim znów będę mogła zacząć się opychać.

– To miło. Jak długo zostaniesz w Los Angeles?

Był naprawdę przystojny.

– Około sześciu miesięcy, Lilian.

– Proszę, mów mi Lili. Tylko matka nazywa mnie Lilian. – Sięgnęłam po talerzyk daktyli zawijanych w plasterki bekonu, wychodząc z założenia, że ci dwoje będą rozmawiać o pracy, a ja tymczasem zjem sobie w spokoju i jeszcze uszczknę co nieco z porcji Rachel, gdy nagle zadzwonił jej telefon. Zazwyczaj wyłącza go na czas kolacji, uniosłam więc brwi, kiedy odebrała.

– Wybaczcie – szepnęła bezgłośnie, ruszając ku wyjściu. – To z pracy...

I zostawiła mnie, oniemiałą, wśród przysmaków, a mimo to z niesmakiem w ustach. Zobaczyłam przez okno, jak kończy rozmowę i przyzywa taksówkę. Nawet się nie obejrzała.

Zdrajczyni.

Przerwałam niezręczną ciszę:

– Kiedy to wszystko zaplanowaliście?

Zaczerwienił się lekko.

– Dziś rano.

– Wspominała, że nie jestem zainteresowana?

– Tak, ale ja mówiłem jej to samo, a ona tylko przewróciła oczami. – Uśmiechnął się. – Uważała, że obojgu nam wyjdzie na dobre, jeśli... chyba użyła określenia „trochę potrenujemy”.

Mówił z czarującym brytyjskim akcentem, mimo to nadal byłam zła.

– Zastawianie pułapek na ludzi?

Popatrzył na mnie ze skruchą.

– Myślałem, że ci o mnie powie. – Jeszcze raz przełożył sztucce. – Nie zgodziłbym się, gdybym wiedział, że to ma być pułapka. – Odkasznął. Biedak czuł się naprawdę niezręcznie. – Nie lubię niesportowych zagrań.

Nagle się roześmiałam.

– Ani podbramkowych sytuacji, co?

Potrząsnął głową.

– Trafiłaś w dziesiątkę.

Przywołałam kelnerkę i spojrzałam na niego.

– Jesteś głodny?

Przytaknął.

– Jak wilk. Ale naprawdę zrozumieć, jeśli zechcesz poprosić o rachunek. Z tego, co wiem, Rachel zostawiła numer karty kredytowej, na wypadek gdybyś się wkurzyła i wybiegła, nie płacąc.

Zachichotałam.

– I tu popełniła duży błąd. – Uśmiechnęłam się do kelnerki. – Poprosimy wszystko dwa razy.

Dziewczyna się zawahała.

– Wszystkie dania z warzywami?

– Nie, wszystko, co macie w karcie. Proszę zacząć od góry.

Potem odwróciłam się do Charlesa. Oboje byliśmy tu w końcu ofiarami, a on na dodatek miał bardzo miły uśmiech.

– Okej, Charles. Czemu nie chcesz się z nikim spotykać?

– Wciąż Kocham swoją byłą żonę. A ty?

– Wciąż Kocham swojego zmarłego męża.

Od tej chwili dogadywaliśmy się już znakomicie.

Wróciłam do domu tuż po północy i zadzwoniłam do Rachel. Wiedziałam, że nie śpi i czeka na sprawozdanie, a jeśli spała, cóż, zamierzałam ją obudzić.

Rozpoczęłam klasycznie:

– Coś ty sobie myślała, do cholery?

Zachowała spokój.

– Przepraszam, kto mówi?

Postanowiłam twardo, że się nie dam.

– To było draństwo i dobrze o tym wiesz. – Rozbierając się, cisnęłam stanikiem tak, że wylądował na głowie Franka. Mała rzecz, a cieszy. – A gdybym przywaliła twojemu koledze w nos? To by zamroziło stosunki transatlantyckie w waszej firmie na wiele tygodni.

Wyraźnie nie zamierzała okazać skruchy.

– Nie walnęłabyś go. Jesteś na to zbyt wielkoduszna. – Po chwili milczenia dodała:

– W przeciwieństwie do mnie.

– Ściągnęłam ci z karty ponad tysiąc dolarów.

– Jakim cudem? To nie była droga restauracja, a ty nigdy nie pijesz więcej niż kieliszek wina!

– To prawda, ale było tam sporo ludzi. Wznieśliśmy wszyscy toast na twoją cześć.

Na chwilę zapadła cisza.

– Niech ci będzie. Od początku zdawałam sobie sprawę z ryzyka. Przespałaś się z nim?

Westchnęłam.

– Oczywiście, że nie, do jasnej cholery. Oboje wciąż jesteśmy beznadziejnie zakochani w kimś innym. Jego była żona zostawiła dla jakiegoś smarkacza, którego poznała w sieci, a mój mąż nie żyje, jak pewnie zdążyłaś zauważyć. – Włączyłam

lampkę przy łóżku. – Nie rób tego więcej, Rachel.

– Tego nie mogę obiecać. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

– Jestem. Nie rób tego więcej, bo zadzwonię do mamy i powiem jej o tamtym badmintoniście.

Aż się zachłysnęła.

– To było ponad dziesięć lat temu!

– Z tego, co wiem, mama wciąż zna jego rodziców.

Zapadła cisza, a po chwili:

– Dobra. Wygrałaś. Żadnych więcej niespodziewanych randek w ciemno.

– I żadnych nacisków.

– W porządku. – Westchnęła. – Do zobaczenia na kursie. Może tam kogoś poznasz?

Rozłączyłam się. Moja siostra to doprawdy beznadziejny przypadek.

## CHEMICZNE WŁAŚCIWOŚCI GLEBY



Dla zdrowego wzrostu rośliny potrzebują azotu, fosforu oraz potasu.

Azot odpowiada za stan liści i łodyg oraz piękny ciemnozielony kolor brokułów, kapusty, sałaty i tym podobnych warzyw.

Fosfor wpływa na mocny i szybki wzrost korzeni oraz kielków, a więc niemowlęctwo i wczesne dzieciństwo naszych roślin. Jest również niezbędny, by mogły zakwitnąć i zaowocować, oraz ważny w przypadku gatunków, które potrzebują zapylenia – a więc ogórka, papryki, pomidora *et cetera*.

Potas dodaje roślinom wigoru i siły, uodparnia je na stres i choroby, a dodatkowo nadaje smak. Marchewka, rzodkiew, rzepa, cebula i czosnek nie istnieją bez potasu.



## ROZDZIAŁ 4

### LEKCJA PIERWSZA

Sobota, jak to w Los Angeles, była słoneczna i bezchmurna. Udało nam się dotrzeć do ogrodu botanicznego na dziesiątą. Kiedyś była tu rezydencja pewnego bogacza i dopiero w latach pięćdziesiątych teren został otwarty dla mieszkańców miasta. Pięknie o niego zadbano i można było pomyśleć, że ogród był tu od zawsze. Poza tym chodziły po nim pawie.

Rachel umówiła się z nami na miejscu i gdy czekaliśmy przed wejściem, aż dotrą wszyscy uczestnicy, podjechała autem, z którego okien ryczała głośna muzyka, i wysiadła, w okularach przeciwsłonecznych i z wielkim kubkiem kawy w dłoni.

– Celebrytka się znalazła – wymamrotała jakaś starsza pani w niezbyt twarzowym swetrze.

– Wygląda, jakby wciąż była pijana – zauważyła inna, dość do niej podobna.

Niestety w tej właśnie chwili Rachel lekko się zachwiała, a nie mogłam przecież wrzasnąć: „Hej, te dwie stare strzygi po lewej myślą, że się skułaś, więc uważaj!”. Zresztą wciąż miałam do niej trochę żalu.

Jakby sytuacja nie była jeszcze dostatecznie niezręczna, Annabel spurpurowiała i oznajmiła:

– To nie żadna celebrytka, tylko moja ciocia, która jest bardzo miła, a poza tym urodziła się z jedną nogą dłuższą, więc czasem się potyka i musi nosić brzydkie buty, a poza tym to nieładnie obgadywać ludzi za plecami.

Skrzyżowała ramiona na piersi, mierząc obie kobiety groźnym spojrzeniem. W tym momencie Rachel podeszła do nas i natychmiast zrozumiała, że rozgrywa się tu jakaś scena.

– Dzień dobry wszystkim, co mnie ominęło? – zagaiła. Milczałam, zbita z tropu, Clare postanowiła więc mnie wyręczyć:

– Ta pani w swetrze z wesołym kotem powiedziała, że jesteś celebrytką, ta druga pani w swetrze ze smutnym łosiem powiedziała, że jesteś pijana, wtedy Annabel powiedziała im do słuchu, a teraz podeszłaś i nikt już nic nie mówi.

Powiedziawszy to, przytuliła się do Rachel, która objęła ją i odparła:

– O rany, w takim razie dobrze, że mnie przy tym nie było. Hej, co powiecie o Dodgersach?

– Wczorajszy mecz był niesamowity. – Słowa te wypowiedziała młoda kobieta o wyglądzie bizneswoman i długich włosach, ciasno ściągniętych do tyłu. – Manny to klasa sama w sobie.

– Dzięki czemu – wtrącił chłopak, który sprawiał wrażenie lekko przyćpanego i wyglądał, jakby nie miał jeszcze osiemnastki – Dodgersi mają wreszcie szansę odzyskać choć część dawnej chwały.

Kiedy nagle wśród wszystkich tych niezwykle taktownych kibiców baseballu pojawił się jeszcze jeden mężczyzna, drżącą ręką sięgnęłam po trzymany przez Rachel kubek z kawą.

– Dzień dobry państwu. Mam na imię Edward i będę waszym instruktorem. Czy zdążyliście się już wszyscy poznać?

Aha – syn Bloemów. Z zaskoczeniem przyglądałam mu się znad brzegu kubka. Wyobrażałam sobie starszego pana w chodakach, turlającego przed sobą wielki krąg edama, ale ten facet był wysoki, mniej więcej w moim wieku, i wyglądał na całkiem miłego. Poczulałam wypływający na policzki rumieniec. Rachel popatrzyła na mnie znacząco, mrużąc oczy. Zna mój typ. Pokręciłam głową i zmarszczyłam brwi, po czym pośpiesznie przeniosłam wzrok z powrotem na nowo przybyłego, chcąc okazać klientowi uwagę i wywrzeć korzystne wrażenie swoim zaangażowaniem. W zasadzie to nie on był moim klientem, ale co tam.

– Tak jakby – odpowiedziała tamta młoda kobieta.

– Właściwie – dodała pani w swetrze ze smutnym łosiem (który, nawiasem mówiąc, wcale nie był smutny, tylko kiepsko wydziergany) – jestem tej dziewczynce winna przeprosiny, a przecież jeszcze się nawet nie znamy.

Kłęknęła przy wciąż zaróżowionej ze złości Annabel.

– Jak się nazywasz?

– Annabel Girvan. – Mała stała niewzruszona, twardo wparta w ziemię stopami we fluorescencyjnych tenisówkach. Tylko nerwowo splecione palce zdradzały nieśmiałość.

– Ile masz lat?

– Siedem.

– Ja nazywam się Frances Smith i mam pięćdziesiąt siedem lat, czyli jestem od ciebie o pół wieku starsza, a jednak muszę przyznać ci rację. To bardzo nieładnie obgadywać kogoś za plecami. Od razu widać, że pomyliłyśmy się co do twojej cici, bo przecież wcale nie jest pijana, a poza tym nie należy oceniać ludzi po pozorach.

Annabel posypała ranę solą:

– Mama mówi, że w ogóle nie należy innych oceniać.

Frances się uśmiechnęła.

– Ma rację, nagadałyśmy głupot. Przyjmiesz moje przeprosiny?

Annabel pokiwała głową. Frances najwyraźniej była odważną babką, bo podniosła wzrok i popatrzyła na Rachel.

– Czy pani też nam wybaczy?

Rachel z uśmiechem wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, nic nie słyszałam, zresztą właściwie czuję się mile połączona, że uznałyście mnie za celebrytkę, pijaną czy nie. Ale tak, oczywiście, że wybaczę.

Frances się wyprostowała, znacznie wolniej, niż zrobiłabym to ja, a po kolejnej

chwili ciszy, która na nowo zdefiniowała słowo „niezręczna”, Edward podjął przerwany wywód:

– Nie bardzo rozumiem, co się tu wydarzyło, ale Amerykanie często wprawiają mnie w zdumienie, proponuję więc udawać, że wszystko jest w porządku. Chodźcie obejrzeć ogród.

Ponieważ podsumował właśnie w wielkim skrócie moje własne podejście do życia, ruszyłam za nim ochoczo. Annabel przez całą drogę trzymała mnie za rękę, tymczasem Clare, ta zdradliwa zmiyka, gawędziła w najlepsze z Frances Smith.

Ogród przywodził na myśl dziewiczy krajobraz niczym z serialu *Wyspa Gilligana*. Wysokie rośliny o bujnych liściach tworzyły sklepienie nad naszymi głowami, ptaki skrzeczały radośnie, a powietrze wypełniały zapach kwiatów i bzyczenie podnieconych do szaleństwa owadów. Skręciwszy za róg, przecięliśmy parking dla pracowników i dotarliśmy do celu. Naszym oczom ukazała się opuszczona działka. Przestrzeń wydała mi się olbrzymia, przypominała raczej pole. Była płaska, porośnięta kępami zaniedbanej trawy, nad którą tu i ówdzie górował pojedynczy żonkil. W jednym rogu stało coś w rodzaju szopy, a może małego garażu, dostrzegłam też kilka kartonowych pudeł. Nie tego się spodziewałam. Pole otoczone było płotem, za którym buchała życiem pozostała część ogrodu. Rośliny kołysały się na wietrze, soczyście zielone, jakby drwiące z zaniedbanych sąsiadów. Edward stanął przed nami i wcisnął ręce do kieszeni, a po chwili znów je wyjął. Może się denerwował, a może swędziało go w kroku, kto wie. Pożałowałam, że nie wzięłam ze sobą pączka. Ogarnęło mnie lekkie osłabienie, a nie wyglądało na to, żeby słońce miało w najbliższej przyszłości skryć się za chmurę.

– Jesteśmy na miejscu, zdaje się, że w komplecie. Witajcie w naszym przyszłym warzywniku. Zarząd ogrodów botanicznych był tak hojny, że udostępnił tę przestrzeń na potrzeby naszego kursu. – Zatoczył ręką krąg. – Jak widzicie, znajduje się tu jeden duży zagon i kilka mniejszych. Nazwa kursu brzmi: „Uprawa warzyw od podstaw”, uznano więc, że powinniśmy zacząć od samego początku. Zapewne nie wszyscy dysponujecie pięknym ogrodem. Niektórzy mają pewnie tylko kawałek suchej ziemi, kępę krzaczastej trawy lub coś w tym stylu. – Mówiąc to, popatrzył na mnie i lekko się uśmiechnął. Próbowałam stwarzać wrażenie dojrzałej, statecznej osoby, ale chyba niespecjalnie mi się to udało. – Zaczniemy zatem, że tak powiem, od korzeni.

Jeden z kursantów, starszy, szpakowaty mężczyzna z siwym wąsem, zapytał:

– Czy to znaczy, że mamy wykopać całą tę trawę? – Spojrzał na nas i dodał: – Coś mi się zdaje, że zarząd ogrodu widzi w nas darmową siłę roboczą.

Edward parsknął śmiechem, choć tamten wcale nie wyglądał na rozbawionego.

– Tak i nie. Owszem, będziemy kopać, ale obiecuję wam przy tym całkiem niezłą zabawę.

Szpakowaty prychnął niczym mors, ale nie dyskutował. Odniosłam wrażenie, że

węszy okazję do awantury, i zmierzyłam go spojrzeniem spod zwężonych powiek. Te zajęcia muszą być udane, pomyślałam, z nadzieją, że zrozumie mnie bez słów. Zależy od nich moja kariera.

– Proponuję, byśmy najpierw się sobie przedstawili. Pójdę na pierwszy ogień, a potem każde z was powie kilka słów o sobie, zaczynając od naszej celebrytki.

Ach, więc jednak nie umknęła mu scena przed bramą.

– Nazywam się Edward Bloem i wykładam ogrodnictwo, tak to chyba można nazwać. Moja rodzina od wieków zajmuje się zawodowo kwiatami oraz ogrodami i tak się szczęśliwie złożyło, że również ja nie umiem sobie wyobrazić miłszego zajęcia. – Skinął głową w stronę Rachel.

Wzruszyła ramionami.

– Nazywam się Rachel Anderby. Nigdy w życiu nie uprawiałam ogródka, pewnie dlatego, że handluję dziełami sztuki, co odbywa się głównie w zamkniętych pomieszczeniach, a przyszedłam tu po to, by dotrzymać towarzystwa siostrze i siostrzenicom. Nie jestem celebrytką, choć często wyobrażam sobie, co powiedziałabym jako gość w programie Ellen DeGeneres. Kiedy tu dziś przyjechałam, nie byłam pijana, choć nie mogę obiecać, że następnym razem będzie tak samo.

Kilka osób się roześmiało, była wśród nich również Frances Smith. Jako następna głos zabrała jej towarzyszka w swetrze z wesołym kotem:

– Mam na imię Eloise, jak ta dziewczynka z książeczek dla dzieci. Przez całe życie uprawiałam rośliny, ale tylko w donicach i skrzynkach za oknem. Razem z partnerką kupiliśmy niedawno dom z prawdziwym ogrodem. Wiemy, że doktor Bloem cieszy się znakomitą reputacją, przyszyliśmy więc, by zaczerpnąć od niego parę pomysłów.

– Reputacją? Jako kto? – zapytał młody z zaciekawieniem.

– Jako mistrz ogrodnictwa – zdziwiła się Eloise, jakby uważała, że słyszał o tym cały świat. – No i oczywiście doktor Bloem jest jednym z największych światowych autorytetów, jeśli chodzi o humus.

– Tę pastę z ciecioriki? – nie rozumiał szpakowaty.

– Zawsze uważałam, że to raczej dip – wtrąciła się Rachel. – Humus, inaczej próchnica, jest jednym z głównych składników gleby.

– Ogólnie rzecz biorąc, jest to produkt rozkładu substancji organicznych – wyjaśniła dziewczyna z kucykiem, zamykając nam wszystkim usta. – Liście, szczątki zwierzęce, kora i takie tam.

– Czyli to, w co wszyscy się kiedyś zmienimy – dorzuciła Frances.

– I pysznie smakuje z pitą – podsumowała jak zwykle niepoprawna Rachel.

Edward odchrząknął.

– Czy możemy kontynuować?

Następna była Frances:

– Nazywam się Frances Smith. Nigdy nie zajmowałam się ogrodem, ale obserwowałam, jak robiła to Eloise, a teraz uznałam, że muszę się podszkolić. Obie jesteśmy nauczycielkami.

Nauczycielki. Nauczycielki lesbijki, tak wszyscy pomyśleliśmy, a w każdym razie ja tak pomyślałam i poczułam to lekkie ukłucie zaciekawienia oraz chęć okazania solidarności, jakie zawsze mnie ogarniały, kiedy poznawałam lesbijki, gejów, pary mieszane rasowo lub kogokolwiek, kto prowadził bardziej interesujące i mniej standardowe życie niż ja. Co dotyczyło właściwie większości populacji.

Jako następna przedstawiła się młoda ekspertka od gleby. Wyglądała, jakby potrafiła bez mrugnięcia okiem skrócić komuś kark chwytem wojowniczkini. Może to przez te ciasno spięte włosy.

– Cześć, mam na imię Angela. Możecie mówić mi Angie, jak wszyscy. Miałam w życiu mnóstwo roślin doniczkowych, bo zawsze żyłam w wynajmowanych mieszkaniach, a na kurs zapisałam się, bo jest mało prawdopodobne, że trafi mi się kiedyś taki duży ogród. Poza tym zajęcia są darmowe. No i lubię warzywa. Nie wiedziałam tylko, że można przyjść z dziećmi. W przyszłym tygodniu przyprowadzę syna, który ma pięć lat.

Jak na łamiącą karki wojowniczkini była całkiem miła i ładnie się wysławiała. Potem uśmiechnęła się i nagle zaszła w niej całkowita zmiana, okazało się, że jest młoda, ładna i wesoła. Choć trwało to dwie sekundy – jak przebłysk słońca, które po chwili znów chowa się za chmurę – ten moment nie umknął niczyjej uwadze.

Kiedy skończyła, Edward powiedział:

– W przyszłym tygodniu dołączy do nas również Lisa, praktykantka, która zajmie się ogródkiem dla dzieci. Dziś jej nie ma, bo na razie nie będziemy nic sadzić, ale od następnej soboty będzie tu co tydzień. Właściwie zostało w grupie jeszcze kilka wolnych miejsc, więc rozpuście wici.

Potem przyszła kolej na szpakowatego:

– Mam na imię Gene. W tym roku przeszedłem na emeryturę. Wcześniej pracowałem w banku i przez ostatnie dwadzieścia lat prawie nie spędzałem czasu na świeżym powietrzu. Moja żona martwi się, że umrę z nudów, zapisała mnie więc na kurs, bo chciała, żebym znalazł sobie jakieś hobby. Nie mam zielonego pojęcia o ogrodnictwie i prowadzę wyjątkowo niezdrowe życie, w związku z czym obawiam się, że prędzej niż z nudów umrę od machania szpadlem, ale grunt to zadowolić żonę, prawda?

Kiedy mówił, ani przez chwilę się nie uśmiechał, a ja wyobraziłam sobie, jak wygląda jego życie. On, typowy pracoholik, i ona, cierpliwa starsza pani, przerażeni tym, co przyniesie przyszłość. Ciekawe, czy naprawdę przeszedł na emeryturę, czy po prostu go zwolnili.

Kolejny uczestnik, ten młody chłopak, oznajmił, że ma na imię Mike i tydzień wcześniej podczas wizyty w ogrodzie botanicznym zauważył informację o kursie,

więc postanowił zapisać się dla kaprysu.

– Lubię próbować różnych rzeczy – wyjaśnił, przestępując z nogi na nogę. – Jeżdżę na deskorolce, snowboardzie i rowerze górskim, surfuję, biegam, gram w zespole, ale w zeszłym tygodniu stałem sobie pod drzewem, żeby побыć trochę sam na sam z naturą, bo to jest, kurde, zajebista sprawa, i nagle pomyślałem, że przydałoby się zająć czymś spokojnym i na luzie. Odwróciłem się do wyjścia i nagle widzę informację o zajęciach. To był jakiś kosmiczny znak, wiecie, o co chodzi? No więc się zapisałem. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Widzę, że jesteśmy z różnych światów, i cieszę się, że będę mógł was poznać i poszerzyć horyzonty.

Sądziłam, że towarzystwo ludzi w średnim wieku – nie licząc Rachel, Angeli i dzieciaków – powinno być dla takiego młodego chłopaka śmiertelnie nudne, ale ponieważ często się myślę, i to w wielu różnych kwestiach, uznałam, że być może i w tej nie mam racji.

Niespodziewanie uświadomiłam sobie, że teraz wszyscy patrzą na mnie. Drgnęłam i przełknęłam ślinę.

– Ee, jestem Lilian Girvan, siostra Rachel, a to moje córki, Annabel i Clare. Mam zilustrować książkę o warzywach, a wydawnictwo było tak miłe i przysłało mnie tu, żebyśmy czegoś się o nich nauczyła.

– Poza tym od śmierci tatusia całkiem nie ma się z kim bawić – wtrąciła Clare.

Cisza. Ćwierkanie ptaków. Uśmiechałam się jak idiotka, czekając, aż trawa rozstąpi się i mnie pochłonie. Nic takiego się nie stało.

– Cóż, znakomicie – rzucił Edward odrobinę za głośno. – Zatem do roboty.

Rozwinął dużą rolkę papieru i rozłożył ją na ziemi.

– Czas stworzyć plan ogrodu. Na razie nic tu nie ma, ale zanim zabierzemy się do pracy, musicie wiedzieć, na czym będzie ona polegać. Warzywa rosną chętnie, trzeba jednak pamiętać, że każdy gatunek potrzebuje konkretnej ilości słońca i przestrzeni. Jeśli pomyślicie o tym zawczasu, z pewnością wszystko wam się uda.

– Mówił jak bohater książki dla dzieci z lat pięćdziesiątych, co było na swój sposób urocze.

Usiadł na trawie i gestem polecił, byśmy do niego dołączyli. Zrobiliśmy to, z mniejszą lub większą dozą wdzięku. Zauważyłam, że dzieci zaczynają wiercić się niecierpliwie, pozwoliłam im więc pobiegać. Puściły się pędem niczym charty. Tymczasem Edward opowiadał o organizacji przestrzeni:

– Zamierzam stworzyć tu kilka dużych zagonów. Warzywa korzeniowe, sałaty, rośliny pnące i drobne owoce. Będziemy uprawiać wiele różnych gatunków i pod koniec lata prawdopodobnie zdołamy przygotować wielką ucztę z własnych zbiorów. To, co zostanie, podarujemy lokalnemu bankowi żywności. W końcu to miejski ogród.

Objął nas wszystkich wzrokiem i ciągnął:

– Będziemy pracowali w zespołach, co tydzień na innym zagonie. W ten sposób

zaznajomicie się ze wszystkimi rodzajami upraw.

Popatrzył na Annabel i Clare, które skończyły gonitwę po polu i zajmowały się teraz tym co zwykle: Annabel, poważna i skupiona, wyglądała, jakby w każdej chwili spodziewała się wziąć udział w konkursie wiedzy ogólnej, Clare zaś, podśpiewując pod nosem, obserwowała biegającego w oddali psa.

– Tym razem nie mamy w grupie wielu dzieci, choć pewnie należy się spodziewać jeszcze jednego lub dwojga, zatem ogródek dla nich proponuję umieścić tu. –

Pochylił się nad arkuszem i nakreślił niewielki kwadrat w samym centrum. –

Dzięki temu będziemy mogli mieć na nie oko i nie oddalą się gdzie niezauważone.

– Rysował coś niezbyt wprawnie. Miałam ochotę go wyręczyć, nie chciałam jednak wydać się nachalna. – Musimy również wyznaczyć ścieżki. – Naszkicował przejścia między kwadratami. – A także miejsce na kompostowniki oraz domki dla dżdżownic.

– Czy on powiedział: domki dla dżdżownic? – zdziwiła się Angie.

Eloise skinęła głową.

– Tak, ale nie chodzi o zwykłe dżdżownice, tylko takie mniejsze, czerwone. Jest z nich znakomity nawóz.

– Z nich? – nie zrozumiał Mike.

– Konkretnie z ich odchodów.

– Z odchodów dżdżownic – powtórzyła Angie.

– Odchody dżdżownic, zwane też herbatką kompostową, to prawdziwy cud natury – zachwycił się Edward.

– Od dziś, modląc się, codziennie będę rozpoczynać listę podziękowań od sików dżdżownic. Te maleńkie pęcherze to istny róg obfitości – nie wytrzymała Rachel.

Edward spojrzał na nią i zmarszczył czoło, jakby chciał powiedzieć: „angielski nie jest moim ojczystym językiem, w związku z czym nie mam pewności, czy żartujesz, czy nie”, ale po chwili znów pochylił się nad planem. Nie wszyscy rozumieją Rachel i wiele osób nie wie, że czasem po prostu nie potrafi się opanować. Przy takiej matce jak nasza musiałyśmy wykształcić w sobie spore pokłady sarkazmu.

Edward przysiadł na piętach.

– Powinniśmy również wziąć pod uwagę pozycję słońca.

– Czy słońce, ogólnie rzecz biorąc, nie znajduje się nad nami? – roześmiał się Mike.

– W południe owszem, ale oczywiście wschodzi na wschodzie i zachodzi na zachodzie, a wędrując po niebie, wywołuje cienie, na które należy wziąć poprawkę. Tutaj właściwie nie ma naturalnego cienia, co jest zarazem dobre i złe. Pomówimy o tym więcej, kiedy już zaczniemy sadzić. Na razie zajmijmy się glebą. – Wyciągnął z kieszeni coś w rodzaju krótkofalówki i wcisnął guzik. – Bob, czekamy na ciebie.

Wstał i przeciągnął się. Był bardzo wysoki i dobrze zbudowany, choć nie miałam pojęcia, czemu zwracam na to uwagę.

– Zazwyczaj ogrodnik sam przekopuje grządki i ścieżki, ale też rzadko kto zaczyna od przestrzeni tych rozmiarów. W dzisiejszych czasach można trochę pooszukiwać. Jakby na dany sygnał rozległo się terkotanie silnika i ujrzeliśmy jakiegoś mężczyznę jadącego w naszą stronę na małym traktorze. Dzieci zapiszczały z radości, a my wymieniliśmy uśmiechy.

– O wiele prościej będzie – ciągnął Edward podniesionym głosem – wykorzystać do tego maszynę, choć oczywiście glebogryzarka to niezbyt precyzyjne narzędzie. I tak czeka nas sporo pracy.

Traktor podjechał dość blisko i się zatrzymał. Wysiadł z niego Bob – mężczyzna o twarzy greckiego boga i spracowanych dłoniach hydraulika. Na tym polega feler, a może zaleta, życia w Los Angeles: najpiękniejsi ludzie z całego świata przyjeżdżają do Hollywood w poszukiwaniu szczęścia i choćby okrucich sławy. W ich rodzinnym Wypizdowie gdzieś w stanie Maryland wszyscy w kółko im powtarzali, że powinni zostać gwiazdami filmowymi. Królowali na szkolnych balach, występowali na plakatach lokalnych organizacji edukacyjnych, więc wysiadając z samolotu, spodziewali się szalejących tłumów paparazzi. Szybko jednak odkrywali, że pracownik wypożyczalni aut, dziewczyna, która nalewa im latte, czy gość z pralni chemicznej wyglądają lepiej od nich, a do tego prawdopodobnie tańczą oraz śpiewają w dwóch językach. Chodząc po ulicach, człowiek co chwila spostrzega kogoś, kto wydaje mu się najpiękniejszą istotą, jaką widział w życiu – po czym skręciwszy za róg, natyka się na trzy następne. Istne wariactwo. I oto stanął przed nami kolejny przykład tego zjawiska, jeżdżący na malutkim traktorku pracownik ogrodu botanicznego, czekający, aż ktoś odkryje go za kępą nagietków. Osobiście uważałam, że takie czekanie miałoby większy sens w jakimś bardziej zaludnionym miejscu, ale cóż, może po prostu lubił ten swój traktor.

Zerknęłam na Rachel. Pijana celebrytka zsunęła ciemne okulary na czubek nosa i przyglądała się Bobowi z namysłem. Znałam tę minę. Widywałam ją u Franka, ilekroć smażyłam wołowinę. Zrobiło mi się żal biedaka, ale po chwili dostrzegłam, że zerka na Rachel z nonszalancją, na jaką stać tylko bardzo atrakcyjnych mężczyzn. Westchnęłam cichutko. Sądziłam, że kurs ogrodniczy będzie wolny od melodramatów, ale najwyraźniej się myliłam.

– Kto chce się przejechać? – rzucił tymczasem Edward.

Do końca życia nie zapomnę widoku Clare na traktorze. Owszem, siedziała na kolanach Boba i to on naciskał pedały, ale trzymała dłonie na kierownicy, zajęta niezwykle ważną czynnością, jaką było wydawanie z siebie pełnych zachwyty pisków. To ona jako pierwsza podniosła rękę, kiedy Edward zapytał o ochotników, i ku mojemu zaskoczeniu pozwolił jej spróbować.



– Czemu nie? Dopiero zaczynamy i na razie nie ma tu czego zepsuć.

Bob uśmiechnął się i posadził ją sobie na kolanach.

– Zapnę ci pas, ale pamiętaj, żeby nie podskakiwać, dobrze?

Clare skinęła głową, lekko przestraszona wysokością, na jakiej się znalazła.

– Nie boisz się, że coś jej się stanie? – spytała Angie.

– Trochę – przyznałam – ale Edward i Bob z pewnością wiedzą, co robią. – Spojrzałam na Edwarda. – Wiesz, co robisz, prawda?

Edward popatrzył na Boba, który tylko wzruszył ramionami, co nie było przesadnie krzepiące.

– Mam ją zdjąć? – zapytał Edward. – Jeśli biedny Bob postrada zmysły i ciśnie ją pod koła, będzie kiepsko. – Parsknęłam śmiechem, bo w gruncie rzeczy była to dość komiczna wizja, ale po chwili zrozumiałam, że nikt inny się nie śmieje.

– Dajcie małej się przejechać. – Odwróciłam się. O dziwo, powiedział to Gene. – Dajcie jej przeżyć to, czego w przeszłości doświadczały pokolenia dzieci na farmach całej Ameryki. Poza tym czym jest życie bez odrobiny ryzyka? – Wciąż się nie uśmiechał, co upodabniało go do Orła Sama z *Muppetów*. Ale miał przecież rację.

– I tak bym nie zeszła. – W głosie Clare pobrzmiwała żelazna determinacja. Spojrzałam na Rachel, która rozłożyła ręce.

– Jeśli ona może, to ja też chcę – oznajmiła Annabel.

– Ależ proszę bardzo. Tylko pamiętaj, Bob, jeżeli ją upuścisz, przerobię cię na humus.

– Niech będzie – roześmiał się Bob.

Ruszył, a Clare zaniósła się radosnym piskiem. Nawet jeśli trafi do szpitala ze złamaną nogą lub uszkodzoną nerką, a mnie uznają za winną zaniedbania, byłam niemal pewna, że mi wybaczy.

Bob zrobił dwa okrążenia, bezlitośnie unicestwiając połacie trawy, po czym zatrzymał się i spytał:

– Kto następny?

– A weźmiesz mnie na kolana? – Rachel nie wiedziała, co to wstyd.

Bob uśmiechnął się i skinął głową. Ruszyli wśród pisków i śmiechów równie głośnych jak te, które wydawała z siebie Clare, a on najwyraźniej wciąż nie zdawał sobie sprawy, że nie ma najmniejszych szans.

Ogrodnictwo okazało się fantastycznym zajęciem, choć bardziej wyczerpującym, niż się spodziewałam. Oczyszczeni teren, na którym zostało tylko kilka szerokich pasm trawy pełniących funkcję ścieżek, odmierzyliśmy krokami cztery główne zagony, po czym ogrodziliśmy je sznurem rozpiętym pomiędzy wbitymi w ziemię chorągiewkami. Wkrótce potem lekcja dobiegła końca. Edward zapewnił nas, że gdy wrócimy za tydzień, prace będą już w znacznie bardziej zaawansowanym stadium.

– To takie małe oszustwo, ale trzy godziny nie wystarczą, byśmy zdołali zrobić wszystko sami, a gdybyśmy zostawili naszą działkę w takim stanie na cały tydzień, następne zajęcia musielibyśmy poświęcić wyłącznie na pielienie. W związku z tym do następnej soboty zbudujemy tu z Bobem uniesione grządki i wszystko przygotujemy. Wasze zadanie domowe to poszukać informacji na temat różnych roślin i postanowić, co chcecie zasadzić. Prześlę wam listę dostępnych możliwości, pamiętajcie więc, żeby zostawić swoje adresy mailowe. Przy okazji sprawdźcie, co oznacza francuski termin *potager*, bo właśnie taki ogród będziemy tutaj tworzyć. Generalnie chodzi o łączenie ze sobą warzyw, kwiatów i ziół, aby lepiej wykorzystać przestrzeń. – Zmarszczył brwi. – Wybaczcie, mam tendencję do przedłużania wykładów. To dlatego, że ogrodnictwo niezwykle mnie fascynuje. – Odkaslnął uprzejmie. – Istnieje teoria, że tego typu ogródki, zakładane obok wiejskich chat lub niedużych domów, miały swój początek po epidemii czarnej śmierci, która w czternastym wieku zabiła tyle osób, że nagle niemal każdy miał wystarczająco dużo ziemi, by uprawiać własny ogród. Myślę, że chodziło również o reakcję na stres, ponieważ w czasach ogromnych nieszczęść uprawa warzyw, które można później zjeść, ma nie tylko walor praktyczny, ale także terapeutyczny. – Zawiesił głos. – Znowu się wymądrzam, prawda?

Uświadomiłam sobie, że wkrótce niechybnie usłyszę: „Mamo, a co to jest czarna śmierć?”.

Edward mówił dalej, nieświadomy mojego wewnętrznego monologu:

– W każdym razie, choć Bob znacznie ułatwi wam zadanie, nadal czeka was mnóstwo pracy. Polecam wszystkim zakup porządnych rękawiczek, kapelusza z szerokim rondem i dużego zapasu kremu z filtrem. – Machnął ręką. – Nie mamy tu zbyt wiele cienia, grozi wam zatem typowa przypadłość ogrodników, czyli poparzenie słoneczne, a to boli.

Odwrócił się, pokazując nam kark, który rzeczywiście był ciemnobrązowy.

– Kark, barki, przedramiona i dłonie. Pewnego niezapomnianego lata, kiedy byłem jeszcze młody i głupi, przekonałem się, że zagrożone są również podeszwy stóp. Byłem luzakiem, który uważał, że niepotrzebne mu buty, ale nie starczyło mi sprytu, by pamiętać o kremie z filtrem.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

– Kiedy zaczynałem surfować, też byłem głupi i spaliłem sobie zgięcia kolan. Rany, przez jakieś cztery dni płakałem na hamaku, a tymczasem kumple łapali najlepsze fale – powiedział Mike.

– Wylegiwanie się na hamaku brzmi całkiem nieźle – zauważyła Frances z uśmiechem.

– Może i tak, kiedy nie musisz dzięki temu siedzieć w szkole, ale jeśli alternatywą jest surfowanie... Ludzie, to prawdziwa tortura.

Mike był uroczym chłopcem, a mimo to podejrzewałam, że żyje w świecie fantazji.

Angie spoglądała na niego wyraźnie zdezorientowana, choć byli w podobnym wieku. Przypomniałam sobie słowa Rachel o tym, jakiego rodzaju ludzi przyciągają takie kursy. Mimo to przynajmniej na razie nie zauważyłam wśród nas żadnego prawdziwego wariata. Przyszło mi na myśl to pokerowe powiedzenie: jeśli nie wiesz, który z graczy jest największym frajerem, prawdopodobnie jesteś nim ty sam. Kiedy wychodziliśmy z ogrodu, dogoniłam Angie i spytałam:

– Twój syn ma pięć lat?

Skinęła głową.

– Co drugi weekend spędza ze swoim ojcem, ale może zdołam go przekonać, żeby pozwolił mi przyprawiać tu Basha co tydzień.

Spojrzałam na nią.

– Ale przecież nie musi przychodzić co tydzień. Nikt nie będzie nam wystawiał ocen.

Uśmiechnęła się.

– To prawda, ale coś ci powiem. Dorastałam na ponurym osiedlu i właściwie przez całe dzieciństwo brakowało mi kontaktu z zielenią. Z drzew znałam tylko te rosnące wzdłuż ulicy, rachityczne i obsrane przez psy. Bash nieczęsto ma okazję pobiegać sobie po trawie tak, jak dzisiaj twoje dzieci. Zamierzam więc przychodzić tu z nim co tydzień. – Uśmiechnęła się słodko. – Nawet jeśli będę musiała postrzelić jego drańskiego tatuśka w jaja.

Niedziela zawsze była moim ulubionym dniem. Pozwalałam dzieciom do woli gapić się w telewizor, snuć po salonie w piżamach i wołać Franka, by wylizał to, co rozlały na podłogę, podczas gdy ja udawałam mieszkankę Paryża z przełomu wieków, szokująco smukłą, młodą i beztroską. Kiedy żył Dan, zabieraliśmy psa na spacer do sklepiku na rogu, gdzie kupowaliśmy „New York Timesa”, po czym wrywaliśmy go sobie, walcząc o „Recenzje Tygodnia” i dodatek weekendowy. Teraz przeglądam wiadomości na komputerze, a potem przez godzinę gapię się na zdjęcia celebrytów po operacjach plastycznych. Sama nie wiem czemu, ilekroć zaczynam czytać coś wartościowego i intelektualnie zajmującego, na przykład artykuł o deficycie wody na świecie lub stosunku do osób transpłciowych na Węgrzech, nieodmiennie kończę wpatrzona w twarz Meg Ryan. Ta kobieta jest jak czarna dziura.

Tej niedzieli wstałam od biurka i poszłam do dzieci z nadzieją, że znajdą mi jakieś zajęcie. One jednak odprawiły mnie machnięciem ręki. Przez dłuższą chwilę stałam w progu, ukradkiem oglądając *Fineasza i Ferba*, po czym postanowiłam wyjść przed dom i ocenić stan ogródka. Może uda mi się stworzyć tu warzywnik, który nas wyżywi? Albo założyć kurnik lub coś w tym rodzaju? Usiadłam na kuchennych schodkach i piłam kawę, nasłuchując porannych odgłosów miasta (helikoptery, dudniący z samochodów rap, hipsterzy na rowerach jadący na ekologiczny targ i podzwaniający tymi głupimi dzwoneczkami w stylu retro). Z domu wyszedł Frank,

przepchnął się obok mnie i niezgrabnie pokonał cztery cementowe stopnie. Nareszcie, pomyślał zapewne, nareszcie odkryła ten tajemny schowek pełen organicznych kiełbas, o którym tak długo marzyłem. Przez mniej więcej minutę, co na tym skrawku ziemi wystarczyło, by dokonać drobiazgowej inspekcji, obwąchiwał wszystko wokół, po czym ponuro zwałił się na trawę i westchnął tak ciężko, że jego oddech poderwał do góry zbłąkany liść. Wiedziałam, jak się czuje, ponieważ nie byłam nawet pewna, czy cokolwiek tu wyrośnie. Teraz, o poranku, ogródek był słoneczny, ale porastało go morze chwastów, które wydawały się gotowe stanąć do walki, gdyby ktoś spróbował wyrwać je z ziemi. Na jedynym drzewku siedziała wiewiórka i łypała na mnie złowrogo. Był to typowo miejski zwierzak, utuczony do niemożliwości (za rogiem znajdował się McDonald, gryzoń posiadał więc zapewne kolekcję zabawek z Happy Meal dorównującą tej zgromadzonej przez Clare) i ostrzegawczo uderzał w spód łapy kawałkiem metalowej rurki. No dobrze, to ostatnie zmyśliłam, jednak wiewiórka wyglądała naprawdę groźnie – w niczym nie przypominała płochliwych leśnych istot z książek dla dzieci. Mam znajomego, który dokarmiał kiedyś wiewiórki na swoim tarasie, niczym w disneyowskiej adaptacji *Królowny Śnieżki*. Pewnego dnia, gdy spróbował pogłaskać jednego ze swoich małych podopiecznych, zwierzątko wbiło mu zęby w rękę aż do kości i znajomy musiał iść na zastrzyk przeciwko wściekłości. Powtarzam: do kości. Kiedy Tennyson wspominał o sphywających krwią kłach i pazurach, wydawało mi się, że bezlitosna walka toczy się tylko w świecie natury, wygląda jednak na to, że zwierzęta w każdej chwili mogą zacząć ich używać przeciwko nam. Zresztą pewnie na to zasłużyliśmy (patrz wyżej wspomniany McDonald).

Oparłam głowę o framugę drzwi, zamknęłam oczy i spróbowałam wyobrazić sobie swój ogródek jako oazę zieleni. Czy chcę zasadzić kwiaty? Warzywa? Tropikalne drzewa owocowe o długich, splątanych pnączach, na których będą się huścić szympansy, pohukujące i obrzucające nas bananami? Poczułam, że odpływam, co ostatnimi czasy często mi się zdarzało – kiedyś miałam mnóstwo energii, ale potem pojawiły się dzieci. Od siedmiu lat cierpię na wieczny niedobór snu i kiedy tylko zamykam oczy, zasypiam. Tym razem przyśniły mi się warzywa, piękne i lśniące, warzywa rodem z Hollywoodu, mające zapewne własnych agentów. Stałam pośrodku sielskiego ogrodu, z wiklinowym koszykiem przewieszonym przez ramię i włosami zebranymi w dwa długie warkocze związane na końcach czerwonymi wstążkami, i zbierałam fasolkę. Jedno z dzieci (wyglądało jak moje, tyle że było domyte) tkwiło nieopodal, wpatrując się we mnie z podziwem, zachwycone mistrzostwem, z jakim obchodziłam się z matką naturą. Widok jak z kiczowatej broszurki reklamowej.

Otworzyłam oczy. W rzeczywistości znajdowałam się na w większości wybetonowanym podwórku z mikroskopijnym trawnikiem w kącie, gdzie leżało

kilka na wpół zakopanych w ziemi brudnych laleczek Polly Pocket, wyglądających niczym ofiary wojny. Dostrzegłam również papierki po cukierkach, sugerujące, że moje dzieci szmuglują towary z zewnątrz. Natomiast z pewnością brakowało jednego: roślin. Westchnęłam. Tak jak w przypadku większości broszurek reklamowych również tutaj fantazja nie miała nic wspólnego z rzeczywistością.

## POMIDORY



Wkop sadzonkę do ziemi i przyjrzyj się jej z podziwem. Pomidory są wrażliwe na komplementy. Podleńaj hojnie.

Uważaj na szkodniki – to podstępne bestie i łatwo je przeoczyć.

W okresie suszy poszukaj płaskich kamyków i połóż jeden obok każdej rośliny.

Kamienie wyciągają wodę na powierzchnię i zapobiegają jej parowaniu.

Jeśli używasz podpórek, pamiętaj o obrywaniu wilków, aby krzaczek zbytńio się nie rozrósł.

Postaraj się nie objeść wszystkich owoców z gałązki i uważaj: ugryzienie rozgrzanego słońcem pomidora grozi eksplozją soku.

## ROZDZIAŁ 5

Następnego dnia ledwie zdołałam usiąść przy biurku w pracy, kiedy zadzwonił telefon. W słuchawce usłyszałam głos Roberta:

– Jak było na zajęciach?

– Świetnie, dziękuję. – Wyjęłam z torby śniadanie mistrzów: cynamonowy obwarzanek wielkości głowy niemowlęcia oraz potrójne latte. Nie ma to jak odrobina chemii.

– Żadnych przygód z robalami?

– Nic, co warto wspominać. Tylko kilka osobników widzianych z oddali. – Muszę przyznać, że z lekką niecierpliwością wyczekiwałam chwili, kiedy będę mogła wgrzyźć się w obwarzanek. Usłyszałam, jak Roberta się wzdryga.

– A jak tam młody Bloem? Rozmawiałś z nim?

Zmarszczyłam brwi.

– Oczywiście. Jest naszym nauczycielem, trudno byłoby mi go unikać.

– Myślisz, że się polubiliście?

Zastanowiłam się.

– Hm... Tak?

Wyraźnie się ucieszyła.

– Znakomicie. Wspominał o nas?

Próbowałam być miła, ale człowiek głodny to człowiek zły.

– W pewnym sensie. Pytał, czy zechcę współpracować z Littleman's Press. Zaoferowali, że wydadzą ten przewodnik taniej niż my, a do tego zasadzą czternaście tysięcy drzew, aby uzupełnić ziemskie zasoby tlenu.

Littleman był naszym największym konkurentem, a przyjacielska rywalizacja między nami czasem traciła na przyjacielskości.

Roberta aż się zachłysnęła.

– Nie ma mowy! Powiedz mu, że my zasadzimy więcej! Dwadzieścia tysięcy!

Ugryzłam kęs obwarzanka, żeby jeszcze trochę się z nią podrażnić.

– Żartowałam. Niczego takiego nie powiedział. Wspomniałam, że będę ilustrować książkę o warzywach, ale nie zdradziłam mu, kto ją wydaje. Mam to zrobić?

Roberta zamilkła, najwyraźniej obmyślając polityczne konsekwencje takiego kroku.

– Możesz. O ile temat wypłynie w naturalny sposób.

Zachichotałam z uznaniem.

– Z czego się śmiejesz? – zapytała zaniepokojona.

– Myślałam, że żartujesz... No wiesz, natura, ogrodnictwo... – Zamilkłam.

– Wszyscy tu na ciebie liczymy, Lili – oznajmiła Roberta. – Proszę, potraktuj to poważnie.

– W porządku. – Odłożyłam słuchawkę i oblizałam palce, zastanawiając się, komu nie wyszło bycie zabawną, mnie czy jej. Uznałam, że jej, i zapomniałam o sprawie. Po pracy wpadłam do spożywczaka. Lea, opiekunka dziewczynek, była z nimi w domu, przespacerowałam się więc dla rozrywki między regałami, raz po raz biorąc z półek produkty przeczące zasadom zdrowego odżywiania i jakieś przypadkowe badziewie. W dniu, w którym wyszłam ze szpitala, Lea czekała na mnie w domu, zatrudniona przez Rachel i opłacona z polisy Dana. Znacznie ułatwia mi życie i mówię to bez krzty ironii. Kiedy stanę u wrót nieba, zakładając, rzecz jasna, że nie skierują mnie w drugą stronę, to właśnie ona dostanie ode mnie specjalne rekomendacje. Siema, Piotrek – powiem – ta Lea to jest dopiero klasa dziewczyna. Dopilnuj, żeby trafiła jej się dobra chmura. Odbiera dzieci ze szkoły, kiedy ja nie mogę, przywozi je do domu, karmi, gotuje obiad, pomaga im w lekcjach, i w ogóle znacznie ułatwia nam wszystkim życie. Dzięki temu, kiedy wracam z pracy, dom jest oazą spokoju. Rezerwatem normalności w zwariowanym świecie. Bezpieczną przystanią.

Dziś na przykład było tak:

– Mamo, Annabel mówiła, że kocury mają cycuszki, więc poszłam poszukać Oscara i znalazłam, i wcale nie ma cycuszków, tylko mnie podrapał, a Annabel się ze mnie śmiała. – Przemowie tej towarzyszyły łzy, a wygłoszona została tonem, na którego dźwięk pies zaczął drapać w tylne drzwi i skomleć.

Dopiero wysłuchawszy całej skargi, zdołałam przestąpić próg i kiedy starannie zamknęłam za sobą drzwi, stanęłam oko w oko z winowajczynią.

– Mamo, Clare wszystko zmyśliła. To ona mówiła, że koty nie mają cycuszków, tylko mamy mają cycuszki, a ja wtedy powiedziałam: „A co z kocimi mamami?”. A Oscar ją podrapał. Naprawdę, ja jej nic nie zrobiłam.

Lea opierała się o kuchenne drzwi i rozkładała rękę.

– Wybacz, był spokój, otworzyłam tylko lodówkę, a kiedy ją zamknęłam, obie już ryczały.

Oscar był kotem sąsiadów, uważał jednak podziały własnościowe za jeden z wielu przejawów ludzkiej perfidii i spędzał u nas tak samo dużo czasu jak u siebie. On i nasza kotka Jane zawarli układ. Oboje byli po sterylizacji, zakładałam więc, że w grę wchodziło tylko trzymanie się za łapy oraz wzajemne iskanie, ale kto wie.

– Z Oscarem wszystko w porządku? – Mój ojciec był prawnikiem i od najmłodszych lat uczył mnie, że w każdej sytuacji najważniejsze jest ustalenie odpowiedzialności.

Dziewczynki przytaknęły.

– Jest w domu?

Clare pokręciła głową.

– Nie, spał sobie na podwórku, więc go przekręciłam, żeby zobaczyć, czy ma cycuszki, a on mnie podrapał i uciekł.



Annabel spojrzała na siostrę.

– Gdybym ja cię tak przekreśliła, kiedy śpisz, pewnie też byś się zdenerwowała.

– Śmiałaś się ze mnie. Mamo, ona się śmiała, kiedy wykrwawiałam się na śmierć!

Lea niemal niedostrzegalnie pokręciła głową.

– Na śmierć? – zapytałam, rzucając torebkę na podłogę i usiłując strząsnąć z siebie dzieci, żeby odłożyć klucze. – Hej, Lea, jest kawa?

– W dzbanku, właśnie zaparzyłam.

W mojej kuchni jest to artykuł niezbędny nie tylko o poranku. Nieraz zdarzało mi się wstawać w nocy do płaczącego dziecka, po czym popijać aspirynę zimną kawą. Nie powoduje u mnie bezsenności. Właściwie uświadamiam sobie, jak bardzo jestem od niej uzależniona, dopiero kiedy zapominam o zwyczajowej filiżance lub dwóch i zwalam się na ziemię, przekonana, że właśnie pękł mi tętniak. Podobno kawa tuczy. Jest to niewielka cena za zachowanie przytomności.

– Słuchajcie no, moje drogie. – Uklękałam i spojrzałam im w oczy. – Wyjaśnijmy sobie coś. Wszystkie ssaki wytwarzają mleko, o tym już wiecie. Ssaki, które są mamusiami, wytwarzają mleko, żeby karmić nim swoje dzieci. Koty to ssaki, a zatem koty dziewczynki mają cycuszki. Oscar jest chłopcem, więc ich nie ma.

– Ale ma sutki. – Najwyraźniej nie podrapał jej tak od razu.

– Po pierwsze, wszystkie ssaki płci męskiej mają sutki, nie wiadomo po co, może żeby im się futerko nie rozpięło. Dajcie sobie z tym spokój. Po drugie, to nigdy nie jest dobry pomysł, żeby tak gwałtownie budzić śpiącego kota. Może się zdenerwować. A wtedy, jeżeli was podrapie, same będziecie sobie winne. Zrozumiano?

Nabrałam powietrza i zwróciłam się do Annabel:

– Ale to bardzo brzydko naśmiewać się z krzywdy siostry. Natychmiast ją przeprosź.

Wymamrotała coś pod nosem.

– Po angielsku.

Mruknięcie.

– I głośniej, proszę.

– Przepraszam, Clare.

– Okej, koniec tematu. Chodźmy zobaczyć, co Lea upolowała nam na obiad.

Dopiero teraz zdjęłam płaszcz. Pięć minut i po kryzysie. Bycie matką to naprawdę wdzięczne zajęcie.

Wszystko wskazywało na to, że Lea zarznęła kurczaka, pokroiła go na niezbyt równe kawałki i obtoczyła w tartej bułce, a to wszystko zaledwie w godzinę. Jest niezwykle produktywną osobą.

– Pomyślałam, że podam do tego fasolkę po bretońsku i paluszki serowe, potem owoce, które zignorują, ale może z jogurtem zjadłyby chociaż odrobinę.

O tak, Lea dobrze zna moje dzieci.

Nalałam sobie kawy.

– Świetnie. Annabel, nakryłaś już do stołu?

– Pomyślałam, że pozwolę Clare nakryć, żeby ją przeprosić za to, że się z niej śmiałam.

– To bardzo wielkoduszne z twojej strony.

Wzięłam kubek z kawą i poszłam do sypialni się przebrać. Od śmierci Dana nic tu nie zmieniłam, a jego część łóżka zajmował teraz Frank. Kiedy weszłam, leżał rozciągnięty na narzucie, bez wątpienia pokrywając ją jajeczkami pasożytów lub jakimś innym świństwem. Drgała mu łapa, pewnie o czymś śnił, zostawiłam go więc w spokoju. Dan i ja wzięliśmy go ze schroniska, kiedy był szczeniakiem, toteż Frank towarzyszył mi w latach narzeczeństwa, był świadkiem ślubu, narodzin dzieci, a teraz żałoby. Psy takie jak on określałam mianem śmieciojadów z Los Angeles, choć najbardziej przypominał labradora. Był żółty, pulchny i flegmatyczny. Zazdrościłam mu stosunku do świata, pełnego niewymuszonego luzu: przepadał za miłymi ludźmi, doceniał posiłki, często drzemał, był cierpliwy i na wszystko reagował pozytywnie. Starannie odwiesiłam na krzesło strój do pracy i ubrałam się w prawdziwe ciuchy. Spodnie od dresu, stary T-shirt z halloweenowym nadrukiem, który z jakiegoś powodu odejmował mi ze dwa kilo (rozciągnął się w praniu, w niepojęty sposób osiągając idealny rozmiar) oraz skarpetokapcie. Dzięki ci, supermarkecie Target, świątynio ludzi snujących się wśród półek w bezcelowym poszukiwaniu jednej potrzebnej rzeczy i czterdziestu dwóch niepotrzebnych, którym jednak, za taką cenę, nie potrafią się oprzeć. Kochamy cię całym sercem. Kiedy ruszyłam do drzwi, Frank obudził się i stoczył z łóżka z łomotem, od którego zatrzęsa się podłoga, po czym znieruchomiał, jakby pragnął się upewnić, że przeżył i że na pewno wciąż może ruszać łapami. Znam to uczucie – prawdę mówiąc, towarzyszy mi każdego ranka. Powlokłam się z powrotem do kuchni, a on, wciąż zaspany, poczłapał za mną.

Kiedy dzieci jadły, Lea zdała mi pełną relację:

– Annabel ma zadanie domowe z matematyki na środę, pół już odrobiła. Clare musi ćwiczyć czytanie. Annabel jest umówiona z koleżankami na sobotę po południu.

– O której?

– Koło drugiej. U Charlotte.

Sięgnęłam po domowy dziennik, duży niebieski kalendarz, który razem prowadziłyśmy.

– Już zapisałam. – Lea miała wybitny talent organizacyjny, a był to tylko jeden z jej licznych przymiotów.

Spojrzałam na nią z udawanym oburzeniem.

– Skąd wiedziałaś, że znajdę czas, by ją zawieźć? Przecież mogłam mieć jakieś plany.

Roześmiała się. Nie zareagowałam. Śmiała się dalej. Czekałam.

– Ale serio? – zmartwiła się nagle. – Masz plany?  
– Skąd, tak się tylko z tobą drażnię. Przed południem idziemy na kurs ogrodnictwa, ale to wszystko.

Uśmiechnęła się wyrozumiale, a potem spojrzała na zegarek.

– Ups, muszę lecieć. Zajęcia.

Ucałowała dzieci, pogłaskała Franka, po czym zniknęła za progiem. Mnie nikt nie pogłaskał.

Usiadłam i skradłam Annabel z talerza kawałek kurczaka.

– Smażony kurczak wcale nie jest zdrowy – pouczyła mnie, wymachując widelcem. – Powinnaś jeść warzywa i takie tam. Dzięki nim się rośnie.

– Ale ja już nie rosnę, kochanie. Przestałam rosnać jakiś czas temu.

– Nie szkodzi, nadal potrzebujesz witamin. Uczyliśmy się o tym w szkole. Inaczej zrobisz się wielka i gruba i będziesz wszystko miażdżyć.

Zmarszczyłam brwi.

– Słucham?

– To taka choroba, nazywa się miażdżyca. Poza tym wypadną ci włosy. Musisz jeść więcej limonek.

– Dzięki, skarbie, zapamiętam to sobie.

– Mamie już i tak wypadają włosy – wtrąciła niezawodna jak zawsze Clare. – Widziałam w brodziku. Pełno włosów, a nie mogły być nasze, bo my się kąpiemy w wannie.

Super. Do tego wszystkiego łysieję.

– Może to były włosy Franka – podsunęłam, wstając, żeby zajrzeć do lodówki. – Może czasami potajemnie bierze prysznic.

Wyciągnęłam masło oraz szynkę i zaczęłam robić sobie kanapkę.

– Nie umiałby odkręcić kranu.

– Bo nie ma kciuków.

Frank stał obok, zwabiony dźwiękiem swojego imienia, popatrując to na jedną, to na drugą i licząc znikające w buziach kęsy. Czasem, kiedy dzieci idą spać, odkrywam, że nadal stoi pośrodku kuchni i cierpliwie czeka. Jakimś cudem wie, że na plastikowym talerzyku gdzieś nad jego głową tkwi umazany keczupem kawałek panierowanego kurczaka, który zresztą, do licha, należy mu się na mocy prawa (precedens Labrador kontra Brzdąc, 1978). Jest zbyt dobrze wychowany i za stary, żeby wskakiwać na stół, poza tym święcie wierzy, że prędzej czy później się zjawię i jednak go poczęstuję. Krąży po domu niczym wieloryb w potrzasku, dumny i niewzruszony. Obserwuje mnie uważnie. Może ma nadzieję, że odkryję porzucony gdzieś półmisek steków albo masło orzechowe na ścianie. Jego wieczny optymizm wydaje mi się godny podziwu i pozazdroszczenia.

– Mogę lody? – zapytała Clare.

– A zjadłaś owoce?

– Tak. Prawie. Trochę.

– To możesz. Weźmiesz sobie sama?

Próbuję nauczyć dzieci samodzielności, a lody wydały mi się dobre na początek. To, że zaledwie chwilę wcześniej wreszcie zdołałam usiąść, nie ma tu nic do rzeczy.

Clare wstała i otworzyła zamrażarkę, z której wysypało się na nią kilka paczek mrożonego groszku.

– Lawina! – wrzasnęła, odskakując. Poprosiłam Annabel, żeby pomogła siostrze, ale naturalnie, spotkałam się z odmową. Często się zastanawiam, co się stało z czekiem, który wysłałam do szkoły wdzięku. Nigdy mi go nie zwrócono.

Wepchnęłam groszek z powrotem do zamrażarki, wyciągnęłam lody, nałożyłam do miseczki małą łyżeczkę, napotkałam protest, dołożyłam kolejną, znów protest, dodałam polewy czekoladowej i dopiero wtedy propozycja została przyjęta.

Clare usiadła przy stole, a ja powoli zlizyłam kroplę polewy, która została mi na palcu. O tak, jak już wspominałam, bycie matką to niezwykle satysfakcjonujące zajęcie.

Tego samego wieczoru, kiedy dzieci już spały, zadzwonił telefon. Spojrzałam na zegarek. Jedenasta. Tylko jedna osoba mogła dzwonić tak późno.

– Cześć, mamó.

– Cześć, kochanie, jak się masz? – Była pijana, choć trudno określić, jak bardzo. To, że o tej porze zdobyła się na skorzystanie z telefonu, wskazywałoby, że nie jest jeszcze tak źle, jednak odkąd opanowała sztukę szybkiego wybierania numeru, był to zawodny wskaźnik.

– Dobrze, mamó, właśnie kładę się spać.

– Tak wcześnie?

Na tym właśnie polega kłopot z moją matką: wciąż jej się zdaje, że ma dwadzieścia siedem lat. Była kiedyś modelką, zaczęła bardzo, bardzo wcześnie, koło trzynastego roku życia. Jako trzynastolatka udawała szesnastolatkę; kiedy miała dwadzieścia cztery lata, musiała udawać, że ma osiemnaście; w wieku trzydziestu pięciu lat twierdziła, że ma dwadzieścia siedem, i na tym się zatrzymała. Całkiem możliwe, że zapomniała po drodze, kiedy się właściwie urodziła. Dorastała w Anglii, wychowywana przez kobietę określoną kiedyś przez mojego ojca mianem największej zołzy Imperium Brytyjskiego, a on nigdy o nikim nie mówił źle. Moja babcia specjalizowała się w najbardziej brytyjskiej ze wszystkich umiejętności, czyli sarkazmie, mama wyrosła więc w przekonaniu, że tak właśnie rozmawia się z ludźmi. Jako zawodowa egotyczka była również całkowicie niezdolna do dostrzegania innych punktów widzenia, słuchała jednak mojego ojca z dziecinnym niemal nabożeństwem. Rachel i ja nigdy nie byłyśmy całkiem pewne, co nasz tata w niej widział, poza niezaprzeczną urodą. Coś jednak musiał widzieć, ponieważ otaczał ją miłością, a dzięki swojej pogodzie ducha oraz ciepłej

inteligencji stworzył wokół niej bańkę, która chroniła ją samą i wszystkich wokół przed jej brakiem wrażliwości i goryczą. Po jego śmierci sprawy nieco się skomplikowały.

– Tak, mam, jutro muszę wstać wcześniej, pamiętasz? Odwieźć dzieci do szkoły, pójść do pracy, same przyjemności.

Westchnęła i usłyszałam w tym westchnieniu trzy szkockie z wodą sodową. W zasadzie nawet się ucieszyłam – było mniej prawdopodobne, że wybuchnie płaczem albo zasypie mnie pretensjami.

– Dzwonię, żeby zapytać, czy mogłybyśmy zjeść w weekend wspólny lunch. Dawno nie widziałam swoich wnuczek. – Siąknęła nosem. – Pamiętaj, że z każdym dniem jestem starsza. Długo już nie pociągnę.

Przewróciłam oczami.

– Mam, masz sześćdziesiąt lat, codziennie ćwiczysz i jesz jak ptaszek. Jesteś najzdrowsza z nas wszystkich.

Cisza. Zbiłam ją z tropu pochlebstwem, ta sztuczka nigdy mnie nie zawiodła.

– Mimo to chciałabym zobaczyć się z dziećmi.

Przypomniałam sobie o kursie, który nagle okazał się po stokroć wart swojej ceny

– to, że w zasadzie był darmowy, nie miało teraz znaczenia.

– Właściwie, mam, przez pewien czas nie będziemy miały w soboty czasu na lunch. Może wpadniesz kiedyś na kolację?

– Za wcześnie jadasz posiłki, Lilian. Jak jakiś farmer. Wyobraź sobie, że cywilizowani ludzie jedzą po ósmej.

Postanowiłam przeczekać. Znałam tę śpiewkę na pamięć.

– Czemu nie możemy się umówić koło południa? Spotykasz się z kimś?

Wyrzuty i wścibstwo w jednym zdaniu. Moja matka była doprawdy bezbłędna.

– Nie.

– Ale dlaczego nie, na miłość boską? Tobie również przybywa lat, pamiętaj o tym. No i zawsze byłaś pulchniejsza ode mnie, a osoby o pełnych kształtach starzeją się szybciej, niestety.

Policzyłam do pięciu, pomyślałam o dzieciach, podrapałam Franka za uchem.

– Przez najbliższe sześć tygodni w każdą sobotę rano będziemy chodziły na kurs, to wszystko. Umówimy się na kolację, zgoda? A teraz muszę iść spać.

Znów pociągnęła nosem.

– Cóż, może Rachel zje ze mną lunch. I tak ma ciekawsze życie niż ty.

– Rachel chodzi z nami, mam. Wybacz.

– Co to za kurs? Spodobałby mi się?

Wstałam i zaczęłam gasić światła.

– Nie, mam, to kurs ogrodniczy. Musiałabyś spędzać czas na dworze. No wiesz, na słońcu.

To było łatwe zwycięstwo.

– O nie, wykluczone. – Ruszyłam do sypialni, bezgłośnie recytując te słowa razem z nią. – Nie przy mojej cerze.

Rozłączyłam się i otrząsnęłam jak pies, którego śwędzi ucho.

Ułożywszy głowę na poduszce, pozwoliłam, żeby jej słowa po mnie spłynęły. Kiedy byłam dzieckiem, cięły głęboko jak sztylety, ale teraz ich ostrza tylko odbijają się od blizn. Jestem szczęściarą.

Tej nocy znów śniłam o Danie. Byliśmy młodzi i szliśmy ulicą, trzymając się za ręce. Czułam pod palcami jego knykcie, mocniejszy uścisk dłoni, kiedy przystanął, żeby przepuścić samochód. Słyszałam szelest jego marynarki, czułam zapach skóry i widziałam uśmiech w kąciu ust. Szłam zaledwie krok za nim, kiedy jego ręka wyśliznęła się z mojej i nagle zostałam sama na środku ulicy. Dan stał na chodniku, zmarszczyła czoło, a wtedy nadjechał pociąg i stał go z powierzchni ziemi tak nagle, że wciąż miałam jego postać odbitą na siatkówce oka. Po chwili znów trzymał mnie za rękę, próbowałam ścisnąć mocniej, ale scenariusz wciąż się powtarzał: wymykająca się dłoń i rozpedzony pociąg. Obudziłam się i przez moment leżałam bez ruchu, usiłując zatrzymać w pamięci każdy szczegół, dotyk jego dłoni, zapach skóry.

W końcu wstałam i podeszłam do szafy. Frank podniósł łeb, ale kiedy zobaczył, co robię, opuścił go z westchnieniem. Widział to wiele razy. W szafie, w zasuwanych pokrowcach, wisiały ubrania Dana. Nie wszystkie, ale większość. Niektórych pokrowców nigdy nie ruszałam, inne otwierałam często. Wyciągnęłam jeden, z T-shirtem, który Dan nosił mniej więcej raz na tydzień przez całe nasze wspólne życie, i rozsunęłam zamek. Przyłożyłam koszulkę do twarzy, oddychając głęboko, wciągając w płuca jedyną fizycznie istniejącą rzecz, jaka mi po nim została, czyli zapach jego niewypranych ubrań.

Rankiem w dzień, kiedy zginął Dan, zrobiłam wielkie pranie, czego potem gorzko żałowałam. Gdy pierwszej nocy po wypadku wróciłam do domu, dzieci i Frank byli bezpieczni u mojej matki, a wokół mnie panowała ciemność. Miałam w torebce dokument ze szpitala wyliczający w szczegółach wszystkie starania, jakie podjęto, by zachować Dana przy życiu, potężną listę spełnionych procedur, które na nic się nie przydały. Nie zapalając światła, weszłam do sypialni i zaczęłam pakować w podwójne worki wszystkie niewyprane rzeczy, które zdołałam znaleźć. Stopy wciąż miałam obandażowane po tym, jak poraniłam je, biegnąc po odłamkach tłuczonego szkła, i pamiętam rozpierające czaszkę potężne ciśnienie, jakby synapsy pękały mi jedna po drugiej. Ilekroć brałam oddech, czułam ból, piekące, kwaśne powietrze rozrywało miękką tkankę płuc. Całe ciało pulsowało nieznośnie z każdym uderzeniem serca, jakbym wisiała głową w dół i cała krew spłynęła mi do mózgu. Była to jednak sprawa życia i śmierci, by zrobić tę jedną rzecz, zachować ostatnie molekuly Dana, które zostały na świecie – komórki skóry, maleńkie atomy potu, mikroskopijne ślady kremu do golenia – zanim wyparują

i zostanę z niczym. Na szczęście gdy Rachel znalazła worki po tym, jak trafiłam do szpitala, zrozumiała, co chciałam zrobić, i odłożyła je w bezpieczne miejsce. Z biegiem lat oszczędnie wydzielałam sobie to, co zostało, wystawiając rzeczy na działanie powietrza tylko wtedy, gdy było to niezbędne. A teraz, wdychając zwietrzały zapach mojego męża, a potem odwracając głowę i zasuwając pokrowiec, kiedy dopadł mnie szloch, wciąż żałowałam, że to nie ja umarłam. On znacznie lepiej ode mnie poradziłby sobie z żałobą.

## **BROKUŁY**



W ciepłym klimacie brokuły trzeba sadzić jesienią, zaś w każdym innym w połowie lub pod koniec lata.

Nasiona należy umieścić w ziemi co 30–60 centymetrów, zostawiając około 90 centymetrów przerwy między rzędami. Brokuły lubią czasem zrzucić gorset i cieszyć się wolną przestrzenią.

Jeśli roślinek będzie zbyt wiele, natychmiast chwyć za nożyczki i tnij, ile wlezie. Potrzeby wybrańców są ważniejsze niż dobro większości.

Pamiętaj o odpowiednim nawilgoceniu gleby. Brokuły potrzebują wody. Uważaj jednak, by podczas podlewania nie zamoczyć główek. Inaczej ożyją i sterroryzują całą okolicę. No dobrze, to nieprawda, ale szczęśliwe nie będą.



## ROZDZIAŁ 6

Następnego dnia, odebrawszy dziewczynki ze szkoły, wzięłam je do księgarni i kupiłam przewodnik po roślinach (oraz, co było nie do uniknięcia, siedem innych książek traktujących o przygodach księżniczek, koni, wróżek, a także pewnego kanciastego żółtego osobnika, który mieszkał w domku z ananasa i którego imię pominę milczeniem). Staram się nie rozpieszczać swoich dzieci, ale cieszę się, że lubią czytać. Nawet jeśli jeszcze bardziej lubią słodczyce i nawet jeśli ich ulubieni bohaterowie wywodzą się z kreskówek, należy docenić entuzjazm wobec słowa pisanego. Poza tym książki mogę sobie zawsze odpisać od podatku, ponieważ, hej, pracuję w wydawnictwie. Mam je zatem praktycznie za darmo. Tego rodzaju kreatywna matematyka doprowadzała Dana do szału.

„Jak możesz wydawać pięćdziesiąt dolarów, po czym twierdzić, że zaoszczędziłaś?” – pytał, machając mi przed nosem wyciągiem z karty kredytowej. To była jedna z rzeczy, o które naprawdę się kłóciliśmy.

„Regularna cena to osiemdziesiąt dolarów, oszczędziłam więc trzy dychy. Czemu nie potrafisz tego zrozumieć?”

„Bo te cholerne książki / ciuchy / przybory plastyczne / psie zabawki / podgrzewacz do wosku nie były nam do niczego potrzebne!” Następnie wygłaszał tyradę na temat nadmiaru przedmiotów i zagracaania przestrzeni, brodząc we własnych porzrzucanych skarpetkach i drobnej elektronice. Później gorzko żałowałam czasu, który straciliśmy na kłótnie. Gdybym mogła zamienić te chwile na pięć cichych minut wspólnego picia kawy w salonie, zrobiłabym to w mgnieniu oka. Podłoga w sypialni była obecnie wolna od męskich skarpetek i bokserek i prawdopodobnie tęskniła za nimi równie mocno jak ja.

Kiedy wróciłyśmy do domu, Clare nie wykazała zainteresowania książką o roślinach.

– Będę sadzić truskawki, już mówiłam. – Ruszyła do swojego pokoju, a Frank podreptał za nią.

– I nic więcej?

– Nie. Tylko truskawki.

Drzwi sypialni się zamknęły, a ja zaczęłam się zastanawiać, kiedy jej czarujący upór przerodzi się w zaburzenia obsesyjno-kompulsywne.

Annabel wykazała więcej zainteresowania:

– Możemy sadzić tylko warzywa czy kwiatki też?

– Myślę, że możecie zasadzić, co chcecie.

– A można zrobić z nich jakiś wzór? – spytała, kartkując rozdział o kwiatkach.

– No pewnie, tak mi się wydaje. Nie sądzę, by miały coś przeciwko.

Robiłam kawę. Annabel usiadła przy stole.

– To chcę zasadzić serce z czerwonych kwiatów, a dookoła obwódkę z niebieskich.

– Proszę bardzo. W takim razie zajrzyjmy do książki i spróbujmy coś wybrać.

Wybrała niebieskie fiołki (nosiły nazwę „malowana porcelana” i miały śliczne bladoniebieskie płatki o ciemniejszych obwódkach), a także coś określanego mianem „czekoladowego kosmosu”, bardziej bordowe niż czerwone, ale nie klóciłam się, w końcu chodziło o jej ogród.

– One naprawdę są z czekolady? – zainteresowała się Clare, która wpadła po coś na ząb dla siebie i skórzany gryzak dla Franka.

– Nie, ale tu jest napisane, że pachną jak czekolada.

– Hm... – Już kiedyś dała się na to nabrać.

Dziewczynki poszły się bawić, a ja zaczęłam przeglądać książkę. Były tam piękne fotografie warzyw rosnących w ten schludny, a zarazem wolny od przemysłowej ingerencji sposób, w jaki zazwyczaj rosną na fotografiach, i muszę przyznać, że wyglądało to bardzo atrakcyjnie. Szukałam kwiatów do ogródka za domem. Książka okazała się pomocna, pełna precyzyjnych informacji o rodzajach gleby i nasłonecznieniu. Uświadomiłam sobie, że w każdym ogrodzie istnieje kilka mikroklimatów – trochę cienia, trochę słońca – i trudno jest nad tym wszystkim zapanować.

Lepiej mi się myśli, gdy rysuję, sięgnęłam więc po szkicownik dziewczynek i nakreśliłam ogólny plan ogrodu. Z jednej strony miałam przyjemnie cienisty zakątek, gdzie można by urządzić miejsce zabaw. Nieopodal narysowałam ławkę, na której będę mogła siedzieć i mieć oko na dzieci albo czytać książkę. A może lepszy byłby hamak...

Wstałam, powęszyłam w „kąciku plastycznym” (róg salonu, gdzie znajdował się kubek z ołówkami, połamanymi kredkami i wyschniętymi flamastrami bez zakrętek) i wróciłam z kredkami, gumką oraz kilkoma kartkami papieru. Zaczęłam rysować ogród, którego obraz stworzyłam sobie w głowie, nawet o tym nie wiedząc. Sięgnęłam po książkę i przeglądałam zdjęcia, szukając właściwych kolorów i robiąc na bieżąco notatki. Płot na tyłach ogrodu obsadziłam szalwią (niebieskofioletową) oraz czymś, co nazywało się driakiew (mieszanka kwiatków różowych, fioletowych i niemal czarnych – w bardzo gotyckim stylu).

Zamknęłam książkę, położyłam na niej kartkę i rysowałam dalej. Małeńki trawnik przecięła kamienna ścieżka prowadząca do cienistego zakątka, w którym klęczały bawiące się dzieci. Prosta ławka – zrezygnowałam z hamaka, najwyraźniej mojemu wymarzonemu ogrodowi bliżej do stylu „angielska wieś” niż „hawajskie tropiki” – stanęła wśród lawendy. Sama nie wiedząc, co robię, dorysowałam jeszcze staw z czapłą (*Ptaki wybrzeża Pacyfiku*, 2006, wydanie trzecie). Pracowałam dalej, uszczęśliwiona, kolorując i cieniując, kiedy nagle Annabel dotknęła mojego ramienia i podskoczyłam chyba ze trzy metry do góry, co w pozycji siedzącej jest nie lada wyczynem.

– O rety, przestraszyłaś mnie. Mogłabyś trochę głośniej tupać? – Wstałam i przeciągnęłam się lekko, nie wypuszczając z dłoni szkicownika.

Annabel zmarszczyła brwi.

– Mamo, wołałam cię z pięć razy, raz nawet kiedy stałam tuż za tobą. Bujasz w obłokach, zupełnie jak Clare.

Hm. Ciekawe. Uśmiechnęłam się do niej.

– Myślałam sobie o naszym ogródku.

– Mogę zobaczyć?

Podaliśmy jej szkicownik i podeszłam do lodówki, żeby sprawdzić, jakie to cuda czekają nas na kolację. Och, schabowe! Na sam ich widok serce zabiło mi mocniej.

Za plecami słyszałam, jak Annabel przewraca kartki.

– To ma być nasz ogród? – W jej głosie pobrzmiwał sceptycyzm.

– A czemu nie? Edward powiedział, że każde miejsce ma potencjał.

– No... – Wciąż nie wydawała się przekonana. – To dlatego jego też narysowałaś?

Zamarłam. Wcale go nie narysowałam. Annabel pokazała mi obrazek.

– Widzisz? Siedzi tu, na ławce. Ale jest za niski. Edward jest bardzo wysoki.

– Dla ciebie każdy jest wysoki.

– I ma ciemniejsze włosy. No ale niech sobie siedzi, w końcu gdyby nie on, nie miałybyśmy ogrodu.

Ruszyła do drzwi.

– Mogę sobie wziąć ten rysunek czy będzie ci potrzebny?

Spojrzałam na nią.

– Weź, jeśli chcesz.

Uśmiechnęła się i wyszła. Przez chwilę stałam nieruchomo, zastanawiając się, co właściwie czuję. To nie Edward siedział na ławce, tylko Dan. Nie miałam świadomości, że go narysowałam, ale kiedy Annabel pokazała mi obrazek, zorientowałam się natychmiast. Dan, z nogą założoną na nogę, z otwartą książką na kolanach, przyglądający się dzieciom, jak zawsze. Nagle poczułam się winna, że chcę coś zmienić, nie pytając go o zdanie. Choć oczywiście ogród pewnie guzik by go obchodził.

Westchnęłam i zabrałam się do odgrzewania kolacji. Frank leżał pod stołem, postanowiłam więc zasięgnąć jego rady.

– Powiedz mi, Frank – zaczęłam, na co odezwał się stuk uderzającego o podłogę ogona – czy to w porządku, że urządzam ogród, choć nie mogę skonsultować się z Danem i choć on nigdy go nie zobaczy?

Frank zwrócił mi uwagę, iż nie wiem na pewno, czy Dan nie będzie w stanie zobaczyć ogrodu. Jeśli bowiem, zgodnie z tradycyjnym wyobrażeniem, niebiosa znajdują się nad nami, miałyby stamtąd doskonały widok.

– Może w takim razie powinnam pójść za radą Annabel i ułożyć z kwiatów wiadomość, którą tylko on będzie mógł przeczytać?

No dobrze, on i dziesięć tysięcy telewizyjnych helikopterów, które krążą codziennie nad miastem. Frank był ciekawy, co bym napisała.

– Nie wiem. Może: „Kocham cię”. Albo: „Tęsknimy za tobą”. Albo po prostu: „Cześć”.

Frank oparł głowę na łapach. A może: „Trzeba było nie umierać, ty cholerny draniu”?, zasugerował.

Tego wieczoru wysłałam do Edwarda Bloema maila z listą kwiatów, które wybrałam. Poza tym, wiedziona impulsem, zeskanowałam i przesłałam mu mój rysunek, który znalazłam w pokoju Annabel.

*Drogi Edwardzie,*

*oto wybrane przez Annabel kwiaty. Twierdzi, że można zasadzić je w kształt serca – czy rzeczywiście? Jeśli nie, daj mi znać, żebym mogła przygotować ją na rozczarowanie. Clare pragnie uprawiać truskawki, nic więcej nie zdołałam od niej wyciągnąć. Mnie natomiast przyśnił się ogródek za domem i naszkicowałam jego plan, który przesyłam w załączniku. Może znajdziesz chwilę, by rzucić okiem i ocenić, czy to mrzonki, czy nie?*

*Z pozdrowieniami*

*Lilian Girvan, mama Annabel i Clare*

Wysłałam wiadomość i przez chwilę siedziałam bez ruchu, zastanawiając się, kiedy ze zwykłej Lilian zmieniałam się w „Lilian Girvan, mamę Annabel i Clare”. Dan mówił na mnie „Lil”, a Rachel i rodzice – „Lili”. Nagle przypomniało mi się, jak rodziłam Clare – pielęgniarki zwracały się do mnie i Dana per „mamo” i „tato”. Na przykład mówiły: „Jeszcze wody z lodem, mamo?”. Albo: „Odsuń się, tato”. No dobra, to ostatnie zmyśliłam – Dan spędził narodziny Clare, siedząc na krześle i zajadając olbrzymiego pączka. Ilekroć parłam, był przy mnie, ale kiedy bitewny kurz opadał, znów siedział na tym brzydkim krześle, pochłonięty przeżuwaniami. Trzy sekundy po tym, jak przeciął pępowinę, sięgnął po papierową torebkę, wyciągnął z niej kolejnego pączka i podał mi go, w najmniejszym stopniu nie przejmując się tym, że kruszy na dziecko. Po tym właśnie można poznać dobrego męża: gwarantuje stały dopływ wyrobów cukierniczych.

Ping. Nowa wiadomość.

*Droga Lilian,*

*lista jest w porządku, a Annabel może zasadzić kwiaty w kształt, jaki tylko jej się zamarzy. Przy odrobinie szczęścia wyrosną, jak trzeba, powinnaś ją jednak przygotować może nie na druzgocące rozczarowanie, ale potrzebę modyfikacji oczekiwań. Natura bywa nieprzewidywalna i nie zawsze poddaje się rygorowi prostych linii. Mimo to myślę, że wyjdzie ładnie. Rysunek wygląda pięknie – jak widzę, jesteś artystką. Aby jednak stwierdzić, czy tę wizję da się zrealizować, musiałbym obejrzeć Twój ogródek. Może mógłbym wpaść do Was po zajęciach*

*i rzucić okiem? Z przyjemnością podzielę się swoją opinią.  
Z pozdrowieniami  
Edward Bloem*

Hm. To mi dało do myślenia.

Kiedy tak siedziałam i myślałam, zadzwoniła Rachel. Po głosie poznałam, że jest zdenerwowana.

– Powiedziałaś mamie, że chodzę z tobą na kurs?

Zmarszczyłam brwi.

– Powiedziałam, bo przecież chodzisz. Próbowwała insynuować, że jesteś lepszą córką, ponieważ zgodziłabyś się zjeść z nią w weekend lunch, chciałam więc powstrzymać ją przed zawracaniem ci głowy i powiedziałam, że jesteś zajęta. – Zawahałam się. – Źle zrobiłam?

Westchnęła.

– Nie, jasne, że nie. Tyle że właśnie zadzwoniła i oznajmiła mi, że marnuję sobie życie, spędzając czas z tobą i dziećmi, zamiast polować na męża. – Po chwili milczenia dodała: – Oczywiście była pijana w sztok, ale to akurat normalne, prawda?

Ja również westchnęłam, usiłując w ten sposób okazać jej wsparcie.

– Małpa. Czy wspomniała również coś o wystawianiu się na śmiercionośny skwar?

– Pewnie, że tak. Każde dziesięć minut na słońcu...

– ... to sześć miesięcy na twarzy, wiem. – Weszłam do salonu i zaczęłam kopać mniejsze zabawki w stronę koszy. W ten sposób raz na tydzień gimnastykuję dolne partie ciała i więcej ćwiczeń mi nie trzeba. – Nie mam pojęcia, skąd ona bierze te teksty. Chyba sama je wymyśla.

– A może dawno temu usłyszała tę zasadę od jakiejś naczelnej czasopisma i uczepiła się jej jak rzep. Kto wie?

– Nie daj się prowokować, Rach. Wiesz, że ona żyje we własnym świecie.

– Wiem. – Zapadła cisza. – Tylko...

– Wiem. – Tym razem ja zamilkłam. Bo i właściwie nie było już nic do powiedzenia.

Nasz ojciec zawsze powtarzał, że mama jest jak dziecko. Widzi świat w prosty sposób, mówił. Cieszą ją małe rzeczy, żyje chwilą. Lubił to w niej, gdyż sam był typowym mózgowcem, zamartwiającym się o przyszłość, pieniądze i sytuację na świecie. Naszą mamę guzik obchodziły losy świata tak długo, jak długo kręcił się wokół niej. Kiedy dorosłam, zrozumiałam, że związek rodziców przetrwał, ponieważ matka nie komplikowała ojcu życia. Ilekroć wpadała w zły nastrój, udawało mu się ją udobruchać biżuterią, kwiatami bądź pochlebstwami. Była łatwa w obsłudze. Niestety, jak większość niedojrzałych egotyków traktowała dzieci, które nie wielbiły jej bezkrytycznie, jako konkurencję i już w czasach, gdy

chodziłyśmy z Rachel do przedszkola, przykleiła nam etykiety. Moja siostra musiała przejść przez wiele złych doświadczeń i odbyć wiele spotkań z dobrymi terapeutami, by znaleźć się w miejscu, w którym jest obecnie. Moje załamanie nerwowe ostatecznie ją zahartowało i przekonało o tym, jak bardzo jest silna. Ale nawet teraz ta stara wiedźma potrafiła dopaść ją, kiedy była sama, albo w środku nocy, i podkopać podwaliny jej pewności siebie.

Zaczęłam starą śpiewkę:

– Olej ją, Rach. To idiotka.

– Wiem.

– Masz wspaniałe życie. Jesteś piękna, mądra i o wiele silniejsza od niej. Po prostu nie potrafi się z tym pogodzić.

– Wiem.

Skończyłam porządki w salonie i ruszyłam sprawdzić, co u dzieci.

– Starzeje się, to wszystko.

– Wiem.

– Robią jej się zmarszczki i obwisa.

– Wiem.

Otworzyłam drzwi i spojrzałam na dziewczynki, śpiące jak aniołki w płataninie pościeli, maskotek i ukochanych kocyków.

– Nie ma pojęcia o twoim życiu.

– Wiem. – Głos jej się załamał. – Dlaczego więc wciąż daję jej się prowokować?

Zamknęłam drzwi do pokoju córek, modląc się każdą komórką ciała, żeby nigdy nie musiały odbywać między sobą takich rozmów. I wiedząc, że nawet kiedy nasza beznadziejna matka umrze, ja i Rachel wciąż będziemy musiały. Bywają koleiny tak głębokie, że ciężko się z nich wygrzebać.

## MARCHEWKA



Dopilnuj, aby gleba była spulchniona i pozbawiona kamyków – marchewka i bez nich ma dość kłopotów, by przebić się na powierzchnię.

Sadź rośliny co 7–10 centymetrów w rzędkach oddalonych od siebie o przynajmniej 30 centymetrów. Uwaga na marginesie: nie potrzebujesz do tego miarki, wystarczy oko. Rośliny nie zbuntują się tylko dlatego, że tu czy tam zabrakło centymetra. Chyba że zdecydujesz się na tę fikuśną tęczową odmianę, która rzeczywiście jest diabelsko wybredna.

Ściółkowanie to dobra metoda, by utrzymać odpowiednie nawilżenie gleby, przyspieszyć kiełkowanie i chronić korzenie przed nadmiarem słońca. Możesz użyć trocin, pociętej gumy lub bucików dla lalek. O ile jesteśmy z jednej bajki, masz tego pewnie w domu tyle, że starczyłoby na całe pole.

Gdy rośliny osiągną 2,5 centymetra wysokości, należy je przerzedzić. Pamiętaj, by wycinać je nożyczkami – nie wyrywać – aby chronić korzenie pozostałych.

Marchewki najlepiej smakują po kilku falach przymrozków. Po ustąpieniu tej pierwszej, jesiennej, zabezpiecz wszystkie grządki półmetrową warstwą pociętych suchych liści, aby później było co zbierać.

## ROZDZIAŁ 7

### LEKCJA DRUGA

Kiedy w sobotę przybyliśmy na naszą działkę, przez chwilę sądziłam, że pomyliłam drogę. Tam, gdzie poprzednio było puste pole, pojawił się ogród. Niemożliwie Przystojny Bob stał obok, wyraźnie z siebie dumny – i miał do tego pełne prawo. Ogródek dziecięcy był otoczony płytkami z terakoty i poprzecinany ścieżkami ułożonymi w kształt szprych koła od wozu. W centrum znajdował się wyłożony płytkami placyk, tworzący urocze miejsce zabaw. Wokół stały cztery cedrowe ławki, podobne do tych z mojego rysunku, stanowiące znakomity punkt obserwacyjny. Wokół nieco mniej fantazyjne warzywniki z uniesionymi grządkami, po dwie na każdy, rozdzielone były wysypanymi korą drózkami. Najwyraźniej ktoś nie próżnował tu od naszej ostatniej wizyty.

Dziś przyjechałyśmy wszystkie razem, ponieważ Rachel planowała wrócić z nami do domu. Po tym, jak w przypływie śmiałości odpisałam Edwardowi, że serdecznie zapraszam go w odwiedziny, stwierdziła, że musi przy tym być.

– Poza tym – dodała, opierając stopy na desce rozdzielczej – w tym tygodniu prawie nie widziałam się z dziewczynkami, a kto wie, ile szkód zdążyłaś w tym czasie wyrządzić w ich delikatnej psychice.

Zerknęłam we wsteczne lusterko. Tego ranka Clare pomazała sobie całą twarz czerwonym markerem. Kiedy weszła do kuchni, wpadłam w chwilową panikę, wydawało mi się bowiem, że jest pokryta krwią. Okazało się, że postanowiła zostać biedronką, aby bardziej pasować do grządki truskawek. Zawsze była skrupulatna. Taka amatorka jak ja raczej nie miała szans wyrządzić krzywdy jej psychice, jednak postanowiłam nie mówić o tym Rachel. Niech myśli, że mam na swoje dzieci jakiś wpływ. Annabel w milczeniu wyglądała przez okno, prawdopodobnie rozmyślając nad przemijalnością i jałowością życia. Po chwili uświadomiłam sobie, że podśpiewuje pod nosem motyw przewodni ze *SpongeBoba*, więc może jednak nie.

Nagle przypomniało mi się, co przed chwilą powiedziała Rachel.

– Hej, to prawda, prawie cię nie widziałyśmy. Gdzie się podziewałaś?

– Tu i tam, tylko nie u ciebie w domu.

– Ty coś ukrywasz.

– Nieprawda. Unikam odpowiedzi, a to zupełnie coś innego.

Nagle dostrzegłam, jak Niemożliwie Przystojny Bob spogląda na nią i oblewa się rumieńcem. Natychmiast nabrałam pewnych podejrzeń co do tego, z kim spędziła tydzień. Ale hej, była dorosła. Postanowiłam przemaglować ją później.

Dotarliśmy na miejsce jako pierwsze, nie licząc stojących z boku Boba i Edwarda. Byli zajęci grzebaniem w jakichś pudłach, usiadłyśmy więc na ławce. W ogrodzie



botanicznym panował zaskakujący zgiełk. Ptaki skrzeczały jeden przez drugiego, pszczoły bzyczały, jak to pszczoły, a motyle śmigwały z łopotem skrzydeł, obrzucając się wyzwiskami i przepychając do najlepszych kwiatów niczym maleńcy wandalcy w barwnych koktajlowych kieckach.

Moje dzieci jak zwykle nie traciły czujności.

– Ptaki są tu dużo głośniejsze niż w domu. Dlaczego? – zapytała Clare. Miała na sobie sukienkę w kropki z wizerunkiem Myszkki Minnie... a nie, przepraszam, sukienkę biedronki. Choć sama nie wybrałabym tego stroju do pracy w ogrodzie, z pewnością był oryginalny.

– Nie wydaje mi się, żeby były głośniejsze. Myślę, że tu po prostu jest ciszej – odpowiedziała Annabel.

Jako bardziej praktyczna z siostr siedziała na moich kolanach ubrana w ogrodniczki oraz trampki. Tylko my dwie wiedziałyśmy, że zapomniała włożyć majtki.

Clare zmarszczyła brwi.

– To znaczy, że zawsze tak głośno śpiewają, tylko ich nie słyszymy?

– Tak, bo wiesz, samochody hałasują i w ogóle.

Bel oparła mi głowę na ramieniu, a ja poczułam, jak rozpływam się z czułości. Czasem zachowuję się jak nastoletni chłopiec: Te ich włosy! Dłonie! Zapach ubrań! Kiedy indziej bywa, że mam ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie.

Clare pogrążyła się w zadumie.

– Hm. To je musi denerwować. Ja nie lubię, kiedy chcę coś powiedzieć i nikt nie słucha. – Zawsze była pełna empatii. Kochany dzieciak. – Nic dziwnego, że wciąż robią kupy na samochody. Też bym robiła. – Pełna empatii, a zarazem mściwa.

Powoli schodzili się pozostali. Frances i Eloise nie miały dziś na sobie bliźniaczych swetrów, a mimo to wciąż łączyło je jakieś podobieństwo. Zaczęłam się zastanawiać, czy gdybyśmy spędzili razem całe życie, i ja w końcu upodobniłabym się do Dana. Potem przyszło mi do głowy, że nie wiem, czy Frances i Eloise są ze sobą od dawna, czy po prostu tak założyłam. Staram się nigdy nie osądzać książki po okładce, a jednak wciąż mi się to zdarza. Moim problemem jest brak wyobraźni. Gene nadszedł ciężkim krokiem i uśmiechnął się olśniewająco.

– Dzień dobry wszystkim!

– Dzień dobry, Gene – odparła Eloise. – Widzę, że jesteś dziś w dobrym humorze.

Gene klapnął na ławkę naprzeciwko naszej.

– To prawda. Moja żona, poczciwa dusza, musiała wyjechać na jakiś czas, ale wcześniej upiekła dla mnie ciasto kawowe. Dziś rano usiadłem sobie w sielskim, cichym ogrodzie i od razu zjadłem pół. Było pyszne. – Spojrzał na nas i lekko spoważniał. Chyba bał się, że uznamy go za mięczaka. – Bardzo lubię ciasta.

Następna pojawiła się Angela w towarzystwie małego chłopca. Wyglądali na głęboko pogrążonych w rozmowie, ale kiedy się zbliżyli, zrozumiałam, że to raczej monolog.

– Wtedy Ortobot zmienił się w miotacz ognia i wysadził wieżowiec, a Dandobot zmienił się w dźwig i go odbudował, bardzo, bardzo szybko, ale Ortobot próbował zabić Dandobota, ale nie zabił, bo przyszedł zły robot z mieczami i chciał ich obu zabić, więc razem się na niego rzucili, a potem go wysadzili i było super ekstra. – Zdziwiłabym się, gdyby podczas tej przemowy choć raz zaczerpnął powietrza.

Angela zerknęła na mnie i uśmiechnęła się.

– O rany, Bash, to musiało być ciekawe.

– Nie, mamó, to było super ekstra.

Dopiero wtedy podniósł wzrok i zauważył, że na niego patrzymy, po czym umilkł i schował się za mamę. Angela uśmiechnęła się do nas.

– Cześć. To mój synek, Bash. Przywitaj się, kochanie.

Chłopczyk wymamrotał coś pod nosem. Bash. Znakomicie. Pewnie tak go nazywają, bo jak większość małych chłopców jest jak niszczycielski żywioł. Nie żebym była uprzedzona.

– Cześć, Bash – zawołała Clare, moja mała dyplomatka. – Ja będę sadić truskawki. A ty?

Wzruszył ramionami w milczeniu.

– Gdzie chodzisz do szkoły, Bash? – zapytała łagodnie Frances, co mały skwitował kolejnym wzruszeniem ramion.

W tym momencie na rowerze górskim podjechał Mike. Zahamował imponującym ślizgiem, wywołując wśród dzieciaków zrozumiałą szmer podziwu.

– Znakomicie. Jesteśmy w komplecie.

Na dźwięk głosu Edwarda wszyscy się odwróciliśmy. Nie był sam. Obok niego, oprócz Niemożliwie Przystojnego Boba, stała jakaś ładna, wesoła dziewczyna.

– Przedstawiam wam Lisę Vellingę. Tak jak ja pochodzi z Holandii i będzie pomagała dzieciom w ich ogródku.

– Ja sadię truskawki – rozległ się natychmiast czyjś stanowczy głos.

Lisa się uśmiechnęła.

– Ty chyba jesteś Clare. – Spojrzała na pozostałą dwójkę. – A to Annabel i Sebastian.

Ach. Bash to zdrobnienie od Sebastiana. Jasne.

Lisa wyciągnęła rękę, a Clare, oczywiście, natychmiast ją złapała.

– Chodźmy zobaczyć, czego nam trzeba, żeby przygotować ziemię i zacząć sadić nasze rośliny.

Moje dzieci posłusznie ruszyły za nią, ale Bash się ociągał. Angie zdecydowanym ruchem obróciła go do siebie i uklękła.

– Bash, ja tutaj będę. Cały czas będziesz mnie widział i możesz się ubrudzić do woli, zgoda?

Pokiwał głową z wahaniem, ale potem ruszył w stronę czekających Lisy i dziewczynki.

Popatrzyłam na Angie, która obserwowała go w zamyśleniu.

– Jest trochę nieśmiały?

Skinęła głową.

– Wszystko będzie dobrze, kiedy się oswoi, tyle że zazwyczaj wolno mu to idzie.

Bash stał obok pozostałych, gdy nagle Clare dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się. Pokazała mu coś na ziemi i oboje uklękli.

– Słodko wyglądają – zauważyła Angie. Miała dziś luźniej spięte włosy, pewnie dlatego, że rano zajmowała się dzieckiem i zabrakło jej czasu, poza tym w ogóle wydawała się spokojniejsza i weselsza niż tydzień temu.

– Clare jest bardzo towarzyska. Nauczycielka nazywa ją burmistrznią przedszkola.

Choć rozmawialiśmy cicho, Edward przywołał nas do porządku:

– Czy wy mnie w ogóle słuchacie? A jeśli umknie wam coś ważnego i wymrą wam wszystkie warzywa? – Głos miał surowy, ale się uśmiechał.

– Właśnie – dodała Rachel. – Albo co gorsza na waszej lichej działce rozpleni się jakieś paskudne zielsko, które zniszczy mój rajski ogród.

Mike zarechotał.

– Ja to w ogóle planowałem hodować tylko zielsko.

– Zielsko czy zioło? – Frances spoglądała na niego groźnie, niczym nauczycielka na niesforne go ucznia.

– Eee... Miałem na myśli chwasty, bo nie sądzę, żeby wyrosło mi coś innego, zresztą zioło jest przecież nielegalne, no nie?

Jego koszulka z Wielką Stopą walczącą z yeti wytrącała mnie z równowagi.

– W zasadzie prawo stanowe głosi, że można mieć sześć dojrzałych bądź dwanaście niedojrzałych krzaczków, pod warunkiem że posiada się legitymację pacjenta.

Wszyscy obróciliśmy się na pięcie i wlepiliśmy wzrok w Eloise.

– Tak przynajmniej słyszałam. – Zerknęła na Frances, która lekko uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

Edward odkaszlnął.

– No dobrze, pożartowaliśmy, ale teraz wróćmy do warzyw, kwiatów i ziół. Jadalnych ziół.

– Z tego, co słyszałem, nasza mała Clare zamierza uprawiać truskawki – zauważył Gene.

Parsknęłam śmiechem.

– Czyżby jakimś cudem obojętne ci się to o uszy?

Edward wyciągnął z kieszeni listę.

– Oto zadania na dziś: Gene i Mike będą odpowiedzialni za marchewkę i kalafior. Frances i Eloise zajmą się warzywami liściastymi. Lilian, Rachel i Angeli przypadają pozostałe dwie grządki, a więc fasolka, dynia, kukurydza, papryka,

groszek oraz pomidory.

Nagle podniósł ręce i obrócił się wokół własnej osi.

– Nasz kurs ma was nauczyć między innymi dostrzegania przyrody, bez której nie byłoby miasta, pomóc zrozumieć znaczenie sezonowości oraz olbrzymi wpływ składu gleby na to, co i jak może na niej wyrosnąć. Tak wielu spośród nas straciło kontakt z porami roku, pogodą i zjawiskami naturalnymi, które otaczają nas ze wszystkich stron. Dzięki rozwojowi transportu powietrznego jemy owoce przez okrągły rok. Często spędzamy cały dzień w biurówcu, nie zwracając uwagi na to, że na zewnątrz jest chłodniej niż tydzień temu. No i oczywiście wy, biedni Kalifornijczycy, macie właściwie tylko jedną porę roku, no, może dwie. Gorącą i mniej gorącą. Z deszczem i bez deszczu. To smutne. Więc gdy będziecie dziś kopać i sadzić, pomyślcie o tym, jak wiąże was to z pokoleniami ludzi, którzy uprawiali tę ziemię przed wami.

Gdy tylko skończył tę niespodziewanie poetycką przemowę, doszedł nas wybuch śmiechu Clare. Spojrzałam w tamtą stronę. Dzieci już kopały, przyodziane w kapelusze o szerokich, miękkich rondach. Clare i Bash chichotali. Rachel również zwróciła na nich uwagę.

– Hej... Ja też chcę kapelusz. I chcę już zacząć kopać. Bierzmy się do pracy.

Edward się uśmiechnął.

– Rzeczywiście, dosyć gadania. Jeśli chodzi o kapelusze, mam ich dla was kilka, ale ponieważ jest na nich wielkie logo naszej firmy, jeśli chcecie, następnym razem możecie przynieść z domu własne. A teraz idźcie na swoje grządki i zacznijcie grzebać w ziemi. Rozkruszcie kilka grudek, przyjrzyjcie im się i spróbujcie ocenić ich konsystencję. Zacniemy od zadbania o stan naszej gleby i ustawienia treliazy bądź podpórek dla pnączy. Będę podchodził i rozmawiał z każdą grupą po kolei, dobrze?

Dzieci trajkotały radośnie i popatrywały na nas z uśmiechem.

– Usiądź na ziemi, mamo – odezwał się Bash. – Jest ciepła! – dodał rozpromieniony.

Angie uśmiechnęła się, usiadła i spojrzała na nas.

– Rzeczywiście, ciepła.

Zanurzyła dłoń w glebie.

Rachel westchnęła.

– Okej, czas ubrudzić tyłek.

Usiadła, dość ostrożnie, a ja po chwili zrobiłam to samo.

Popatrzyłam na pozostałych. Eloise i Frances zajęły grządkę nieopodal nas i podczas gdy Frances od razu zabrała się do grabienia oraz spulchniania, Eloise po prostu uklękała i wystawiła twarz do słońca. Wyglądała na spokojną i zrelaksowaną. Może była upalona.

Mike i Gene rozmawiali z Edwardem. Niemożliwie Przystojny Bob podszedł do

nas, ciągnąc wózek pełen ułożonych w stosy bambusowych tyczek.

– Cześć, Rachel – rzucił nonszalanckim tonem.

– Cześć, Bob – odparła równie bez troski.

– Dobrze się wczoraj bawiłem. – Mimo luzackiej pozy w jego oczach lśnił żar. Angie i ja nawet nie próbowaliśmy udawać, że nie podsłuchujemy.

– Ja też. – Rachel podkreśliła tempo: odwróciła się i zebrała swoje długie włosy w kok, wdzięcznie wyginając szyję. Ten gest działał w niemal stu procentach przypadków. Bob nieznacznie zmrużył oczy i uśmiechnął się do mnie i Angie.

– Dostawa, moje panie.

Rozładował tyczki i odszedł, ciągnąc za sobą turkoczący wózek, nie odezwawszy się do Rachel już ani słowem. Czułam się, jakbym oglądała film przyrodniczy.

– Rachel Anderby – przemówiłam surowo. – Kiedy spotkałaś się z Bobem?

– Wybacz, nie usłyszałam, co mówiłaś. Wiatr tak głośno wieje.

Spojrzałyśmy po sobie z Angie. Tym razem to ona spróbowała:

– Spałaś z nim?

Rachel gwałtownie zadarła głowę.

– Tam chyba lata orzeł?

Poddałyśmy się. Ale przecież znałyśmy prawdę.

Pochyliłam się, by sprawdzić, jakie skarby przywiózł nam Bob. Były tam długie bambusowe tyczki i bela sznurka – może będziemy później budować latawce? Do tego wąska czarna rurka z otworami. Nie wyglądało to szczególnie imponująco.

Rachel gawędziła z Angelą.

– Wybacz, nie chcę być wścibska, ale wspomniałaś coś o mieszkaniu na jakimś ponurym osiedlu?

Angie przytaknęła.

– Zgadza się, we wschodnim Los Angeles. Chciałabym móc powiedzieć, że ma to swoje dobre strony. Studiuję wieczorowo w szkole pielęgniarstwa. Zamierzam się wyprowadzić, kiedy tylko będę mogła, o ile ojciec Basha się zgodzi, ale myślę, że tak. Albo ktoś go zastrzeli i będzie po kłopotach – zażartowała, po czym nagle przypomniała sobie, że jestem wdową, i oblała się rumieńcem. – Cholera. Przepraszam. Zupełnie zapomniałam o twoim mężu...

Wzruszyłam ramionami.

– Nawet mnie samej się to zdarza. Na kilka godzin zapominam, że nie żyje, a kiedy to do mnie dociera, przez chwilę jest źle, po czym wszystko wraca do normy.

– Dawno zginął?

– W przyszłym miesiącu będą cztery lata.

Rachel się skrzywiła.

– O rany, jakie to dziwne. Kiedy zapytałaś, pomyślałam: rok temu, ale naprawdę minęło już tyle czasu.

Angie na nią spojrzała.

– No tak, przecież ty też go znałaś.

– Jasne. Długo byli małżeństwem, mieszkaliśmy w tym samym mieście, więc często się widywaliśmy. Ja też za nim tęsknię. Był bardzo wesołym człowiekiem. Edward podszedł do nas. Z powodu upału nie miał dziś na sobie swetra, tylko koszulkę i džinsy. Jak na wykładowcę był wyjątkowo dobrze zbudowany. Wszyscy moi profesorowie na studiach byli tyczkowatymi oryginałami z ekstrawaganckim owłosieniem na twarzy. Edward wyglądał bardziej jak strażak – wysoki, silny i pewny w ruchach. Nie żebym oceniała go po wyglądzie, to byłoby z mojej strony grubiańskie i po prostu niewłaściwe. Edward zatarł ręce i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Moje panie, czas na małą penetrację.

Spojrzałyśmy na niego. Zaczerwienił się.

– Miałem na myśli penetrację gleby. – Usiadł obok nas i zanurzył dłoń w ziemi. – To w niej dzieje się magia.

– Sądziłam, że najważniejsze są światło słoneczne i woda – powiedziałam, mając w pamięci pięćdziesiąt siedem różnych podręczników do biologii, o *Ulicy Sezamkowej* nie wspominając.

Edward pokiwał głową, wciąż grzebiąc palcami w ziemi.

– Oczywiście, bez nich nic nie wyrośnie, ale to w glebie żyją rośliny, to z niej czerpią pożywienie, a jej stan determinuje to, jak sobie radzą. Nawet największe ilości wody i światła nie pomogą, jeśli gleba będzie zbyt zbita, by mogły się rozkorzenić, albo zbyt rzadka i piaszczysta, by mogły wystrzelić w górę.

Wszystkie trzy potakiwałyśmy z poważnymi, pełnymi skupienia minami. Edward mówił dalej, w charakterystycznym dla siebie formalnym stylu i z uroczym akcentem, i muszę przyznać, że niewiele z tego wszystkiego zapamiętałam. Czułam się jak w szkole na lekcji chemii. Potas, azot, coś tam jeszcze, istota rozkładu i zasady powstawania kompostu, dżdżownice i pędraki... Po kilku minutach usilnego skupienia zaczęłam odpływać. Wbiłam wzrok w ziemię i bawiłam się nią, słuchając jego głosu. Angie i Rachel zadawały pytania, a ja upajałam się chwilą spokoju. Słońce grzało, dzieci się śmiały i miło było tak po prostu sobie siedzieć i rozkruszać grudki ziemi. Czułam, że jestem... zaraz, jak brzmiało to słowo...? Szczęśliwa.

Nagle wszyscy wstali. Cholera, coś mi musiało umknąć.

– Hej, marzycielko, czas chwycić za łopatę. – Rachel wyciągnęła rękę i pomogła mi się podnieść. – Wszystko w porządku?

Skinęłam głową.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

Niemożliwie Przystojny Bob znów znalazł się obok nas, najwyraźniej gotów igrać z ogniem: uciekł się do najbardziej standardowego triku i zdjął bluzę, ukazując ciasny T-shirt opinający płaski, umięśniony brzuch. Rachel udawała, że tego nie

widzi, ale dostrzegłam, jak mimowolnie zaciska palce. Bob popychał taczkę z jakąś ciemną masą, którą po chwili zrzucił nam u stóp. W powietrzu rozszedł się smród. Przyszło mi do głowy, że może to Bob tak śmierdzi, szybko jednak odpędziłam od siebie tę myśl.

– To obornik – wyjaśnił Edward. – Możecie go wkopać w ziemię. Zawiera mnóstwo substancji odżywczych.

Bob rozdał nam widły i łopaty, po czym oddalił się, pewnie po więcej obornika. Wyglądał jak striptizer przebrany za farmera.

Ja tymczasem miałam kłopot ze zrozumieniem najprostszych poleceń.

– Wkopać? Przepraszam, że głupio pytam, ale co to konkretnie znaczy?

– Pokażę wam. – Edward chwycił łopatę, nabrał obornika, rzucił go na najbliższą grządkę, po czym sięgnął po widły i zaczął przerzucać nimi ziemię.

– Wyobraźcie sobie, że jesteście robotem kuchennym, i po prostu mieszajcie wszystkie składniki. – Uśmiechnął się szeroko. – Kiedy już przygotujemy glebę, zamontujemy nawadnianie kropelkowe. – Wskazał na rurkę. – A potem ustawimy podpórki. Na jednym zagonie zasadzimy bób, fasolkę szparagową, kukurydzę i dynię, a na drugim pomidory oraz groszek.

Cóż, przynajmniej był ambitny. Uśmiechnął się do nas uwodzicielsko, po czym ruszył w stronę Frances i Eloise. Po chwili gapienia się na jego tyłek zabrałyśmy się do pracy. Na początku było łatwo, jednak już po pięciu minutach pot wystąpił mi na czoło. Spojrzałam na Rachel.

– Czy tylko mnie się zdawało, że to będzie o wiele łatwiejsze?

Rachel oparła się na widłach. Wyglądała, jakby robiła to przez całe życie. Gdyby dodać jej jeszcze kraciastą koszulę i kucyki, byłaby z niej wykapana Elly May Clampett.

– A co ty myślałaś, że praca fizyczna jest łatwa? Czy samo określenie „praca” nie jest wystarczającą wskazówką? Gdyby mówili o tym „wakacje fizyczne” albo „fizyczne spełnienie”, rozumiałabym twoje zmieszanie.

– „Fizyczne spełnienie” brzmi jak coś, czego można doznać w burdelu – zauważyła Angie, najwyraźniej obdarzona żelazną kondycją, bo jej sterta obornika topniała w oczach.

Niech im będzie. Znów zaczęłam machać widłami, starając się traktować to jak formę medytacji, a nie zajęcie, od którego tylko boli mnie kręgosłup.

– Mamo?

Zadowolona, że mam pretekst, by przerwać pracę, odwróciłam się do Clare.

– Słucham, kotku.

– Zasadziłam już pierwszą truskawkę. Chodź zobaczyć.

Wbiłam widły w ziemię i ruszyłam za nią. Jak zwykle buzia jej się nie zamykała:

– No więc najpierw wmieszaliśmy do ziemi te kupki zwierzątek, żeby sobie pojadła, a potem zrobiliśmy palcami takie dziurki i włożyliśmy w nie roślinki,

otuliliśmy je ziemią i to było fajne. Pani nauczycielka jest bardzo miła.

Lisa uśmiechnęła się, słysząc te słowa.

– Bycie miłym jest bardzo łatwe, Clare. – Wyciągnęła do mnie ubłoconą dłoń. – Pani Girvan, pani córki to urodzone ogrodniczki.

– Proszę, mów mi Lili. Cieszę się, choć Bóg jeden wie, po kim to odziedziczyły.

Spojrzałam na ich mały kawałek ogródka. Ziemia była spulchniona, a w centralnym punkcie tkwiła sadzonka truskawki. Annabel pracowała w pocie czoła, nawet nie podniosła na mnie wzroku, co na szczęście oznaczało, że dobrze się bawi. Z gładkich kamyków ułożyła kształt serca, a teraz kończyła wypełniać go nasionami. Obok zauważyłam mały stosik opakowań.

– Czemu Annabel ma nasiona, a Clare sadzonki?

– Ponieważ Annabel chciała siać, natomiast jeśli chodzi o truskawki, najlepiej skorzystać z sadzonek. Gdybyśmy użyły nasion, Clare mogłaby nie doczekać się owoców. Teraz też nie mamy pełnej gwarancji, ale nasz ogród zostanie tu jeszcze przez kilka miesięcy, więc w lecie będzie mogła przyjść w każdej chwili i zjeść wyniki swojej pracy. Annabel również dałam wybór. – Lisa pokazała mi stojące nieopodal skrzynki pełne czerwonych i niebieskich kwiatków. – Przyniosłam je, bo wtedy jeszcze jej nie znałam. Ale jasno określiła, że zależy jej na nasionach, więc je dostała. Miejmy nadzieję, że zdążą zakwitnąć.

Wróciłam na naszą działkę. Angie zlitowała się nade mną i skończywszy wkopywać swój obornik, zabrała się do mojego. Nie przeszkadzałam jej, ponieważ uważam, że należy szanować wolę jednostki, zamiast tego przybrałam pomocną pozycję, oparta o widły.

Kiedy gleba na grządkach była gotowa, wrócił Edward. Siedziałam na ziemi. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Dobrze się bawisz, Lilian?

Odwzajemniłam uśmiech.

– Boli mnie kręgosłup, ale poza tym jest super.

Roześmiał się.

– Gdy próbujemy nowych rzeczy, często kończy się to bólem, prawda? Pod tym względem praca w ogrodzie jest zupełnie jak życie.

Skrzywiłam się.

– Ale przecież czasem ból to sygnał od organizmu, żeby trzymać się od pewnych czynności z daleka. Może nie jestem stworzona do kopania.

– A może jesteś po prostu marudą – podsunęła Rachel.

Spojrzałam na Edwarda. Puścił do mnie oko.

– Zostawmy sobie ten temat na inną okazję, dobrze? Na tej działce stworzymy tradycyjny ogród pod nazwą „trzy siostry”. Zakładam, że wiecie, o czym mówię?

Już miałam pokręcić głową, gdy nagle coś mi zaświtało.

– „Trzy siostry”? To metoda rdzennych Amerykanów, prawda?



Pokiwał głową.

– Owszem, a zarazem idealny przykład techniki polegającej na sadzeniu różnych roślin w bliskim sąsiedztwie, żeby sobie nawzajem pomagały.

– Jak to romantycznie brzmi – westchnęła Rachel.

Edward się uśmiechnął.

– Rdzenni mieszkańcy Ameryki byli raczej doświadczonymi i zręcznymi rolnikami niż romantykami, choć przyznaję, że jedno i drugie może iść w parze. Łodygi kukurydzy służą jako podpory dla pnączy fasolki, fasolka wzbogaca glebę w azot, co dobrze robi kukurydzy i dyni, dynia zaś zapobiega wysychaniu podłoża i chroni korzenie kukurydzy oraz fasolki. A żeby było już całkiem idealnie, kukurydza i fasolka spożywane razem dostarczają kompletnej porcji białka. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Fantastyczne, prawda?

Spojrzałyśmy na niego. Nie byłam pewna, czy sama użyłabym tego słowa, ale brzmiało dobrze. Edward kucnął obok mnie i zaczął usypywać kopczyk z ziemi.

– Chodźcie, drogie panie, zapraszam. Potrzebne nam będą dwa lub trzy takie kopczyki o wysokości trzydziestu centymetrów, rozmieszczone mniej więcej pół metra od siebie. Potem zasiejemy kukurydżę tak, by nasiona tworzyły okrąg, i to na razie wszystko. Po pewnym czasie dodamy fasolkę, a na końcu dynię. Czekać, aż wszędzie kukurydza, będziemy pracować na drugim zagonie, gdzie zasadzimy szybciej rosnące warzywa. – Wyciągnął rękę w tamtą stronę. Dostrzegłam drgające pod koszulką mięśnie i nagle uświadomiłam sobie, że Edward mi się podoba. Najwyraźniej byłam na skraju udaru słonecznego.

Rachel spojrzała na swoje zadbane paznokcie.

– Czy rodzaj ludzki nie wymyślił całego mnóstwa narzędzi przydatnych w tego rodzaju pracy?

Zdałam sobie sprawę, że obie z Angie stoją obok i gapią się na nas. Edward wzruszył ramionami.

– Oczywiście, jednak w tym przypadku najlepszym narzędziem jest po prostu ludzka dłoń, poza tym miło poczuć pod palcami konsystencję gleby. To tylko ziemia, uwierzcie mi. Zmyje się.

– On z nas drwi – zauważyła Angie.

Edward tylko się uśmiechnął.

– Ludzie uprawiali rolę od zarania dziejów. W związku z tym niektóre rośliny stały się od nas zależne, tak samo jak inne są zależne od ptaków, bo muszą przejść przez ich układ trawienny, aby wykiełkować. Robimy, co w naszej mocy, sadząc rośliny w zdrowej glebie, podlewając je, pieląc i zapewniając im spokój. Odwdzięczają się nam owocami i wytwarzaniem smacznych kwiatów czy nasion.

Sięgnął po kilka bambusowych tyczek i zwrócił się do mnie:

– Pomożesz mi umocować podpórki dla pomidorów?

– Jasne. – Otrzeptałam ręce i sięgnęłam po kilka tyczek. Edward miał ich w dłoni

sześć lub siedem i wbił je w ziemię tak, że tworzyły okrąg. Poszłam za jego przykładem.

– Ustawimy tu coś w rodzaju namiotu bądź stożka. Nachylenie tyczki do środka i zwiążcie czubki sznurkiem. Trzeba go przepleść, a potem owinać dookoła, żeby wszystko się trzymało. – Szybkimi ruchami pokazywał nam, co robić. W pewnym momencie chwycił mnie za ręce i podał mi sznurek. – Ja przytrzymam tyczki, a ty je obwiąż. Widzisz? – Spojrzałam na niego. Oczy miał pełne serdeczności i ciepła. – Tu się nie da popełnić błędu. Zrób to po prostu tak, żeby nasze małe tipi się nie zawaliło.

Sięgnęłam po szpulę i próbowałam naśladować jego ruchy. Owijałam sznurek wokół każdej tyczki i przechodziłam do następnej. Miał rację. Robota szła mi jak z płatka. Po chwili mały stożek z patyków stał mocno i stabilnie.

– Ale jak skłonimy pomidory, żeby się na nie wspięły? – Zmarszczyłam brwi. – Czy one się w ogóle pną? Chyba nigdy w życiu nie widziałam rosnących pomidorów.

– Nie odwracaj się teraz, są tuż za tobą – odparł Edward.

Odwróciłam się powoli i ujrzałam płaską skrzynkę pełną spiczastych zielonych roślinek.

– Wyglądają niegroźnie.

Skinął głową.

– Bo takie są. Pomidor to jedna z moich ulubionych roślin. Prawie zawsze obficie owocuje i jeśli tylko ochronimy go przed gąsienicami, będziemy mogli stanąć sobie w słońcu na polu i najeść się do woli. – Obliznął usta jak małe dziecko. – Pycha.

– Co pycha?

Obróciłam się zaskoczona. Annabel zmaterializowała się tuż obok mnie, opanowawszy najwyraźniej sztukę teleportacji.

– Pomidory – odpowiedział Edward. – Pomożesz mamie je zasadzić?

– Pewnie. Skończyłam już z kwiatami.

Uśmiechnął się do niej.

– Mogę zobaczyć?

Skinęła głową i ruszyli. Idąc, Edward rzucił przez ramię:

– Najpierw zamontujemy system nawadniający, weź kilka tych czarnych rurek. Zaraz wracam.

Stałam i patrzyłam, jak odchodzą, jej drobna figurka obok niego. Wreszcie się otrząsnęłam i spojrzałam na rurki.

Okazało się, że – mimo profesjonalnie brzmiącej nazwy – system nawadniania kropelkowego to w rzeczywistości zwykłe rurki umieszczone w wykopanych wzdłuż grządek rowkach. Ich zakończenia sterczały w górę z obu stron w oczekiwaniu, aż ktoś mądrzejszy ode mnie podłączy do nich wodę.

Edward spojrzał na zegarek i przysunął skrzynkę z sadzonkami.

– Mamy jeszcze czas. Do roboty.

Annabel pokazała mi, jak zasadzić pomidory, i zrobiłyśmy to razem. Wkopawszy w ziemię pierwsze sadzonki, stwierdziłam, że mi się to podoba i że krzaczki przyjemnie pachną. Nie ładnie, ale ciekawie, paprykowo i zielono. Czułam ten zapach na skórze dłoni i w ciepłym powietrzu. Nagle uświadomiłam sobie, że wyostrzyły mi się wszystkie zmysły i może to dlatego nie skupiałam się na tym, co i dlaczego robię źle. Chłonełam świat dłońmi, oczami, uszami (nasłuchując bzyczenia niebezpiecznych afrykańskich pszczół, ptasich awantur, docierających z oddali głosów pozostałych uczestników kursu i piskliwych objaśnień Clare opowiadającej Lisie o kocich sutkach) i nosem. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że mimo fizycznego zmęczenia jest mi tak dobrze. Prawdopodobnie dałoby się w tym odnaleźć jakąś metafizyczną mądrość, nie miałam jednak najmniejszego zamiaru jej szukać. Po raz pierwszy od dobrych kilku lat postanowiłam przestać myśleć i po prostu kopać.

## OGÓRKI



Kiedy już posiejesz nasiona, pamiętaj, by chronić je przed szkodnikami za pomocą siatki, wiklinowego koszyka bądź tresowanego orła. Wykorzystaj to, co akurat masz pod ręką.

Od czasu do czasu włóż palec w ziemię i sprawdź poziom wilgotności. Jeśli czujesz, że gleba jest sucha powyżej pierwszego paliczka, poszukaj konewki. Jeśli nie możesz wyciągnąć palca, to znak, że przesadzasz z podlewaniem. Nieregularne podlewanie sprawi, że owoce będą miały gorzki smak.

Podlewaj sadzonkę powoli, rankiem albo wczesnym popołudniem, uważając, by nie zamoczyć liści. Krople wody na delikatnych liściach w słońcu upodabniają się do szkła powiększającego, parząc roślinę i solidnie ją wkurzając.

Spryskuj pnącza wodą z cukrem, aby przyciągnąć pszczoły, dzięki czemu uzyskasz więcej owoców.

Możliwe, że ogórek nie zaowocuje od razu, ponieważ bywa, że na początku wypuszcza tylko męskie kwiatostany. Aby powstały owoce, kwiaty męskie i żeńskie muszą kwitnąć jednocześnie. Uzbrój się w cierpliwość.

## ROZDZIAŁ 8

Po skończonych zajęciach staliśmy wszyscy razem i rozmawialiśmy. Gene nadal się nie uśmiechał, choć był w wyraźnie dobrym nastroju. Uznałam, że to całkiem urocze.

– Masz dzieci, Gene? – zagałam, postanowiwszy dowiedzieć się czegoś więcej o każdym z nowych znajomych.

Skinął głową.

– Dwie córki, jedna kończy studia, a druga niedługo po raz pierwszy będzie rodzić. Żona właśnie pojechała do niej w odwiedzin. Dom jest bez niej bardzo cichy.

– To przyjeżdż do nas na kolację – zaproponowała ochoczo Clare, która zapałała do niego wyraźną sympatią. Prawdopodobnie dlatego, że poparł ją w sprawie przejażdżki na traktorze. – Mama powiedziała, że może zamówimy pizzę.

Gene uśmiechnął się leciutko.

– Och, dziękuję, Clare, ale twoja mama ma na pewno wystarczająco dużo pracy.

– I tak będzie miała gości. – Edward podszedł do nas w towarzystwie Niemożliwie Przystojnego Boba. – Bob i ja zamierzamy jej dziś pomóc w stworzeniu uroczej oazy w ogródku za domem.

Uśmiechnęłam się, odrobinę zmieszana tym, że ogłosił to w obecności wszystkich. Rachel dodała:

– Ja też tam będę, choć zamierzam spędzić większość czasu w łazience na przyglądaniu się pryszczowi, który właśnie wyrasta mi obok nosa. Dlatego bardzo się ucieszę, jeśli zastąpisz mnie przy pracy.

Potoczyłam wzrokiem po zebranych. A co mi tam.

– Właściwie jeśli jeszcze ktoś ma ochotę wpaść, zjeść pizzę i pośmiać się w moim ogrodzie, to zapraszam. Angie, Bash mógłby się pobawić z dziewczynkami. Wprawdzie mam w domu bajzel i naprawdę zamierzałam po prostu zamówić pizzę, ale będzie mi miło, jeśli przyjdziecie.

Wzruszyłam ramionami, starając się okazać im w ten sposób, że z radością przyjmę ich u siebie, ale jednocześnie nie obrażę się, jeśli nie skorzystają z zaproszenia. Choć zazwyczaj bywam gburowatą samotniczką, czasami udaje mi się zaskoczyć samą siebie.

O dziwo wszyscy przystali na propozycję. Edward był zachwycony.

– Myślę, że z taką pomocą uwiniemy się w jedno popołudnie! Ale będzie frajda.

– A w przyszłym tygodniu możecie zająć się moim ogródkiem – roześmiała się Angie.

– Czemu nie? To dobre ćwiczenie. Zajmiemy się każdym po kolei. – Edward mówił całkiem poważnie. – A ty masz ogródek, Angelo?

Spochmurniała.

– Nie, tylko balkon. A w zasadzie dwa, bo mieszkam obok matki i już dziesięć lat temu pozbyliśmy się ścianki działowej.

Edwardowi zaświeciły się oczy.

– Cudownie! Skrzynki i donice. Można z nich stworzyć naprawdę piękny ogród.

Angie nie wyglądała na przekonaną i szybko zmieniła temat.

Podaliśmy wszystkim adres i ruszyliśmy do samochodów. Przyznaję, że w drodze powrotnej dociskałam pedał gazu, aby zdążyć uprzątnąć co bardziej wypadkowe przedmioty. Najwyraźniej jednak Eloise i Frances były rekordzistkami prędkości w kategorii nauczycielek, bo kiedy podjechałam pod dom, już tam na mnie czekały. Frances się uśmiechnęła.

– Pośpieszyliśmy się, żeby pomóc ci posprzątać, zanim wszyscy zwałą ci się na głowę.

Przez moment zamierzałam udawać, że nie ma takiej potrzeby, zwyciężył jednak zdrowy rozsądek.

– To wspaniale. Tam, w środku, wygląda jak po katastrofie. Nie macie pojęcia.

Eloise zachichotała.

– Przez dwadzieścia lat uczyliśmy w podstawówce. Mamy jak najlepsze pojęcie. Jeśli myślisz, że dwójka dzieci potrafi narobić spustoszeń, powinnaś zobaczyć, do czego jest zdolna ponad dwudziestka.

Frances przytaknęła i weszła z nami do domu, w którym wyjątkowo nie unosił się żaden podejrzany zapach.

– Kiedy dopiero zaczynałyśmy uczyć, trzydziestoosobowe klasy były jeszcze normą i niejednokrotnie szkolna sala zmieniała się w siedlisko anarchii. – Roześmiała się, choć wtedy to musiało być przerażające.

Eloise rozejrzała się po kuchni. Wokół wciąż walały się naczynia ze śniadania.

– No popatrz, nie jest tak źle – oznajmiła, co było oczywistym kłamstwem. – Może załaduję zmywarkę, ty w tym czasie wytrzesz blaty, a Frances i Rachel z dziećmi uprzątną resztę?

Otworzyła zmywarkę i zwinnie zabrała się do dzieła. Po chwili zadzwonił dzwonek. Poszłam otworzyć. W progu stali Angie i Bash.

– Cześć, przyjechałam wcześniej, żeby pomóc ci posprzątać. Bash, biegnij poszukać dziewczynek i...

Mały wystrzelił jak z procy, zanim zdążyła skończyć zdanie. Uśmiechnęła się.

– Chyba się zakochał w Clare.

Wzruszyłam ramionami.

– Obawiam się, że złamie mu serce. Jest okropnie kapryśna.

Zaprowadziłam ją do kuchni, mijając drużynę sprzątającą złożoną z Rachel, Frances i trójki dzieciaków wrzucających rozmaite przedmioty za kanapę w salonie.

Angie wybuchnęła śmiechem.

– Widzę, że już zorganizowałaś sobie pomocników.

Skinęłam głową.

– Eloise jest w kuchni, ale przyda nam się dodatkowa para rąk. Dzięki za pomoc.

Ścisnęła mnie za ramię.

– Przysięgam, że ja za tydzień będę musiała poprosić całą bliższą i dalszą rodzinę, żeby pozwalniali się z pracy i przyjechali pomóc mi z bałaganem. Inaczej w życiu się u mnie wszyscy nie zmieścicie.

Rozejrzała się po domu.

– Ładnie tu masz. Na luzie i stylowo.

Ja również się rozejrzałam, usiłując nie zwracać uwagi na nieporządek. Rzeczywiście, był to miły dom. Kiedy kupiliśmy go z Danem, zastaliśmy wewnątrz jedną wielką ruinę i musieliśmy się nieźle napracować, żeby doprowadzić go do obecnego stanu. (Było to, oczywiście, przed narodzinami dzieci. Z pewnością są ludzie, którzy potrafią opalać farbę i piaskować podłogi z potomstwem płaczącym się pod nogami, mnie jednak trudno sobie coś takiego wyobrazić. Wciąż by mnie kusilo, żeby zamurować któreś z dzieci w ścianie, kiedy nikt nie patrzy). Budynek utrzymany był w stylu hiszpańskim, dwupoziomowy, o ciemnych drewnianych podłogach, białych ścianach, sklepionych przejściach i z mnóstwem oryginalnych drewnianych elementów. Większość ścian pomalowałam na biało, ale w niszach postawiłam na wyraziste błękity, żółcienie i pomarańcze. Pokój dzieci także był kolorowy.

– Rachel mi mówiła, że jesteś artystką, to widać – ciągnęła tymczasem Angie.

Parsknęłam śmiechem, zakłopotana.

– Jaka tam ze mnie artystka. Jestem tylko ilustratorką.

– A jaka jest różnica?

Zastanowiłam się.

– Artystka tworzy dzięki natchnieniu. Ilustratorka dostaje wskazówki, ilustruje tekst.

Angie się zamyśliła.

– Czyli różnica polega tylko na tym, dla kogo pracujesz.

– Chyba tak.

– Zatem nie jest specjalnie wielka.

Na szczęście uratowało mnie wejście Rachel.

– Wszystko gotowe. Zamierzam później zaprosić Eloise do siebie. Jest istnym aniołem sprzątania. Twierdzi, że to dlatego, że zawsze przed wyjściem z pracy musiała doprowadzić swoją salę do porządku, ja jednak uważam, że to talent od Boga.

– Podobnie jak bycie artystką – rzuciła lekko Angie i ruszyła do kuchni.

Rachel spojrzała na mnie.

– Coś mnie ominęło?

Pokręciłam głową.

– Nic takiego. Widzę kolejnych gości. Czyżby wynajęli autokar?

Edward, Gene, Mike i Lisa zmierzali ścieżką w stronę domu. Gene niósł jakieś narzędzia, a Mike i Lisa gawędzili w najlepsze. Otworzyłam drzwi.

– Mike nauczy mnie surfować – oznajmiła zachwycona Lisa. – Jeszcze dzisiaj.

Uśmiechnęłam się dopingująco.

– Ale fajnie. Domyślam się, że w Holandii macie mało okazji do surfowania.

Roześmiała się.

– W końcu Holandia leży nad Morzem Północnym! Nikt do niego nie wchodzi, jeśli nie musi.

Wciąż chichocząc nad głupotą Amerykanów, weszła do domu, a Mike za nią.

Następny był Gene.

– Domyślam się, że ty już umiesz surfować.

Zmarszczył brwi.

– Nie, chociaż żona pewnie chciałaby, żebym spróbował. Ma wobec mnie wielkie plany.

Powoli zaczęłam zmieniać zdanie na jej temat. Wyglądało na to, że wbrew temu, co sądziłam, jest babką z jajami. Edward zbliżył się i stanął w progu.

– Cześć, Lilian. – Zdołałam tylko wykrztusić „cześć”, zanim zaczął mówić dalej: – Wybacz, po drodze uświadomiłem sobie, że chyba postawiliśmy cię w niezbyt komfortowej sytuacji.

Pokręciłam głową.

– Hej, to przecież ja wszystkich zaprosiłam. Miło dla odmiany mieć gości, poza tym jestem za stara, żeby się przejmować tym, co inni sądzą o moim bałaganie.

Kolejny raz tego dnia zostałam uraczona spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

– Nie jesteś stara, Lilian. Jesteś młoda i piękna.

Po tych słowach minął mnie i dołączył do pozostałych. Stałam w progu jak cielę, młode i piękne, ale jednak cielę. Czy on ze mną flirtował? Miał poważną minę, nie uśmiechał się, a jednak powiedział, że jestem piękna. Miło było to usłyszeć.

Dziwnie, ale miło.

Zamykając drzwi, omal nie rozkwaśliłam nosa biednemu Bobowi, co dla niego byłoby pewnie bolesne, a co gorsza stanowiłoby niepowetowaną stratę dla kobiet na całym świecie.

– Przepraszam, Bob! Nie zauważyłam cię.

Uśmiechnął się.

– Nie szkodzi. Edward poprosił, żebym wzięła ciężarówkę i przywiózł twoje rośliny.

Tym razem to ja zmarszczyłam brwi.

– Moje rośliny?

– Tak, do twojego ogrodu. Mam je przenieść przez dom czy jest jakaś ścieżka dookoła?



Pokazałam mu drogę oraz miejsce, gdzie mógł zaparkować ciężarówkę. Kiedy do niej zajrzałam, oczy wyszły mi z orbit. Wewnątrz zobaczyłam kwiaty, krzaczki, krzewy, skrzynki pełne mchu i paproci, worki z ziemią, kompostem i ściółką. Oprócz tego węże ogrodowe, konewki i bambusowe tyczki, płytki chodnikowe i ozdobne kamienie. Kiedy Bob przejeżdżał obok, mogłabym przysiąc, że przed oczami mignęło mi nawet poidelko dla ptaków. Tego już było za wiele. Postanowiłam rozmówić się z Edwardem.

Stał w ogródku za domem, z Gene'em i Eloise, opowiadając o czymś i gestykułując zamasyście. Do cholery, miał nawet w dłoni wydruk mojego rysunku. Po odgłosach domyśliłam się, że wszyscy pozostali bawią się kucykami w pokoju dzieci. Oprócz Franka, który tkwił u boku Gene'a, wielce zadowolony z głaskania. Gdy tylko Gene nieruchomiał, Frank wspinał się na palce, co w wykonaniu grubego labradora jest nie lada sztuką, i wpychał mu łeb pod rękę. Bezwstydnik. Kiedy podeszłam bliżej, Gene odwrócił się do mnie.

– Fajnego masz psa – powiedział i tym razem szeroko się uśmiechnął. Frank tak działa na ludzi, trzeba mu to przyznać.

– Dzięki. – Nie miałam zamiaru pozwolić zbić się z tropu. – Edwardzie, czemu Bob przyjechał tu z ciężarówką roślin?

Edward zrobił zdziwioną minę.

– Przecież mieliśmy urządzić ci ogród. Jak moglibyśmy tego dokonać bez roślin? Miało to sens.

– Sądziłam, że na początek tylko rzucisz okiem.

Wzruszył ramionami.

– Jasne, ale pomyślałem, że równie dobrze możemy już teraz wziąć ze sobą parę rzeczy. Jeśli nie wykorzystamy wszystkich, odwiezę je z powrotem do ogrodu botanicznego.

Przyjrzałam mu się z niedowierzaniem.

– Parę rzeczy? Macie tego cały samochód. Nie wiem, czy będę mogła... – umilkłam nagle onieśmielona.

Na jego twarzy pojawiło się zrozumienie.

– Ach, martwisz się o pieniądze? Bez obaw. Moja firma płaci, zamierzam zrobić zdjęcia przed i po i wpisać wszystko w koszty. Właściwie myślę o tym, żeby napisać książkę na podstawie naszego kursu.

– Mógłbyś zrobić zdjęcia u wszystkich – zaproponowała Eloise. – Ciekawie byłoby zobaczyć, jak nowo zdobyta wiedza zostaje wykorzystana w praktyce.

Edward pokiwał głową.

– I możemy poprosić Lilian o ilustracje. – Uśmiechnął się do mnie. – To ty ilustrujesz przewodnik po warzywach, który wydaje moja rodzina, prawda? O tej książce mówiłaś za pierwszym razem?

Zmarszczyłam brwi.

– Tak... Skąd wiedziałaś?

Wzruszył ramionami, nagle zakłopotany.

– Rozmawiałem z siostrą, która zarządza biznesem wydawniczym. Wspomniała, że nawiązaliśmy współpracę z nowym wydawcą i że przyślą ilustratorkę... Po prostu skojarzyłem fakty.

Spojrzałam na niego, nie wiedząc, co powiedzieć. Rozmawiał o mnie ze swoją siostrą? A może często gadają o interesach?

Na szczęście Eloise przerwała milczenie i zapytała, jaką formę mogłaby przybrać książka o naszym kursie. Zostawiłam towarzystwo i przeszłam do kuchni. Zostałam tam Rachel, która najwyraźniej przez cały czas obserwowała nas przez okno.

– Panikujesz. Co się stało?

Nie byłam pewna i powiedziałam jej o tym.

– Za dużo się ostatnio dzieje w moim życiu.

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Mówisz o urządzaniu ogrodu czy o tym, że kochasz się w nauczycielu?

– Nie mam pojęcia, o czym gadasz. Jesteś beznadziejną romantyczką, Rachel. Nie jestem nim zainteresowana, jasne? Daj mi spokój.

Odwróciłam się i niechcący wylałam do zlewu parującą jeszcze zawartość ekspresu.

– Zdążyłaś zrobić kawę?

Skinęła głową.

– Właśnie się zaparzyła.

Dostrzegłam w jej dłoni dzbanuszek ze śmietanką.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. Ale zrób nową porcję, bo zdaje mi się, że widziałam Boba, i potrzebuję kofeiny.

– A więc jednak z nim spałaś.

– Jeszcze nie. Może kiedyś. Rób tę kawę. – Odstawiła dzbanuszek na blat przy zlewie. – I nie wylewaj mi śmietanki, bo cię pobiję.

Włączyłam ekspres. Do kuchni weszli Frances i Mike.

– Myślicie, że powinniśmy już tam pójść? – spytali i wyjrzeli przez okno.

Mike uśmiechnął się do mnie.

– Masz super dzieciaki.

– To prawda, Lilian – zawtórowała mu Frances, również uśmiechnięta. – Są bardzo bystre i mają ciekawe osobowości. Gdyby nie to, że już nie uczę, z radością powitałabym je w swojej klasie.

– To miłe z twojej strony.

Odwróciliśmy się na dźwięk wołania z ogrodu:

– Chodźcie tu, lenie, chodźcie i pomóżcie!

To Edward krzyczał do nas, taszcząc worek nawozu. Razem z Gene'em

wyładowywali samochód, podczas gdy Eloise rozkładała rośliny w ciasnym ogródku. Wszyscy wysypaliśmy się na zewnątrz.

Ciężarówka z otwartą paką stała przy bramie. Frank zdołał wskoczyć do środka i nadzorował teraz całą operację. Popisywał się pewnie przed swoim nowym przyjacielem Gene'em. Wspólnymi siłami szybko poradziliśmy sobie z rozładunkiem, a mimo to wszystkiego było za dużo.

– Edward, zwariowałaś – sapnęłam, rozglądając się wokół. – Przecież tu ledwo starczy miejsca. Gdzie zamierzasz to wszystko posadzić?

– Zaufaj mi – mruknął uwodzicielsko głębokim głosem. – Znam się na tym.

Clare i Annabel zachichotały. Stały razem z Bashem w drzwiach do kuchni i patrzyły, jak się pocimy.

– Aha! – dostrzegł je Edward. – Chodźcie no tu i pokażcie mi, gdzie chcecie mieć to swoje królestwo wrózek.

Dziewczynki pisnęły z zachwytu, natomiast Bash wydał z siebie dźwięk, jaki może wydać tylko pięcioletni chłopiec, kiedy proponuje mu się coś dziewczyńskiego: było to coś pomiędzy prychnięciem, śmiechem a odgłosem wymiotnym.

– Królestwo wrózek? Co za nudy.

– Mylisz się – poinformował go Edward. – Wróżki rodzaju męskiego są bardzo twardymi wojownikami, którzy walczą z wrogiem za pomocą gałązek i kamyków. Sam zobaczysz. Obrona królestwa wrózek przed łasicami i szczurami to nie taka prosta sprawa.

– Świetnie – wymamrotała Angie. – Naucz go rzucać kamykami, proszę bardzo.

– Nie martw się – pocieszyłam ją. – Mały i tak tego nie kupi. Wróżki to wróżki. Nie ma w nich nic wojowniczego.

Ale znów się pomyliłam. Bash dał się wciągnąć do zabawy. Razem wybrali miejsce, w którym miało stanąć królestwo wrózek, cokolwiek to znaczyło, a Edward obiecał, że w ciągu tygodnia wpadnie z niespodzianką. Nie miałam pojęcia, co zamierza. Dotarło do mnie tylko tyle, że za parę dni znów go zobaczę. Czasem zastanawiam się, czy nie jestem przypadkiem za bardzo skoncentrowana na sobie.

Wkrótce przyjechała pizza i zabraliśmy się do jedzenia. Gene wciąż był w nastroju do rozmów.

– Eloise, jak poznałyście się z Frances?

Zapadło milczenie. Kobiety spojrzały po sobie. Eloise miała pełne usta i walczyła właśnie z górą stopionego sera, Frances odpowiedziała więc za nią:

– W szkole. Gdzieżby indziej? Żadna z nas nigdzie nie wychodziła. – Uśmiechnęła się. – Poza tym w tamtych czasach w mediach nie było tak wiele lesbijek jak teraz, nie byłyśmy więc tak otwarte, jak możemy być dzisiaj.

– Jak długo jesteście razem? – Mike, siedzący na ciepłym worku nawozu, sięgnął po następny kawałek.

– Długo. Ponad dwadzieścia lat. Kiedy się poznałyśmy, byłam młoda i nie sądziłam, że w ogóle byłabym w stanie poderwać kobietę. – Zerknęła w stronę bawiących się dzieci, które nie zwracały na nas jednak najmniejszej uwagi. – Ale pewnego dnia w szkole pojawiła się nowa nauczycielka plastyki, czyli Eloise, i jakoś poszło.

– I odtąd jesteście parą?

– Z małymi przerwami. – Rozejrzała się. – A ty, Rachel? Jakim cudem jesteś sama? Rachel swoim zwyczajem wzruszyła ramionami.

– Na razie szukam. Kiedy mi się uda, być może wyjdę za mąż. Miałam kiedyś męża, ale nasze małżeństwo dość szybko się skończyło.

– Jak szybko? – zapytała Eloise.

– Po trzydziestu sześciu godzinach.

– Poza tym jest zajęta pomaganiem mi w wychowaniu dzieci – dodałam pozornie lekkim tonem, ale zarazem zdecydowana ruszyć siostrze z pomocą.

– Na szczęście – odwdzięczyła mi się Rachel – jeśli jestem grzeczna, dostaję wolne wieczorami oraz w weekendy i wykorzystuję ten czas na bycie niegrzeczną, więc wszystko jest w porządku.

Zerknęłam na Boba, który patrzył na nią z nieśmiałym uśmiechem. Może jednak myliłam się, sądząc, że zaprzepaścił swoją szansę.

– Edwardzie, a ty?

Edward podniósł ręce w obronnym geście.

– Nic ciekawego. Ja również jestem po rozwodzie, mam syna, który mieszka w Amsterdamie, więc można śmiało stwierdzić, że jestem singlem.

Eloise nie dawała za wygraną:

– I nie ma w twoim życiu nikogo wyjątkowego?

Edward się zaczerwienił.

– W tej chwili nie.

Rachel spojrzała na mnie i uniosła brwi. Idiotka. Eloise wyraźnie miała ochotę dążyć dalej, ale Edward wstał i wytarł ręce w dżinsy.

– Wracajmy do pracy. O czwartej stracimy Boba, a bez niego pójdzie nam znacznie wolniej.

Ciekawa byłam, dokąd się wybiera – na spotkanie z kuratorem sądowym? na sesję zdjęciową? – ale musiałam przyznać, że w ogrodzie Bob jest prawdziwym tytanem pracy. Przekopał grządki na tyłach ogródka i zasadził na nich kwiaty, podczas gdy my ledwie zdążyliśmy zacząć. Frances i Eloise zabawiały w domu dzieci, od czasu do czasu korzystając z pomocy Mike'a, zaś my, pozostali, wykonywaliśmy po prostu polecenia. Rachel napełniała skrzynki ziemią; ja wykopałam wokół naszego jedyne drzewka coś w rodzaju fosy, którą wypełniłam obornikiem i ściółką, aby biedactwo nakarmić; Angela zasadziła wysokie kwiaty na grządce biegnącej wzdłuż ściany domu. Edward był odwrócony do mnie plecami, domyślałam się

jednak, że pracuje nad magicznym zakątkiem wróżek, bo obok niego stały płytkie skrzynki z mchem i paprociami.

Tuż przed czwartą Bob wyprostował się i przeciągnął. Wszyscy zgodnie wlepiliśmy w niego wzrok. Przypominał eksponat w galerii sztuki: należało go podziwiać, inaczej człowiek wydałby się nieokrzesany. Wykończona przez niego grządka wyglądała jak z katalogu ogrodniczego. Zrobiła na mnie ogromne wrażenie i nie omieszkałam mu tego powiedzieć.

– Jestem ci bardzo wdzięczna. Dziękuję, że nam pomogłeś. To bardzo miłe z twojej strony.

Uśmiechnął się serdecznie.

– Nie ma za co. Poza tym nie pracowałbym w ogrodzie, gdybym tego nie lubił, prawda?

– Chyba tak. – Odczekałam chwilę, ale w końcu zadałam pytanie, które tak bardzo mnie nurtowało: – To znaczy, że chcesz się zajmować ogrodnictwem, czy przyjechałeś do Los Angeles po sławę?

Roześmiał się.

– Mój Boże, tylko nie to. Uciekam z miasta, kiedy tylko mogę. Wychowałem się tu, więc nie wydaje mi się specjalnie olśniewające. Chcę zostać farmerem i studiuję rolnictwo w Pierce. – Skinął głową w stronę Edwarda, który wciąż majstrował przy paprociach. – Trafiłem na jego zajęcia i tak znalazłem się tutaj. Zazwyczaj nie pracuję w weekendy.

– A dokąd się teraz wybierasz? Na uczelnię?

– Nie, jestem wolontariuszem w organizacji, która zajmuje się walką z analfabetyzmem wśród dorosłych. Tam się bardzo przydaje hiszpański, a ja dobrze go znam, bo mama używała go w domu.

Zagapiłam się na niego i poczułam, jak wizja, którą tak starannie skonstruowałam sobie w głowie, wali się niczym domek z kart.

– Okej, rozumiem.

Uśmiechnął się, po czym sprężystym krokiem ruszył do wyjścia, zatrzymując się na moment, by zamienić kilka słów z Rachel. Nie słyszałam, o czym mówią, ale Rachel patrzyła na niego zalotnie i kiwała głową. Miałam tylko nadzieję, że nie zje go na śniadanie.

Wkrótce towarzystwo zaczęło się wykruszać. W końcu zostałam w ogrodzie sama z Edwardem. Z pokoju dziewczynek dobiegały odległe głosy zwiastujące rychłą awanturę. Wiedziałam, że lada moment któraś zacznie płakać lub wrzeszczeć, kładąc kres miłej chwili spokoju, ale póki trwała, byłam zadowolona. Znalazłam butelkę wina oraz dwa kieliszki, przysiadłam na progu i rozejrzałam się dookoła. Nie poznawałam swojego ogródka. Grządki wypełnione były ciemną, zdrową glebą, wszędzie rosły świeżo posadzone rośliny albo bujne kępy mchu i paproci. Było magicznie.

Edward usiadł obok mnie. W Los Angeles wieczory bywają zaskakująco chłodne. Jednak teraz słońce właśnie zaczynało zachodzić, więc było ciepło i Edward wciąż miał na sobie tylko koszulkę. Raz po raz czułam, jak ociera się o mnie nagim przedramieniem, aż wreszcie poszłam po sweter. Nie było mi zimno: potrzebowałam po prostu warstwy ochronnej.

– Czy twój mąż lubił pracę w ogrodzie, Lili?

To pytanie mnie zaskoczyło. Zazwyczaj ludzie unikali mówienia o Danie, ja również.

Pokręciłam głową z uśmiechem.

– Ani trochę. Podobnie jak ja był typowym mieszczuchem i pewnie nawet nie myślał o tym miejscu jako o ogrodzie.

Edwardowi zadrżały kąciki ust.

– Ty chyba też nie?

Skinęłam głową.

– Teraz jest tu o wiele ładniej.

– Myślisz, że by mu się podobało?

Rozejrzałam się.

– Na pewno. Bo wiesz, to dobre miejsce dla dzieci, a on uwielbiał patrzeć, jak się bawią. – Przełknęłam ślinę. – Choć nigdy nie widział bawiącej się Clare. Była całkiem malutka, kiedy zginął.

Edward złapał mnie za rękę.

– To musiało być straszne. Tak mi przykro, Lili.

Często słyszę to zapewnienie i podobnie jak pytanie „jak się masz” przybiera ono miliony różnych odcieni. Jego było szczere. Poczułam ucisk w gardle i z trudem powstrzymałam się od płaczu. Zmień temat, zmień temat!

– A czy twoja żona miała coś wspólnego z ogrodnictwem?

Cóż, nie była to całkowita zmiana tematu, ale nic lepszego nie zdołałam wymyślić.

Edward cofnął rękę.

– Nie. Była i jest prawniczką. Zналиśmy się od dziecka, ale zaczęliśmy się spotykać właściwie dopiero na studiach. Amsterdam to nieduże miasto, a nasze rodziny się znały. Wiesz, to było takie typowe „Studiujecie z Anneke na tej samej uczelni, może kręci się gdzieś w pobliżu”. Spotkaliśmy się, zakochaliśmy w sobie, no i tyle. Ona lubi kwiaty, ale tylko cięte. – Uśmiechnął się. – Za to nasz synek, Theo, uwielbia grzebać w błocie, czyli jednak w tym przypadku dobre geny zwyciężyły.

– Ile ma lat?

– Dwanaście. – Edward patrzył na mnie, jego twarz była bardzo blisko. – Oczywiście tęsknię za nim bardziej niż za żoną, ale co zrobić?

Zauważyłam, że ma zielone oczy. No, może szarozielone. I zjawiskowe rzęsy, a łuk jego górnej wargi... Czemu gapię się na niego jak jakiś podlotek? Opanuj się, Lili. Spuściłam wzrok i wytarłam ręce w spodnie, choć wcale nie były brudne.

Zapadło milczenie, a po chwili Edward wstał gwałtownie i podszedł do muru na tyłach ogródka.

– Mamy problem – oznajmił. – Jeden aster jest wyższy niż pozostałe. Trzeba to wyrównać.

Kucnął, aby głębiej wkopać niesforną roślinę, a ja patrzyłam na niego i nagle ogarnął mnie dreszcz podniecenia, jakiego nie czułam od lat. To było okropne.

Odwrócił się i poznałam po jego twarzy, że dostrzegł w moich oczach zarówno podniecenie, jak i zmieszanie. Wstał i zbliżył się szybko.

– Wszystko w porządku, Lili?

Pokiwałam głową. Tym razem nie udało mi się powstrzymać łzy, która spłynęła po policzku. Edward otarł ją kciukiem. Wziął mnie za rękę i ścisnął ją krzepiąco.

– Wciąż jesteś taka smutna. Ile to już lat?

Potrząsnęłam głową, choć miał rację.

– Prawie cztery. Ale ja nie...

Urwałam, pochyliłam głowę, aż włosy przysłoniły mi twarz.

Wtedy Edward nachylił się i pocałował mnie w mokry policzek. Zanurzył dłoń w moich włosach, drugą jeszcze mocniej ścisnął moje palce, a ja na ułamek sekundy przysunęłam się do niego, pragnąc, by ktoś mnie przytulił, pragnąc choć na chwilę przestać się pilnować, bo nieustanne panowanie nad emocjami jest naprawdę, ale to naprawdę męczące.

Jednak w tym momencie z wnętrza domu dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask i rozległa się wrzawa gniewnych dziecięcych głosów. Odsunęłam się, skrzywiłam przepraszająco i ruszyłam opatrywać rany. O ironio. Gdy opadł kurz, Edwarda nie było.

Po jakichś dwóch latach ludzie zaczęli mi powtarzać, że powinnam zapomnieć i żyć dalej. Przodowali w tym moja matka i, o dziwo, rodzice Dana. Moja teściowa miała na ten temat sprecyzowane zdanie:

– Skarbie, wszyscy za nim tęsknimy, ale gdybyś to ty zginęła, chcielibyśmy, żeby się znów ożenił, a gdyby Rachel była w twoim położeniu, radziłabyś jej to samo.

Potrząsałam głową.

– Nieprawda. Szanowałabym jej potrzebę przeżywania żałoby we własnym tempie. Na te słowa matka Dana tylko się uśmiechała. Miałam szczęście. Trafiła mi się wspinała teściowa, która dbała o mnie znacznie bardziej niż moja prawdziwa matka.

– Zawsze będzie ci go brakowało, Lili, tak jak nam wszystkim. Codziennie będziesz za nim tęsknić na miliard różnych sposobów, ale to nie znaczy, że nie wolno ci się śmiać i poznawać nowych ludzi. Dzieci potrzebują ojca, a ty zasługujesz na to, by nie zostać z tym wszystkim sama. Dan pragnąłby, żebyś była szczęśliwa.

Tak, wszyscy mi to w kółko powtarzali. Dan chciałby, żebyś chodziła na randki,

mówili. Gówno prawda. Wiedziałam, że to gówno prawda, bo o tym rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o wszystkim – to dlatego tak bardzo za nim tęskniłam.

– Jeśli umrę – powiedział kiedyś, całe lata przed narodzinami dzieci – chcę, byś odbyła żałobę jak przykładowa wiktoriańska wdowa. – Leżeliśmy w łóżku, w naszej standardowej pozycji: on na plecach, ja owinięta wokół niego niczym pnącze, z głową na jego ramieniu. Czułam się wtedy najbezpieczniej na świecie.

Uśmiechnęłam się z ustami przy jego szyi.

– Czyli siedem lat w czerni i trzy w purpurze z odrobiną bieli, to masz na myśli?

Po głosie poznałam, że się uśmiecha.

– Chyba coś ci się pomyliło z tą purpurą, ale tak, chodzi mi o woalki i całą resztę.

– Hysteryczny szloch i darcie szat?

– Darcie szat to chyba żydowska tradycja, ale jasne, niech będzie wszystkiego po trochu. Czerp z tyłu źródła, z ilu masz ochotę. – Poglaskał mnie po plecach.

– Mogłabym też zawodzić.

– Mam nadzieję, że głośno.

– I żałośnie. Będę błądzić wśród ruin, zaślepiona rozpaczą.

Objął mnie w pasie, obrócił głowę i pocałował mnie we włosy.

– Nie szarżuj. Pragnę tylko należnego mi szacunku.

– Załatwione, kotku.

Przyznaję, że kiedyś, gdy były już na świecie dzieci, oznajmiłam, że jeśli umrę pierwsza, powinien niczym się nie przejmować, zostać mormonem i poślubić kilka kobiet naraz, ale powiedziałam to, ponieważ byłam na niego zła, że nie opróżnił zmywarki. Odparł, że ożeni się z całym październikowym numerem „Playboya”, na co stwierdziłam, że to niezły plan i że te dziewiętnastoletnie laseczki bez wątpienia zwariują na punkcie gościa w średnim wieku z pięciokilogramową nadwagą. Rzucił we mnie bokserkami (brudnymi). Człowiek prowadzi takie rozmowy, składa deklaracje, czasem w żartach, czasem w złości, a potem nie może się już wycofać.

Poza tym nie sposób się przygotować na czyjąś nagłą śmierć. Cały dowcip polega w końcu na określeniu „nagła”. Wydaje ci się, że potrafisz to sobie wyobrazić, ale jest podobnie jak w przypadku narodzin pierwszego dziecka – ludzie mówią ci, jak będzie, obserwujesz innych i myślisz: to chyba nie może być aż tak skomplikowane? A potem to się dzieje i pierwsze trzy miesiące przywodzą na myśl wojnę w Wietnamie, tyle że bez narkotyków. Z żałobą jest podobnie, tylko o wiele, wiele gorzej. Wietnam bez narkotyków, bez broni, bez wierzchniej warstwy skóry. Nie będę owijać w bawełnę: każdy mój oddech był jak zniewaga, każdy automatycznie odwzajemniony w aptece uśmiech jak afront, każdy poranek, gdy budziłam się sama, jak okrutny cios prosto w tchawicę. Tęskniłam za dźwiękiem, który dochodził z łazienki, kiedy Dan mył zęby, za tą krótką chwilą ciszy, zanim splunął do umywalki. Za tym, jak wychodząc spod prysznic, zawsze pragnął



podzielić się ze mną jakąś myślą. Tęskniłam za chwilami, gdy słyszałam, jak przemawia do dziecka w pokoju obok albo bawi się z psem. Za jego widokiem, kiedy spał jak kamień, drań jeden, podczas gdy ja gramoliłam się do łóżka, nakarmiwszy niemowlę. Za zapachem jego szyi. I za jego irytującymi nawykami, na przykład za tym, że zawsze zostawiał ręcznik na krawędzi łóżka. Nawet teraz, kiedy zamknę oczy, widzę, jak go tam rzuca, a potem powoli kręci się wokół własnej osi, szukając bokserek, które wcześniej cisnął na podłogę. Zamknęłam więc oczy i zasnąłam, patrząc, jak się kręci.

## FASOLKA SZPARAGOWA



Fasolkę można posiać w dowolnym momencie po ostatnich wiosennych przymrozkach. Wystarczy, że ziemia jest na tyle ciepła, by łatwo się w niej pracowało.

Krzaczki: sadź w odległości 5 centymetrów od siebie.

Pnącza: zamontuj treliże bądź kratki i sadź mniej więcej co 8 centymetrów.

Fasolka potrzebuje podparcia. W tym celu można wykorzystać wiele materiałów: deski ogrodzeniowe, bambusowe tyczki, sznurek, rozpięte między palikami wełniane nici, kije golfowe byłego męża. Wszystko się nada.

Aby mieć plony przez całe lato, zbieraj fasolkę co 2 tygodnie. Jeśli wiesz, że nie będzie cię w domu, nie zaczynaj sadzenia. Fasolka na nikogo nie czeka. Naprawdę.

## ROZDZIAŁ 9

W następny wtorek w pracy wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Jak zwykle zaczęło się od dzwoniącego telefonu. W słuchawce odezwał się głos Rose:

– Ktoś czeka na ciebie w recepcji.

– Serio?

– Nie, jaja sobie robię. Tak, serio. Babka mówi, że cię zna, ale nie chce podać nazwiska. – Poznałam po głosie, że gromi biedaczkę wzrokiem. Zmarszczyłam brwi.

– Dziwna sprawa. Zaraz przyjdę.

Wyłoniwszy się zza zakrętu korytarza, stwierdziłam, że ostatnie myśli o teściowej musiały być w jakiś sposób prorocze.

– Maggie! – wrzasnęłam uradowana i pędem ruszyłam w jej stronę.

Moja szwagierka Maggie była nie tylko siostrą Dana, ale i moją wieloletnią przyjaciółką. To ją poznałam jako pierwszą, ponieważ na początku liceum chodziłyśmy razem na lekcje wychowawcze. Od chwili, kiedy się poznałyśmy, wiedziałyśmy, że zostaniemy przyjaciółkami, i to nie tylko dlatego, że obie miałyśmy wówczas typowe dla lat osiemdziesiątych obciachowe fryzury w stylu wokalisty zespołu Flock of Seagulls. Okazało się, że jesteśmy pokrewnymi duszami, i choć nauczyciele szybko zrozumieli, że ich życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby zdołali nas rozdzielić, przez większość czasu byłyśmy nierozłączne. No i, oczywiście, to ona poznała mnie z Danem. Od jego śmierci widziałam się z nią tylko dwa razy, ponieważ mieszkała z mężem we Włoszech.

– Nie wierzę, że tu jesteś! Czemu mnie nie uprzedziłaś, że przyjeżdżasz? – Raz po raz ścisłałam ją roześmiana. – Rose, to jest Maggie, moja szwagierka.

Maggie się uśmiechnęła.

– Cześć, Rose. Wybacz, że nie zdradziłam ci, jak się nazywam, chciałam jej zrobić niespodziankę.

– Udało ci się.

– Co tu robisz? Gdzie Berto?

Maggie nie odpowiedziała. Spojrzała na zegarek.

– Masz czas wyskoczyć na lunch?

– Jasne, poczekaj chwilę.

Wróciłam do pokoju po torbę i poprosiłam Saszę, by mnie zastąpiła, jeśli lunch przerodzi się w trzygodzinną nasiadówkę. Wyszłyśmy z budynku i już na ulicy po raz kolejny ją uściskałam.

– O Boże, dzieciaki zwariują ze szczęścia!

– O ile mnie pamiętają.

– Myślę, że tak. Albo przynajmniej tak będą twierdzić. Gdy je ostatnio widziałas,

były dość małe. Rachel też się ucieszy. Zadzwoń do niej? – Moja siostra i Maggie rzecz jasna również się przyjaźniły, choć w szkole Rachel była o dwie klasy niżej. – Na co masz ochotę? Domyślam się, że kuchnia włoska odpada?

Uśmiechnęła się blado.

– Tylko nie to. Może sushi?

– Świetnie.

Poprowadziłam ją ulicą, a kiedy już usiadłyśmy, po prostu na nią patrzyłam. Była żeńską wersją Dana, wysoka i szczupła jak on, tyle że włosy miała nie brązowe, ale ciemnorude. Coś ją najwyraźniej gryzło, bo wyglądała na zmęczoną, co dotąd jej się nie zdarzało. Podobnie jak jej brat zawsze tryskała życiem i dobrym humorem.

– Co się dzieje? – zapytałam, a nie usłyszawszy odpowiedzi, dodałam: – Gdzie Berto? Przyjechał z tobą?

Ułożyła prosto pałeczki i przesunęła miseczkę z sosem sojowym.

– Jak się domyślam, Berto posuwa w tej chwili jedną ze swoich studentek. Tą, dla której rzucił mnie miesiąc temu. Przepraszam, tę. – Maggie wykladała literaturę angielską i podejrzewam, że taki błąd mógł sprawić jej fizyczny ból.

– Nie gadaj.

Machnęła ręką.

– Kiedy to prawda.

– Żartujesz.

– Widzisz w tym coś śmiesznego?

– Ale Berto cię kocha.

– Tak twierdzi. Niestety miłość do mnie nie przeszkadza mu pieprzyć się z inną. Mówi, że nie potrafi się powstrzymać, że to namiętność, *amore*. Gówniana wymówka, co? – Widziałam po jej oczach, że wyplakała już wszystkie łzy. – Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić, a ponieważ skończył się semestr, po prostu wsiadłam w samolot. Nawet rodzice nie wiedzą jeszcze, że tu jestem.

Do stolika podszedł kelner, więc przez dwie minuty udawałyśmy, że wszystko jest w porządku, uprzejmie odpowiadając na jego pytania. Gdy tylko zniknął, znów pograżyłyśmy się w rozmowie.

Maggie była odrobinę zielonkawa na twarzy. Może nie powinnam była zabierać jej na sushi.

– Dobrze się czujesz? Wyglądasz, jakbyś miała się porzygać.

– Chyba dobrze. To jest jak sen, niestety nie ten, w którym Johnny Depp łapie gumę pod moim domem. Zdawało mi się, że znam Berta na wylot.

Skinęłam głową.

– Mnie też. Nic z tego nie rozumiem. To do niego zupełnie niepodobne.

Skrzywiła się.

– A jednak. Kiedy się poznaliśmy, zachowywał się tak samo.

Przypomniałam sobie tamte czasy. Maggie po pierwszym roku studiów pojechała

do Włoch, żeby uczyć się języka i studiować poezję Dantego. Wróciła odmieniona. Nie tylko mówiła po włosku, ale była szaleńczo zakochana w Bercie, który również zajmował się Dantem, i aż do końca studiów spędzała z nim każde wakacje. Przypomniałam sobie też pierwszą wizytę Berta w Ameryce, to, jaki był cudowny i zabawny. Wszyscy trochę się w nim podkochiwaliśmy, nawet chłopaki, był bowiem uroczy, ekscentryczny, bosko piękny, no po prostu Włoch pełną gębą. Pobrali się z Maggie tuż po rozdaniu dyplomów i od tamtego czasu Dan i ja odwiedzaliśmy ich przynajmniej raz do roku. Pracowali na uczelni, wynajmowali kolejne przedpotopowe klitki i powoli pięli się w górę, aż uzyskali tytuły profesorskie i przeprowadzili się do Florencji, gdzie wynajęli już większe, choć nadal przedpotopowe mieszkanie. Krótka mówiąc, idylla. Która najwyraźniej właśnie dobiegła końca.

Maggie powoli się nakręcała:

– Czemu mężczyźni zawsze dostają drugą szansę, żeby zachowywać się jak nastoletnie palanty, a od nas oczekują, że będziemy starzeć się z godnością?

Wzruszyłam ramionami.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zaczęła się uganiać za młodszymi, jeśli masz ochotę.

Westchnęła.

– Pomyśleć, że tak długo staraliśmy się o dziecko. Cóż, chyba lepiej, że go nie mamy. – Oczy jej się zaszklily. – Choć może gdybyśmy mieli, on nie zakochałby się w kimś innym.

Na stół wjechało sushi. Maggie najwyraźniej była wygłodzona, bo z każdym kęsem nabierała koloru.

– Wiesz, co jest najgorsze? – zapytała, celując we mnie pałeczką.

Pokręciłam głową. Cała ta historia była tak okropna, że nie potrafiłam się zdecydować.

– Właściwie nie mogę mieć do niego pretensji. To znaczy mogę i mam, bo jest samolubnym draniem, ale kiedy przyszedł mi o tym powiedzieć, widziałam, że jest szczęśliwy. Interesuje się nim śliczna młoda kobieta, chodzą razem do muzeów albo spędzają całe dnie w łóżku, rozmawiają do późna w nocy i jest całkiem tak, jakby znów miał dwadzieścia lat. Rozumiem go. Rozumiem, czemu mu się to podoba. Jestem tylko wściekła, że podoba mu się to bardziej niż pielęgnowanie miłości do kobiety, która przez tyle lat była jego żoną.

Szukałam w myślach jakiejś sensownej odpowiedzi.

– Hej, może mu przejdzie i wróci do ciebie na klęczkach.

Potrząsnęła głową, mieszając wasabi z sosem sojowym.

– Nawet jeśli, nic mnie to nie obchodzi. Mam dość.

– Jesteś po prostu wściekła.

– To prawda. Mam jednak zamiar jeszcze trochę się powściekać, po czym

elegancko przejść do obojętności. Kiedy ona go rzuci dla kogoś, komu brzuch nie zasłania kutasa, będzie pewnie chciał wrócić, ale ja już straciłam do niego szacunek. – Nachyliła się bliżej. – Nawet ufarbował sobie włosy.

– Nie.

– Tak. I kupił żółtą vespę.

Parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

– Bujasz.

– Skąd. Zawiązuje sobie sweter na szyi i śmiga na tym cholerstwie, jakby mu się zdawało, że jest bohaterem filmu Felliniego.

– Może dostanie udaru i umrze.

– Jest nadzieja. Chociaż, oczywiście, złamałby mi w ten sposób serce, w tym sęk. Wciąż go kocham, a jednocześnie nienawidzę, czuję się przez niego upokorzona, wstydzę się za niego, cieszę jego szczęściem i jestem o niego zazdrosna.

Skończyłam jeść i gestem poprosiłam kelnera o jeszcze jedną colę.

– Trudno mi uwierzyć, że jesteś w stanie cieszyć się jego szczęściem. Zachował się jak gnida.

Maggie wykrzywiła usta.

– Jasne. Ale ja tak długo go kochałam. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Zdarza się, że na moment zapominam, jak bardzo jestem na niego wściekła i jak bardzo mnie zawiódł, i wtedy widzę, że jest szczęśliwy, a przecież życzę mu szczęścia. Choć jednocześnie życzę mu, żeby stracił kontrolę nad pęcherzem w jakimś miejscu publicznym. – Zamilkła, po czym dodała: – To wszystko jest cholernie skomplikowane.

I dopiero wtedy wreszcie wybuchnęła płaczem.

Po lunchu Maggie pojechała do rodziców, a ja wróciłam do biura. Byłam rozbita. Osiągnęłam wiek, kiedy znajome pary zaczynają się rozwodzić. Z jakiegoś powodu dzieje się to zazwyczaj, gdy dzieci kończą osiem–dziewięć lat. Oto co widzę wszędzie wokół, a czego sama nie doświadczę, jako że mój mąż był łaskaw wymeldować się z tego świata: pobieracie się, kochacie, uprawiacie mnóstwo seksu, co jakiś czas się kłócicie, ale wszystko idzie dobrze. Pojawiają się dzieci, co, jak już ustaliliśmy, wiąże się z ciężką pracą. Ta praca zbliża was do siebie lub od siebie oddala – jeśli macie szczęście, dzieje się to pierwsze. Mijają lata, z początku kłócicie się o to, że za mało seksu, że nie spędzacie ze sobą czasu, ale potem przestaje wam brakować i jednego, i drugiego i czujecie ulgę, że już za tym nie tęsknicie. Tracie nawyk opowiadania sobie nawzajem o tym, jak wam minął dzień, no bo kogo to niby obchodzi? Usłyszawszy dobry dowcip, nie trudzicie się powtarzaniem go żonie. Kiedy przeczytacie dobrą książkę, pożyczacie ją koleżance, bo wasz mąż lubi czytać całkiem inne rzeczy. A potem, bing-bang-bong, wszystko się kończy. Mija trzydzieści jeden lat... trzydzieści dwa... czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, umieracie.

Kiedy wysiadłam z windy, Rose stała na biurku. Dosłownie na nim stała. Uświadomiłam sobie, że przepracowawszy w Forest Press ponad dekadę, nigdy nie widziałam jej kostek. Cały ten dzień powoli stawał się dość wyczerpujący.

– Rose, co się stało? Zobaczyłaś mysz?

Potrząsnęła głową.

– Nie, Lilian. Strajkuję.

– Potrzebujesz wsparcia?

– Nie, choć jeśli chcesz, możesz do mnie dołączyć.

Odłożyłam torbę.

– Przeciwno czemu strajkujesz?

– Zamykają dział.

Spojrzałam na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Który dział?

– Nasz dział. Kreatywny.

– Przykro mi.

Dostrzegłam w jej oku znajomy błysk.

– Lilian, skup się, bardzo cię proszę. Roberta King przyjechała tu w czasie lunchu...

Nagle zrobiło mi się żal Roberty King.

– ... kazała mi usiąść, po czym podziękowała za kilkadziesiąt lat wiernej służby i wylała mnie. A przynajmniej tak jej się wydaje.

– To w końcu cię wylała czy nie? – Chryste, nie było mnie tu marne dwie godziny.

– Wylała, ale ja nie przyjąłam tego do wiadomości i nadal nie przyjmuję. Pracuję tu najdłużej ze wszystkich. Nie mogą mnie wyrzucić – zakończyła podniesionym głosem i tupnęła nogą w niezbyt stylowym, acz wygodnym bucie.

– I co było dalej?

– Zwołała zebranie w sali konferencyjnej. – Rose zmarszczyła czoło. – Oczywiście cię nie wyganiają, ale chyba powinnaś tam pójść.

Cholera. Sięgnęłam po torbę.

– Dawno się zaczęło?

Wzruszyła ramionami.

– Dosłownie przed chwilą.

Obróciłam się na pięcie i ruszyłam przed siebie. Nie zdziwiłabym się specjalnie, ujrzawszy po drodze płonącą żyrafę albo gigantyczną głowę niemowlaka, wyglądało bowiem na to, że reguły świata rzeczywistego nagle przestały obowiązywać.

Sala konferencyjna była prawie pełna. Nie dlatego, że w naszym dziale pracowało wiele osób, po prostu była nieduża. Kiedy weszłam, Roberta urwała w pół zdania i odruchowo obdarzyła mnie uśmiechem. Odwzajemniłam go, podobnie jak ona spętana wielowiekową tradycją społecznych uwarunkowań. W głębi ducha szalałam z niepokojem.

Usiadłam obok zapłakanej Sashy. Ścisnęłam ją za rękę. Roberta odchrząknęła.

– Cieszę się, że jesteś, Lilian, choć to bardzo smutny dzień. Jak zdążyłam już wyjaśnić części z was, kierownictwo postanowiło, że odtąd będzie korzystać z usług zewnętrznych podwykonawców. Jak wiecie, już teraz wiele tekstów piszą dla nas osoby z zewnątrz.

Wszyscy spojrzeli na Elliota, który jako jedyny z obecnych zajmował się słowem pisanym. Zaczerwienił się.

– Właściwie moja działka to głównie redakcja.

Roberta mówiła dalej:

– Ze względów jakościowych nie zamierzamy rezygnować z korekty, ale wszyscy, którzy zajmują się ilustracją, layoutem i grafiką, będą mogli odejść, kiedy tylko skończą to, nad czym obecnie pracują.

Zapadło długie milczenie, po czym rękę podniosła graficzka.

– Czy możemy odejść wcześniej?

Roberta spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Oczywiście. Jednak ci, którzy zrezygnują, zanim otrzymają oficjalne wypowiedzenie, nie załapią się na przedłużone ubezpieczenie zdrowotne, dodatek dla bezrobotnych ani...

Urwała, ponieważ kobieta, która zadała pytanie, podniosła się z miejsca.

– Nic mnie to nie obchodzi. Spadam stąd – oznajmiła. – Całe lata oszczędzałam, chomikując każdą lichą premię, każdą nadgodzinę, i wreszcie stać mnie na spełnianie marzeń. – Rozpromieniona zebrała swoje rzeczy. – Wyjeżdżam do Kanady hodować kucyki. Utrata pracy to właśnie ten impuls, na który czekałam.

Redaktor Elliot miał pytanie:

– To można się ot tak wyprowadzić do Kanady? Nie jest ci potrzebna wiza czy coś w tym rodzaju?

Graficzka spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Nie. Jestem Kanadyjką. – Zgromiła go wzrokiem. – W dwa tysiące dziewiątym przez sześć miesięcy sypialiśmy ze sobą. Jak mogłeś o tym nie wiedzieć?

Elliot pokręcił głową.

– Wiedziałem o kucykach...

Kobieta wzruszyła ramionami, po czym wyszła i w podskokach oddaliła się korytarzem, wznosząc okrzyki radości.

Dzieci przyjęły ponurą nowinę z charakterystycznym dla nich luzem. Clare stwierdziła, że to fajnie, ponieważ uważała pracę za coś nudnego, co człowiek robi, bo musi, Annabel zaś spytała, czy prędko skończą nam się pieniądze.

– Nieprędko. Przecież nie będę bezrobotna do końca życia, poza tym mamy oszczędności w banku. Nie martw się, poradzimy sobie.

Stałam oparta o kuchenny blat, patrząc, jak jedzą kanapki z masłem orzechowym i galaretką. Lea sprzątała w ich pokoju, czułam jednak, że nasłuchuje.



Annabel się zasepiła.

– Będziemy musiały sprzedać dom?

Od kiedy to siedmiolatki myślą o takich sprawach? Czy małe dziewczynki z warkoczykami, bawiące się lalkami głowa przy głowie w rzeczywistości debatują nad bessą na rynku nieruchomości? Nad tym, czy Barbie straci domek na plaży w Malibu? Czy komornicy zajmą jej jeepa? Natychmiast poczułam ulgę na myśl o tym, że dom został spłacony dzięki polisie Dana. Jediną korzyścią z jego śmierci było to, że nie wylądujemy na bruku. Ogrzewanie i prąd to jednak zupełnie inna para kaloszy.

– Nie, nie będziemy musiały nic sprzedawać. Tak naprawdę nic się specjalnie nie zmieni, po prostu częściej będę w domu. Poza tym jeszcze przez najbliższy miesiąc muszę chodzić do biura, żeby skończyć to, co zaczęłam.

Nie miałam okazji zapytać Roberty King o encyklopedię warzyw i postanowiłam zrobić to nazajutrz.

Do kuchni weszła Lea, wyraźnie unikając mojego spojrzenia. Annabel, mały antropolog, natychmiast zauważyła, co się święci, ale zamilczała. Znow skupiła uwagę na mnie:

– Zawsze możesz się zatrudnić w McDonalddie.

Clare się ożywiła.

– Tak! W McDonalddie! Będziemy dostawały darmowe frytki!

Clare przepada za frytkami z McDonalda. Nie mam zielonego pojęcia, co oni do nich dodają.

– Nie zamierzam się zatrudniać w McDonalddie. Może nawet w ogóle nigdzie się nie zatrudnię. Mogę zostać wolnym strzelcem.

– Co to jest wolny strzelec? Taki, co wolno pracuje? – Annabel była sceptyczna.

– Skończyłaś jeść? – Skinęła głową. – Chcesz coś jeszcze? – Odmówiła. – Bycie wolnym strzelcem nie oznacza, że pracuje się wolno, tylko że pracuje się dla siebie.

– Gdzie?

Wzruszyłam ramionami.

– Na przykład tu.

Zapadła cisza. Następnie Clare odsunęła krzesło od stołu, wstała i odniosła talerz do zlewu.

– Bardzo dobry pomysł. Przynajmniej będziesz w domu. Możemy posprzątać garaż i urządzić ci tam gabinet. – Wygłosiwszy tę inspirującą myśl, oddaliła się, nawołując Franka. Frank często kładł się obok niej, gdy odgrywała rozmaite skomplikowane scenariusze z udziałem plastikowych zwierzątek, od czasu do czasu zasięgając jego opinii bądź rady. Nie słyszałam nigdy, by jej odpowiedział, ona twierdziła jednak, że jego wkład w zabawę jest nie do przecenienia.

Lea zerknęła na Annabel.

– Masz coś zadane?

- Tylko czytanke.
- Zajmiesz się tym teraz?
- Pewnie. – Wstała i ruszyła do pokoju, ale po chwili zawróciła. – Clare i Frank okropnie hałasują. Mogę poczytać u ciebie?

Skinęłam głowę.

Lea popatrzyła na mnie i spytała:

- Mam zacząć szukać innej pracy?

Rzeczowa z niej dziewczyna. Pokręciłam głowę.

- Nie, przynajmniej jeszcze nie teraz, a mam nadzieję, że w ogóle nie. Jeśli w ciągu miesiąca lub dwóch nie zdołam niczego znaleźć, być może będziemy musiały to wszystko jeszcze raz przemyśleć, wierzę jednak, że do tego nie dojdzie. Nie mam pojęcia, jak wygląda rynek wolnych strzelców, poza tym zastanawiałam się nad zilustrowaniem książki.

Uniosła brwi.

- Jakiej książki?

- Chyba dla dzieci. Sama jeszcze nie wiem.

To była prawda. W tamtej chwili nie miałam zielonego pojęcia, co mnie czeka. Zrobiłam więc pierwsze, co przyszło mi do głowy: nałożyłam sobie ogromną porcję lodów i zadzwoniłam do siostry.

## CZOSNEK



Czosnek jest łatwy w uprawie i po długim okresie wzrostu rodzi wiele główek. Jest nie tylko wyśmienitym dodatkiem do masła, ale i naturalnym środkiem odstraszającym owady.

Nie sadź ząbków czosnku kupionych w sklepie spożywczym. Po pierwsze, może to być odmiana niedostosowana do klimatu w twojej okolicy, a po drugie, sklepowy czosnek traktowany jest substancjami przedłużającymi jego trwałość, przez co staje się uparty i nie chce rosnąć. Chyba trudno mieć do niego o to pretensje?

Rozmieść ząbki w odległości 10 centymetrów od siebie, pionowo (szerszą stroną w dół).

Wiosną, gdy się ociepli, z ząbków wyrosną kielki, które odstraszą okoliczne wampiry.

W czasie zbiorów główki należy delikatnie wykopać widłami, otrzepać, po czym zostawić na 2 tygodnie w przewiewnym, zacienionym miejscu. Aby się upewnić, że mają dostatecznie dużo powietrza, możesz powiesić je na sznurku.

Niektórzy jadają czosnek na surowo, twierdząc, że zapewnia życie wieczne. Jest chyba bardziej prawdopodobne, że nikt się do nich nie zbliża, co nie gwarantuje im może nieśmiertelności, lecz z pewnością czyni ich życie niezwykle spokojnym. Rób, jak uważasz.

## ROZDZIAŁ 10

Rachel przyjechała akurat na kolację i przywiozła ze sobą Maggie. Rodzice Maggie ucieszyli się ze spotkania, zmartwili wieściami dotyczącymi jej małżeństwa i wyrazili gotowość nasłania na Berta płatnego mordercy.

– To przecież nie może być takie trudne, wynająć mafię, żeby go kropnęli? W końcu mieszkacie we Włoszech, do jasnej Anielki!

Jej ojciec, a mój teść był człowiekiem praktycznym. (Wiecie, to dziwne. Kiedy się z kimś rozwodzisz, właściwie odcinasz się od całej jego rodziny. Nie masz już statusu synowej, nie masz więc również teściów. Kiedy zostajesz wdową, rodzina męża nadal jest twoją rodziną, tyle że pojawia się problem z nazewnictwem. Świętej pamięci szwagierka? Nie, bo nie umarła. Była teściowa? Nie, bo wciąż jest twoją teściową, mimo że jej syn nie żyje. To trudne i stanowi dobry przykład na to, że język bywa ułomny).

Temat przewodni dzisiejszej kolacji brzmiał: „Co, do cholery, Lilian teraz ze sobą pocznie?”. Zarówno Lea, jak i dziewczynki, paliły się, by wtrącić swoje trzy grosze.

– Może powinnaś wrócić na studia? – Rachel przywiozła ze sobą nie tylko Maggie, ale i dwie butelki wina, po których wszystkie dostałyśmy lekkiej głupawki.

– Niby jakie?

Maggie zgłosiła się do odpowiedzi:

– Może fizyka jądrowa?

Pokręciłam głową.

– Za dużo matematyki.

– Weterynaria? – podsunęła Rachel.

Znów potrząsnęłam głową.

– Z trudem udaje mi się utrzymać przy życiu własne zwierzęta.

Clare spodobała się ta zgadywanka:

– Mogłabyś produkować lody. Lubię lody.

Uśmiechnęłam się.

– Ja też, ale nie wydaje mi się, by były z tego duże pieniądze.

Rachel zmarszczyła brwi.

– Powiedz to Benowi i Jerry’emu.

– Może zostaniesz lekarką? Umiesz się opiekować ludźmi. – Annabel siedziała pod stołem i bawiła się z Frankiem. Zaskoczyła mnie.

– Tak uważasz? Ale nie, przypomnij sobie, co mówiłam o matematyce. Poza tym jestem za stara, żeby iść na takie długie studia. – Wstałam. – No, moje panny, czas na kąpiel.

– Nie! – Clare próbowała się postawić, ale nic z tego nie wyszło. Zagoniłam ją do

łazienki. Może powinnam zostać psem pasterskim?

Nalałam wody do wanny i wsadziłam do niej obie córki, po czym wróciłam do kuchni po kolejny kieliszek wina. Podczas mojej nieobecności najwyraźniej zawiązał się spisek.

– Trzeba wyciągnąć Maggie z domu – obwieściła Rachel. – Przeto zarządzam wyprawę na miasto.

– Za dużo wypiałś – odparłam. – Zawsze zaczynasz mówić w taki sposób, kiedy jesteś na gazie.

– W jaki sposób?

– Jak angielski lord.

– Przebóg! O pani, tkwisz w wielkim błędzie!

Rzuciłam jej ironiczne spojrzenie. Zignorowała je.

– Zatem wybieramy się do centrum. Kochana Lea zgodziła się zostać z dziećmi.

Lea uśmiechnęła się do mnie.

– Jesteś pewna, że nie wolałabyś iść z nimi, a mnie zostawić z dziewczynkami? – zapytałam.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Jak by ci to powiedzieć, nie obraź się, ale idea spędzenia wieczoru z dwiema pijanymi paniami w średnim wieku niezbyt do mnie przemawia.

– To nie było miłe! – oburzyła się Rachel.

– Raczej wredne – zawtórowała jej Maggie.

Parsknęłam śmiechem.

– Nie obrażyły się za „pijane”, tylko za „panie w średnim wieku”. – Wzruszyłam ramionami. – Okej, czemu nie? Ale żadnych szaleństw, Rachel. Chodźmy gdzieś na drinka, albo może na kawę i ciastko.

Rachel uniosła kciuk.

– O wszystkim pomyślałam. Znalazłam idealne miejsce. Niech to będzie nasz deser.

Okazało się, że w klubach ze striptizem nie podają jedzenia. Może martwią się o podłogi. W końcu kiedy wokół twojego stolika wije się facet w kostiumie Indianina, albo przynajmniej jakiś muskularny gość w pióropuszu i z malutkim kołczanem, ostatnie, czego byś chciała, to by pośliznął się na skórcie od ziemniaka. Po pierwsze, zepsułby cały nastrój. Po drugie, mógłby cię pozwać.

Moje towarzyszki przez całe dwadzieścia minut przekonywały mnie, żebym weszła z nimi do klubu, który Rachel uparcie nazywała barem. Twierdziła, że powinnam się zgodzić ze względu na Maggie.

– Ona się musi rozerwać. Popatrzeć na innych facetów.

– Ale czy ci faceci muszą być koniecznie na golasa?

Obie spojrzałyśmy na Maggie, która tylko wzruszyła ramionami.

– Nigdy wcześniej nie byłam zdradzana przez męża. Właściwie nie wiem, co

mogłoby mi pomóc. Ale jeśli nagi młodzieniec siedzący mi na kolanach ma mnie podnieść na duchu, to czemu nie spróbować?

Rachel z namysłem wycelowała w nią palec.

– Oto naukowczyni z powołania.

Maggie pokiwała głową.

– To prawda.

Klientela była, rzecz jasna, głównie płci żeńskiej, ponadto okazało się, że szalejące młode studentki na wakacjach to mały pikuś w porównaniu z babkami w średnim wieku, z biustem wylewającym się z usztywnianych staników, wrzeszczącymi: „Pokaż fiuta!”. W pewnej chwili niechcący stanęłam między jedną z nich a stolarzem (miał pas z narzędziami), który, jak mi się zdawało, naprawiał nogę jej krzesła (w każdym razie przed nim klęczał) i omal nie zostałam powalona na ziemię.

Byłam tu jednak dla Maggie, jako moralne wsparcie, znalazłam nam więc stolik obok czegoś w rodzaju wybiegu dla modelek. Pozwoliłam Rachel zamówić drinki i badawczo obrzuciłam wzrokiem salę.

Wokół trwał festiwal kreatywności. Oprócz stolarza i Indianina dostrzegłam pilota (czapka z otokiem, złote plecione stringi oraz paszport w charakterze figowego listka), lekarza (stetoskop i starannie zawiązany bandaż), a także mojego osobistego faworyta – pirata (szeroki kapelusz plus miniaturowa bandera z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami). Wokół uwijali się kelnerzy w muszkach i bokserkach, co wydało mi się jeszcze bardziej pociągające, ponieważ nigdy nie uprawiałam seksu z piratem, natomiast swego czasu często kochałam się z człowiekiem noszącym bokserki – oczywiście póki nie zrzucił ich w ostatniej chwili. Wszyscy byli młodzi i przystojni, co naturalnie wcale nie przeszkadzało, ale chyba jednak czegoś tu nie rozumiałam: kilku z nich wyglądało na licealistów i patrząc na nich, potrafiłam myśleć tylko o tym, że jest środek tygodnia i powinni siedzieć w domu, a poza tym czy oni w ogóle przebywają tu legalnie?

Maggie również sprawiała wrażenie odrobinę niepewnej. Na szczęście wystarczyło kilka kieliszków tequili, byśmy poczuły się niemal jak w domu.

Oparłam się na łokciach, nachyliłam ku Maggie i wrzasnęłam:

– I jak, lepiej się czujesz czy wciąż tęsknisz za Bertem?

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Trochę lepiej – odchrząknęła. – Ale nadal co jakiś czas o nim myślę. Zapominam, że jest zdradziecką szmatą, i żałuję, że go tu nie ma. – Westchnęła. – Wiem, jestem żalosna.

Przy stoliku pojawił się tancerz i zaczął wymachiwać na boki swoim imponującym przyrodzeniem. Byłam przekonana, że gdyby nie głośna muzyka, usłyszałybyśmy ciche plaskanie.

– Uważaj, bo to się skończy siniakiem – zagaiła życzliwie Rachel, przekrzykując

muzykę.

– Albo dwoma – dodała Maggie. – Po obu stronach głowy.

Chłopak odszedł.

– Nigdy nie uważałam penisów samych w sobie za szczególnie atrakcyjne – zauważyłam.

– Liczy się wnętrze.

– Penisa? – nie zrozumiała Maggie.

– Nie, to znaczy też, ale chodziło mi o osobowość. Serio, najprzystojniejszy penis nie wynagrodzi paskudnego charakteru.

– Zgoda – potwierdziła Rachel z powagą. – Chyba że jest naprawdę duży.

– Dobra, dobra – odparłam, celując w nią palcem.

– Poza tym – ciągnęła ożywiona – często niepozorne penisy okazują się naprawdę imponujące, kiedy staną w pozycji gotowości.

– Amen, siostró. Nie rozmiar się liczy, ale talent.

– Właśnie! Chodzi o ukryty potencjał.

– Owszem. – Wycelowałam w nią drugi palec. – A to całe wymachiwanie z pewnością im nie służy, choć przynajmniej mają okazję się przewietrzyć.

– Niedobrze mi – odparła na to Rachel, po czym wstała i chwiejnym krokiem pomaszerowała do łazienki. Doskonale znam to uczucie, kiedy idziesz do klopa, a podłoga ucieka ci spod nóg. A potem nagle jesteś na miejscu i kafelki nieco zbyt gwałtownie zbliżają się do twojej twarzy, ale jednocześnie cieszy cię ich chłód pod policzkiem.

Przez jakiś czas czekałyśmy z Maggie przy stoliku, ale Rachel nie wracała. Siedziałyśmy w jednym z najlepszych miejsc, wokół tłoczyło się kilka zazdrosnych grupek, my jednak nie miałyśmy zamiaru się ruszyć. Wstałam, wymogłam na Maggie obietnicę, że nie zapłaci nikomu za prywatny striptiz, i poszłam poszukać siostry.

Znalazłam ją bez trudu. Jej długie włosy wystawały spod drzwi jednej z kabin.

– W porządku, Rach? – spytałam.

Włosy drgnęły.

– Nie żyję – brzmiała odpowiedź.

– Nie wyglupiaj się, rano musisz iść do pracy. Wstajesz czy będziesz jeszcze rzygać?

Zapadła cisza, po czym włosy zniknęły.

– Czekaj, zobaczę. – Znów cisza. – Chyba wszystko okej.

Szczęknięta zasuwka i w drzwiach stanęła Rachel. Wyglądała zupełnie normalnie.

– Zdrzemnąłam się i od razu mi lepiej.

Uniosłam brwi.

– Na podłodze?

– Aha. Jest całkiem wygodna. Byłam bardzo zmęczona.

– Wracajmy do domu.

Pokręciła głową.

– Nie, zjedzmy coś. Umieram z głodu. Chodźmy do Pink's na hot dogi.

Pink's jest w Los Angeles prawdziwą instytucją. Ludzie godzinami stoją w kolejce po hot dogi, które, o ile w środku nie ma steku z poledwicy, w żaden sposób nie mogą być tego warte. Jest to najwolniej przesuwaną się kolejka na świecie. Jedni padają z głodu, inni kopniakiem odrzucają ich ciała na bok. Jednak w tamtej chwili pomysł wydał mi się fantastyczny.

– Rach, jesteś geniuszem.

– Ty też, tylko zapomniałam twojego imienia. To znaczy pamiętałam je, ale kiedy otworzyłam usta, wyleciało mi z głowy.

– Mam na imię Lilian. Jestem twoją siostrą.

– Ach, tak.

Wyjaśnwszy to, zgarnęłyśmy Maggie i poszłyśmy na hot dogi, przynajmniej podtrzymując w ten sposób falliczny motyw całej wyprawy.

Chłodne powietrze odrobinę nas orzeźwiło i udało nam się dotrzeć do Pink's bez większych przygód. Maggie weszła w fazę pijaństwa charakteryzującą się milczącym, sowim stuporem, ja natomiast popadłam w lekkie rozdrażnienie. Rachel, która pozbyła się z organizmu znacznej ilości alkoholu, tryskała energią i trajkotała jak nakręcona.

– Zawsze możesz zacząć uczyć plastyki. Może w szkole dziewczynek, wtedy byłyby córkami pani, jak Jessica z naszej podstawówki. Zawsze chciałam być córką pani.

– Głupoty gadasz. – Dźwięk jej głosu powoli zaczynał mnie irytować. – Poza tym nie mam nic przeciwko byciu nauczycielką, byle wokół nie płątały się bachory.

– No tak. To może zostaniesz po prostu szaloną artystką malującą piękne obrazy? Prychnęłam.

– Świetnie, tylko kto będzie płacił moje piękne rachunki?

– Edward! Zaczynij się spotykać z Edwardem. Jest bogaty.

– Cudownie, a więc teraz chcesz ze mnie zrobić prostytutkę.

Roześmiała się.

– Skąd! Szaloną artystkę z bogatym chłopakiem. To zupełnie coś innego.

Zmarszczyłam brwi.

– A moje córki? Czy je także powinnam zacząć przyuczać do nierządu?

Stałyśmy w kolejce już od pięciu minut. W tym czasie skróciła się o trzy osoby. Miałam dość. Rachel paplała dalej:

– Coś ci się na pewno trafi. Jak zwykle. Zawsze miałaś szczęście.

Poczułam mdłości i pewnie dlatego straciłam panowanie nad sobą:

– Szczęście? Naprawdę uważasz, że mam szczęście? Bo jestem trzydziestoczteroletnią wdową? Samotną matką? Czy dlatego, że straciłam pracę?



Rachel się zaperzyła.

– Dobra, nie masz szczęścia. Czego na mnie wrzeszczysz? Nie zrobiłam nic złego. Przeciwnie, staram się, jak mogę, żeby ci pomóc, a ty w kółko tylko narzekasz.

Umilkła. Gdybym ją w tamtej chwili przeprosiła, prawdopodobnie wszystko skończyłoby się dobrze, ale ja zabrnęłam już za daleko, żeby się cofnąć.

– Narzekam? Kiedy ja, kurwa, narzekałam? Jestem przepełniona wdzięcznością. Wszyscy wiedzą, że uratowałam mi tyłek. Święta Rachel zrezygnowała z własnego życia, żeby pomóc swojej zblizowanej siostrze. Zajął się jej dziećmi. Biedaczka, tyle poświęciła, bla, bla, bla!

Z wściekłością odrzuciłam włosy do tyłu, tak mi się przynajmniej wydaje. Czuję się jak trzynastolatka, która trzeci raz w życiu dostała okres i kompletnie jej odbiło. Rachel zbladła. Cała kolejka gapiała się na nas z entuzjastyczną ciekawością właściwą ludziom w L.A. Są to zazwyczaj albo aktorzy, którzy karmią się żywymi emocjami, albo scenarzyści wiecznie szukający nowych historii. Z kolei spojrzenie Maggie było szkliste i nieprzytomne.

Moja siostra aż się zagotowała ze złości:

– Głupie pierdolenie. Nigdy nie żądałam od ciebie wdzięczności, nigdy jej nawet nie oczekiwałam. Zrobiłam dla ciebie dokładnie to, co ty zrobiłabyś dla mnie. Wkurzyłaś się, bo nagle obudziło się w tobie libido, ale jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby coś z tym zrobić. – Ruszyła przed siebie z furją, odprowadzana ciekawskimi spojrzeniami, po czym nagle zawróciła i dodała: – Nazwałaś mnie świętą Rachel, a co z twoim kompleksem męczennicy, ty pieprzona egoistko? Biedna Lilian, straciła męża, miłość swojego życia. A co ze mną? Straciłam jednego z najlepszych przyjaciół. A dzieci? One straciły tatę. No i Maggie. Stoi obok ciebie, straciła jedyne brata. Nie jesteś pępkiem świata i najwyższa pora, żebyś zdała sobie z tego sprawę. – Zadawszy ostateczny cios, tym razem odeszła naprawdę, a ja, stojąc jak wmurowana, uświadomiłam sobie, że (a) ma całkowitą rację, (b) zachowałam się jak kompletna kretyńska i (c) Maggie właśnie z wymiotowała na moje buty.

Udało mi się zadzwonić po taksówkę i przywieźć Maggie do domu, gdzie razem z Leą doprowadziłyśmy ją do porządku, zużywając w tym celu całą paczkę nawilżanych chusteczek dla dzieci, po czym położyłyśmy ją w gościnnej sypialni. Przez cały ten czas była niemal nieprzytomna, ale kiedy wychodziłam z pokoju, zawołała mnie po imieniu.

– Co tam, Mags?

– Nie mów Bertowi, że poszłyśmy do klubu ze striptizem.

Kiwnęłam głową.

– Obiecuję.

– Ani że na ciebie narzygałam.

Uśmiechnęłam się.

– W porządku.

Chlipnęła cichutko.

– Pokój kręci się w kółko, a ja tęsknię za mężem.

Ścisnęło mi się gardło.

– Wiem, skarbie. Jutro będzie lepiej.

Co było, oczywiście, jednym wielkim kłamstwem.

Następny dzień zaczęłam, jak należy, od wymiotowania. Rzadko zdarza mi się pić, głównie dlatego, że nie jestem w tym zbyt dobra. Dan nazywał mnie czasem „udręką imprezowicza”. „Kiedy się wstawisz, jesteś przeurocza – mówił – i wystarczy ci do tego dwa drinki, ale im więcej pijesz, tym się robisz wredniejsza, a kończy się zawsze rzyganiem, czyli kompletną porażką. Jesteś marzeniem każdego faceta, które nie wiecieć kiedy zmienia się w senny koszmar”. Potem uśmiechał się czule, a ja pokazywałam mu środkowy palec. Dawne, dobre czasy.

Zadzwoiłam do Rachel tuż po przebudzeniu, ale nie odebrała. Czułam się paskudnie.

Nie trzeba chyba wspominać, że dzieci guzik obchodził mój kac. Gdy promieniejesz różowym blaskiem na wieść o świeżo rozpoczętej ciąży, nie zdajesz sobie w pełni sprawy z tego, że czeka cię praca na rzecz socjopatów – przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, bez urlopów i zwolnień chorobowych. Nadludzkim wysiłkiem woli zmusiłam się do tego, by ubrać i nakarmić te małe pijawki.

Potem znów wybrałam numer Rachel. Wciąż bez odpowiedzi.

Maggie wytoczyła się z gościnnej sypialni, akurat gdy skakałam na jednej nodze, usiłując wbić drugą w nogawkę džinsów, co okazało się znacznie większym wyzwaniem niż zazwyczaj. Nie wyglądała wiele lepiej, niż sama się czułam. Stała w progu, oparta o drzwi, i popatrzyła na mnie.

– Pomóc ci?

Pokręciłam głową, po czym natychmiast tego pożałowałam.

– Zrobiłam wczoraj coś złego? – spytała zachrypniętym głosem.

– Nie pamiętasz?

Zaczęła kręcić głową, ale równie szybko przestała.

– Au. Cholera. Nie. Pamiętam klub i nic więcej. Jadłyśmy coś?

– Nie. Poszłyśmy na hot dogi, ale pokłóciłam się z Rachel, potem na mnie zwymiotowałaś i wróciłyśmy do domu.

Zacisnęła powieki.

– Wybacz.

– Nic się nie stało. Nie zapominaj, że razem studiowałyśmy. Rzygałam na ciebie sama nie wiem ile razy, więc należało mi się. Zrobić ci kawy?

– Nie, jeszcze nie jestem na to gotowa. Może nigdy nie będę. O co pokłóciłyście się z Rachel? I czemu ty się zawsze kłócisz z ludźmi po pijaku?

Wzruszyłam ramionami, co skończyło się niewiele lepiej niż kręcenie głową.

– Nie mam pojęcia. Może to stłumiona wściekłość? Lęk społeczny? Pokłóciłyśmy się o to, jaka jest kochana i wspierająca.

– Nie dziwię ci się, każdy by się wkurzył.

Zauważyłam, że raz po raz nieświadomie przetyka ślinę. Wreszcie udało mi się włożyć spodnie.

– Muszę odwieźć dzieci do szkoły, a potem jechać do pracy. Poradzisz sobie?

– Jasne. Amputuję sobie głowę, wypłuczę ją pod kranem, a potem wrócę do łóżka.

– Niezły plan. Zadzwoń później.

Uściskałyśmy się ostrożnie, żeby nie stracić równowagi, po czym śmiałym krokiem wyszłam z domu na rażąco jaskrawe i agresywne kalifornijskie słońce.

Dzwoniłam do Rachel co godzinę przez cały dzień. Za każdym razem odzywała się poczta głosowa. Najpierw zostawiałam wiadomości, w których bełkotliwie błagałam ją o przebaczenie, a z czasem zaczęłam śpiewać piosenki i deklamować ułożone na poczekaniu wiersze. Rachel jednak nie odbierała. Czułam się okropnie. Jeśli jesteś przyzwyczajona rozmawiać z kimś trzy razy dziennie, takie milczenie potrafi być bolesne.

Kiedy dotarłam do domu, Maggie właśnie wychodziła, odzyskawszy wreszcie kontrolę nad centralnym układem nerwowym. Pojechała do rodziców, a ja jeszcze raz spróbowałam dodzwonić się do Rachel. Figa z makiem. Może coś jej się stało albo niechcący wylądowała w jakimś dziwnym miejscu? Zrobiłam dzieciom obiad, a kiedy jadły, w zamyśleniu skubałam swoją porcję.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyłam w nadziei, że to ona, ale w progu stał Edward. Trzymał w rękach jakieś wielkie pudło i uśmiechał się od ucha do ucha. Dziewczynki oszalały z radości, wrzeszczały i czepiały się jego nóg, pamiętały bowiem o jego obietnicy. Edward spojrział na mnie ponad ich głowami, a ja ze zdziwieniem stwierdziłam, że cieszę się, że przyszedł. Zauważył na stole niedojedzony obiad.

– Nie otworzymy, póki nie zjecie – oznajmił. – Inaczej wasza mama będzie się na mnie gniewać.

Małe zaczęły jęczeć, ale kiedy wykonał ruch, jakby chciał wyjść, ucichły. Poza tym lubiły kotleciki jagięce. Trzydzieści dwie sekundy później kotleciki zniknęły. Czterdzieści pięć sekund później pochłonięty został również groszek. Edward z zadowoleniem pokiwał głową.

Kiedy dziewczynki posprzątały talerze i zgarnęły wszystko na drugą stronę stołu, był gotowy.

– Clare, poproszę o werble.

Sama nie wiem, jak i kiedy odkrył u niej ten sekretny talent. Być może stało się to podczas zabawy kucykami. Clare znakomicie naśladowała dźwięk werbli.

Wyciągnął z pudła kamienny domek, niespełna metrowej wysokości, niezwykle

misternie urządzony. Miał kształt grzyba, a wewnątrz miniaturowe pokoje, schody oraz stryszek pod nakrapianym dachem. Wyglądało to wszystko niemożliwie uroczo. Następnie Edward wydobył skądś mniejsze pudełko z figurkami wróżek, wykonanymi prawdopodobnie z żywicy akrylowej, niezwykle misternymi, kolorowymi i cóż, po prostu magicznymi.

Dziewczynki chłonęły ten widok w milczeniu. Clare wychyliła się przez stół i włożyła jedną z wróżek do domku. A potem wzięła Edwarda za rękę. Spojrzałam na niego, ale on patrzył na nią.

– Edwardzie – pisnęła. – To jest najbardziej superancka rzecz na całym świecie. A ty jesteś najmilszym chłopakiem, jakiego znam, i następnym razem możesz się bawić Iskierką. – Odsunęła rękę i czekała, wyraźnie świadoma efektu, jaki wywarła.

– Naprawdę? – zapytał Edward, wciąż patrząc na nią z uśmiechem.

Przytaknęła z powagą. Poczułam, jak ścisza mi się gardło. Iskierka była jej ulubionym kucykiem. Nikomu nie wolno było jej dotknąć.

– Dziękuję – powiedział Edward. – A tobie się podoba, Annabel?

Annabel pokiwała głową, niezdolna wykrztusić słowa. Obracała w dłoniach jedną z figurek. W pudełku było również kilka wróżek płci męskiej i pomyślałam, że spodobają się Bashowi, choć przypominały raczej tancerzy z Broadwayu niż siejących terror pogromców gnomów.

Cała trójka ruszyła do ogrodu, a ja patrzyłam, jak stawiają domek w idealnym dla niego miejscu. Po kilku minutach Edward wrócił, nedorzecznie przystojny i zarumieniony z dumy.

– Prawdziwy triumf. Jak myślisz? – Wyjrzał przez kuchenne okno, usiłując nie okazywać, jak bardzo jest z siebie zadowolony.

Przyglądaliśmy się scenie w ogrodzie.

– Obiecuj, że pomożesz mi położyć je do łóżek. Bo inaczej uprą się, żeby spać w ogrodzie. Zrobiłeś im cudowny prezent.

Odwrócił się i oparł o zlew. Był tak blisko. Nie zdołałam się powstrzymać i wypaliłam:

– Strasznie się wczoraj pokłóciłam z Rachel, a teraz nie mogę się do niej dodzwonić i martwię się, że coś jej się stało.

Nie wiem, czemu mu o tym powiedziałam, tak po prostu wyszło, a po chwili jeszcze pogorszyłam sprawę i rozplakałam się, świadoma, że pewnie uzna mnie za kompletną wariatkę.

Podał mi ręcznik papierowy.

– Dlaczego się pokłóciłyście?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo za dużo wypiliśmy i dlatego, że jestem głupią żoną.

Uśmiechnął się.

– No coś ty, wszystkim czasami odbija po pijaku. Myślisz, że nie odbiera, bo się gniewa, czy naprawdę się martwisz, że stało jej się coś złego?

– Nie wiem. Wczoraj zniknęła w ciemnościach i od tej pory z nią nie rozmawiałam.

– To znaczy, że pokłóciłyście się na dworze? – zdziwił się.

Pokiwałam głową, zawstydzona.

– Tak, na ulicy, jak nastolatki albo dziwki.

Spojrzał na mnie z udawanym oburzeniem.

– Jestem w szoku. Nie, żartuję. Każdemu się to czasem zdarza.

– Serio?

Pokręcił głową.

– Nie, tylko nastolatkom i dziwkom, ale chciałem ci poprawić humor. – Wyciągnął telefon. – Może ja spróbuję do niej zadzwonić? Jeśli odbierze, będziemy wiedzieli, że nic jej się nie stało. A jeśli nie, zawiadomimy Interpol.

Był taki spokojny i zaradny. Podałam mu numer.

– Cześć, Rachel? Mówi Edward Bloem z kursu ogrodnictwa.

To znaczyło, że żyje. Dobrze. Z drugiej strony najwyraźniej byłam na jej czarnej liście. Fatalnie.

– Jestem właśnie u twojej siostry. Lilian bardzo się o ciebie martwi.

Przez chwilę słuchał, zadrgały mu kąciki ust.

– Nie wiem, czy zdołam jej przekazać tę wiadomość słowo w słowo. Na pewno nie chcesz po prostu z nią pogadać? – Cisza. – Dobrze, powiem jej. – Rozłączył się i popatrzył na mnie. – Nie chce z tobą rozmawiać, ale prosiła, żebym ci powiedział, że nic jej nie jest.

– To była ta trudna do przekazania wiadomość?

– Musiałem ją nieco przeredagować, pamiętaj, że angielski nie jest moim ojczystym językiem.

Przyjrzał mi się z namysłem, a potem powoli się uśmiechnął, a w jego zielonych oczach zapalił się ciepły błysk. Pachniał świeżym powietrzem, był taki wysoki, barczysty i taki... męski. W tym opanowanym przez kobiety domu robił wrażenie przybysza z innego świata. Byłam w stanie myśleć tylko o tym, jak bardzo pragnę go pocałować. Najwyraźniej traciłam zmysły.

Podeszłam do zlewu, by ochłonać, a potem wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, czy dzieci już się kłócą. W królestwie wrózek panował jednak pokój.

– Czy wiesz – ciągnął Edward tonem towarzyskiej pogawędki – że twoja szyja z boku przypomina wnętrze muszli i że tu, gdzie opadają na nią włosy, jest właśnie to miejsce, które najbardziej chciałbym pocałować?

Oblałam się gorącym rumieńcem. „To pocałuj”, powiedział jakiś głos i po chwili zrozumiałam, że należał do mnie. Moje usta najwyraźniej przejęły kontrolę nad moim mózgiem.

Edward nachylił się i pocałował mnie w kark. Od lat nie przeżyłam tak

romantycznej chwili i poczułam, jak uginają się pode mną kolana. Otoczył mnie ramieniem i odwrócił do siebie, ale to ja przycisnęłam usta do jego ust, ja położyłam mu ręce na biodrach i przyciągnęłam go do siebie. I to z pewnością ja zatraciłam się w odurzającym przypiływie pożądania, zapominając o dzieciach, nieżyjącym mężu, utraconej pracy i rozwścieczonej siostrze. Liczył się tylko smak jego ust, dotyk silnych dłoni na moich plecach i wstrząsające odkrycie, że wcale nie jestem martwa od pasa w dół.

Edward cofnął się lekko i spojrział na mnie. Źrenice miał tak samo rozszerzone jak ja. To nie był tylko pocałunek. W tym momencie oboje wiedzieliśmy, że zostaniemy kochankami. Będziemy zdzierać z siebie ubrania i smakować każdy centymetr swoich ciał, i sprawiać sobie rozkosz, raz za razem. Od niepamiętnych czasów nie czułam takiego podniecenia; byłam pijana oczekiwaniem. Edward widział to w mojej twarzy i zaczerwienił się, znów przywarł do mnie gorącymi wargami, zanurzył palce w moich włosach. Na tym polega jedyna przewaga zaawansowanego wieku nad młodością: wiesz, że to jest prawdziwe, wiesz, że pragniesz czuć tego mężczyznę w sobie, wiesz, co się wydarzy, i jest to tak samo pewne jak każda wiedza nabyta na drodze doświadczenia. Nie istnieje nic, ale to nic, co zwałoby z nóg równie skutecznie jak pierwsza godzina erotycznej relacji. To jest niczym paliwo rakietowe. Edward pociągnął mnie za rękę do stołu i zaczął spychać na bok wszystko, co na nim leżało.

W tej właśnie chwili usłyszałam z dworu wołanie Clare:

– Mamo! Annabel mówi, że moja wróżka jest źle pomalowana!

Wiedzieliśmy, że mamy jakieś piętnaście sekund, zanim dzieci wparują do kuchni. Spojrzeliśmy po sobie, a Edward mruknął coś po niderlandzku głosem, w którym dźwięczała głęboka frustracja.

Roześmiałam się drżąco.

– O cholera, mam dzieci.

Choć wyraźnie pobladł, zdołał wziąć się w garść na tyle, by odpowiedzieć:

– Ze wstydem muszę przyznać, że zupełnie o nich zapomniałem. – Wciąż trzymał mnie za rękę i szybko przyciągnął do siebie, by pocałować po raz ostatni, mocno i namiętnie, szepcząc w moje usta: – To nie koniec, obiecuję. – Delikatnie ugryzł mnie w wargę, po czym puścił. Wszystko mnie bolało, dosłownie bolało z pożądania, ale gdy tylko do kuchni wpadły dzieci, podniecenie natychmiast wyparowało. Zadziwiające, ale to naturalna kolej rzeczy.

Clare wciąż była zła na siostrę i nie dostrzegła niczego dziwnego w tym, że dwoje dorosłych stoi pośrodku kuchni z czerwonymi twarzami.

– Annabel mówi, że moja wróżka ma brzydką sukienkę, a to wcale nieprawda!

Annabel przystanęła w progu. Zdawała sobie sprawę, że na czymś nas przyłapała, nie wiedziała tylko na czym. Zmrużyła oczy, ale była zmęczona i wyraźnie nie w nastroju do analizy społecznych zachowań dorosłych.

– Nie do końca tak powiedziałam.

Clare zmieniła taktykę:

– Zabieram domek wrózek do łóżka.

Pokręciłam głową.

– Nie ma mowy. Ale rzeczywiście najwyższy czas szykować się do spania. Edward właśnie wychodził.

Edward poszedł za moją sugestią i sięgnął po marynarkę.

– Do zobaczenia w sobotę, powiecie mi, czy domek wciąż wam się podoba. – Odwrócił się do mnie. – Do widzenia, Lilian. Będziemy w kontakcie.

Nie musiał mówić nic więcej. Oboje wciąż drżeliśmy. Poza tym Clare wybrała tę właśnie chwilę, by przypaść do niego i wybuchnąć potokiem podziękowań, tuląc się do jego nóg i zaglądając mu w oczy. Jest uczuciowym dzieckiem, trzeba jej to przyznać.

Przełączyłam się na autopilota, by rozpocząć zwykły wieczorny rytuał. Nagły przeskok między pożądaniami a domową codziennością był boleśnie znajomy. Ile to już razy moje pragnienia kłóciły się z obowiązkami? Chcę spać, ale muszę wstać i utulić dziecko, które męczą koszmary. Chcę leżeć na trawie w parku i czytać książkę, ale muszę popychać huśtawkę, rozsądzać drobne sprzeczki, muszę wciąż wyęczać uwagę, choć wolałabym ślizgać się po powierzchni rzeczywistości, pogrążając się w snach na jawie.

Po śmierci Dana pewnie radośnie zagłodziłabym się na śmierć, gdyby nie to, że przecież w domu były dzieci... Trzeba je było karmić i ubierać i w ogóle ich nie obchodziła moja rozpacz. Dalej jak gdyby nigdy nic sikały i robiły kupę, płakały i spały. Kiedy leżałam w szpitalu, często zdarzało mi się zapominać o ich istnieniu. Wegetowałam, odmawiając jedzenia, odmawiając picia, aż do bólu pragnąc po prostu puścić krawędź urwiska i poszybować w dół, kręcąc się na wietrze niczym półprzezroczysty skrawek pergaminu. Były i takie dni, kiedy przypominałam sobie, że gdzieś na świecie żyją moje dzieci, i tęskniłam za nimi, czując na kręgosłupie mroźne macki wstydu – jak chłodny podmuch w i tak już zimny dzień. Często żałowałam, że dzieci nie umarły razem z Danem, ponieważ mogłabym wtedy przeciąć ostatnie więzy łączące mnie ze światem żywych i po prostu przestać oddychać. Nigdy nie mówiłam o tym nikomu, nawet doktor Graver, i do dziś zdarza się, że paraliżuje mnie strach, kiedy pomyślę, że Bóg mógł mnie wówczas usłyszeć i zapamiętać sobie to życzenie.

Kiedy wyszłam ze szpitala i jakoś pogodziłam się ze świadomością, że trzeba żyć dalej, odkryłam zbawienną moc żmudnych codziennych czynności. Zawsze umiałam sobie z nimi radzić, bo przywykłam do tego, że wykonuję je sama, bez Dana. Było mi znacznie trudniej zająć się wszystkim, co wcześniej robiliśmy razem, oraz tym, co należało tylko do niego. Mam znajomą członkinię AA, która nazywa to „testem trzeźwości”. Chodzi o to, by nauczyć się robić na trzeźwo to

wszystko, do czego wcześniej potrzebny nam był alkohol. Ja natomiast musiałam się przyzwyczaić, by mimo smutku zajmować się tym, co wcześniej robiłam z radością. Stopniowo wszystkie te czynności znów stały się możliwe do zniesienia. Jakimś cudem wciąż oddychałam i proszę, minęło tyle lat, a ja nadal trzymam się przy życiu.

Dzieciaki przez całą kąpiel gadały tylko o domku dla wrózek. Najwyraźniej nie wyraziłam należytego zachwytu, ponieważ temat ten nie schodził im z ust również podczas wycierania, wybierania piżam, czytania na dobranoc, aż do momentu, kiedy trzeba było zgasić światło.

– A jeśli spojrzysz na tylną ścianę sypialni, to zobaczysz szafę, a w niej takie malutkie wieszaczki, na których wiszą ubranka.

– Są naprawdę małe.

– Ale wróżka by się do tej szafy zmieściła.

– Po co miałabym wkładać tam wróżkę? – Odgarnęłam Clare włosy z czoła, zachodząc w głowę, jak zdołała je umazać czekoladowym budyniem i jakim cudem nie zauważyłam tego przy kąpeli. Zaczęłam ścierać ślad, ale ona odtrąciła moją rękę.

– Ja włożyłam moją, żeby mogła wyskoczyć na wróżkę Annabel i ją przestraszyć, ale można by zrobić to też po coś innego.

Przymknęłam drzwi, zostawiając obowiązkową siedmiocentymetrową szparę, po czym poszłam do salonu. Frank nalał mi kieliszek cabernet i właśnie rozkładał stół do masażu... Żartuję. Teraz, nierozpraszany obecnością dzieci, mój organizm zaczął rozpamiętywać niedawne rozczarowanie. Co do cholery? – mówił. Po co zaczęłaś coś, czego nie byłaś w stanie skończyć? O rany. Choć to dziwne, żałowałam, że nie mogę porozmawiać o tym z Danem. Ale nie mogłam. Dan nie żył, umarł, był martwy. A Rachel nadal się do mnie nie odzywała.

Jeszcze raz spróbowałam się do niej dodzwonić. Tym razem odebrała.

– Dobra – oznajmiła – minęła doba, odkąd zachowałaś się jak ostatnia menda, i jestem gotowa przyjąć twoje przeprosiny.

– Bardzo, bardzo cię przepraszam.

– Mam nadzieję. Kontynuuj.

Uśmiechnęłam się.

– Naprawdę, ale to naprawdę jestem największą idiotką pod słońcem. Jestem ci wdzięczna całym sercem za to, co dla mnie zrobiłaś, i wcale nie uważam cię za świętą ani nikogo takiego. Nie mam pojęcia, skąd mi to przyszło do głowy.

Westchnęła.

– W porządku, zapomnijmy o tym. Zresztą uważam, że to całkiem zdrowe, by od czasu do czasu wylać swoje żale, choćby najbardziej bezsensowne i bezzasadne. Tylko następnym razem nie róbmy tego na ulicy, zgoda?

Skinęłam głowę, choć przecież mnie nie widziała.



– Dotarłaś do domu bez przeszkód?

– Aha. W końcu sobie uświadomiłam, że zostawiłam cię w środku miasta z kompletnie pijaną Maggie, ale po tym wielkim wyjściu nie mogłam już zawrócić. Narzygała na ciebie?

– Tak.

– I dobrze. To teraz opowiadaj, jak ci minął dzień. Edward był u ciebie? Co się stało?

– Przyniósł domek dla wrózek.

Prychnęła.

– Gdybym dostawała dziesięć centów za każdym razem, kiedy jakiś facet wyskakuje z takim żalonym pretekstem...

– O mało się nie bzyknęliśmy na kuchennym stole.

Ha. Cisza. Udało mi się ją zaskoczyć.

– Cholera. Ty to umiesz stopniować napięcie.

Wzruszyłam ramionami.

– Sama twierdziłaś, że powinnam poszerzać horyzonty.

– To prawda – przyznała. – Ale nie sądziłam, że pójdziesz na całość na pierwszej randce.

– Czemu nie? Ty zawsze tak robisz.

Roześmiała się.

– A skąd inaczej miałabym wiedzieć, czy jest sens umawiać się na drugą? – Westchnęła. – Jak się domyślam, w ostatniej chwili sobie przypomniałaś, że masz dzieci, i skrewiłaś?

– Właśnie – potwierdziłam ponuro. – A teraz mam mętlik w głowie. Właśnie dlatego nie miałam ochoty z nikim się spotykać. – Nerwowo skubałam wystającą z kanapy nitkę.

– Chyba nie zamierzałaś spędzić reszty życia w celibacie? Masz dopiero trzydzieści parę lat. Niewykluczone, że pożyjesz jeszcze z sześćdziesiąt.

Rozparłam się na sofie i rozejrzałam po salonie. Wszystko wyglądało jak zawsze. Włożyłam wiele starań w to, żeby po śmierci Dana stworzyć sobie bezpieczny, przewidywalny świat. Spróbowałam wytłumaczyć to Rachel:

– Nie chodzi o to, że Edward mi się nie podoba. Podoba mi się, i to bardzo, zapewniam cię. Dziś wieczorem na kilka minut zupełnie zapomniałam o codzienności i było to niezwykle pociągające, ponieważ w mojej codzienności nie ma nic wyjątkowego. Gdybym nie miała dzieci, to pewnie zbecześciłabym dziś z Edwardem swój kuchenny stół, ale mam dzieci, a kiedy one odejdą z domu, dla mnie będzie już za późno. – Poczułam ucisk w gardle i ogarnęło mnie rozdrażnienie. – A teraz chce mi się płakać i nie wiem nawet, czy jestem smutna, bo nie przespałam się z Edwardem, czy dlatego, że nie śpiam z nikim, czy może po prostu tęsknię za Danem tak bardzo, że wciąż na każdym kroku czuję jego

obecność. Ja tak nie chcę, Rachel. Kiedy zbiera mi się na płacz, chcę wiedzieć dlaczego. Rozumiesz?

W jej głosie zabrzmiało współczucie:

– To ważne w życiu: wiedzieć, czemu się płacze.

– Właśnie.

– Może pogadamy o czymś innym, póki nie poczujesz się trochę lepiej?

Tak bardzo ją kochałam.

– Chętnie.

Siąknęłam nosem, po czym wytarłam go w rękaw. Rachel nabrała powietrza i wypaliła:

– Zastanawiałam się, czy nie adoptować kota. Co o tym sądzisz?

## DYNIA



Potrzebne ci będzie miejsce z dużą ilością przestrzeni i mnóstwem słońca. Tobie i oczywiście dyniom.

Gleba prędzej się nagrzeje, a nasiona szybciej wykiełkują, jeśli posadzisz je na małych kopczykach. Należy usypać je samemu, nie sprzedają ich w sklepach ogrodniczych.

Nasiona sadzimy na głębokości około 2,5 centymetra (po 4–5 w każdym kopczyku). Odległość między kopczykami powinna wynosić 1–2 metry.

Kiedy rośliny osiągną wysokość 5–6 centymetrów, należy je przerzedzić do 2–3 na kopczyk, wycinając zbędne egzemplarze tak, by nie uszkodzić korzeni pozostałych. Jeśli z pierwszych kwiatów nie będzie owoców, nie przejmuj się, to normalne. Męskie i żeńskie kwiatostany muszą się otworzyć, zapoznać ze sobą, może spędzić wspólnie trochę czasu, obejrzeć film i, no wiesz, zrelaksować się.

## ROZDZIAŁ 11

Po nocy pełnej nieprzyzwoitych snów obudziłam się w złym humorze. Annabel również wstała lewą nogą, w związku z czym warczałyśmy na siebie przez cały ranek.

Chciała koniecznie włożyć różową koszulkę.

Nie tę, tę drugą.

Tę też nie.

Ani tę. O rany, mamó, tę z konikiem.

Tak, właśnie tę.

Koszulka była brudna.

Płacz.

Czemu w tym domu zawsze brakuje czystych rzeczy? Czemu nikomu na niej nie zależy? Czemu zawsze zajmuję się innymi sprawami (wypowiedziane z morderczym naciskiem), a nie mam czasu zrobić prania?

A może założyłaby tę drugą koszulkę z konikiem?

Nie.

Albo tę drugą różową? Bez konika, ale różową?

Nie.

Stanowczo: Zdecyduj się wreszcie. Ja idę zrobić śniadanie. Co chcesz?

Nic.

Może grzanekę?

Nie.

Jajko?

Nie. Zagłodzę się na śmierć, bo wszyscy mają mnie w nosie.

Ja nie. Chcę ci zrobić śniadanie. Clare, a ty na co masz ochotę?

Na naleśniki.

Zatem naleśniki.

Ale ja nie lubię naleśników. Chcę jajka.

Nie, zrobię naleśniki.

Płacz.

Ostentacyjne wyjście do kuchni (ja).

Ryk w przedpokoju (ona).

Głośne trzaskanie patelniami (ja).

Ryk pod drzwiami kuchni (ona).

Rzyganie ze stresu (Frank).

Potem musiałam przygotować je do wyjścia, a wyjście oznacza buty.

Gdyby komuś wpadło do głowy znieść zwyczaj noszenia butów, pierwsza wybiegłabym na ulicę odpalać fajerwerki. Sama posiadam trzy pary, moje dzieci

mają ich w sumie kilkanaście, ale zazwyczaj noszą w kółko jedną ulubioną, którą wtykają gdzieś każdego popołudnia po powrocie ze szkoły. Zdarza się, że ginie tylko jeden but, co napędza mnie fałszywą nadzieją, która jednak już po chwili roztrzaskuje się o skałę rozpaczy, kiedy dochodzę do wniosku, że po drugim zaginął wszelki ślad.

To właśnie w chwilach intensywnego wkurzenia na dzieci żałuję czasem, że nie zginęłam zamiast Dana. To uczucie mija zazwyczaj po dziesięciu minutach, jednak w ogniu awantury z siedmiolatką o to, którą skarpetkę zgodzi się założyć, opanowuje mnie przygnębienie tak głębokie i niepohamowane, że życie wydaje się nie do zniesienia. Kiedy słyszę, że jakaś kobieta pobiła swoje dziecko, często myślę, że zdanie: „Ale te nie są z Dorą Odkrywczynią!” musiało być ostatnim, co usłyszała, zanim czerwona mgła przesłoniła jej resztki rozumu.

Wreszcie zdołałam odstawić małe do szkoły, a jadąc do pracy, postanowiłam, że postaram się zapomnieć o pocałunku z Edwardem. Nie byłam zainteresowana ani nim, ani pakowaniem się w jakieś miłosne historie. Miałam zamiar całymi dniami harować w pocie czoła, kończąc projekty, opróżniając biurko oraz szukając nowej pracy. Na lunch będę jadła sałatki. Zrzucę pięć kilo. Będę myła zęby elektryczną szczoteczką przez całe dwie minuty. Zajmę się sobą.

Kiedy jednak dotarłam do biura, okazało się, że Edward przysłał mi kwiaty. Właściwie wyczułam ich zapach, jeszcze zanim je dostrzegłam. Kiedyś w rozmowie z nim wspomniałam, jaka to szkoda, że w dzisiejszych czasach róże prawie już nie pachną, na co on zaczął mi opowiadać o starych gatunkach i innych rzeczach, których nie rozumiałam.

Mężczyźni nie są najlepszymi słuchaczami. Kiedy mówisz im, że lubisz morele albo The Cure, albo małe kotki, zwykle zapominają o tym, zanim zdołasz skończyć zdanie. Ja sama lubię kolekcjonować w pamięci drobne upodobania moich znajomych. Wiem na przykład, że Sasha przepada za zapachem fiołków, że Rose czytuje powieści z pieprzykiem, dużo chodzi, by utrzymać formę, i ma syjamskiego kota imieniem Dr Oodles. Gdybym jednak zapytała Dana, co studiował jego serdeczny kumpel, a zarazem współlokator z college'u, nie miałby bladego pojęcia.

Tak czy inaczej, Edward najwyraźniej różnił się od innych mężczyzn, bo przysłał mi przepiękny bukiet, który wypełnił pokój intensywnym, słodkim, lekko cytrynowym zapachem. Róże miały głęboką, kremową barwę i mnóstwo gęstych płatków. Wyglądały jak dzieło malarza.

Sasha popatrzyła na mnie znacząco.

– Musiałś zrobić wczoraj coś niesamowitego. Kiedy tylko je zobaczyłam, od razu miałam ochotę je naszkicować. To najpiękniejsze „Madame Hardy”, jakie widziałam od dawna.

Zauważyłam, że i ona postanowiła chwycić byka za rogi: na jej biurku stały

otwarte kartony, poza tym przyniosła ze sobą portfolio.

– Myślałam, że to róże. – Pochyliłam się nad bukietem i głęboko zaciągnęłam jego wonią, jednocześnie szukając bileciku.

Sasha parsknęła śmiechem.

– Tak się nazywają. „Madame Hardy”. To odmiana róży damasceńskiej, jedna z najsłynniejszych dostępnych obecnie starych róż na świecie. Ktoś, kto je przysłał, zna się na kwiatach.

Bileciku nie było. Hmm. Uznałam to za dość bezceremonialne. Spojrzałam na Saszę.

– Od kiedy wiesz tyle o różach?

– Od kiedy zagrałyśmy w „papier, kamień, nożyce” o to, kto zilustruje trzecie wydanie *Kociąt i szczeniąt*, i przegrałam. Dostały mi się *Róże świata*, wydanie drugie.

– No tak. – Popatrzyłam na bukiet. – Kimkolwiek jest nadawca, nie dołączył bileciku, więc kto wie.

– Jasne, przecież wpadło ci ostatnio w oko kilku seksownych ogrodników, to może być każdy z nich.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. – Zamknęłam oczy i powąchałam kwiaty.

– Lilian, jeśli używasz słowa „interesujący” więcej niż cztery razy w jednej rozmowie, to wierz mi, nikogo nie nabierzesz. Równie dobrze mogłabyś nosić koszulkę z napisem „Chora z miłości do profesora”.

Nie zamierzałam zaszczycać jej odpowiedzią. Na szczęście zadzwonił telefon.

– Halo?

– Dostałaś kwiaty? – zapytał Edward głębokim głosem. Przez telefon jego akcent wydawał się mocniejszy. Obląłam się rumieńcem.

– A więc były od ciebie?

Zachichotał.

– Uściślijmy. Wysłałem ci bukiet starych róż. Jeżeli dostałaś inne kwiaty, to znaczy, że nadawcą jest któryś z twoich pozostałych wielbicieli.

Był irytująco pewny siebie. Ktoś inny mógłby się zagotować, ale na nim moje kręactwo najwyraźniej nie zrobiło wrażenia.

Odkaszlnął.

– Dostałaś je, prawda? – Głos lekko mu zadrżał i od razu poczułam się lepiej. Być może nie interesował mnie romans jako taki, ale sam Edward owszem.

Uśmiechnęłam się.

– Tak, stoją przede mną i pięknie pachną. Bardzo ci dziękuję.

Po głosie poznałam, że on także się uśmiecha.

– Nie ma za co. Jak ci minęła reszta wieczoru? – zapytał, po czym dodał szeptem: – Muszę przyznać, że wczoraj długo nie mogłem zasnąć.

Wtedy, równie nagle, znów ogarnął mnie niepokój. Nie potrafiłam dojść do ładu

z własnymi emocjami. Od tych zmian nastroju kręciło mi się w głowie.

– Całkiem dobrze. Długo rozmawiałam z Rachel.

– Pogodziłyście się?

– Tak.

– Może zjadłabyś dzisiaj ze mną lunch?

Aaa!

– Hm... Nie wiem. Kilka dni temu wszystkich zwolniono i teraz próbuję... – umilkłam i powąchałam bukiet. – Nie wiem...

Edward nie stracił głowy.

– A może wypijemy tylko kawę? Nie tak jak wczoraj... Po prostu kawę, dobrze?

– Zgoda.

Podaliśmy mu adres biura. Najwyżej mu powiem, że nie możemy się więcej widywać. Ignorując zapach róż, zabrałam się do opróżniania szuflad.

Tkwiałam właśnie skurczona pod biurkiem, szukając ćwierćdolarówki, która potoczyła się na podłogę, kiedy do pokoju wszedł Edward. Niestety, zamiast klęknąć jak normalny człowiek, schylałam się, siedząc na krześle i usiłując w ten sposób dosięgnąć monety, co mi się oczywiście nie udało, i koniec końców utknęłam, choć nie miałam zamiaru się do tego przyznać. Powiedzmy, że nie wyglądałam w tej pozycji szczególnie atrakcyjnie.

– Lilian? – Na dźwięk jego charakterystycznego głosu wycofałam się zbyt gwałtownie spod biurka i przywalałam głową w blat.

Przynajmniej go rozbawiłam.

– Tak myślałem, że to twoje, hm... buty.

Czy nie istnieje nic, co byłoby w stanie zbić go z tropu?

– To pan przysłał te róże?

Edward odwrócił się do Sashy z uśmiechem.

– Ja – potwierdził, robiąc krok do przodu. – Nazywam się Edward Bloem, a pani...

– Sasha.

Przywitali się, a potem Edward wziął mnie za rękę.

– Idziemy? – Przyciągnął mnie do siebie, po czym spojrzał na Sashę. – Miło mi było panią poznać.

Sasha za jego plecami zrobiła minę pod tytułem: „Ale ciacho!”. Udałam, że tego nie widzę.

Kiedy szliśmy do windy, Edward wciąż trzymał mnie za rękę. Podobnie w windzie – i gdy wyszliśmy na ulicę. Nagle się zatrzymałam.

– Boję się – wypaliłam. Czułam, że jeśli nie powiem mu prawdy, jedynym wyjściem będzie podciąć mu nogi celnym kopniakiem i zwać.

Przysunął się o krok i popatrzył na mnie z powagą.

– Nie chcesz, żebym cię trzymał za rękę? – zapytał, ale nadal jej nie puszczał.

Na zmianę kręciłam i kiwałam głową.

– Nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Odbija mi. Nie potrafię tego lepiej określić. Nikogo nie szukałam. Żyłam sobie normalnie i było mi dobrze. A potem zjawiłeś się ty, wydarzył się wczorajszy wieczór i wszystko się pochrzało. Nie odpowiedział, ale puścił moją dłoń i rozejrzał się. Po drugiej stronie ulicy była jadłodajnia.

– Wejźmy tam i pogadajmy, dobrze? Możemy zamówić koktajle.

Nie byłam pewna, skąd o tym wie, ale prawda wygląda tak, że choćbym była na skraju śmierci, wystarczy jedna wzmianka o mlecznym koktajlu, a jestem gotowa zebrać resztki sił, żeby tylko go dopaść i wypić do ostatniej kropelki.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Oczywiście żałowałam, że już mnie nie trzyma za rękę. Usiedliśmy naprzeciwko siebie w jednym z boksów i w milczeniu czekaliśmy, aż kelnerka przyniesie zamówienia. Potem przez chwilę zabawialiśmy się dmuchaniem w papierki po słomkach, co odrobinę rozładowało napięcie.

– Mogę zacząć? – zapytał Edward, po czym ciągnął, nie czekając na odpowiedź: – Ja też nikogo nie szukałem. I też żyłem sobie normalnie. Ale kiedy cię pierwszy raz zobaczyłem, wiedziałam, że chcę cię poznać, chcę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej. Jesteś bardzo piękna, wiesz o tym, ale masz też w sobie... coś. – Zaczerwienił się. – Coś, co najwyraźniej odbiera mi mowę. – Odetchnął głęboko. – Zdaję sobie sprawę, że jesteś w trudnym położeniu. Masz dzieci. Jesteś wdową. Wczoraj... zapomniałem się na chwilę, ale jestem dojrzałym mężczyzną, nie nastolatkiem. Poczekam, aż będziesz gotowa.

Odchylił się na krześle i pociągnął przez słomkę długi łyk. Spojrzałam na niego, bijąc się z myślami.

Uśmiechnął się.

– Czemu nie powiesz mi po prostu, co ci chodzi po głowie, Lilian?

– Bo mam tam straszny bałagan.

Wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko spróbuj.

– Chcę iść z tobą do łóżka.

Wybuchnął śmiechem. Mówiłam dalej:

– Ale jednocześnie mam ochotę uciec i już nigdy więcej cię nie zobaczyć. Pragnę cię, naprawdę. Ja też nie jestem już nastolatką i wiem, jak byłoby nam cudownie. – Teraz czerwieniliśmy się oboje. Edward ujął moją dłoń i gładził jej wnętrze opuszką kciuka. – Ale kiedy tylko udaje mi się przekonać samą siebie, że to przecież naprawdę proste, wpadam w panikę na samą myśl o tym, że znów mogłabym z kimś być. – Nagle coś przyszło mi do głowy i zaczerwieniłam się jeszcze mocniej. – Chyba że tobie nie chodzi o... Może chcesz tylko...

Nie jestem już nastolatką? Akurat.

Edward się uśmiechnął.

– Zabawna jesteś. Nie, nie zależy mi na szybkim numerku... tak się chyba mówi?



Moglibyśmy to oczywiście zrobić, jeśli chcesz. – Spojrzał na mnie z błyskiem w oku. – Ale nie sądzę, żeby mi to wystarczyło. – Nachylił się nad stołem i ściszył głos: – Chcę zabrać cię do łóżka i sprawić, że już nigdy nie będziesz smutna. Chcę cię uszczęśliwić, Lilian.

Cofnął rękę i rozłożył dłonie.

– Dla mnie to też nie jest normalna sytuacja. W normalnych warunkach zaprosiłbym cię na kolację jak dżentelmen, żeby zobaczyć, czy po jednym lub dwóch spotkaniach dasz się pocałować, a potem albo zostalibyśmy kochankami, albo nie. Ale na to już za późno. Wybacz.

Spuściłam wzrok, usiłując zrozumieć, co teraz czuję. I nagle przyszło olśnienie.

– Głodna jestem – oznajmiłam. – Zamówimy coś?

Jedzenie oczywiście natychmiast poprawiło mi humor. Zamówiliśmy burgery, które okazały się naprawdę wyśmienite. Na dodatek zawarliśmy milczącą umowę, żeby zmienić temat. Edward opowiedział mi o swojej rodzinie:

– Nie jest lekko. Praktycznie rzecz biorąc, pracujemy razem, a firmą kieruje w tej chwili moja najstarsza siostra. Między innymi dlatego postanowiłem przyjąć tę robotę i spędzić rok w Stanach. Potrzebowałem przestrzeni. Amsterdam to nieduże miasto, więc bardzo często się widywaliśmy. Rodzina nie była zachwycona, że moje małżeństwo się rozpadło.

To mi dało do myślenia.

– Rozwód był ciężki?

Skrzywił się.

– A czy istnieje coś takiego jak lekki rozwód? Nasz był cywilizowany. Przykro mi tylko ze względu na syna. Dorasta, a mnie to omija.

– Ile miał lat, kiedy się rozeszliście?

– Sześć. Ale jeszcze przed rozwodem przez rok mieszkaliśmy osobno, a i wcześniej często zdarzało mi się pracować za granicą. – Posmutniał. – Wątpię, żeby moje odejście zrobiło mu wielką różnicę.

Wyprostował się, wyraźnie pragnąc zmienić temat.

– Co teraz będzie z twoją pracą? – Uśmiechnął się leciutko. – I kto narysuje nasze warzywa?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co dalej z waszą książką. O zwolnieniach dowiedzieliśmy się zaledwie parę dni temu i nic jeszcze nie jest jasne. – Upiłam łyżeczek koktajlu i dodałam w zadumie: – Może to dlatego przeżywam taki stres. Wszystko dzieje się naraz.

Skinął głową.

– Rozumiem. Ale czasem tak po prostu bywa. Zima, wszędzie szaro i buro, a dwa dni później przychodzi wiosna i nagle wszystko wokół zaczyna pączkować i kwitnąć. Kiedy natura coś sobie umyśli, nie da się jej zatrzymać, prawda?

Uśmiechnęłam się.

– Chodzi ci o to, że my dwoje jesteśmy jak wiosna? Jesteśmy tylko zjawiskiem przyrodniczym?

Edward gestem poprosił kelnerkę o rachunek.

– Nie, chodzi mi po prostu o to, że może powinniśmy od czasu do czasu pozwolić działać naturze.

Z szacunku do tego pomysłu pozwoliłam mu w drodze powrotnej potrzymać się za rękę. Wciąż nie byłam pewna, co się ze mną, do cholery, dzieje, postanowiłam jednak po prostu odpuścić i poczekać na rozwój wypadków. Coś w końcu musiało się wydarzyć. Jak zawsze.

## STOSUNKI Z OWADAMI



Spróbuj utrzymywać zasady pokojowego współżycia z mrówkami w ogrodzie, ponieważ (a) robią wiele dobrego i (b) ich przewaga liczebna nad tobą wynosi z grubsza miliard do jednego. Skórka melona sprawi, że nie wejdą ci na grządki.

Mszyce łatwo usunąć z liści, częstując je regularnie silnym strumieniem wody z węża ogrodowego. Spróbuj, to niezła frajda.

Jeśli zauważysz łązącą po roślinach żółto-czarną stonkę bądź metaliczną, zielono-niebieską popilię japońską, rozłóż folię na ziemi i rano, gdy szkodniki są najbardziej aktywne, strząśnij je, a potem utop w wiadrze wody z mydłem.

Zioła przydają się często jako środek na owady. Bylica piołun, krwawnik pospolity, santolina, wrotycz, mięta i lawenda od wieków odstraszaają ćmy. Skuteczny bywa również olejek rozmarynowy.

## ROZDZIAŁ 12

Tej nocy, kilka godzin po tym, jak dzieci poszły spać, usłyszałam płacz Annabel. Poszłam sprawdzić, co się dzieje. Mała siedziała w łóżku i patrzyła na jakiś przedmiot rozłożony na kolanach. W świetle nocnej lampki dostrzegłam, że jest zdenerwowana, wzięłam ją więc na ręce i zaniiosłam do swojego pokoju. Nie wypuszczała z rąk przedmiotu, który okazał się nieznanym mi albumem ze zdjęciami. Odgarnęłam jej z policzka wilgotne od łez włosy i zatknęłam je za ucho.

– Co tam masz, kochanie? Co się stało?

Nie odpowiedziała, wtuliła tylko twarz w moje ramię i podała mi album. Otworzyłam go i zmarszczyłam brwi.

– Kto ci go dał?

– Lea. Dawno temu. Wybrałam zdjęcia, jakie chciałam, z naszego pudełka ze skarbami, a Lea pomogła mi je wkleić. Clare też dostała swój, ale trzyma w nim tylko zdjęcia Franka.

Spojrzałam na nią.

– To ich album ślubny?

Uśmiechnęła się przelotnie, ale twarz wciąż miała ściągniętą.

Przekartkowałam album. Większość fotografii przedstawiała Annabel: na huśtawce, idącą ulicą, podrzucaną do góry, roześmianą, siedzącą na kucyku i tak dalej. Na jednej czy dwóch zobaczyłam także Clare, niemowlę trzymane na rękach, a obok przyglądającą jej się starszą siostrę. Annabel była na każdym zdjęciu.

Chwyciłam się pierwszej myśli, która mi przyszła do głowy:

– Zrobiło ci się smutno, bo chciałaś znów być malutka?

Posłała mi jedno ze swoich słynnych spojrzeń, jakby tłumiała westchnienie. Potrząsnęła głową i znów popłynęły łzy.

– Nie, źle patrzysz.

Spojrzałam na zdjęcia jeszcze raz, ale wciąż nie rozumiałam.

– Opowiesz mi, czemu jesteś smutna?

– Jestem smutna i wesoła jednocześnie.

Oparła głowę na poduszce, miękkie włosy załamały jej się pod policzkiem, była taka śliczna, maleńka i skulona w sobie, że mnie również zebrało się na płacz. Zawsze byli z Danem bardzo blisko, i czułam się okropnie na myśl, że go tu nie ma, że nie może jej pocieszyć, choć oczywiście gdyby mógł to zrobić, pewnie nie byłoby takiej potrzeby.

Nagle Annabel usiadła, wskazała na fotografie i rozgniewana zawołała:

– To są zdjęcia moje i tatusia! Nie widzisz go? Na wszystkich jestem z tatusiem.

Znów rzuciła się na poduszkę i tym razem naprawdę wybuchnęła płaczem. Jeszcze raz przyjrzałam się fotografiom. I tym razem go zobaczyłam: był na każdym

zdjęciu. Trzymał ją za rękę, popychał huśtawkę albo prowadził kucyka. Widać było tylko jego dłonie. Czasem fragment przedramienia. Annabel wyglądała znad jego barku, tuliła się do jego szyi. Jego dłonie wyrzucały ją w powietrze. To ja trzymałam aparat i robiąc zdjęcie, zawsze skupiałam się na niej, nie na nim. Ale on tam był, był na każdej fotografii. Małe kawałki tatusia.

– To wszystko, co mi zostało. Bo jego już nie ma – szepnął dziecięcy głosik.

Pogłaskałam ją po włosach i pozwoliłam się wypłakać.

– Czemu nie mamy w domu żadnych jego zdjęć? Nie tęsknisz za nim?

Była na mnie zła, ale zarazem wiedziała, że to wszystko nie jest takie proste. Rozumiała, że jego odejście nie było moją winą, chciała jednak znaleźć osobę odpowiedzialną za to, co się stało, kogoś innego niż ona sama. Odwróciła głowę i popatrzyła na mnie.

– Nie pamiętam jego twarzy! Byłam za mała, mózg mi jeszcze dobrze nie pracował i nie zapamiętałam go – szlochała.

Cholera jasna. Miała rację, w domu brakowało jego zdjęć. Owszem, było kilka portretów rodzinnych, ale stały na wyższych półkach, na poziomie mojego wzroku. Nie chciałam zmienić naszego domu w świątynię, nie chciałam na każdym kroku przypominać sobie o tym, co straciłam, teraz jednak zrozumiałam, że niechcący odebrałam coś Annabel, pozwoliłam, by twarz taty zamazała jej się w pamięci, a ona czuła się winna. A więc Rachel miała całkowitą rację. Byłam totalną, pieprzoną egoistką.

– Poczekaj, kochanie.

Poszłam po laptopa i gorącą czekoladę dla Annabel. Siedziałyśmy razem całą godzinę, oglądając wszystkie zdjęcia Dana, jakie miałam, a dzięki technice cyfrowej były ich setki. Pokazałam jej nasze wspólne fotografie z czasów, kiedy byłam w ciąży – Dan przyciskał policzek do mojego absurdalnie wielkiego brzucha, w którym była ona – a także zdjęcia, na których trzymał ją w ramionach, maleńkie niemowlę, a jego twarz promieniała miłością i zachwytem. Annabel wybrała kilkadziesiąt fotografii i ułożyłyśmy z nich album.

Poza tym rozmawiałyśmy o Danie. O tym, jak bardzo go kochałam i jak bardzo on kochał ją, i jak mocno obie za nim tęsknimy.

– Clare go nie pamięta. – Annabel była już spokojniejsza, w lepszym nastroju.

Wzruszyłam ramionami.

– Skąd miałyby pamiętać? Kiedy zginął, była całkiem maleńka, więc nie zdążyła go poznać. To nie jej wina.

Annabel się uśmiechnęła.

– Wiem. Kocham Clare. Tylko szkoda, że go nie poznała.

Odwzajemniłam uśmiech.

– Za to my go znałyśmy.

Skinęła głową. Oczy jej się kleiły.

– Mogę spać z tobą?

Zamknęłam komputer i ułożyłam ją wygodnie, przykryłam kołdrą i głaskałam po plecach. Patrzyłam, jak jej buzia rozluźnia się we śnie. Miała brwi Dana, policzki Rachel, usta natomiast całkowicie własne, niepodobne do niczyich. Kiedy tak spała, lekko pochrapując, jej rysy zupełnie się wygładziły. Siedziałam i patrzyłam na nią, próbując odpokutować swoją tępotę.

Potem wstałam ostrożnie, nalałam sobie w kuchni kieliszek wina i zaniósłam komputer do salonu. Zaczęłam sama przeglądać zdjęcia, tym razem te, na których byliśmy we dwoje, zrobione przed narodzinami Annabel. Miałam przystojnego męża. Zdażyłam o tym zapomnieć. Kiedy się poznaliśmy, Dan miał dwadzieścia cztery lata, a gdy zginął, zaledwie trzydzieści dziewięć. Zawsze był zdrowy i pełen życia. Po jego śmierci, gdy minął szok, skupiłam się na tym, by udowodnić wszystkim, że się pozbierałam, że mogą przestać już się o mnie martwić. Koniec przedstawienia, dam sobie radę, proszę się rozejść. Pierwszym, co poczułam, opuszczając oddział psychiatryczny, było zażenowanie.

Z nas dwojga to zawsze ja byłam bardziej praktyczna, to na mnie można było polegać w trudnej sytuacji. Ale w dzień wypadku straciłam zmysły. Popadłam w obłąd. Z krzykiem wybiegłam na ulicę, popędziłam do auta, rzuciłam się na pogruchotane ciało męża, raz po raz wymierzałam mu policzki, błagając, by się obudził. Sanitariusze delikatnie próbowali mnie odciągnąć, ale bez skutku. Było jasne, że Dan nie żyje, fragment karoserii przygwoździł go do siedzenia, a nieduży, lecz zabójczo ostry kawałek metalu zabił na miejscu. Nie cierpiał, ważne, że nie cierpiał, to się stało tak szybko, mówili, tak szybko. Nawet się nie zorientował, kiedy było po wszystkim, mówili. To przez nią, wrzasnęłam, rzucając się ku zapłakanej nastolatce w drugim samochodzie. To ona, krzyczałam, wyciągając ją na zewnątrz, popychając na ziemię i kopiąc.

Wreszcie zabrali mnie stamtąd i nafaszerowali lekami. Jakoś zdołałam przetrwać pogrzeb, ale potem się załamałam i na kilka miesięcy zamknęli mnie w wariatkowie. Nic z tamtego czasu nie pamiętam, na szczęście. Dziewczyna, która prowadziła drugi samochód, do końca życia będzie miała przed oczami moją zakrwawioną twarz i szczerze mówiąc, guzik mnie to obchodzi.

Teraz, kiedy patrzyłam na cudowną twarz Dana, nietkniętą, żywą, ale uwięzioną na nieruchomej fotografii, tęskniłam za nim tak bardzo, że ledwo mogłam oddychać. Rozsypując się, zawiodłam swoją córkę, tak bardzo ją zawiodłam. Mażesz sobie spokojnie palcem po ścianach i niechcący polykasz złote rybki, a następnego dnia, gdy wracasz z przedszkola, tata nie żyje, a mama nie może się teraz z tobą zobaczyć, maleńka... Teraz ani przez najbliższe trzy miesiące. Niemowlę płacze, z dnia na dzień odstawione od piersi, bo mama jest zbyt naszprycowana lekami, by karmić, w domu przesiadują babcia i ciocia Rachel, i one też płaczą. Co miała ze sobą począć, do diabła? Jak musiała się czuć dziewczynka zaledwie trzyletnia, ale

wystarczająco duża, by wiedzieć, czym jest poczucie winy? Uczyliśmy ją się dzielić. Uczyliśmy brać odpowiedzialność za małe rzeczy, własne zabawki, psa, nauczyliśmy rozumieć, że każdy czyn ma swoje konsekwencje. Płakałam i oglądałam zdjęcia, piłam wino i zmieniałam się w otępiałą kupkę wstydu i żalu nad sobą, czułam się tak, jakby zauroczenie Edwardem oznaczało, że zamierzam zdradzić męża i dzieci. Nie minęła godzina, kiedy szeszło w piekącym ogniu żalu i wyrzutów sumienia – i stało się jasne, że samo nadejście wiosny nie wystarczy, by ożywić je na nowo.

Wreszcie zasnęłam, a rano po przebudzeniu czułam się jak wyżęta ścierka. Znakomicie.

Z pracy zadzwoniłam do Rachel i opowiedziałam jej o Annabel. Choć głos jej zdrzął, jak zwykle zdołała mnie zaskoczyć, wyrażając troskę przede wszystkim o mnie.

– To znaczy, że nie będziesz się spotykać z Edwardem? – spytała, po czym odpowiedziała sobie sama: – Nie będziesz, prawda? Zamierzasz wczłgać się z powrotem do tej swojej skorupy?

Z rozkojarzeniem bazgroliłam coś na kartce. Pudełka w pudełkach.

– Dzieci są ważniejsze, Rachel, zawsze będą. Muszę się skupić na Annabel, na szukaniu nowej pracy, na stabilizacji. Edward to zrozumie.

– A co z tobą? Może wreszcie pozwoliłabyś sobie na odrobinę szczęścia?

Zmarszczyłam brwi.

– Jestem szczęśliwa. Wszystko jest w porządku. Na randki jeszcze przyjdzie czas.

– Powiesz mu o tym?

Skinęłam głową.

– Rano wysłałam do niego maila. Stało się.

– Mówisz jak Clare.

– Clare to nie najgorszy wzór do naśladowania.

– To prawda. – Westchnęła. – Do zobaczenia jutro na zajęciach. Przykro mi, Lili.

– Niepotrzebnie, Rach – odparłam dziarsko. – Jest jak jest.

Rozłączyłam się i zabrałam do pracy. Przedstawienie skończone. Proszę się rozejść.

## SALATA



Zanim choćby pomyślisz o uprawie sałaty, musisz przede wszystkim przygotować glebę. Powinna być spulchniona i dobrze zdrenowana oraz użyźniona odrobiną materii organicznej mniej więcej tydzień przed zasiewem.

Nasiona sałaty są bardzo, bardzo małe, pamiętaj więc, by dobrze przekopać ziemię, bo grudki mogą wszystko zepsuć. Jeśli masz słaby wzrok, koniecznie załóż okulary. Te nasionka są naprawdę tycie.

Gdy roślinki zaczną wschodzić, należy je przerzedzić: sałaty liściowe: co 10 centymetrów rzymska i inne odmiany o luźnych główkach: co 20 centymetrów sałaty głowiaste: co 40 centymetrów.

Aby regularnie zbierać plony, możesz co 2 tygodnie dosiewać nowe nasiona. Zakładając, że pamiętasz, gdzie leżą. Jeśli tak, jesteś znacznie bardziej zorganizowaną osobą niż ja.

Jak stwierdzić, czy sałata potrzebuje wody: jeśli zwiędła i wygląda na zmęczoną, daj jej pić, od razu nabierze wigoru. Chyba że naprawdę popadła w przygnębienie.

W takim wypadku dotrzyмай jej towarzystwa, dopóki nie poczuje się lepiej.

Zbierając liściowe odmiany, odrywaj zewnętrzne liście, tak by nie naruszyć wewnętrznych.



## ROZDZIAŁ 13

### LEKCJA TRZECIA

O dziwo, mimo mojego mrocznego nastroju trzecia lekcja ogrodnictwa okazała się spektakularnym sukcesem. Nie mogliśmy się doczekać, aż ujrzymy nasze małe grządki, i z zachwytem skonstatowaliśmy, że wszędzie z ziemi wystają młode pędy. Zabrałam kiedyś dzieci do Disneylandu, jednak okrzyki dzikiej radości, jakie zaczęły wydawać z siebie w ogrodzie botanicznym na widok kiełkujących roślin, były na głowę ich entuzjazm w najweselszym miejscu na świecie. No, może z wyjątkiem chwili, kiedy Clare na głównej ulicy Disneylandu ujrzała Arielkę i wrzasnęła tak głośno, że zaalarmowała ochronę – był to jednak skrajny przypadek. (Uwaga na marginesie: jeśli szukasz wrażeń, odwiedź Disneyland i zasugeruj pracownikom, że ktoś właśnie próbuje porwać dziecko. Gwarantowana atmosfera rodem z filmów Jerry’ego Bruckheimera: faceci ze spluwami zeskakujący z drzew, krasnoludki wyciągające kałusznikowy i Kopciuszek w walecznej pozycji rycerza Jedi. No dobra, trochę przesadzam, ale naprawdę potraktowali sprawę niezwykle poważnie).

Moje krzaczki pomidorowe były coraz wyższe, kukurydza wypuściła nowe liście, a lawenda Rachel pięknie wyrosła. Gene i Mike pysznili się swoim zagonem sałaty, a Eloise i Frances z nonszalancją przeszły do porządku dziennego nad faktem, że zasadzone przez nie nasiona co do jednego wypuściły kiełki.

Edward ustawił nas w kółku. Spuściłam głowę, lecz gdy uświadomiłam sobie, że włożyłam buty, które pamiętały jeszcze czasy Dana, przeniosłam wzrok na korony drzew. Odpowiedź Edwarda na mojego maila brzmiała po prostu: „Poczekam na Ciebie. Jestem cierpliwym człowiekiem, a Ty jesteś dla mnie naprawdę wyjątkowa”. Cholerny drań. Słuchałam jego głosu, próbując nie uzalać się nad sobą.

– Dziś jest szczególny dzień, ponieważ zamierzam zwerbować do pracy drużynę dzielnych pomocników matki natury.

Clare odwróciła się do mnie i nieudolnym, ostentacyjnie głośnym szeptem syknęła:

– Robale, mam, on mówi o robalach!

Edward parsknął śmiechem.

– Clare ma rację. Rzeczywiście miałem na myśli robale. Dżdżownice to jeden z najważniejszych sprzymierzeńców każdego ogrodnika. Nie tylko napowietrzają glebę, drążąc w niej tunele, ale na dodatek trawią substancje organiczne, takie jak szczątki roślin czy odpadki kuchenne, wytwarzając odchody, które mogą posłużyć do produkcji tak zwanej herbatki kompostowej, czyli jednego z najskuteczniejszych znanych nam nawozów.

Gene, emerytowany bankowiec, wyraźnie czegoś nie załapał:

– Herbatki? Ale jak ją robią, skoro nie mają rąk?

Wszystkim nam stanął przed oczami ten sam obrazek: dżdżownice mocujące się z imbrykiem, nie mówiąc już o czajniku pełnym wrzątku. Była to dość wstrząsająca wizja.

Bogu niech będą dzięki, że Clare chodziła do szkoły publicznej:

– To są siki robali. Nie wiem, czemu ludzie mówią na to herbatka. To tylko siki.

Edward uśmiechnął się i skinął głową.

– Dżdżownice wydalają płynne odchody, czyli w gruncie rzeczy siki, które są niezwykle bogate w wartości odżywcze. Mają one wyjątkowo silne działanie, dlatego trzeba mocno rozrzedzić je wodą. Inaczej zniszczą korzenie naszych roślin.

– Ale jak się te siki pozyskuje? – Angie jak zwykle praktycznie podeszła do sprawy, przez cały czas jednym okiem obserwując Basha, który przemierzał się sprintem wokół zagonów. Przypominał małego charta w koszulce z Transformersami. – Domyślam się, że nie będziemy im zakładać cewników.

– To by było zbyt skomplikowane – dodała Rachel.

– I na pewno by im się nie spodobało – dorzuciła Eloise. – Dżdżownice słyną z silnie wykształconego poczucia prywatności.

Edward zachował kamienną twarz.

– Rzeczywiście, nie skorzystamy z cewników. Wystarczy wybudować domki dla dżdżownic i regularnie je karmić. – Powiedziawszy to, wskazał palcem ustawioną nieopodal stertę pudeł. – Zatem do roboty.

Podczas gdy mnie marzy się domek na wsi albo mieszkanie z widokiem na Central Park, dżdżownice śnią najwyraźniej o umieszczonych na palikach czarnych plastikowych kubkach. Były dość ciężkie, skorzystaliśmy więc z pomocy Niemożliwie Przystojnego Boba, który podrzucał je niczym foremki do jajek. Gene i Mike rozpakowywali swoje farmy dżdżownic, umacniając tym samym zadzierzgniętą wcześniej ojcowsko-synowską, czy też może bankiersko-surferską więź. W życiu bym nie pomyślała, że ci dwaj mogą stworzyć tak zgrany duet, zresztą gdyby nie kurs, pewnie nigdy by się nie poznali – a jednak jakimś cudem pasowali do siebie jak ulał. Gene – wraz z wieściami o nowo narodzonej wnuczce – przyniósł dziś do ogrodu babeczki.

– Są z różowym lukrem, na cześć małej Emily, najpiękniejszego dziecka pod słońcem.

Pokazał nam zdjęcia niemowlaka, który, jak wszystkie niemowlaki świata, wyglądał niczym sobowtór Winstona Churchilla, a my przykładowie wznosiliśmy zachwycone okrzyki. Gene opowiedział nam o porodzie, nie stroniąc od krwawych szczegółów. Znał nawet długość i wagę dziecka, za co oddałam mu w duchu szacunek. Mój świętej pamięci mąż, choć był obecny przy narodzinach obu naszych córek, stanowczo nie miał pamięci do tego typu detali. Twierdził, że to jak pytać żołnierza o kaliber broni, z której go postrzelono, że trauma porodu

wymazała wszystkie wspomnienia – na co przypominałam mu, że jeśli ktoś tu przeżył traumę, to chyba jednak ja. Tak czy inaczej, nie miał głowy do liczb. Natomiast Gene zapamiętał wszystko perfekcyjnie i z radosną nonszalancją rozdał zebranych babeczki. Przy okazji poprosił nas o przysługę:

– Chciałbym urządzić ogródek kwiatowy dla żony, żeby... eee... dla żony. – Zaczerwienił się. – Zanim wróci... Chcę jej zrobić niespodziankę. Mam już rośliny i wszystko. Edward mi pomógł. Zastanawiałem się, czy ktoś z was chciałby wpaść do mnie i pomóc mi je zasadzić. Zamówię pizzę, mam też zabawki dla dzieci.

– Ja chętnie – powiedział Mike, choć to się rozumiało samo przez się.

– Ja też, przyjdę z Bashem – obiecała Angie. Ja również skinęłam głową i skończyło się na tym, że zgłosiliśmy się wszyscy. Najwyraźniej tworzyliśmy nie tylko wspaniały zespół ogrodników, ale i prawdziwą drużynę do zadań specjalnych. Potem wróciliśmy do przerwanej pracy: tworzenia domków dla dżdżownic.

Okazało się, że to świetna zabawa. Kubły bez trudu udawało się zatknąć jeden w drugim, tak że tworzyły głęboki piętrowy pojemnik. Dzieci pomagały Lisie nasączać wodą bele czegoś w rodzaju włókna, przyszej wyściółki, a my wszyscy popatrywaliśmy z ciekawością na lniane woreczki, w których prawdopodobnie czekali nasi mali pomocnicy.

Gdy wszystko było gotowe, a wilgotna wyściółka znalazła się na swoim miejscu, otworzyliśmy woreczki i wsypaliśmy do pojemników wijącą się masę małych czerwonych robaczków. Byłam odrobinę rozczarowana, ponieważ spodziewałam się zwykłych dżdżownic, długich i tłustych, z tymi dziwnymi pierścieniami, czy jak to się nazywa.

– Kompostowiec różowy – poinformowała nas Lisa – to najpopularniejszy z gatunków wykorzystywanych do tworzenia kompostu.

– Czy wiecie – włączyła się Annabel, którą rozpieęła chęć podzielenia się ze wszystkimi swoją specjalistyczną wiedzą – że tak naprawdę po przecięciu wcale nie robią się z niej dwa robale?

– O nie – poświadczyła Clare. – To zwykle dyrdymały na resorach.

Już otwierałam usta, żeby ją poprawić, ale po chwili straciłam motywację.

Najwidoczniej Lisa miała więcej cierpliwości do moich dzieci niż ja sama:

– Macie rację, choć dżdżownica w odpowiednich warunkach potrafi przeżyć przecięcie na pół. Ogólnie rzecz biorąc, ma mózg oraz dwa serca, większe i mniejsze. Jeśli po przecięciu w jednej z połówek zostanie większe serce i mózg, to ta połówka przeżyje. Jeśli jedna będzie miała mózg i mniejsze serce, a druga większe serce, obie zdechną.

Nikt z nas nie miał nic do dodania, ale dobrze było wiedzieć, że gdybym musiała przeprowadzić kiedyś awaryjną bisekcję dżdżownicy, niezbędny będzie mi do tego aparat rentgenowski.

Ustawivszy pojemniki jeden obok drugiego pod skonstruowaną przez Boba markizą, wróciliśmy na swoje grządki, by zająć się pieleniem, porządkami, a przede wszystkim towarzyską pogawędką. Edward przyszedł pogadać o moim ogrodzie trzech sióstr. Niestety moje ciało wyraźnie nie odebrało z mózgu informacji, że powinno przestać się nim interesować, bo gdy tylko się zbliżył i poczułam zapach jego skóry, uświadomiłam sobie, że wpatruję się na przemian w jego usta i dłonie. Skarciłam się w duchu i twardo postanowiłam wziąć się w garść. Nic z tego nie wyszło, za to zaczęły mnie dręczyć jeszcze większe wyrzuty sumienia... czyli sama sobie strzeliłam gola.

– W zeszłym tygodniu zasadziłam pierwszą siostrę, tę, która rośnie najwolniej i zapewnia pozostałym cień: kukurydzę.

Skinęłam głową. Byłam niezmiernie dumna ze swoich kukurydzianych pędów, choć nie potrafiłam sobie wyobrazić, że rozrosną się w wysokie, rozkołysane na wietrze łodygi, jakie widywałam na puszkach konserw Green Giant.

– Dziś zajmujemy się fasolą, która z biegiem czasu zacznie się wspinać po łodygach kukurydzy. To niesamowicie wdzięczny widok.

Pokazał mi, jak zrobić dziurkę w ziemi, w którą następnie wrzuca się nasiono fasoli. Było to w gruncie rzeczy całkiem proste i przychodziło mi zupełnie naturalnie. Czego nie mogę niestety powiedzieć o wysiłku, jaki wkładałam w powstrzymywanie się, żeby go nie dotknąć, kiedy kuciał tuż obok mnie. On również nie był zadowolony – kiedy wstaliśmy, spojrzął na mnie i uśmiechnął się, leciutko i smutno. Następnie podszedł do Gene'a i choć pragnęłam pobiec za nim, musiałam się pogodzić z myślą: trudno, masz, dziewczyno, pecha.

Zamiast tego skupiłam uwagę na tępieniu chwastów w pomidorach. Cierpiałam i ktoś musiał za to zapłacić.

– Czyżbyś wyruszyła na wojnę z chwastami?

Drgnęłam i odwróciłam się. Eloise spoglądała na mnie z uśmiechem. Za plecami miała słońce, więc jej twarz spowijał cień.

– Czasami dobrze wyrwać coś z korzeniami i wyrzucić za siebie. To oczyszcza umysł.

Uśmiechnęłam się.

– Chyba tylko dopóki się nie odwrócisz?

– Szukałaś gąsienic? – Omiotła wzrokiem grządkę. – O, widzę jedną. – Wyciągnęła zza liścia bardzo małą zieloną gąsienicę i cisnęła ją za płot. – Uciekaj, paskudo. One zżerają liście. Kiedy pojawią się pomidory, nimi też nie pogardzą.

Zmarszczyłam brwi.

– Na to nie możemy pozwolić. – Znalazłam kolejną gąsienicę i oderwałam ją od liścia. – Puszczaj, cholero.

Stworzonko mocno trzymało się podłoża czepliwymi odnóżami i na moment zrobiło mi się go żal. Potem jednak dostrzegłam wygryzioną przez nie dziurę i od

razu stwardniało mi serce.

– Spieprzaj, ty mała mendo.

Zdawało mi się, że słyszę cichutkie „aaaj”, gdy gąsienica poszybowała nad ogrodzeniem, ale może mam po prostu nadzwyczajnie wrażliwy słuch.

Eloise rozsiadła się wygodnie po drugiej stronie grządki. Była krągłą, kształtną kobietą o pewnych ruchach. Nie miała w sobie ani krzty tego wahania, jakie obserwowałam u pań, które kiedyś były szczupłe, a potem przytyły i poruszały się po świecie z dziwną nerwowością, jakby wiecznie szukały kryjówki. Eloise roztaczała wokół siebie wspaniałą aurę zadziornej niezależności.

– Widać, że jesteś pupilką profesora. – Zerknęła na mnie spomiędzy liści, nagle podobna do olbrzymiej gąsienicy.

– Słucham? – Poczulałam, że się rumienię, i z wielkim zainteresowaniem zaczęłam przyglądać się roślinom.

– Najpierw przywozi ci do domu ciężarówkę roślin, a potem przydziela do pomidorów. Wiesz, że nazywali je kiedyś jabłkami miłości?

Skrzywiłam się.

– Wariatka z ciebie. W najbardziej sympatycznym znaczeniu tego słowa, ale jednak wariatka.

Wzruszyła ramionami.

– Miałam na myśli tylko tyle, że mu się podobasz. Wszyscy to widzimy.

Uśmiechnęłam się sztywno, a ona niespodziewanie zmarszczyła brwi. Otworzyła usta, żeby zadać jakieś pytanie, ale w tej chwili padł na nas cień Frances.

– Tak właśnie mi się zdawało, że słyszę twoje ołowiane kroki, kochanie. – Eloise skróciła o głowę jakiegoś nieszczęsnego, bezbronnego żuczka, i dźwignęła się na nogi. – Zachęcałam właśnie Lilian, żeby zainteresowała się naszym drogim nauczycielem.

Zadałam głowę, osłaniając oczy od słońca. Frances patrzyła na mnie z uśmiechem.

– Myślę, że Lilian sama da sobie radę, El. Nie powinnaś się wtrącać.

– Och, zamknij się, Frances. Jesteś taką samą niepoprawną romantyczką jak ja. Która z nas ma tatuaż z imieniem tej drugiej, hm? Właśnie ty.

Uśmiechnęłam się.

– Gdzie masz ten tatuaż?

– Tego nigdy nikomu nie zdradzę – rzuciła lekko Frances. Eloise dyskretnie wskazała palcem jej tyłek i poszły sobie. Uśmiechnęłam się pod nosem, po czym przypuściłam kolejny szturm na armię insektów. Niemal słyszałam stukot miniaturowych końskich podków i zapragnęłam wybudować mury z blankami w okolicy kubłów z kompostem. Szkodniki nawet by się nie zorientowały, co je załatwiło. Trochę jak ja.

Po skończonych zajęciach wszyscy wybraliśmy się do Gene’a, który mieszkał w Beverly Hills. Gospodarz pojechał przodem, żeby przygotować dom na naszą

wizytę. Rachel spojrzała na adres i uniosła brwi.

– Hm, wygląda na to, że praca w banku jest bardziej opłacalna, niż myślałam.

Eloise i Frances prychnęły. Obie były wieloletnimi członkiniami związku zawodowego.

– Żartujesz – rzuciła Eloise. – Zdawało ci się, że w banku pracuje się charytatywnie? Przecież w całym tym biznesie chodzi o zarabianie jak największych pieniędzy.

– To prawda – przyznała Rachel. – Chyba po prostu wyobrażałam go sobie jako emerytowanego kierownika jakiegoś małego lokalnego oddziału.

Mike podszedł do nas.

– Nieee, Gene pracował w dużym banku inwestycyjnym i był u nich szefem na całe Zachodnie Wybrzeże. No wiecie, handel papierami wartościowymi na rynku azjatyckim, te sprawy. – Roześmiał się. – Połączyły nas wartości, tyle że akcji i obligacji. Sam posiadam zróżnicowany portfel inwestycyjny, przydatna rzecz w obecnych czasach, a Gene potwierdził, że dokonałem kilku trafnych wyborów.

Zapadło milczenie, podczas którego wszyscy usiłowaliśmy pogodzić tę nowinę z obrazem Mike'a, jaki zdążyliśmy już nakreślić sobie w głowach. W końcu Angela powiedziała na głos to, co wszyscy myśleliśmy:

– Przepraszam, jaki znowu portfel? Zdawało mi się że jesteś surferem. Sądziłam, że surferzy tylko ślizgają się po falach, jadą na freestyle'u i żyją chwilą.

Mike był jednak poważnym facetem, podobnie jak jego najlepszy kumpel Gene.

– Posłuchaj, Angie, jeśli nie zaplanujesz przyszłości, nie będzie cię stać na życie chwilą. Właśnie tego nauczył mnie mój stary. Był profesorem ekonomii, ale ponieważ w młodości podejmował przemyślane decyzje, w wieku sześćdziesięciu lat przeszedł na emeryturę, i to z pokaźną sumką na czarną godzinę. Uważam, że to jest ekstra.

– Bo jest. Mój ojciec wciąż haruje jak wół, a ma prawie siedemdziesiątkę. Nigdy nie udało mu się nic odłożyć. Łatwo oszczędzać, kiedy wszyscy są najedzeni, ale jeśli nie zarabiasz wystarczająco dużo, by wykarmić rodzinę, to jest to niestety niemożliwe.

Zapadło niezręczne milczenie, Angela nie wyglądała jednak na urażoną. Po prostu stwierdziła fakt. Mike też zresztą nie wziął tego do siebie. Pokiwał głową.

– Pewnie sporo zależy od szczęścia. Jesteśmy w podobnym wieku, nasi rodzice prawdopodobnie też, tyle że ich losy potoczyły się inaczej, to wszystko. – Spojrzeli na siebie z uśmiechem i oboje wzruszyli ramionami. – Ale zobacz, my dwoje poznaliśmy się na kursie ogrodniczym. – Najwyraźniej go to bawiło.

– A nasi rodzice pewnie nie mieliby gdzie się poznać – stwierdziła Angela.

– Chyba że na waszym ślubie – roześmiała się Rachel.

Zapadła cisza, a Mike i Angela, nie wiedząc czemu, oblali się rumieńcem. Popatrzyłam na Rachel, potem na Eloise. Obie odpowiedziały spojrzeniem spod

uniesionych brwi.

Mike wymamrotał coś pod nosem i odszedł na bok. Bash zawołał Angelę, dzięki czemu i ona miała wymówkę, by umknąć.

– Hmm – mruknęła Rachel. – Ciekawe.

Podbiegły dzieciaki. Angela trzymała się nieco z tyłu.

– Bash zjadł robaka – poinformowała nas Clare. – Ale mówi, że już przestał mu się wić w żołądku.

Angela otworzyła synkowi usta i zajrzała do środka.

– Naprawdę go połknąłeś?

Bash skinął głową.

– Martwicie się o Basha czy o tego robaka? – spytałam.

– O jednego i drugiego – odparła Annabel. – Chociaż robak pewnie już nie żyje.

Bash go pogryzł.

Wszyscy popatrzyliśmy na chłopca z nową dozą szacunku.

Nadbiegła Lisa.

– Okej, kto ma ochotę na lunch?

Okazało się, że miała na myśli obiecaną przez Gene'a pizzę, ale przez minutę nie było to wcale takie oczywiste.

Jadąc na miejsce, martwiłam się, że wlepią nam wszystkim mandaty za niedozwolone parkowanie, okazało się jednak, że podjazd Gene'a był większy niż cała moja ulica. Dom przypominał te pokazywane czasem w programach podróżniczych o francuskiej wsi. Żółty kamień, dach z terakoty, a wszystko wyglądało, jakby stało tu od wieków.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim – brzmiała odpowiedź Gene'a na moje pytanie. – Wybudował go pewien scenograf, zamierzał spędzić tu ze swoim partnerem resztę życia, które okazało się niestety znacznie krótsze, niżby chcieli, ze względu na to, czym było wtedy AIDS. I czym pewnie dalej jest. Ja wprowadziłem się w połowie lat dziewięćdziesiątych i również mam nadzieję, że zostanę tu do śmierci.

Wnętrze urządzone było lekko, prosto i przestrzennie. Wszędzie stały wielkie bukiety kwiatów, więc przechadzając się po domu, człowiek miał wrażenie, że otaczają go chmury coraz to nowych zapachów. Clare i Annabel pobiegły przodem, za Gene'em. Reszta towarzystwa uformowała coś w rodzaju grupki zwiedzających. Rozglądałam się za sklepem z pamiątkami.

Angela trzymała Basha przy sobie, może bała się, że coś stłucze, choć szczerze mówiąc, nie było tam nic do rozbicia. Dom okazał się wyjątkowo niezagracony. Właściwie stanowił dokładne przeciwieństwo domu mojej matki, gdzie każdy centymetr powierzchni zawalony był zdjęciami, książkami, czasopismami oraz dziecięcymi rysunkami. Mama jako jedyna wiedziała, gdzie co jest, i z nikim nie zamierzała się tą wiedzą dzielić.

Z tyłu domu, za olbrzymim salonem, troje przeszklonych drzwi wychodziło na ogród. Lisa Vellinga stanęła w progu jak wryta, a i ja w pierwszej chwili zrobiłam to samo. Ogród przywodził na myśl dziką krainę Brigadoon albo las z filmu *Legenda*, ten, po którym Tom Cruise hasał głupkowato wśród unoszących się w powietrzu liści i kwiatów. Ogrody w Beverly Hills – tak to sobie przynajmniej wyobrażałam – są w większości wymuskane i eleganckie, obsługiwane przez pracowników przebranych za karty do gry, ten jednak był zupełnie inny. Otaczały go wysokie, kwitnące żywopłoty, a stare ceglane, pokryte winoroślami mury tworzyły w oddali łukowatą ścianę. Wysokie krzewy pokryte pachnącymi kwiatami sprawiały, że człowiek czuł się niczym na leśnej polanie. Wśród trawy tu i ówdzie wyrastały klomby, poprzecinane ścieżkami z dużych, płaskich, omszałych kostek brukowych. Gdzieś widać było ławki, huśtawki, ułożone w trawie mozaiki, sadzawki i inne przyciągające wzrok elementy.

Gene podszedł i stanął obok mnie.

– Pięknie tu, prawda? Jak już wspomniałem, pierwszy właściciel był scenografem i mówił mi, że pragnął stworzyć ogród, o jakim marzył w dzieciństwie. Dopiął swego. Twierdził, że dokładnie o to mu chodziło, i wydaje mi się, że spędzali tu razem większość czasu. – Zatoczył ręką wzdłuż ściany domu. – Choć wygląda to dość dziko i dziewiczo, w rzeczywistości wszystko zostało genialnie zaplanowane, wyposażone w najnowocześniejszy system nawadniania, a nawet małą ogrodową kuchnię. Moje dzieci stale się tu bawiły, a teraz cudownie widzieć kolejne pokolenie maluchów. – Uśmiechnął się. – Za kilka lat będzie tu śmigać mała Emily i, mam nadzieję, kilkoro innych. Jestem wielkim szczęściarzem, Lilian, naprawdę. Powiedziawszy to, zatarł ręce i pośpieszył otworzyć dostawcy pizzy.

Miał rację, dzieciaki wpadły do ogrodu z wrzaskiem niepohamowanej radości. Bash bujał się na huśtawce ze sznurka i deski, Annabel zagłębiała się do sadzawki, Clare natomiast zniknęła. Rozejrzałam się. Rozmawiała z Eloise. Zapewne o dżdżownicach. Zbliżyłam się na tyle, by usłyszeć, o czym mówią.

– Ale już nie mam tatusia, bo umarł.

Eloise pokiwała głową.

– Mój tatuś też nie żyje.

Clare spojrzała na nią współczująco.

– A masz mamusię?

– Tak, ale rzadko się widzimy.

– Ja z moją mamusią zostanę na zawsze. Potrzebuje pomocy.

Eloise zerknęła na mnie ponad jej głową. Oczy jej lśniły.

– Naprawdę? Wydaje się bardzo zorganizowana i rozsądna.

Clare wzruszyła ramionami.

– No tak, ale nie ma jedenastu rąk, nie może wszystkiego zrobić sama.

Usta Eloise drgnęły leciutko, a ja przez moment miałam ochotę zapaść się pod



ziemię ze wstydu, słysząc własne narzekania powtórzone dziecięcym głosem.

– Poza tym – dodała stanowczo Clare – nie jest czarodziejką. Ani ośmiornicą.

To była prawda.

– Ciocia Rachel mówi, że mama powinna sobie znaleźć chłopaka, ale ja tak nie uważam. Z chłopakami są same kłopoty.

Eloise pokiwała głową.

– Niektórzy chłopcy są mili.

Clare spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Naprawdę? Ja żadnych miłych nie znam.

– A Bash?

Clare prychnęła lekceważąco.

– Bash się nie liczy. To mój przyjaciel. – Rozejrzała się dookoła. Edward pomagał Bobowi wnosić do ogrodu skrzynki z sadzonkami kwiatów. – Edward jest miły. Może mógłby zostać jej chłopakiem.

Cudownie. To właśnie jest w dzieciach najbardziej irytujące. Przez większość czasu sprawiają wrażenie głuchych jak pień. Poproś, żeby podniosły coś z podłogi, żeby słuchały, co do nich mówisz, zapytaj, co chcą zjeść, a trafisz na dźwięk fal rozbijających się o odległy brzeg. Ale jeśli rozmawiasz z kimś ściszym głosem przez telefon, możesz mieć absolutną pewność, że to, o czym mówisz, rozniesie się po całej okolicy. Jedna moja koleżanka miała kiedyś histerektoię, a kilka dni później jej pięciolatka ogłosiła wszystkim obecnym w Baby Gapie, że mama nie może mieć więcej dzieci, bo dostała hysterii. Sprzedawczynie wykazały się podobno wielką empatią.

Eloise nie patrzyła mi już w oczy, odwróciłam się więc i odeszłam. Gene przyniósł jedzenie do ogrodu i zajął się otwieraniem pudełek, a potem ze znanstwem kroił pizzę specjalnym nożykiem. Poczulałam głód – i znakomicie się składało, bo placków był chyba z tuzin.

– Po jednej dla każdego, Gene?

Wzruszył ramionami.

– Isabel wróci dopiero pojutrze, a ja muszę coś jeść.

Ach, więc to jednak był pragmatyzm, nie marnotrawstwo.

Jedząc, patrzyliśmy na miejsce wybrane przez niego pod ogródek kwiatowy. Było wtulone między dwa spore drzewa i niemal niewidoczne z wnętrza domu. Gene znalazł gdzieś piękną starą ławkę i dwa małe stoliki z blatami z kafelków. Korony drzew tworzyły w górze baldachim, przez który przeświecało południowokaliifornijskie słońce. Wyobraziłam sobie, jak Gene i jego żona siedzą tam, ozdabiając haftami poduszki dla biedoty z Beverly Hills, ale przemawiała przeze mnie zwykła zazdrość. Sama marzyłam o takiej ławce. Gene oczyścił już teren – a może wynajął kogoś, kto zrobił to za niego – oraz przywiózł mnóstwo roślin i kwiatów, które na razie tkwiły jeszcze w doniczkach. Wyglądało to dość

psstokato, widać nie miał przemyślanego planu, jeśli chodzi o kolory, za to zaszalał z zapachami. Rozpoznałam tylko kilka gatunków kwiatów, ale wszystkie pachniały cudownie. Lisa, z ustami pełnymi pepperoni, wyliczała kolejne nazwy:

– Jaśmin, frezja, lawenda, groszek pachnący, smagliczka, lewkonia długopłatkowa, floksy, oczywiście powojnik oraz tuberoza. – Spojrzała na Gene'a. – Dobry wybór. Będą pachniały na zmianę praktycznie przez cały rok. Niektóre najładniej wieczorem.

Gene był wyraźnie zadowolony.

– Isabel mówi, że dorastała wśród bzów, ale facet w sklepie ogrodniczym stwierdził, że tu nie wyrosną, bo jest za gorąco.

Lisa wzruszyła ramionami.

– Są odmiany, które by się nadawały. Mogę to sprawdzić, jeśli chcesz. Pamiętaj, że możesz wymieniać rośliny przez cały rok. To właśnie jest wspaniałe w posiadaniu ogrodu: praca nigdy się nie kończy.

Rachel odwróciła się do mnie i mruknęła:

– Wspaniałe albo raczej przyprawiające o szaleństwo, frustrujące i druzgocące. Jak kto uważa. – Wyglądała na zmęczoną. Pomyślałam, że może powinna olać to wszystko i pojechać się zdrzemnąć. Właśnie miałam jej to poradzić, kiedy w domu rozbrzmiał staromodny dzwonek telefonu. Gene poszedł odebrać.

Zaczęliśmy przestawiać doniczki, wypróbując różne kombinacje. Edward wyjaśnił, że problem z posiadaniem mnóstwa pachnących roślin to mnóstwo zainteresowanych nimi pszczół. Właśnie o tym dyskutowaliśmy, gdy w ogrodzie pojawił się wyraźnie spanikowany Gene.

– Ona tu jedzie! Już jedzie! Mała Emily ma się świetnie, więc Isabel postanowiła wpaść na dzień lub dwa do domu, żeby załatwić na mieście parę spraw, nie mam pojęcia jakich. Dzwoniła z lotniska w Santa Barbara. W najlepszym razie mamy kilka godzin. Co robimy?

Mike wepchnął do ust ostatni kawałek pizzy i otrzepał dłonie.

– Wyluzuj, stary, mamy mnóstwo czasu. Zasadzimy te śliczne panienki akurat na jej powrót.

Eloise pokiwała głową.

– Prawie skończyliśmy z aranżacją, Gene. Wsadzenie ich do ziemi zajmie nam chwilę.

– Twoja żona nawet się nie zorientuje, że tu byliśmy – dodała Angela.

Gene mimo wszystko wciąż był lekko zestresowany takim obrotem spraw, powierzyliśmy mu więc opiekę nad dzieciakami, które podreptały za nim do nedorzecznie wielkich huśtawek po drugiej stronie trawnika. Serio, moje pierwsze mieszkanie było mniejsze niż te huśtawki.

Rzeczywiście, w siódmkę uwinęliśmy się z robotą w niecałą godzinę, a najtrudniejsze w całym przedsięwzięciu okazało się niewchodzenie sobie

w paradę. Lisa jednak znakomicie zorganizowała nam pracę i już wkrótce staliśmy wokół gotowego kwietnika, podziwiając swoje dzieło. Wyglądał naprawdę ślicznie i niesamowicie pachniał. Usiadłam na ławce i zamknęłam oczy. Słyszałam głosy bawiących się dzieci, bzyczenie jakichś pięćdziesięciu tysięcy zachwyconych pszczoł, które właśnie zrozumiały, że Gwiazdka nadeszła w tym roku wcześniej, a także przypadkową wymianę zdań między Frances a Mikiem, dotyczącą wosku do desek o nazwie Sex Wax, najwyraźniej opartą na nieporozumieniu, z którego żadne z nich nie zdawało sobie sprawy. To było cudowne – siedzenie i słuchanie, nie ich przedziwna rozmowa. Powietrze pełne pięknych zapachów, ciepłe promienie słońca... Isabel była prawdziwą szczęściarą.

Na dźwięk głosu Gene'a otworzyłam oczy.

– I jak?

Uśmiechnęłam się.

– Myślałam właśnie, że twoja żona ma szczęście. To fantastyczne miejsce, a ty jesteś bardzo troskliwym mężem.

Zaróżowił się.

– Ona z pewnością na to zasługuje.

Nagle rozległ się chrzęst opon na zwirze i Gene podskoczył jak zając.

– Cholera, Isabel przyjechała!

Rozchichotaliśmy się jak zgraja niesfornych dzieci.

– Mamy się schować? – zapytała Rachel.

Gene spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Skąd, oczywiście, że nie. Nie ma takiej potrzeby. – Chyba chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego pobiegł do domu. Staliśmy i czekaliśmy – z wyjątkiem dzieci, które wciąż okupowały huśtawkę.

Po chwili Gene znów zjawił się na tarasie. Zmarszczyłam brwi – przyprowadził córkę? Przecież ona chyba właśnie urodziła dziecko? Kobieta trajkotała jak nakręcona z silnym londyńskim akcentem:

– Gene, naprawdę, ta mała to najpiękniejszy szkrab pod słońcem. Nie mogłam się od niej oderwać. Myślałam, że Jane się na mnie rzuci. – Roześmiała się, rozpromieniona. Była piękna, miała jedną z tych wyrazistych, pełnych życia twarzy, na które chce się patrzeć i patrzeć. Tylko że nie wyglądała na choćby o rok starszą ode mnie.

Nagle nas zauważyła i wyrwał jej się okrzyk zaskoczenia.

– O rety, Gene, nie mówiłeś, że mamy gości. – Zbiegła po schodkach i ruszyła w naszą stronę z wyciągniętymi ramionami. – Cześć, mam na imię Izzy! Domyślałam się, że jesteście ekipą z kursu ogrodnictwa. Jak miło, że wpadliście z wizytą. Wiecie już, że zostałam babcią? – Roześmiała się cudownie głośno i już po chwili znalazła się wśród nas, ściskając ręce dorosłym i przytulając dzieci. Z bliska była jeszcze ładniejsza, miała gładką skórę i wysoko upięte, lśniące jasne

włosy. W jej niebieskich oczach tańczyły psotne iskierki. Zerknęłam na Gene'a, ale on wpatrzony był w żonę i uśmiechał się jak kot na widok śmietanki.

Nagle Izzy wydała z siebie kolejny okrzyk:

– Gene, ty łobuzie, co to ma być?

Zauważyła ławkę i usiadła z impetem.

– Och, jak cudownie pachnie.

Podniosła na niego wzrok, zupełnie jakby był gwiazdą filmową, a nie sześćdziesięcioletnim emerytowanym bankowcem.

– Urządziłeś to wszystko dla mnie?

Obróciliśmy się i spojrzeliśmy na niego, a w nagrodę spostrzegliśmy, że czerwieni się jak burak. Mike wybuchnął śmiechem i klepnął go w ramię. Wtedy roześmialiśmy się wszyscy.

Isabel sama rozwiązała nasze wątpliwości.

Rachel, Frances, Angela i ja siedziałyśmy na trawie nieopodal huštawek, patrząc na bawiące się dzieci i zjadając pizzę, kiedy podeszła i usadowiła się obok nas. Sięgnęła do pudełka po kawałek pizzy i powiedziała:

– No dobra, która z was ma na tyle jaj, żeby zadać mi oczywiste pytanie?

Rachel nie trzeba było dwa razy prosić:

– No dobra, jak to możliwe, że jesteś dwa razy młodsza od Gene'a i macie dorosłe dzieci?

Isabel parsknęła śmiechem.

– To kolejne oczywiste pytanie, choć sądziłam, że jesteście raczej ciekawe, jakim cudem taka głupia blondynka jak ja usidliła księcia z bajki.

Przyjrzałam jej się uważnie. Nie żartowała. Naprawdę uważała Gene'a za nie lada zdobycz, zresztą, hej, może i słusznie.

– Poznaliśmy się dziesięć lat temu, on miał pięćdziesiąt lat, ja dwadzieścia osiem. Pierwsza żona go zostawiła, wiedziałyście o tym? – Pokręciłyśmy głowami. Isabel odgryzła kolejny kęs pizzy i jedząc, mówiła dalej: – Tak, rzuciła go, kiedy ich córki były małe, mniej więcej w wieku twoich dzieci. – Spojrzała na mnie. – Sam je wychował. Ta głupia krowa zniknęła, wyobrażacie sobie? Pewnego wieczoru po prostu wyszła i więcej nie wróciła. Szukał jej miesiącami. W sprawę zaangażowały się policja i FBI. Podejrzewali, że ktoś ją porwał albo coś w tym stylu. Gene miał mnóstwo pieniędzy i pracował na wysokim stanowisku, nikt jednak nie przysłał żądania okupu. To było straszne, prawdziwy koszmar. A potem nagle, ni z tego, ni z owego, ona dzwoni i oznajmia, że ma dość bycia matką i żoną, że musi odnaleźć siebie. Przez ostatnie miesiące rozbijała się po Indiach i ani przez chwilę nie pomyślała o tych, których zostawiła, a teraz chce rozwodu, żeby wyjść za faceta poznanego w jakimś aśramie. Kompletna bzdura. – Oczy Isabel zaśniły. – Kiedy go poznałam, dzieci chodziły już do liceum, cudownie je wychował, ale z daleka było widać, jak bardzo jest samotny. – Otrzeptała dłonie. – Capnęłam go, zanim

zdążył policzyć do trzech, i nie żeby się chwaliła, ale jest ze mną bardzo szczęśliwy. A ja, oczywiście, codziennie dziękuję swoim szczęśliwym gwiazdom.

– Zerknęła na Gene'a, który siedział na trawie obok Mike'a i rysował na kartce, coś mu tłumacząc.

– Bardzo lubi tego chłopaka. Powinien wpaść do nas na kolację. – Zerwała się na nogi i podeszła do nich.

Przełknęłam pizzę.

– Nie wiem jak wy, ale ja ją uwielbiam.

– Jest boska – przytaknęła Rachel. – Spodziewałam się raczej kobiety w niezbyt gustownych spodniach niż seksownej blond mamuśki w dżinsach i T-shircie, ale hej, życie jest pełne niespodzianek.

– Chętnie bym ją bzyknęła – rzuciła lekko Frances.

## CUKINIA



Cukinia lubi ciepłą glebę, poczekaj więc z sadzeniem co najmniej do wczesnego lata. Środek lata wydaje się nawet sensowniejszym wyborem, ponieważ daje nadzieję na uniknięcie mączniaka rzekomego oraz innych szkodników o nazwach kojarzących się z komicznymi szwarczarakterami z powieści dla dzieci.

Cukinia wymaga pełnego nasłonecznienia, wilgotnej, dobrze zdrenowanej gleby i częstych zachęt.

Ściółkowanie pomoże chronić płytkie korzenie i utrzymać wilgotność gleby.

Podlewaj hojnie raz w tygodniu. Dopilnuj, by wilgoć dotarła co najmniej 10 centymetrów w głąb ziemi.

Jeśli cukinia kwitnie, ale nie owocuje albo owoce są bardzo małe, oznacza to kłopoty z zapylaniem. Aby powstał owoc, pyłek z kwiatów męskich musi zostać przeniesiony przez pszczoły na kwiaty żeńskie. Jeżeli masz za mało pszczół, możesz zapylać rośliny ręcznie za pomocą wykałaczki kosmetycznej. Niezręczna sytuacja.

## ROZDZIAŁ 14

Kolejny poniedziałek. Nadchodziły z irytującą regularnością i żaden nie okazywał się łatwiejszy niż poprzednie. A może byśmy choć raz zaczęli tydzień od wtorku? Nie? To nie.

Nigdy wcześniej nie korzystałam z usług headhunterów, ponieważ pracowałam w Forest Press od zawsze, ale jedna z moich koleżanek ze studiów, Melanie, siedziała w tym biznesie, skontaktowałam się więc z nią w dniu, gdy Roberta ogłosiła zwolnienia. Widocznie coś się trafiło, bo właśnie zadzwonił telefon i w słuchawce usłyszałam jej głos. Melanie, nie Roberty. Roberta za bardzo bała się Rose, żeby się u nas pokazać.

– Lilian! Jak to cudownie, że zadzwoniłaś! – Mel ma taki właśnie styl, pełen wykrzykników i afektowanych sformułowań.

– Cześć, Melanie, jak się masz?

– Fantastycznie, ale ważniejsze, jak ty się masz. Właśnie rozniosły się wieści o Forest, jestem taka podekscytowana!

– Nie sądziłam, że to powód do ekscytacji.

Roześmiała się.

– Żartujesz, prawda? W tutejszym światku nie dzieje się nic, ale to dosłownie nic, o czym bym nie wiedziała. W końcu to nie Nowy Jork, gdzie roi się od wydawców.

– Serio?

– Nic! – Teraz już prawie krzyczała. Kto by pomyślał, że meandry branży wydawniczej mogą wzbudzać w kimś taki entuzjazm? – Jesteś w tej chwili gorącym towarem, a przy obecnej sytuacji na rynku to prawdziwy fart, prawda? – Zawsze kończyła zdania tonem wznoszącym, jak nastolatka, ale mnie to nie przeszkadzało. Wyobrażałam sobie, że optymizm jest nieodzowny w jej zawodzie.

– Już dwie firmy są zainteresowane spotkaniem z tobą, cudowna wiadomość! Masz pod ręką kalendarz?

W zasadzie leżała przede mną tylko pojedyncza czysta kartka, ale zważywszy, że nie miałam żadnych planów do końca życia, było to bez znaczenia. Mogłam spotkać się z jedną firmą po południu, a z drugą w przyszłym tygodniu.

– Ta z dzisiaj to też niszowe wydawnictwo, ale nie robią w podręcznikach. Zajmują się czymś innym. – Zawiesiła głos. – Nie mogę rozczytać pisma mojej asystentki, chyba widzę słowo „ezoteryczne”, co nie ma zbyt wiele sensu, ale tak czy siak, chodzi o książki. Potrzebują ilustratora. Masz ze sobą portfolio?

– Nie, ale mogę przed spotkaniem wpaść po nie do domu. Nie odkurzałam go jakiś czas.

Cmoknęła z przyganą.

– Po dzisiejszej rozmowie powinnaś chyba poświęcić chwilę na to, by je przejrzeć

i uzupełnić. Będzie ci również potrzebne aktualne CV i zdjęcie. Czy nadal wyglądasz jak na studiach?

– Pytasz, czy wciąż jestem chudą, bladą dziewczyną w koszulce Duran Duran? Nie.

– Przytyłaś?

O rany. Nie przebierała w słowach.

– Nie. Po prostu urodziłam dwoje dzieci i straciłam męża.

Westchnęła.

– Tak, pamiętam. To bardzo smutne. Ale domyślałam się, że zdążyłaś schudnąć?

Teraz to ja westchnęłam. Melanie była skoncentrowana na produkcie, a jako że tym produktem byłam ja, uznałam, że powinnam się odrobinę bardziej postarać.

– Mel, dużo się nie zmieniłam, tylko jestem starsza. Zresztą po co komu zdjęcie ilustratorki czy graficzki?

– Nie mam pojęcia – rzuciła lekko. – Ale gdybyś dostała Nagrodę Nobla, też bym im o tym wspomniała, a ponieważ wyglądałaś kiedyś jak modelka, powinniśmy wykorzystać wszystko, co wyróżni cię z tłumu, no nie?

No tak.

– Hm, nie mam zdjęcia, więc będziemy musiały sobie jakoś poradzić bez niego.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

– O ile szybko czegoś nie znajdziesz, zawsze możesz pójść do fotografa. Nie martw się, Lili, ani się obejrzyj, a znajdziemy ci pracę, okej?

Super.

Miejsce, w którym Melanie umówiła mnie na rozmowę, znajdowało się niedaleko biura, co byłoby wygodne, gdybym nie musiała pojechać wcześniej do domu zabrać portfolio i się przebrać. Miałam jedną jedyną elegancką garsonkę, jakimś cudem wciąż pasującą. Założyłam pod nią koszulkę z Kotem Proteksem – bo taka ze mnie odlotowa artystka. No i akurat była czysta. Zmuszona do zmiany pracy, rozmyślałam ostatnio sporo nad tym, co właściwie chciałabym robić, i doszłam do wniosku, że przydałoby się coś odrobinę mniej zwyczajnego niż ilustrowanie podręczników. Właściwie byłam niemal podekscytowana... i myślałam o Edwardzie tylko raz na trzy minuty. Mniej więcej jedną minutę na dwie spędzałam targana wyrzutami sumienia z powodu Annabel, w związku z czym na ekscytację pozostawała mi zaledwie co trzecia.

Firma mieściła się w nieco starszym budynku niż moja poprzednia praca. Spodobało mi się to. Więcej okien, mniej boksów. Duże otwarte przestrzenie z szeroko rozmieszczonymi biurkami, przyjemny, nowoczesny ekspres do kawy i odjazdowe obrazki na ścianach.

Spotkanie miałam odbyć z Jamesem Peachem (mój nowy hit wśród nazwisk), czyli dyrektorem kreatywnym. Okazał się młody i przystojny, z czego nie robiłabym mu zarzutu, i już w recepcji spojrzął na mnie z zadowoleniem. Całkiem nieźle na początek.



Zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Staralam się jednocześnie słuchać, co mówi, i rozglądać się dookoła. Miejsce nie sprawiało wrażenia szczególnie ruchliwego. Nikt nie biegał ani nie krzyczał, a wszystkie mijane osoby uśmiechały się do mnie, gdy napotykałam ich wzrok.

Gabinet urządzony był oszczędnie, lecz stylowo i wszędzie panowała atmosfera luzu. Powoli nabierałam przekonania, że cokolwiek się tu robi, pragnę mieć tę pracę.

James usiadł i uśmiechnął się.

– Czy pracowała pani wcześniej w branży porno?

– Słucham?

Wciąż się uśmiechał.

– Erotyka. Ilustrowała pani kiedyś książki dla dorosłych?

Erotyka. Nie ezoteryka.

Odchrząknęłam, z całych sił usiłując zachować spokój i powstrzymać wypływający na twarz rumieniec.

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi. Przez ostatnie dziesięć lat pracowałam w wydawnictwie publikującym podręczniki. Zajmowaliśmy się szerokim spektrum tytułów, przeznaczonych głównie na rynek szkolny i akademicki.

James Peach sięgnął na półkę z tyłu i zdjął z niej kilka książek w twardych okładkach.

– My również celujemy w środowiska akademickie, ale nie są to podręczniki. Choć mają walory instruktażowe. – Roześmiał się, nie był to jednak rehot lubieżnego pornografa.

Może źle go zrozumiałam? Spojrzałam na książki, które mi wręczył. On tymczasem mówił dalej:

– Większość to powieści erotyczne o różnym stopniu pikanterii. Nasza nisza, w której odnosimy spore sukcesy, to teksty ilustrowane. Pornografia w jakiś sposób staje się erotyką, gdy zamiast zdjęć zawiera rysunki. Docieramy także do odbiorców powieści graficznej.

Otworzyłam *Buszującego w kroczu* i ujrzałam mężczyznę z głową między kobiecymi udami. Scenka była wykonana ołówkiem i tuszem, z dużą dbałością o szczegóły. Kartkując *Dumę i dyscyplinę*, zrozumiałam, skąd wzięła się kwaśna mina pana Darcy'ego. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

Pan Peach zamilkł. Spojrzałam na niego. Zadrzały mu kąciki ust.

– Czuję, że nie miała pani pojęcia, co to za praca, zgadza się?

Skinęłam głową.

– Szczerze mówiąc, wygląda pani na odrobinę wstrząśniętą.

Odzyskałam głos:

– W żadnym wypadku nie uważam, by było w tym coś złego. Jestem po prostu zaskoczona, bo nie tego się spodziewałam.

Pokazałam mu *Czarodzieja z krainy kóz*.

– Nie miałam pojęcia o istnieniu tej książki. Nie wiedziałam nawet, że można mieć takie fantazje.

Uspokoił mnie gestem dłoni.

– Zapewniam panią, że żadne zwierzę nie ucierpiało przy tworzeniu tego dzieła. Na tym właśnie polega magia ilustracji. – Westchnął. – Założyłem tę firmę, ponieważ na rynku pornograficznym gra toczy się o wielkie pieniądze, a co za tym idzie, jest mnóstwo wyzysku. Pomyślałem, że musi istnieć inna droga, i miałem rację. Tworzymy fantazje, to wszystko. Nie uwierzyłaby pani, co się rodzi w głowach naszych autorów, a wiele z tego to wyjście naprzeciw życzeniom czytelników. Mamy na przykład cały podgatunek dotyczący kosmitów, co na zdjęciach wyglądałoby niedorzecznie, ale na obrazkach nabiera magicznego charakteru. – Po czym z pewnym rozczarowaniem zapytał: – Domyślam się, że nie jest pani zainteresowana?

Podał mi opowieść o kosmitach i mój wzrok padł na piękny rysunek przedstawiający istotę o trzech wielofunkcyjnych członkach. Technicznie rzecz biorąc, ilustracja była precyzyjna, czułam jednak, że to zajęcie nie dla mnie.

– Obawiam się, że to nie do końca mój styl. Przepraszam.

Pan Peach pokręcił głową.

– Proszę nie przepraszać. Dla nas ta praca jest jak spełnienie marzeń. Chciałbym, aby to dotyczyło wszystkich.

Na te słowa nie miałam już żadnej sensownej odpowiedzi. Wstaliśmy i podaliśmy sobie dłonie, po czym ruszyłam do wyjścia, tym razem patrząc na wszystko innym okiem. Nic dziwnego, że każda napotkana osoba się do mnie uśmiechała. Wszyscy byli napaleni.

Zadzwoiłam do Melanie, aby jej oznajmić, że powinna zatrudnić lepszą asystentkę.

Ale przynajmniej się dowiedziałam, że na upartego znajdę pracę, w której może mi się przydać doświadczenie w kwestii wielorybich penisów.

Następnego dnia z samego rana zadzwoniła do mnie Angela, czym zrobiła mi miłą niespodziankę.

– Czy dziewczynki mają dziś wolne?

– Tak. Podobno jest jakieś święto?

– Kto to może wiedzieć? Tak czy siak, pomyślałam, że mogłyby się spotkać z Bashem, o ile propozycja wciąż aktualna.

Siedziałam sobie w kuchni, ciesząc się krótką przerwą między wyładowaniem zmywarki a załadowaniem jej na nowo. Prowadzę doprawdy porywające życie.

– Jasne, byłoby świetnie. Właściwie to Rachel zamierzała wpaść do nas po pracy, zastanawiamy się też nad wspólnym wyjściem. Może przyjdziecie po południu, zostawimy dzieci z opiekunką i wyskoczymy gdzieś na wczesną kolację? Będzie

fajnie.

Rozłączyłam się, zadowolona, że mam plan.

Dziewczynki zachwylił pomysł pokazania Bashowi domku dla wrózek. Mimo że dorastali w różnych środowiskach, cała trójka dogadywała się bez kłopotu, po raz kolejny dowodząc, że dzieci to nasza przyszłość. Angie, Rachel i ja pozwoliłyśmy im się ku niej prowadzić, siedząc w kuchni i popijając kawę, podczas gdy one dokazywały w ogrodzie.

Angie robiła, co mogła, by wydobyć z Rachel szczegółowe informacje o Bobie, okazało się jednak, że jej nie doceniła.

– Nie mam nic do powiedzenia – zapierała się Rachel. – Naprawdę nic się między nami nie wydarzyło. Raz zjedliśmy kolację, ale to wszystko. Rozmawialiśmy o płodozmianie. Nie wiem nawet, co to właściwie znaczy, choć pewnie ma coś wspólnego z płodami i zmianą. – Rozłożyła ręce. – Wybacz, ale nie sądzę, aby Bob lubił uprzedmiotawianie go ze względu na wygląd.

Angie prychnęła.

– Jasne, faceci nie znoszą, kiedy kobiety myślą o nich jako o obiektach seksualnych. Robią się przez to nerwowi i zakompleksieni.

– To umniejsza ich duchową wartość – dodałam. – I niszczy marzenia.

Rachel spojrzała na mnie spod uniesionych brwi.

– Czyżbym trafiła na jakiś antymęski sabat czarownic?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie zmieniaj tematu. Nie szydzimy z mężczyzn. Uwielbiamy ich. Nabijamy się z ciebie.

Angie pokiwała głową.

– Jako jedyna z nas masz życie miłosne. – Odwróciła się do mnie. – Choć mogę się mylić. Wybacz, jeśli wyciągnęłam na twój temat przedwczesne wnioski, Lili, i opowiadaj.

– To nie przedwczesny wniosek, tylko fakt. – Wskazałam palcem za okno. – Poznałaś moje chodzące środki antykoncepcyjne?

Rachel wiedziała, że nie chcę rozmawiać o Edwardzie z nikim, a już na pewno nie z ludźmi, którzy znają go osobiście, więc milczała. Z każdym kolejnym dniem łatwiej mi było udawać, że nigdy nie doszło do tamtego pocałunku w kuchni.

Angie wybuchnęła śmiechem.

– Wiem. Nie mówię, że sama od czasu do czasu nie mam ochoty na odrobinę romantyzmu albo nawet zwykły seks. Po prostu szanse, że ta ochota zgra się z okazją i, co ważniejsze, z przyływem fizycznej energii, są niezwykle wątkie.

Rachel zmarszczyła brwi.

– Dziewczyny, tym gadaniem nie sprawicie, że nam, singielkom, zachce się mieć dzieci.

– I dobrze – odparłyśmy chórem.

Nagle do kuchni weszła Maggie. Frank wstał, by ją przywitać, szaleńczo merdając ogonem.

– To ci dopiero strażnik. – Z uśmiechem spojrzała na Angie i wyciągnęła rękę. – Cześć, mam na imię Maggie, jestem szwagierką Lili i niedawno przyjechałam z Włoch, gdzie mój mąż oddaje się właśnie romansowi.

Angie na sekundę znieruchomiała, po czym podjęła grę:

– Cześć, jestem Angie, koleżanka Lili i Rachel z kursu ogrodnictwa, i przyjechałam niedawno z południowego L.A., gdzie mój były mąż oddaje się rozrywkom, które guzik mnie obchodzą.

– Miło cię poznać.

– Ciebie też.

Maggie usiadła, po czym natychmiast wstała, żeby nalać sobie kawy.

– Wiecie – zagaiła – kiedy przeprowadziłam się do Włoch, wszyscy w Ameryce uwielbiali zwykłą rozpuszczalną, a teraz pijecie lepszą kawę niż Włosi. Jakim cudem?

Do kuchni wpadły dzieci.

– Złamałam wróżce skrzydełka! – Clare była wyraźnie wzburzona.

– Naprawimy je – zapewnił ją Bash opanowanym, pewnym tonem. – Moja mama jest pielęgniarką.

Angie odebrała Clare wróżkę i obejrzała ją ze wszystkich stron.

– Hmm. Chyba nic się nie stało. Odrobina kleju i będzie jak nowa.

Przyniosłam klej, a ona zręcznie dokonała naprawy.

– Lećcie się bawić. Klej musi wyschnąć. Zawołam was, kiedy będzie gotowe.

Bash wziął Clare za rękę i zaprowadził ją do drzwi.

– Możesz się na razie bawić moim wróżkiem.

Odprowadziłyśmy ich wzrokiem. Maggie westchnęła.

– Przynajmniej Clare znalazła sobie miłego chłopaka.

Angie pociągnęła nosem.

– Będzie dobrze, póki Clare nie odmówi transformacji w wojowniczego robota z laserami w oczach, wtedy Bash straci zainteresowanie. – Zerknęła na mnie i wzruszyła ramionami. – Muszę być wobec ciebie szczerą.

– Jasne, w porządku. Tak czy inaczej, są skazani na porażkę. Statystyki rozwodów wśród przedszkolaków są bezlitosne. Większości małżeństw nie udaje się dotrzeć do leżakowania.

Mimo to Clare, Bash i Annabel bawili się zgodnie do samej kolacji, a potem, po przyjeździe Lei, umościли się na kanapie, by obejrzeć film. Postanowiłyśmy, że Bash zanocuje u nas, żebyśmy mogły wrócić trochę później. Dzieciaki były zachwycone tą perspektywą.

Czując się niczym bohaterki serialu, wystroiliśmy się i ruszyliśmy do drzwi.

– Tylko żadnych klubów go-go, Rachel, dobrze? – upomniała ją stanowczo

Maggie.

Angie uniosła brwi.

– Ominął mnie klub go-go? To niesprawiedliwe.

– Nic nie straciłaś. Co macie ochotę zjeść?

– Coś włoskiego.

– Sushi.

– Kuchnia francuska.

– Burgery.

Stałyśmy na ulicy i spoglądałyśmy po sobie.

– No dalej, dziewczuchy, współpracujmy – ponagliłam tonem rozsądnej mamuśki. –

Na pewno znajdzie się coś, co zadowoli nas wszystkie.

– Nagle zrobiłam się bardzo głodna – ostrzegła Rachel, która głosowała za burgerami. – Jeśli zaraz czegoś nie zjem, zacznę marudzić.

Podniosłam rękę.

– Mam pomysł. Może pojedziemy do Grove? Mają tam mnóstwo knajpek, a potem możemy obejrzeć film, połączyć po księgarni albo coś takiego.

Grove to duże centrum handlowe na wolnym powietrzu. Mają tam fontannę, kino i wszelkie atrakcje. Idealne miejsce na nieszkodliwe tracenie czasu. Oraz pieniędzy.

– Dobry plan – odparła Angie. – Nigdy tam nie byłam.

– Chociaż – wtrąciła sceptyczna Rachel – czasami są tam straszne tłumy.

Popatrzyłam na zegarek.

– O szóstej po południu w dzień powszedni? Myślisz?

Maggie pierwsza ruszyła przed siebie.

– Chodźmy sprawdzić. Serio, najgorsze w babskich wypadach jest to niekończące się gadanie. Ruszcie się!

Tak się złożyło, że tego wieczoru Grove postanowiło się popisać przed turystami.

Na trawniku grał zespół, a fontanna wykonywała jakieś wymyślne fontannowe sztuczki (tryskające w powietrze strumienie wody, kolorowe światła i tym podobne). Ludzi było sporo, ale bez dzikich tłumów, i od razu udało nam się zdobyć stolik we francuskiej knajpce z wielką kartą dań. Rachel zamówiła burgera, ja spaghetti, Maggie kanapkę z boczkim, sałatą i pomidorem, a Angie francuską zupę cebulową. Wszystkie byłyśmy zadowolone. I co? Mamuśka miała rację.

– Zatem, Angie – zagaiła Maggie – jak to z tobą jest? Mówisz, że masz byłego męża, poznałam twojego synka, ale czy masz chłopaka lub kogoś w tym stylu?

Angie pokręciła głową. Maggie nie dawała za wygraną:

– Dziewczynę?

Znów pokręciła głową.

Rachel nachyliła się ku niej i spytała:

– Podoba ci się Mike?

Angie się uśmiechnęła.

– Nie zrozum mnie źle, lubię go, ale różnimy się tak, że bardziej się nie da.

Maggie wyglądała na zdezorientowaną.

– A kto to jest Mike? Powinam go znać?

Pokręciłam głową.

– Nie, to chłopak z naszego kursu.

Podniosłam rękę, żeby poprosić o kawę, Rachel tymczasem cisnęła dalej:

– No tak, jesteście różni, ale czasem to jest właśnie ciekawe. Uważasz go za atrakcyjnego faceta?

Angie zachichotała.

– No pewnie, a ty nie? Jest boski.

Zapadła cisza. Wymieniłyśmy z Rachel spojrzenia. Mike był ładnym chłopcem, ale moim skromnym zdaniem do boskości wiele mu brakowało. Rachel odpowiedziała za nas obie:

– Jest przyjemny dla oka, ale nie może się równać z Niemożliwie Przystojnym Bobem.

– Naprawdę? – Angie była szczerze zaskoczona. – Hm. Ja tam uważam, że jest zabójczo przystojny.

Przerwałyśmy rozmowę i pochyliłyśmy się nad listą deserów.

Cztery kawałki czekoladowego ciasta później wytoczyłyśmy się z restauracji i usiadłyśmy na trawniku, żeby je strawić. Miło nam się siedziało. Już trochę odpływałam, kiedy zauważyłam jakiegoś faceta obserwującego Rachel ze skupieniem szczeniaka wpatzonego w dziecko jedzące loda. Trąciłam ją.

– Tamten facet się na ciebie gapi.

Spojrzała we wskazanym kierunku.

– Wygląda znajomo.

Popatrzyła mu w oczy. Mężczyzna przemówił:

– Przepraszam, że tak się gapię, ale czy pani nie nazywa się przypadkiem Rachel Anderby?

Uśmiechnęła się, choć widać było wyraźnie, że go nie pamięta.

– Tak. Czy my się znamy?

Obserwowałyśmy ich z zapartym tchem. Facet wyglądał całkiem do rzeczy, a my byłyśmy beznadziejnymi romantyczkami. Sfrustrowana wdowa, młoda rozwódka i pani profesor ze złamanym sercem? Trudno sobie wyobrazić lepszą widownię.

Czerwiniąc się lekko, podszedł i usiadł obok nas. Był wysokim brunetem, swobodnie ubranym, schludnym, o wysokich kościach policzkowych. Wszystko się zgadzało. Oparłam się na łokciach, obserwując ich uważnie. Nieznajomy sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Owszem, poznaliśmy się, tak jakby, ale już jakiś czas temu. Wygłosiła pani w mojej firmie wykład na temat międzynarodowych przepisów importowych, a ja

słuchałem. To znaczy słuchałem wykładu. To znaczy byłem tam.

Rachel była wyraźnie ubawiona.

– Na wykładzie?

– Tak jest.

– To znaczy, że pan tam był.

– Właśnie.

– A co to za firma?

– Bugler, Arthur i Barnes.

Z powątpiewaniem uniosła brwi.

– To kancelaria prawnicza. Jestem prawnikiem. Wszyscy jesteśmy prawnikami.

Rozpromieniła się.

– Ach, tak! Pamiętam. – Umilkła, po czym dodała: – O rany, musiałam dać naprawdę dobry wykład. To było ponad rok temu.

Mężczyzna się uśmiechnął i chyba zdołał nieco opanować nerwy.

– Był dobry. Bardzo, bardzo dobry.

Zerknęłam na Rachel, usiłując wyczytać coś z jej miny. Sprawiała wrażenie spokojnej i na szczęście wyglądała wspaniale. Zachodzące słońce rozświetlało pasemka w jej włosach, twarz miała równie pogodną i śliczną jak zawsze. Generalnie rzecz biorąc, jako starsza siostra nie miałam powodów do zmartwień. O dziwo, nie potrafiłam jednak stwierdzić, czy facet jej się podoba. Zazwyczaj gdy jest kimś zainteresowana, zmienia się w rozchichotanego podlotka. Cóż.

– Specjalizuje się pan w prawie międzynarodowym?

Potrząsnął głową.

– Nie, zajmuję się nudnym prawem korporacyjnym, ale zobaczyłem panią przed tym wykładem i wszedłem za panią do sali.

Rachel zmarszczyła brwi.

– To znaczy, że nie ciekawiły pana subtelne zawikości jurysdykcji transgranicznej?

Uśmiechnął się.

– Kiedy tylko zaczęła pani mówić, pochłonęły mnie bez reszty.

Angie, Maggie i ja na próżno starałyśmy się udawać, że nie podsłuchujemy. Oni jednak nie wyglądali na speszonych. Rachel prawdopodobnie zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana, ale spływało to po niej jak po kacze.

– Lubi pan swoją pracę?

Wzruszył ramionami.

– Jasne. Wolałbym być aktorem, ale kto by nie wolał?

Pokręciła głową.

– Ja. A więc jest pan charakterystyczną dla tego miasta hybrydą prawnika i aktora?

Stropił się.

– Niestety. Banalne, prawda?

– Cóż, mógłby pan być kelnerem. To bardziej tradycyjna droga.

Skrzywił się.

– Wszystkie dobre kelnerskie wakaty były już zajęte, a ja zrobiłem przecież dyplom... Wiem, że nie jest to zwyczajowa ścieżka kariery, ale hej, zawsze miałem duszę buntownika.

– Hmm. Czyli za dnia formalista, nocami artysta?

– Owszem. W kancelarii pracuję dla pieniędzy, natomiast pogoń za aktorstwem to moje bezsensowne, prowadzące donikąd hobby.

Rachel się uśmiechnęła.

– Domyślam się, że nieźle panu idzie?

Odwzajemnił uśmiech.

– Fantastycznie. Spotykam mnóstwo dziwnych ludzi, którzy wytykają mi braki warsztatowe, po czym odsyłają mnie do domu. Odrzucenie przez kobietę jest przy tym jak pogłaskanie po głowie.

– Wyobrażam sobie, że nie zdarza się to panu zbyt często.

– Zdziwiłaby się pani.

– Jest pan bardzo przystojny.

– Tak jak wszyscy mężczyźni w tym mieście.

– To prawda.

Po tej przyjemnej wymianie zdań nagle zamilkli. Angie miała dość:

– Idę do księgarni. Ktoś ze mną?

Maggie również wstała. Rachel plasnęła się w czoło.

– O Boże, gdzie moje maniery? Nie przedstawiłam pana.

– Nie wie pani, jak mam na imię.

– Rzeczywiście. Jak panu na imię?

– Richard.

– Richardzie, to moja koleżanka Angie, moja siostra Lilian i jej szwagierka Maggie.

– Czy nie jest zatem i twoją szwagierką?

Pokręciłam głową.

– Nie. Maggie jest moją szwagierką, a Rachel moją siostrą, ale one dwie nie są szwagierkami, bo Rachel nie ma męża. – Zawiesiłam głos. – To znaczy w tej chwili nie ma.

Zrobiło się niezręcznie. Maggie jednak najwyraźniej postanowiła jeszcze pogorszyć sytuację:

– Richardzie, a ty masz żonę?

Uśmiechnął się.

– W tej chwili nie.

– To może dziewczynę?

Zaprzeczył.

Maggie westchnęła.



– W takim razie możesz dalej rozmawiać z Rachel. – Podniosła rękę. – Jestem pewna, że przemiły z ciebie facet i przykładowy obywatel, jednak większość mężczyzn to parszywe pijawki i podli, zdegenerowani seryjni oszuści, a ja nie chcę, żeby Rachel stała się krzywdą.

Zapadła cisza. Angie odkaszlnęła.

– No dobrze, to co z tą księgarnią?

Zostawiłyśmy ich, żeby mogli porozmawiać spokojnie. Nagle przystanąłam i poprosiłam dziewczyny, by na mnie poczekały. Zawróciłam, wyciągając po drodze telefon. Postukałam Richarda w ramię.

– Pełne imię i nazwisko?

– Richard Byrnes.

Zapisałam je w telefonie.

– Adres?

Też go zapisałam.

– Numer ubezpieczenia społecznego?

Zdradził mi go. Idiota. Cmoknęłam z przyganą.

– Nie słyszałeś nigdy o kradzieży tożsamości?

Wyszczерzył do mnie zęby.

– Skąd wiesz, że go nie zmyśliłem? No dobra, nie zmyśliłem, bo rozumiem, że chcesz chronić siostrę. – Popatrzył na nią. – Ale wiesz, ona jest dorosła. Widziałem ją w akcji.

Zmrużyłam oczy, ale potem pokiwałam głową.

– Owszem. Jest dorosła, a poza tym ma czarny pas w dzudo. Mnie jednak nauczono w domu umiarkowanego zaufania. Jeśli nie będzie jej tu, kiedy wrócę, zawiadomię władze i wpuszczę twoje dane do internetu.

Aż gwizdnął.

– O rany, jesteś bezlitosna.

Rachel dotknęła jego ramienia.

– Ale z tym czarnym pasem to łgarstwo.

Wyprostowałam się, pragnąc wydać się wyższą niż w rzeczywistości, jednak bez większego powodzenia.

– Tak się składa, mój panie, że jestem jej starszą siostrą. Za moich czasów to coś znaczyło.

Zadarł głowę i uśmiechnął się do mnie.

– Ja też mam starszą siostrę, która byłaby w tej sytuacji równie troskliwa jak ty.

– W to jestem w stanie uwierzyć. Bawcie się dobrze. Do zobaczenia za godzinę lub dwie.

Zostawiłam ich.

Dziesięć minut później przyszedł esemes: „Idziemy na kolację. Zadzwoń jutro”.

Odpisałam: „Dopiero jadłaś kolację. Skąd mam wiedzieć, że to ty i że on nie ukradł

ci telefonu i cię nie porwał?”.

Odpowiedź brzmiała: „Jadłam, a teraz zjem drugą. Kiedy miałaś dwanaście lat, pocałowałaś psa sąsiadów, z języczkiem, żeby wygrać zakład”.

To była prawda. Nic dziwnego, że Clare tak chętnie szafuje uczuciami. To kwestia genów.

Napisałam więc: „Okej, ale uważaj na siebie”.

„Spadaj”.

Tak, to stanowczo była ona.

## SELER NACIOWY



Wielu ogrodników uważa seler za najtrudniejszą w uprawie roślinę. Aby zwiększyć swoje szanse, nasiona wysiej w domu, 8–10 tygodni po ostatnich przymrozkach, i pamiętaj o regularnym składaniu ofiar selerowym bóstwom.

Przed zasiewem użyźnij glebę nawozem organicznym bądź kompostem.

Zahartuj nasionka, trzymając je przez kilka godzin dziennie na dworze i przemawiając do nich surowym tonem.

Posadź sadzonki w ogrodzie, co 25–30 centymetrów, a nasiona umieść na głębokości 0,5 centymetra. Kiedy rośliny osiągną wysokość 15 centymetrów, trzeba je będzie przerzedzić, aby przerwy między nimi wynosiły 30 centymetrów.

Zaraz po sadzeniu wysyp ziemię ściółką i podlej roślinki.

Jeżeli seler nie dostanie wystarczająco dużo wody, łodygi staną się cienkie i suche, i będzie to wyłącznie twoja wina.

## ROZDZIAŁ 15

Oczywiście odliczałam minuty do chwili, kiedy będę mogła zadzwonić i dowiedzieć się, jak im poszło. Trzy po dziewiątej następnego ranka sięgnęłam po telefon.

– No i?

Rachel miała zmęczony głos.

– No i co?

Sapnęłam zniecierpliwiona.

– Rachel. Przestań się wygłupiać. Pamiętasz, jak się umawialiśmy? Żadnych tajemnic.

– Czy to była umowa na piśmie?

– Podpisana krwią. A teraz gadaj, jak było. Poszliście na tę kolację?

– Tak. Chociaż okazało się, że on też już jadł, więc ograniczyliśmy się do deseru.

– Co zamówił?

– Ty masz jakąś dziwną obsesję, wiesz o tym? Wzięliśmy na spółkę lody z gorącym sosem krówkowym.

– Jak licealiści. Okej. Co dalej?

Westchnęła.

– Potem poprosiłam, żeby mnie odwiózł, i nawet go nie pocałowałam. Choć w samochodzie było dość gorąco i musiałam się z całych sił powstrzymać, żeby nie zaprosić go do domu.

Coś tu nie grało.

– Czemu go nie zaprosiłaś? Rozchorowałaś się?

Znów westchnęła.

– Nie. Sama nie wiem. Chyba chodziło o to, że naprawdę mi się podoba i nie chcę tego spieprzyć, idąc z nim od razu do łóżka.

Wybałuszyłam oczy.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją siostrą? – zapytałam surowo.

– Bardzo śmieszne. Nie, naprawdę, od kiedy go zobaczyłam, wiedziałam, że wpadnę w tarapaty. To znaczy on mi się podoba, a może nie podoba mi się i tylko myślę, że tak, albo naprawdę mi się podoba, ale myślę, że nie...

Bełkotała jak potłuczona.

– Dobra, uspokój się. Możemy zjeść dziś razem lunch?

Zanim śmierć mojego męża zmieniła nasze życie, Rachel i ja prezentowałyśmy dwa zupełnie różne podejścia do kwestii związków. Ja wyszłam za mąż i urodziłam dzieci, ona zaś nie wykazywała zainteresowania ani jednym, ani drugim. Być może nasza matka, powtarzając jej w kółko, że faceci zawsze będą oceniali ją przez pryzmat urody, zasiała w niej przekonanie, że żaden nigdy nie zwróci uwagi na nic

innego. Jej jedyne, krótkotrwałe małżeństwo (tfu, tfu) nie miało tu nic do rzeczy. Zazwyczaj nawiązywała niezobowiązujące relacje z zabawnymi, inteligentnymi mężczyznami, po czym zrywała je, ilekroć któryś zapragnął monogamii. Zawsze jednak zostawała z nim w dobrych stosunkach, co wiele o niej mówi. Moja siostra nigdy – powtarzam: nigdy – nie zawahała się pójść do łóżka z kimś, kto jej się spodobał. Aż do teraz. Albo więc się starzała, albo działo się coś niezwykłego. Dostrzegłam ją po drugiej stronie sali i już z daleka potrafiłam stwierdzić, że coś się święci. Sprawiała wrażenie rozkojarzonej jak nigdy i wyjątkowo miała umalowane usta. Usiadłam.

– Zamówiłam nam burgery i koktajle. Może być? – Mówiła odrobinę głośniej i bardziej piskliwie niż zwykle. Warto jednak pamiętać, że znajdowałyśmy się we włoskiej restauracji.

– Mają to w karcie?

Rozejrzała się.

– Ach... Ee, chyba tak. Rzuciłam kelnerowi zamówienie, kiedy zajmowałam stolik, teraz rozumiem, czemu wydawał się zaskoczony, ale powiedział okej i poszedł sobie.

– Pewnie specjalnie dla nas wysłali kogoś do McDonalda.

– Niewykluczone.

Omiotłam wzrokiem salę. Kelner stał pod ścianą, nerwowo zerkając w naszą stronę. Zapewne bał się, że w następnej kolejności zażądamy sushi.

– Rachel, co jest grane, do cholery? Richard dzwonił?

Wzruszyła ramionami.

– Tak. Zostawił wiadomość. Nie chciałam odbierać. Sama nie wiem. Dziwnie się czuję. Czy kiedy sfiksowałaś po śmierci Dana, wiedziałaś, że fiksujesz?

Tym razem to ja wzruszyłam ramionami.

– Nie pamiętam. Czyżbyś twierdziła, że kolacja z tym facetem była dla ciebie równie traumatycznym przeżyciem jak dla mnie śmierć męża? Bo jeśli tak, powinnaś się zastanowić, czy na pewno chcesz iść z nim na drugą randkę.

Spojrzała na mnie i nagle znów była sobą. Złapała mnie za rękę i ścisnęła.

– Cholera, Lili, przepraszam, nie o to mi chodziło. Serio, odbija mi. Dziś rano dwa razy pomyliłam przesyłki. Klient, który czeka na etruską wazę, będzie miał pewnie sporą niespodziankę, kiedy wydobędzie z paczki wypchanego żółwia z Galapagos.

– Nie wspominając już o tym, że nieźle się namęczy, próbując upchnąć w nim bukiet.

Znów westchnęła i zaczęłam nabierać podejrzeń, że nabawiła się infekcji dróg oddechowych. Ile ona zużywa powietrza?

Do stolika zbliżył się kelner. Ostrożnie postawił przed nami talerze, na których leżały prawdziwe burgery – owszem, z dodatkiem spaghetti, ale jednak burgery. Przyniósł także koktajle, po czym się wycofał.

Ugryzłyśmy po kęsie. I spojrzałyśmy po sobie.

– To – oznajmiła Rachel – jest najlepszy burger, jakiego w życiu jadłam.

Skinęłam głową.

– Wiesz, co mówią: po traumie wszystko smakuje lepiej.

Rachel błyskawicznie pochłonęła hamburgera i wyraźnie poprawił jej się humor.

– Nawet nie wiedziałam, jaka byłam głodna. Rano nic nie mogłam przełknąć.

Ha. A więc sprawa była poważna. Gdyby Rachel utknęła pod przewróconą lodówką, próbowałyby ją otworzyć, żeby sprawdzić, czy w środku jest coś do przegryzienia. Rachel uwielbia jeść.

– Nic nie rozumiem – oznajmiłam. – Skoro ten facet ci się podoba, to w czym problem? Spotykałaś się już z facetami, którzy ci się podobali, prawda? A tego dopiero poznałaś. Do weekendu może się okazać łajdakiem.

– Jasne. Tylko że... Może to dziwnie zabrzmieć, ale w każdym poprzednim związku czułam się w pewnym sensie bezpieczna, wiesz, o co mi chodzi?

Pokręciłam głową.

– Nie mam pojęcia.

Przekręciła się nerwowo na krześle.

– Czułam, że w każdej chwili mogę odejść. Że oni są mną zainteresowani bardziej niż ja nimi. Że mam nad nimi kontrolę. Z jakiegoś powodu przy Richardzie czuję stres. Nie strach, ale stres. Jakby potrafił przejrzeć mnie na wskroś albo coś takiego.

Wzięłam łyk koktajlu, który również był wyśmienity, i popadłam w zadumę.

– Jesteś pewna, że to nie jest po prostu to dziwne łaskotanie w żołądku, które się czuje na początku każdej znajomości? – Dotknęłam jej czoła. – A może jesteś chora?

– Nie wiem. Nigdy mi się nic podobnego nie przydarzyło. Jasne, podobali mi się mężczyźni, lubiłam z nimi przebywać i chodzić do łóżka, ekscytowali mnie, ale to zawsze była w pewnym sensie zabawa. – Spojrzała na mnie. – Naprawdę myślałam, że coś jest ze mną nie tak. Patrzyłam na ciebie i Dana, widziałam, jak się kłócicie, nie zgadzacie ze sobą, a mimo to trwacie przy sobie, możecie na sobie polegać, i zastanawiałam się, czy nie omija mnie coś ważnego. Zawsze pilnowałam swojej niezależności. – Urwała. – Posłuchaj, nie zrozum mnie źle, ale kiedy Dan zginął, pomyślałam, że może to zrzędzenie losu, jakiś kosmiczny plan, że wciąż jestem singielką i mogę pomóc ci przez to przejść. Gdybym miała męża albo własną rodzinę, nie byłabym w stanie do tego stopnia włączyć się w twoje życie.

Chryste. Teraz to ja ścisnęłam jej dłoń.

– Rach, nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłaś, dla mnie i dla dzieci. Gdyby nie ty, nie mam pojęcia, co by się stało. Pewnie odebraliby mi córki. Ocaliłaś nas wszystkie. Jesteś moją bohaterką.

Uśmiechnęła się.

– I wiatrem w twoich żaglach?

Odwzajemniłam uśmiech.

– Żebyś wiedziała. Ale teraz możesz już odpuścić. Jeśli zechcesz się zakochać, wyjść za mąż i urodzić dzieci, to okej. Może dlatego wciąż jestem singielką, żeby móc ci pomóc.

Roześmiała się niepewnie.

– Nie twierdzą, że chcę wychodzić za mąż i rodzić dzieci.

Spojrzałam na nią.

– Ale może chcesz się zakochać.

Nie odpowiedziała, spuściła tylko wzrok. Łza spłynęła jej po policzku i spadła na talerz. Wyciągnęłam rękę i zmierzwiłam jej włosy, tak jak zawsze.

– Słuchaj, to normalne, że panikujesz z powodu nowego faceta. – Nagle coś mi zaświtało. – A może martwisz się, że on nie czuje do ciebie tego samego?

Wzruszyła ramionami, nie podnosząc wzroku.

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, co czuję. Gadaliśmy godzinami, o wszystkim. O tym, co się stało po śmierci Dana, o rodzicach Richarda, naszych rodzicach, o wszystkim. On jest zabawny, mądry i miły, a ja mam cholernego pietra, bo nie ukrywa, co czuje. Chyba mu się podobam, ale co jeśli nie?

– Oczywiście, że mu się podobasz. Kiedy cię zobaczył, całkiem go zatkało.

Było mi jej żal. Jak już mówiłam, zawsze była twarda. Chyba tylko raz w życiu widziałam, jak płacze przez faceta – tak ją wkurzył, że kopnęła w ścianę i złamała sobie palec. Ale to była zupełnie inna sytuacja.

Gestem poprosiłam kelnera o rachunek.

– Słuchaj, mała, powinnaś odpocząć. Całą noc nie spałaś. Z tego, co mówisz, wynika, że miałaś wieczór pełen wrażeń, a nie da się trzeźwo myśleć, kiedy człowiek jest zmęczony. Może zwolnisz się z pracy i pojedziesz do domu?

Skinęła głową.

– Chyba masz rację. Może rzeczywiście złapałam jakieś choróbko, a jeśli się prześpię, obudzę się rano jak nowo narodzona.

– Może.

Zapłaciłam i ruszyliśmy do wyjścia. Podałam jej ramię i poczułam, jak się na nim opiera.

Moja kolej.

Kiedy dotarłam do domu, w skrzynce zastałam kopertę z fotografiami Dana i dzieci. Były tam również nasze zdjęcia ślubne, zdjęcia z narodzin Annabel i Clare, wszystko. Z jakiegoś powodu, przeglądając je teraz, nie czułam się, jakby ktoś wyrwał mi serce z piersi i brutalnie je podeptał. Cieszyłam się, że spędziliśmy razem czas, który był nam dany. Kilka obrazków sprawiło, że łzy napłynęły mi do oczu – zbliżenie jego twarzy, kiedy po raz pierwszy trzymał w ramionach Annabel, ujęcie, na którym stał na ulicy i czekał na nią z wyciągniętymi ramionami, oraz,

o dziwo, zdjęcie przedstawiające Dana i moją siostrę. Stali obok siebie na jakimś włoskim wzgórzu, uśmiechając się do obiektywu. Pojechaliśmy wtedy razem na ślub Maggie i Berta. Dan i Rachel byli tacy młodzi i tacy szczęśliwi, oboje patrzyli na mnie z czułością, i nagle uświadomiłam sobie, że kiedy umarł, wszyscy coś straciliśmy. Nie tylko ja, nie tylko dziewczynki, ale wszyscy, którzy stanowili część naszego wspólnego życia. Właśnie to próbowała mi powiedzieć Rachel tamtego wieczoru w kolejce do Pink's, ale dopiero teraz naprawdę zrozumiałam, o co jej chodziło.

Oto wielki portret rodzinny, wykonany pewnie w Święto Dziękczynienia albo przy jakiejś innej okazji. Jego rodzina, moja rodzina, Annabel na kolanach mojej matki, małe Clare w ramionach matki Dana – tak, to było ostatnie Święto Dziękczynienia przed jego śmiercią. Clare miała zaledwie miesiąc, a zdjęcie zrobił chyba mój tata. Byli tam również Maggie oraz Berto ubrany w różowy sweter z rodzaju tych, w których dobrze wyglądają tylko Europejczycy. Dan siedział u szczytu stołu i wygłupiał się, z papierowym kapeluszem pielgrzyma na głowie. Był taki zabawny, taki niemądry, a ja w niczym mu nie ustępowałam. My dwoje wiecznie się nawzajem nakręcaliśmy i rozśmieszaliśmy wszystkich wokół. Zawsze uwielbialiśmy się razem śmiać. Kiedy wiele miesięcy po jego śmierci roześmiałam się po raz pierwszy, natychmiast skończyło się to płaczem. Przypominało mi to te nagrania, na których ludzie niesłyszący pierwszy raz w życiu słyszą własny głos. Radość, a zaraz potem łzy. Jednak od tamtej chwili śmiech przychodził mi coraz łatwiej, a teraz właśnie dzięki niemu jakoś się trzymałam – dzięki sarkastycznym uwagom i głupkowatym żartom.

Zrobiłam coś odważnego. Zadzwoiłam do matki. Wybierając znajomy numer, nieświadomie zwinęłam się w kłębek na sofie. Na wszelki wypadek.

– Cześć, staruszko.

– Cześć, kochanie, dzwonicz z aresztu?

Wyjątkowo wydawała się trzeźwa. Może ekspedientka w monopolowym wreszcie postanowiła odmówić jej obsługi.

– Nie, ale chciałam ci powiedzieć, że cię Kocham.

Długa chwila ciszy. Naprawdę długa.

– Halo?

– Tak, jestem. Martwię się tylko, czy nie umierasz przypadkiem na raka.

– Bo powiedziałam ci, że cię Kocham?

– Tak. Wiesz, ostatnio rzadko to od ciebie słyszę. Powiedziałaś to raz po śmierci taty i raz w zeszłą Gwiazdkę.

– Tak dokładnie pamiętasz? To smutne.

– Owszem – odparła swoim zwykłym, cierpkim tonem. – Nawet jako dziecko nie byłaś przesadnie wylewna. W porównaniu z tobą twoja siostra to prawdziwy pieścuch.



Poczułam, że ogarnia mnie irytacja, i wzięłam głęboki oddech.

– Dzwonię, bo właśnie sobie uświadomiłam, że śmierć Dana była stratą dla nas wszystkich. Powinnam była wcześniej zdać sobie z tego sprawę, ale zrozumiałam to dopiero dziś. I jeszcze zrozumiałam, że chociaż ty straciłaś tatę, nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, że obie jesteśmy wdowami.

Wydała z siebie zduszony okrzyk.

– O Boże, ty naprawdę umierasz na raka. Twoje piersi zawsze miały dziwny kształt.

Zamknęłam oczy, walcząc z pokusą, by owinąć sobie kabel telefoniczny wokół szyi i zaciskać go tak długo, aż stracę przytomność. Tymczasem matka mówiła dalej:

– Błagam, powiedz, że chodzi o ciebie, a nie o którąś z dziewczynek.

Z jakiegoś powodu wydało mi się to zabawne i wybuchnęłam śmiechem.

– Mamo! Opamiętaj się. Na miłość boską, nikt nie umiera na raka. Próbuję ci tylko powiedzieć, że cię kocham, że rozumiem, przez co musiałaś przejść. Chciałabym z tobą pogadać od serca, a ty jak zwykle wychodzisz ze skóry, żeby do tego nie dopuścić. – Mimo to wciąż się uśmiechałam. – Zawsze tak było, zawsze kpiliśmy sobie z uczuć i nigdy o nich nie rozmawiałyśmy, ale jesteśmy już na to za stare. Pora nareszcie wziąć się w garść.

Znów zapadła cisza.

– Ale obiecujesz, że nie masz dla mnie żadnych strasznych wieści? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to ja umieram na raka?

Kuszająca perspektywa. Westchnęłam znużona.

– Przestań, mamo. Jesteś okropna.

– Może masz to po mnie.

– Bez wątplenia.

– Tęsknię za twoim ojcem, wiesz? On potrafił z wami rozmawiać. Mówił wam to, czego ja nie umiałam powiedzieć. Od kiedy umarł, ilekroć otwieram usta, mam wrażenie, że zaraz popełnię jakąś gafę. Dzięki Bogu, że tata jeszcze żył, kiedy zginął Dan, choć przyznaję, że to również schrzaniłam. Przykro mi.

– Wiem, mamo. Ja też tęsknię za tatą. Może byś zaczęła częściej nas odwiedzać?

– Albo wy mnie? Siedzę sama w wielkim domu, całymi dniami snuję się jak zjawa. Byłoby cudownie, gdyby wpadały tu dzieci.

– Dobra, dobra, nie ściemniaj. Ilekroć przyjeżdżamy, dziewczynki coś tłuką, a ty używasz niecenzuralnych słów. Nie chcę, żeby się przy tobie denerwowały.

– Jak ty i twoja siostra?

Umilkłam. Szło nam lepiej, niż się spodziewałam, i nie chciałam jej zniechęcać. Mimo to odpowiedziałam:

– Właśnie. Jak ja i Rachel. Bardzo cię kochamy, ale czasem mówisz rzeczy, które nas ranią.

– Wiesz, że nie robię tego specjalnie.

– Właściwie to nie, nie wiem. Wiem, że nie umiesz się powstrzymać, ale to inna sprawa. Słuchaj, może po prostu obie się bardziej postaramy? Nie sądzę, żeby udało nam się odkręcić całe lata dziwnych stosunków, ale nie chcę, żeby zostało tak, jak jest. Potrafię myśleć o Danie i nie rozsypać się na kawałki. Możesz mi powiedzieć, że mnie kochasz, jeśli chcesz. Ja mogę przestać reagować na wszystko, co mówisz, jakbym wciąż miała piętnaście lat. Rachel może się zakochać.

Parsknęła śmiechem.

– No, no, bez szaleństw.

Przyznałam jej rację. Na to mamy jeszcze czas. Nie do końca rozumiałam, skąd we mnie ta zmiana, ale kiedy skończyłyśmy rozmawiać, pomyślałam, że dawno się tak dobrze nie czułam.

Lea przyprowadziła dzieci ze szkoły. Rozgadane wpadły do domu i rzuciły mi się w ramiona. Uświadomiłam sobie, że kiedyś trajkotałam tak samo z moją matką i zastanowiłam się, ile lat minęło, zanim potok słów przestał płynąć. Kamyczek do kamyczka, aż zbierze się tama. Dziewczynki cisnęły plecaki w kąt i wybiegły do ogrodu bawić się domkiem dla wrózek. Podniosłam porzucony przez Clare rysunek. Zobaczyłam nasz ogród i z podziwem stwierdziłam, że wzbogacił się o jabłonkę, staw z kaczkami oraz tygrysa w szlafroku. Nieźle. Choć wciąż nie było w nim mojej wymarzonej ławki. Wiedziona nagłym impulsem, odnalazłam szkicownik, który podarowałam Annabel. Kartkując go, natrafiłam na własny rysunek. Aha! Jest ławka! Wiedziałam, że ją naszkicowałam. Na mojej ławce siedział Dan, po prostu sobie siedział. Westchnęłam i poszłam zrobić kolację.

Na widok zdjęć dzieci dostały ataku śmiechu. Ale mama śmiesznie wygląda! – ryczały. A tata! Ciocia Rachel jaka była ładna! A tu babcia w bikini! Co fotografia to nowe odkrycie. Poczułam się okropnie, że pozwoliłam, by cztery lata przeciekły mi przez palce. Zdałam sobie sprawę, że byłam równie chłodna i zajęta sobą co moja matka. Jasne, tak ją wychowano, podobnie jak wcześniej jej rodziców, bla, bla, bla, ale czas z tym skończyć. To nie łzy mojej siostry powinny być mnie otrzeźwić, ale tak się właśnie stało. Wiadomość z ostatniej chwili! Inni ludzie też mają uczucia! Mogłam dalej się tym zadręczać, ale uznałam, że dość tego. Przynajmniej nie powiedziałam nigdy moim dzieciom, że ich piersi mają dziwny kształt.

Kiedy wklejałyśmy zdjęcia do albumu, wstałam i przyniosłam aparat. Pstrykałam i pstrykałam, a potem sięgnęłam po szkicownik i zaczęłam rysować. To był nowy początek, a ja nie zamierzałam uronić odtąd ani chwili.

Ponieważ Lea miała zostać do wieczora, postanowiłam zaszaleć i samotnie wybrać się do Targetu. Uznałam, że przyda nam się parę rzeczy, a gdzie robić zakupy, jeśli nie tam. Przypomniłam sobie czytany kiedyś artykuł opisujący eksperyment, którego obiektem były małe dzieci – dwu- czy trzylatki, nie pamiętam – w każdym

razie była to jakaś nieprzewidywalna grupa. Do artykułu dołączono diagram pokazujący, jak maluchy przemieszczały się wśród rówieśników i pomiędzy stołami, na których leżały zabawki lub gry. Wykres przypominał pajęczynę. Gdyby w podobny sposób zilustrować moją codzienną trasę, wyszedłby kwadrat. Jego cztery wierzchołki stanowiłyby dom, szkoła dziewczynek, praca i Target. Po tym, jak odpadną mi podróże do pracy, kwadrat niechybnie przekształci się w trójkąt. Może powinnam zacząć nawiedzać stacje benzynowe czy coś w tym stylu, żeby odzyskać czwarty wierzchołek?

Tak czy inaczej, już sam zapach Targetu przepełniał mnie radością. Po wyjściu ze szpitala spędzałam tam mnóstwo czasu, przechadzając się wśród półek i zabijając czas do momentu odebrania dzieci ze szkoły. Przez pewien okres nie byłam w stanie pracować, nie potrafiłam skupić się na tyle, by pamiętać, co rysuję, więc między pierwszym a ostatnim dzwonkiem nie miałam wiele do roboty. Target był blisko, o dziewiątej pięć rano nigdy nie miałam problemu z zaparkowaniem, a w środku było prawie pusto i nikt nie zwracał szczególnej uwagi na postrzeloną kobietę wspartą na uchwycie wózka, nucącą pod nosem motyw przewodni z *Ulicy Sezamkowej* i po raz czwarty przechodzącą przez dział z akcesoriami samochodowymi.

Często wychodziłam stamtąd z pustymi rękami, ale czasem w gorączkowym szale wrzucałam do wózka kolejne przedmioty, przez co szuflady kuchenne miałam wypełnione wypiekaczami do pączków, maszynami do lodu i małymi sztucznymi choinkami, które pachniały jak prawdziwe. Kupowałam ubrania dla dzieci, ubrania dla Rachel i ubrania dla Franka. Kupowałam sobie skarpetki, ponieważ rozmiar stóp miałam wciąż taki sam, mimo że ustawicznie traciłam na wadze. Po śmierci Dana schudłam osiemnaście kilo i przestałam miesiączkować. W końcu terapeutka zagroziła, że jeśli nie zacznę o siebie dbać, odeśle mnie do szpitala.

Przeszłam na ścisłą dietę, na której jadłam cztery snickersy dziennie i odzyskałam nieco wagi. Żeby było jasne, odżywiałam się normalnie, snickersy były tylko dodatkiem. Dziś nie mogę na nie patrzeć. Za bardzo przypominają mi o tamtym pierwszym roku. Snickersy, podłoga w kuchni, zapach deszczu, conversy, stłuczone szkło, wata nasączona spirytusem, ta piosenka Sheryl Crow o dobrej zabawie, krem do golenia mojego męża, smak krwi w ustach. Żadna z tych rzeczy nie cieszy mnie już jak kiedyś.

Przechadzałam się właśnie wśród półek z zabawkami dla zwierząt, zastanawiając się nad kupieniem Frankowi gumowej kaczuszki (wprawdzie woli gryźć ciuchy z kosza na pranie, ale kto wie, może doceniłby moje dobre chęci), kiedy zadzwonił telefon. Rachel.

– Podobam się Richardowi. To już oficjalnie potwierdzone.

– A „cześć”?

– Staram się oszczędzać czas. Cześć.

Z działu zwierzęcego przeszłam do płyt DVD i książek. Nie znałam żadnego z autorów, a z nowości kojarzyłam zaledwie kilka. Stwierdziłam, że muszę częściej wychodzić z domu.

– Skąd wiesz, że mu się podobasz?

– Bo mi powiedział. A „cześć”?

– Cześć. Kiedy?

– Przed chwilą, przez telefon. Gdzie jesteś?

– W Targecie. A powiedziałaś mu, że on też ci się podoba?

– Tak. Wyobraź sobie, że tak. Kupisz mi flamastry?

Popchnęłam wózek w stronę akcesoriów papierniczych. Wokół dostrzegłam kilkanaście innych osób krążących z wózkami bez celu, każda z telefonem przy uchu. Jakimś cudem nie doszło do wielkiego karambolu w dziale drobnych sprzętów AGD, zamiast tego rozgrywała się tu fantastyczna pantomima zmarszczonych czoł, półuśmiechów, niemych przeprosin i gwałtownych uników.

– To dobrze. Znacie się półtora dnia i podobacie się sobie nawzajem. Super.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Skąd. Zakładam, że kiedy wyjdę na dwór, zobaczę na niebie wielkie, puszyste kłęby dymu układające się w napis: „Rachel podoba się Richardowi”. Zmieniłaś już status na Facebooku?

– Nie używam Facebooka.

– Wiem. Żartowałam sobie z ciebie. I co będzie teraz?

– Nie mam pojęcia.

– Mam twoje flamastry. Domyślałam się, że chciałaś czarne.

– Tak.

Wzięłam również zestaw we wszystkich kolorach tęczy, a co mi tam. Nigdy nie potrafiłam się oprzeć nowiutkiemu kompletowi flamastrów. Moje dzieci miały ich całe kubły. Rachel się rozłączyła, a ja ruszyłam do działu z bielizną.

Przystanąłam i popadłam w zadumę. Czy nadszedł już czas na nowe majtki? To, że je kupię, nie znaczy przecież, że muszę je komuś pokazywać, prawda? Przez dwadzieścia minut wybierałam koronkowe cudeńka, w jasnych i ciemnych odcieniach, czarne i beżowe... po czym oddałam je kasjerce przy wyjściu.

– Jednak się rozmyśliłam – powiedziałam.

Dziewczyna przyjęła to z absolutną obojętnością. Patrzyłam, jak skanuje flamastry, potem papier do drukarki, koszulkę z kotem, koszulkę z wielorybem, trzy pary skarpetokapci, gumową kaczkę dla psa oraz olbrzymi pojemnik masła orzechowego, i usiłowałam zebrać się na odwagę, by jeszcze raz zmienić zdanie. To było naprawdę niedorzeczne. Kiedyś często zastanawiałam się, co myślą o mnie inni, później – co sądzą o moich dzieciach, a teraz mam już tylko nadzieję, że jeśli nagle stanę w płomieniach, ktoś to zauważy.

Wreszcie wydarzył się cud. Kasjerka uśmiechnęła się do mnie i spytała:

– Na pewno nie chce pani tej bielizny?

– Nie – odparłam. – Jednak ją wezmę. Dziękuję, że pani zapytała.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wyjęła rzeczy spod lady.

– I bardzo dobrze – stwierdziła, przejeżdżając metkami nad skanerem. – Miło od czasu do czasu zrobić sobie przyjemność.

Oczywiście miała rację. A teraz nowa bielizna leży wciśnięta w głąb szuflady i być może nigdy nie ujrzy światła dziennego, ale hej, liczą się małe kroczyki, no nie?

## TRUSKAWKI



Truskawki można zasadzić, gdy tylko gleba będzie dostatecznie miękka. Są to rośliny płożące i wypuszczają rozłogi, które przykrywają ziemię naokoło. Sadź je głęboko i na tyle szeroko, by korzenie się nie zawijały. Pąk powinien znajdować się tuż nad ziemią. Czasem ogrodnictwo to sztuka precyzji. Truskawki potrzebują dużo miejsca i słońca. Najlepiej czują się na uniesionych grządkach. Pamiętaj, by nie sadzić truskawek tam, gdzie niedawno rosły pomidory, papryka bądź bakłażany, bo wpadną w panikę. Nie pytaj dlaczego.

## ROZDZIAŁ 16

Jak przysłało na nowy początek, następnego dnia znów miałam umówioną rozmowę o pracę. Tym razem zasypałam Melanie gradem szczegółowych pytań.

– Oni wydają książki dla dzieci, masz więc odpowiednie doświadczenie. Szukają kogoś, kto tak jak ty potrafi tworzyć w różnych stylach. No i jest to praca na zlecenie.

– Czyli?

– Czyli mają zespół artystów oraz ilustratorów, z których usług korzystają, i pragną go rozbudować. Nie wiem, czy chcą, żebyś pracowała u nich w biurze, czy tylko jako wolny strzelec.

Zmarszczyłam brwi. Chciałam mieć ubezpieczenie zdrowotne. Oczywiście marzyłam również o letnim domku na Arubie, ale tego prawdopodobnie nie zechcą mi zaproponować.

Po raz drugi wcisnęłam się w garsonkę (tym razem włożyłam do niej koszulkę Thompson Twins) i przybyłam na miejsce dwadzieścia minut przed czasem. Atmosfera w Rubber Ball Press nieco się różniła od tej panującej w wydawnictwie erotycznym. W recepcji zastałam dwóch facetów, którzy zawzięcie się o coś kłócili.

– Mylisz się. To ośmiornica.

– Kalmar. Przecież tak ma na imię, do cholery!

– Ale policz nogi!

– To kreskówka, nie podręcznik. Nieważne, ile ma nóg.

Mówili oczywiście o *SpongeBobie Kanciastoportym*. Spór o to, czy Skalmar Obłynos jest kalmarem czy ośmiornicą, był tyleż fascynujący, co niemożliwy do rozsądzenia. Postanowiłam zabrać głos:

– Przepraszam, że się wtrącam, ale wydaje mi się, że w serialu był nazywany i tak, i tak.

Kłóący się spojrzeli na mnie, ale nie wydawali się zdziwieni, że jakaś zupełnie obca osoba wcina im się do rozmowy – przeciwnie, sprawiali wrażenie otwartych na argumenty.

– Ale ma tylko sześć macek.

Wzruszyłam ramionami.

– Słyszałam w radiu wywiad z facetem, który stworzył całą serię, i on twierdził, że było mu po prostu łatwiej narysować sześć. Z dziesięcioma postacią wyglądałaby tak, jakby w każdej chwili miała się przewrócić.

Pokiwali głowami. Mogłabym się założyć, że też byli ilustratorami. My to jednak jesteśmy dziwni.

Recepcjonistka przywitała mnie z uśmiechem. Kiedy się przedstawiłam, poprosiła,

żebym usiadła. Rozejrzałam się po holu. Nie dostrzegłam żadnych aktów, za to mnóstwo wyrazistych kolorów oraz zabawek. Przypominało to trochę wnętrze mojego domu, tyle że oczywiście panował tu mniejszy bałagan.

Po kilku chwilach w recepcji pojawiła się jakaś zaaferowana kobieta, mniej więcej w moim wieku, i pytającym tonem wypowiedziała moje nazwisko.

Jej gabinet był nieduży i poczułam się w nim jeszcze bardziej jak w domu. Wszędzie wałały się zdjęcia, zabawki i papier. Komputer oblepiony był żółtymi karteczkami, a na biurku naliczyłam trzy kubki po kawie. Najwyraźniej łączyło nas pokrewieństwo dusz. Miała na imię Betty. Jak Betty Boop, wyjaśniła. Odparłam, że ja mam na imię Lilian, jak... Nie, nic nie przychodziło mi do głowy.

– Mel wspominała, że odchodzisz z Forest, bo zamykają twój dział.

Skinęłam głową.

– Postanowili przerzucić się na ilustratorów z zewnątrz.

Skrzywiła się.

– Też robiliśmy takie próby. Wynikło z nich tyle dobrego, że znaleźliśmy osoby, z którymi wciąż współpracujemy. Ale okazało się, że potrzebni nam są ludzie na miejscu, żeby zajmować się najpilniejszymi zleceniami i poprawiać to, co przychodzi z zewnątrz, więc w końcu się wycofaliśmy. Możliwe, że w Forest dojdą do tego samego wniosku.

Rozłożyłam ręce.

– Chętnie będę z nimi współpracować, jeśli zechcą, ale mam dzieci i potrzebuję prawdziwej posady.

– Nie szukamy pracowników na pełen etat. Mel ci nie mówiła?

Ścisnęło mi się serce.

– Sama nie była pewna.

Betty lekko zmarszczyła brwi.

– Nie chcę marnować twojego czasu. Na etat zatrudniamy tylko dwie osoby, pozostałe kilkanaście pracuje, skąd chce. Możemy ci jednak zaproponować stały dopływ zleceń. – Wskazała na zastawione książkami półki. – Mamy szczęście. Nasz Wiewiór Śmigacz bardzo się spodobał, więc robimy o nim kilka historyjek miesięcznie. Współpracujemy również z kilkoma kanałami dla dzieci. Kojarzysz te irytujące książeczki na podstawie kreskówek?

Skinęłam głową. Rzeczywiście były irytujące, z drugiej strony robota to robota. Betty ściągnęła z półki kilka zeszytów.

– Wkurzające jak cholera, ale moje dzieciaki to łykają.

– Ile ich masz?

Poszukałam wzrokiem zdjęć, ale na biurku panował zbyt wielki rozgardiasz.

Betty się uśmiechnęła.

– Tylko dwójkę, ale i tak nieźle dają mi się we znaki. Mają osiem i sześć lat. Dziewczynki.



Odwzajemniłam uśmiech.

– Moje mają siedem i pięć. Też dziewczynki.

– W takim razie dokładnie wiesz, czym się zajmujemy, twoje córki to nasz docelowy odbiorca.

Sięgnęła po moje portfolio i przejrzała je. Zapadła cisza.

– Jesteś świetna, no ale sama pewnie dobrze o tym wiesz.

Zmarszczyłam nos.

– Nie do końca. Tak dawno nie robiłam nic swojego, że zdążyłam zapomnieć, jaki właściwie mam styl.

Pokazała mi portfolio otwarte na wykonanych tuszem portretach dziewczynek. Musiałam je tam umieścić, żeby w ogóle mieć co pokazać. Wiecznie gryzmoilałam coś na boku, ale nie uważałam tego za prawdziwą pracę.

– Te są znakomite. Oryginalne i zabawne, a zarazem wyraziste. Wiesz, co mam na myśli? Chodzi o to, że widzę, jak te dzieci wyglądają, a jednocześnie udało ci się uchwycić ich osobowości. To nie lada sztuka. Tak czy siak, szukam osób elastycznych, odnajdujących się w różnych stylach. Piszesz coś?

Pokręciłam głową. Betty oddała mi portfolio.

– Nie szkodzi, współpracujemy na stałe z grupą autorów, więc jeśli trafi mi się coś odpowiedniego dla ciebie, może uda nam się zadziałać razem. Mamy sporo szczęścia z własnymi tytułami. Te twoje urocze rysunki tuszem nie pasują do niczego, nad czym obecnie pracujemy, ale zastanowię się, co z tobą zrobić.

Czyżby rozmowa dobiegła końca? Nagle ogarnęło mnie zmieszanie. Na szczęście Betty panowała nad sytuacją. Nic dziwnego, że zawiadywała całym tym majdanem.

– Z przyjemnością dopiszę cię do listy współpracowników. To działa tak, że kiedy przyjdzie zlecenie, wpadniesz tu do nas do biura po wytyczne, często też na spotkanie z autorem albo redaktorem prowadzącym serii, a potem możesz pracować tutaj albo, jeśli wolisz, w domu. Płacimy od zlecenia, nie za godzinę.

Czułam, że nie nadążam.

– Przepraszam... Czy to znaczy, że dostałam tę pracę?

Betty się roześmiała.

– Owszem, o ile jesteś zainteresowana. Mam w tej chwili dwa projekty, które trzeba będzie jutro omówić. Możesz je wziąć? Pierwszy to historyjka na podstawie kreskówki, ważne będzie, by wiernie skopiować dobrze znany styl. Jeśli chcesz, dam ci próbki.

Wstała, więc poszłam za jej przykładem.

– Teoretycznie do końca miesiąca wciąż pracuję w Forest.

– W takim razie możesz wziąć jedno zlecenie, a drugie dam komu innemu. A kiedy będziesz miała więcej czasu, podkręcimy tempo. – Nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Ale się cieszę! Jesteś naprawdę utalentowana i myślę, że będzie nam się super pracowało. – Odprowadziła mnie do holu. – I przyprowadź ze sobą dzieci.

Na parterze mamy salę zabaw.

Mój Boże, trafiłam do raju. Lepiej być nie mogło.

– Tuż obok ekspresu do kawy.

Ach...

Nie posiadałam się z radości. Praca! W dodatku przyjemna! Taka, z której mogę wyjść, kiedy chcę, żeby pobyć z dziećmi. Może nawet tworzyć własne ilustracje. Będę musiała pomyśleć, co zrobić z ubezpieczeniem zdrowotnym, ale na razie obejmowało mnie jeszcze to z poprzedniej pracy – a potem zobaczymy. Spokojna i pełna optymizmu, wreszcie przestałam się czuć jak spadochroniarz, który właśnie rzucił się z samolotu. Tego popołudnia uśmiechałam się do dzieci i Lei, zrobiłam kilka ćwiczeń rozciągających i zbadalam sobie pod prysznicem piersi (wcale nie miały dziwnego kształtu), po czym w znakomitym nastroju i z poczuciem spełnionego obowiązku mogłam snuć się po domu w swojej najładniejszej piżamie. Rachel na wieść o mojej nowej pracy odtańczyła taniec radości. Nie dołączyłam do niej, bo akurat wyładowywałam zmywarkę.

– Widzisz? Wiedziałam, że wszystko się uda. Zostaniesz sławną i bogatą ilustratorką książeczek dla dzieci i poznasz mnie z George’em Clooneyem.

Uniosłam brwi.

– Myślisz, że on się tym interesuje? George Clooney chyba nawet nie ma dzieci?

– To nieistotne – zbyła mnie beztrąsko. Miała dziś lepszy nastrój, bo w końcu przespała się z Richardem. Musiało być cudownie, biorąc pod uwagę, że nie zająknęła się o tym ani słówkiem. W każdej innej sytuacji dostałabym komplet wykresów.

– Jesteś z nim umówiona na wieczór?

– Nie, musi iść na służbową kolację.

– To znaczy, że zjesz z nami?

– Już myślałam, że nie zapytasz.

Opróżniłam zmywarkę i zaczęłam napełniać ją na nowo. To właśnie dlatego domowe czynności są tak przygnębiające. Przez cały dzień w kółko to samo. Co z tego, że sprzątasz pokój dziecięcy, skoro zaraz gnojki robią kolejny nalot i wywalają wszystko na podłogę w poszukiwaniu maleńkiej figurki księżniczki, którą właśnie w tajemnicy przed nimi wyrzuciłaś do śmieci. Albo wypijasz kawę i odstawiasz kubek na stolik przy łóżku, zamierzając go odnieść, kiedy będziesz szła do kuchni, co jednak zapominasz zrobić. Przy następnej okazji sięgasz po czysty kubek, a potem zostawiasz go w łazience, bo kiedy właśnie piłaś kawę, przygotowując się do wyjścia, pies zaczął nagle rzygać w przedpokoju. Zanim się obejrzyś, dom zmienia się w cmentarzysko pustych kubków po kawie, zaś ciebie dręczy sumienie, jednak nie na tyle, by wstawić kubki do zmywarki. Tak czy inaczej, lepiej mieć zagracony dom niż pusto w głowie, jak mawiał mój tata – który nigdy w życiu nie zhańbił się sprzątaniami.

Po kolacji zostawiłam dzieci pod opieką Rachel, a sama poszłam obejrzeć garaż, gdzie zamierzałam urządzić pracownię. Otworzyłam drzwi i stanęłam w progu, omiatając wzrokiem narosłe tu z biegiem lat hałdy śmieci. Rower Dana. Narty Dana. Walizka Dana. Spory domek dla lalek. Konik na sprężynach, który moi rodzice podarowali dziewczynkom o wiele za wcześnie, by mogły się na nim bezpiecznie bujać, i o którym potem na śmierć zapomniałam. Kilka pudeł pełnych tajemniczych przedmiotów. Stojak obwieszony kurtkami zimowymi, doskonale zbędnymi w południowej Kalifornii. Kombinezony narciarskie, których nie używam, ponieważ nie jeżdżę na nartach; biorąc pod uwagę, jak często potykam się o własne nogi, ostatnim, co powinnam zrobić, jest wyjazd do miejsca, gdzie jest wiecznie ślisko, z dwoma kawałkami lśniącego polimeru przymocowanymi do stóp. Wolałabym już złamać sobie obie kostki kijem bilardowym i zaoszczędzić na bilecie lotniczym.

Ale kiedy się tak rozglądałam, dostrzegłam potencjał. Garaż został wybudowany w tym samym czasie co dom i było tu kilka całkiem przyjemnych detali. Na przykład belki stropowe. Oraz dwa ładne okna. Na podłogach i ścianach nie dostrzegłam śladów wilgoci, poza tym w pomieszczeniu była instalacja elektryczna. Poczułam dziwne łaskotanie w żołądku... Czyżby to... O rany, tak, ekscytacja!

– No i jak? – Rachel zaszła mnie od tyłu cichutko jak kot. Chyba skończyła szkołę ninja. Podskoczyłam na jakieś pięć metrów.

– Chryste Panie, nie rób tak! Urodziłam dwójkę dzieci, moja miednica może nie wytrzymać takiego szoku. Myślałam, że bawisz się z małymi.

– Kazały mi spadać. Mogę sobie wziąć te narty?

– Jasne. Zapomniałam, że jeździsz. Zastanawiałam się nad urządzeniem tu pracowni.

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Czemu nie. Podobają mi się te okna.

– Mnie też. Mogłabym tam postawić biurko.

– Tu jest całkiem dużo miejsca. – Weszła do środka i rozpoczęła oględziny.

– Więcej niż u mnie w pracy.

– Mogłabyś nawet wynająć komuś drugie biurko.

Spod sterty gratów wyciągnęła lampę, której – byłam gotowa przysiąc – nigdy wcześniej nie widziałam. Możliwe, że jacyś obcy ludzie zakradali się nocami do mojego garażu i upychali w nim niepotrzebne przedmioty.

– Rzeczywiście. Może zapytam Sashy, czy nie chciałaby pracować tu ze mną – powiedziałam, chociaż w głębi ducha nie byłam przekonana do tego pomysłu. Miło byłoby mieć kawałek miejsca tylko dla siebie.

– Ktoś musi ci pomóc posprzątać.

– Zgłaszasz się na ochotnika?

Rachel wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, wiesz, że uwielbiam wyrzucać rzeczy. Mogę sobie wziąć tę lampę? Skinęłam głową.

– Myślałam, żeby część oddać biednym.

– Słusznie. – Jej głos doleciał mnie zza stosu pudeł. – Inaczej będę zmuszona wynieść połowę tych kłopotów do siebie, a nie mam na nie miejsca. Co chcesz zrobić z tym konikiem na sprężynach? Ja bym go wywaliła, kiedy małe będą w szkole, nawet się nie zorientują.

– Dobry pomysł, bo nie mam pojęcia, gdzie go trzymać.

– Możesz w naszym pokoju – rozległ się cienki głosik. Zamknęłam oczy.

– A domek dla lalek w salonie – zawtórował mu drugi.

Odwróciwszy się, ujrzałyśmy w progu Annabel, Clare i Franka – ustawionych od najwyższej do najniższego. Tym samym mój pierwotny plan spalił na panewce.

Następnego dnia byłam umówiona na wizytę u doktor Graver. Miałam wrażenie, że nasze spotkania stały się ostatnio częstsze. Powiedziałam jej o tym.

– Nie widzujemy się częściej, Lili. Może masz po prostu więcej rzeczy do omówienia?

– Albo do niemówienia.

– O czym nie chcesz mówić?

– Chciałaby pani wiedzieć, co?

Roześmiała się – to właśnie w niej lubiłam. Nie traktowała mnie śmiertelnie poważnie.

– Owszem, chciałabym wiedzieć. Płacisz mi za profesjonalną analizę swoich doświadczeń życiowych. Bardzo by mi pomogło, gdybyś się nimi ze mną podzieliła.

Czułam rozpierającą mnie energię, a zarazem lekkie rozdrażnienie.

– Proszę zgadnąć.

Spojrzała na mnie.

– Wydaje mi się, że czujesz się bezradna, ponieważ fizyczny pociąg do nowo poznanego mężczyzny przypomina ci o Danie. Masz wyrzuty sumienia, bo chciałabyś otworzyć nowy rozdział, i podświadomie się złościś, że zbyt wrażliwe sumienie ci na to nie pozwala.

Nie znosiłam, kiedy miała rację.

– Nie sędzę, bym miała zbyt wrażliwe sumienie. Po prostu nie jestem jeszcze gotowa.

– A ja uważam, że jesteś. Nie jesteś tylko gotowa na bycie gotową.

– W jakimś zrozumiałym języku proszę.

W jej oczach dostrzegłam bezmiar cierpliwości.

– Stworzyłaś sobie wygodny, bezpieczny świat, a mimo to nadal jesteś bardzo smutna i czujesz się samotna. Sama się zapędziłaś w kozi róg, rozumiesz? Na

dodatek weszłaś ostatnio w etap wielkich zmian. Straciłaś pracę, która pamięta czasy Dana. Twoja siostra zaczyna nowy związek. Szwagierka rozwodzi się z mężem, z którym wzięła ślub, gdy ty i Dan byliście dopiero narzeczonymi. Starsza córka mierzy się ze stratą ojca, a to oznacza, że częściej o nim mówi. Poza tym obie dziewczynki dorastają, co jest oczywiście normalne, ale przez to w naturalny sposób zmieniają się wasze relacje. Podjęłaś próbę rozmowy z mamą i nie trzasnęłaś słuchawką. Na dodatek w twoim życiu pojawił się atrakcyjny mężczyzna, a ty próbujesz udawać, że cię nie pociąga. Masz sporo na głowie.

– O rany. To rzeczywiście sporo. – Wyprostowałam się. – Sama się dziwię, że w obliczu tego wszystkiego zdołałam zachować spokój, a pani?

– Ja również.

– Zdaje sobie pani sprawę, że w każdej chwili mogę się rozsypać?

– Oczywiście.

– Moje zdrowie psychiczne wisi na włosku.

– Rozumiem.

– W głębi duszy jestem zdruzgotana.

– Bez wątplenia.

Skuliłam się na sofie i przepłakałam resztę spotkania. Dzięki Bogu doktor Graver wiedziała, że jestem stuknięta, inaczej mogłaby mnie wziąć za kompletną wariatkę.

## GROSZEK



Groszek uprawia się łatwo, jednak sezon na niego jest krótki, a strączki zachowują świeżość tylko dzień lub dwa po zebraniu. W razie gdyby wszystko inne zawiodło, pamiętaj, że łatwo go znaleźć w dziale z mrożonkami.

Możesz mi wierzyć lub nie, ale posypanie ziemi popiołem drzewnym przed sadzeniem pomaga. Groszkowi, rzecz jasna.

Groszek jest wybredny, jeśli chodzi o temperaturę. Nie przeszkadza mu śnieg, za to zimno – i owszem. Z drugiej strony nie lubi także, gdy słupek rtęci przekracza dwadzieścia jeden stopni. Takie małe, a takie marudne, prawda?

Nasiona sadź na głębokości 2,5 centymetra (głębiej, jeśli gleba jest sucha), w pięciocentymetrowych odstępach.

## ROZDZIAŁ 17

### LEKCJA CZWARTA

Następnego dnia wypadła sobota. Podczas zajęć Edward traktował mnie przyjaźnie, ale z dystansem – może zaczynał tracić zainteresowanie w obliczu jego ewidentnego braku z mojej strony. Co oczywiście było do bani, ponieważ byłam nim zainteresowana, nie byłam tylko zainteresowana tym, żeby... Och, nieważne. To wszystko było zbyt skomplikowane.

Nasz niepozorny dotąd ogród przeistoczył się w orgię zieleni. Nadeszła pora, by zasadzić na mojej grządce dynię, co też zrobiłam, a następnie przypuściłam brutalny atak na gąsienice. Zagon z sałatą, dzieło Mike'a i Gene'a, wyglądał niesamowicie: był pokryty gęstym dywanem falbankowatych listków, jeszcze miniaturowych, ale już tryskających zielenią i zdrowiem. Angie i Rachel doczekały się owoców, zaś Frances i Eloise – fasolki i groszku. Wszystko rosło jak szalone i nawet Niemożliwie Przystojny Bob był wyraźnie pod wrażeniem.

Nie potrafiłam określić dlaczego, ale sam widok ogrodu nappełnił mnie spokojem i radością. Czuję się jak idiotka, gdyby nie to, że wydawało się, iż reszta grupy jest w podobnym nastroju. Wypieliwszy i wymuskawszy własne grządki, ruszyliśmy podziwiać dzieło pozostałych. Lawenda Rachel może nie poczyniła wielkich postępów – wyrosła w końcu z gotowych sadzonek – wyglądała jednak ładnie, nie wspominając o upajającym zapachu.

– Lepiej się czujesz? – zapytałam. Ściszyłam głos, ponieważ Rachel nie powiedziała jeszcze nikomu o Richardzie. Na dodatek nie byłam pewna, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Niemożliwie Przystojny Bob.

– A wiesz, że tak? Dobrze mi zrobił wczorajszy przyjazd do was i kontakt z małymi. Uspokoiliam się. Niezależnie od wszystkiego mam rodzinę, nie? – rzuciła, po czym dodała surowo: – Ale jeśli uszczkniesz jeszcze choćby listek z mojej grządki, wbiję ci sztylet w ucho.

Zamarłam z ręką w powietrzu.

– Przepraszam, chyba mówiłaś coś o rodzinie?

– Owszem, ale trzymaj łapy z dala od mojej lawendy.

– Dobrze, wariatko.

Podeszłam do Angeli, która miała właśnie zamiar wpuścić na swój zagon szwadron modliszek. Nie wiem, jak się określa stado modliszek, szwadron był pierwszym, co wpadło mi do głowy.

– Jestem Sziwa Niszczycielka – zaintonowała na głos. – Pogromczyni światów. – Potrząsnęła muślinowym woreczkiem, z którego wysypało się i wypęzło kilka groźnie wyglądających owadów. – Jestem... Modliszką Zemsty!

Zerknęłam na nią spod uniesionych brwi. Wzruszyła ramionami.

– Nauczyłam się od niego. – Kiwnęła głową w stronę Basha, który stał nieopodal w pozie Świętego Franciszka, delikatnie trzymając biodronkę na wyciągniętym palcu. – Nie wyobrażasz sobie, jak groźne wrażenie może sprawić ludzik z klocków Lego – wystarczy odpowiednie imię i adekwatna oprawa dźwiękowa.

– Czy spotykamy się dziś u ciebie?

– Nie. Zastanawiałam się nad tym, ale uznałam, że wolę zachować sobie waszą pomoc na moment, kiedy będę miała prawdziwy ogródek, o ile to w ogóle nastąpi. No nic, trzymaj kciuki.

– Czyżby tata Basha zmienił zdanie?

Kucnęła, by przyrzeć się z bliska morderczemu dziełu modliszek.

– Kto wie? Rozmawiałam z nim niedawno. Ma nową dziewczynę i tym razem nie jest to skretyniała smarkuła, ale normalna, dojrzała laska. Sprawiał wrażenie przychylniejszego pomysłowi naszej przeprowadzki. – Zerknęła na synka, który klęcząc obok dziewczynek, starannie pielił swoją grządkę. Potem wstała i przeciągnęła się. – Bashowi dobrze robi kontakt z naturą. Niewykluczone, że przeniesiemy się na obrzeża miasta, spróbujemy znaleźć coś tańszego i z większą ilością przestrzeni. Byle nie za daleko od mojej szkoły. – Westchnęła, ale zaraz się uśmiechnęła. – Aż miło na niego popatrzeć, jest taki spokojny, a zazwyczaj to wcielone tornado.

Podeszła do nas Eloise.

– Dzieciaki chyba dobrze się bawią. – Przyglądałyśmy się im przez chwilę. – Hej, za dwa tygodnie są ostatnie zajęcia i pomyślałyśmy z Frances, żeby uczcić to wielkim obiadem u nas. Warzywa powinny nadawać się już do zbioru, sałata na pewno, część pomidorów i kukurydzy, owoce... Co wy na to?

– Cudowny pomysł – powiedziałam. – Umawiamy się, że każdy coś przynosi?

– Nie, czuję, że Frances ma ochotę popisać się przed wami talentem kulinarnym. Prowadziła kiedyś lekcje gospodarstwa domowego. W publicznych szkołach już się tego nie uczy. Tylko nie wspominajcie o tym w jej obecności, bo usłyszycie tyradę o tym, jakim bezsensownym jest wydawanie dyplomów młodym ludziom, którzy nie potrafią ugotować jajka.

Edward zwołał całą grupę w jedno miejsce.

– Jak widzicie, matka natura jest dla nas łaskawa. Mnóstwo słońca, zdrowa gleba i odpowiednia ilość wody sprawiły, że wszystkie rośliny wypuściły pędy. Przed nami jeszcze dwa tygodnie, w czasie których zaobserwujecie ich dalszy rozwój. Zarząd ogrodu się zgodził, by ten teren pozostał otwarty przez całe lato. Dzięki temu, kiedy rośliny urosną, będziecie mogli je przesadzić do własnych ogródków. Jesienią mam zamiar przeprowadzić kolejny kurs i jeśli chcecie, możecie się zapisać. Zawsze warto pogłębiać wiedzę i rozbudzać w sobie zamiłowanie do ogrodnictwa.

Bawił mnie jego kwiecisto-oficjalny styl, choć przecież ja nie powiedziałabym ani



słowa po niderlandzku. Wpatrywałam się w niego, przywołując w pamięci nasz jedyny pocałunek i zastanawiając się, czy chciałby go powtórzyć. Czy kiedykolwiek pójdziemy ze sobą do łóżka? Albo chociaż zjemy razem lunch? Po chwili zorientowałam się, że wszyscy na mnie patrzą.

Annabel pośpieszyła mi na ratunek:

– Edward pytał, czy chcemy jesienią dalej chodzić na kurs.

– Ee... – Spiekłam raka. – Może. Zastanowię się, dobrze?

– Chcemy – oświadczyła Clare tonem osoby, która dysponuje armią prawników gotowych doprowadzić sprawę do końca.

– Pogadamy o tym.

Edward uśmiechnął się do mnie. Ścisnął mi się żołądek. Czułam się jak podłotek, bezbronna, wystawiona na osąd innych, i nagle przyszło mi na myśl, że być może przechodzę przyspieszoną menopauzę. Może te gwałtowne zmiany nastroju to po prostu kwestia hormonów. Teraz czekają mnie jeszcze uderzenia gorąca, utrata pamięci oraz suchość w pochwie. Fanta-kurwa-stycznie.

Po zajęciach zwlekaliśmy wszyscy z odejściem, stojąc zbici w grupkę i usiłując namówić Angelę, żeby pozwoliła zasadzić kilka roślin na swoim balkonie. Ona jednak stanowczo odmawiała.

– Nie, jeszcze na to za wcześnie, nie mam nawet żadnych roślin. – Rozejrzała się. – A może pojedziemy do Mike’a? U niego w domu jeszcze nie byliśmy.

Wszyscy przenieśliśmy wzrok na niego. Mike się roześmiał i podniósł ręce do góry.

– Ludzie, odłóżcie broń. Tak się składa, że ja nie mam domu.

Gene nie wyglądał na zaskoczonego, musiał o tym wiedzieć, ale wszyscy pozostali wytrzeszczyli oczy.

– Jak to? – zdumiała się Rachel.

Mike rozłożył ręce.

– Tak to, stara, jestem wolnym człowiekiem. Mieszkam w przyczepie samochodowej i wciąż jeżdżę z miejsca na miejsce. Przyszedłem na ten kurs między innymi po to, żeby sprawdzić, jak to jest mieć ogród.

Zapadła cisza. Annabel jako jedyna pamiętała o dobrych manierach:

– To może przyjedziecie znowu do nas na pizzę? Bash chce się pobawić wrózkami, a wy możecie pomóc mamie posprzątać garaż, w którym będzie pracownia. Mama dostała nową pracę.

– Czemu nic nie mówiłaś? – obruszyła się Angela. – To chyba wielka nowina? Cieszysz się?

Skinęłam głową i popatrzyłam na nich. Emerytowany bankowiec, para nauczycielek, surfer-włóczęga, importerka rzadkich artefaktów i troje małych dzieci. Stanowiliśmy dziwną mieszankę, a jednak lubiliśmy swoje towarzystwo i jakimś cudem zdołaliśmy się zaprzyjaźnić. Spojrzałam na Edwarda, który

uśmiechnął się do mnie łagodnie. Odwzajemniłam uśmiech.

– Tak, cieszę się bardzo. Jeśli macie ochotę wpaść, to serdecznie was zapraszam. Ale nie musicie mi pomagać w sprzątanu garażu.

– Znakomicie – stwierdziła Frances. – Może przy okazji Mike opowie nam, czemu mieszka w przyczepie.

Mike jęknął.

– To wcale nie jest ciekawa historia.

Frances cmoknęła.

– Młody człowieku, pozwolisz, że sami to osądzimy.

Okazało się, że Mike wybrał najprostsze wyjście i podjechał przyczepą pod mój dom. Angela nie ukrywała ironii.

– Okej, stary, muszę powiedzieć, że twoja wizja bezdomności nieco się różni od mojej. Ta przyczepa jest większa niż klitka moich rodziców, w której na dodatek mieszkają dwie rodziny.

Mike się stropił.

– Hej, dobra, chodziło mi tylko o to, że nie mam stałego adresu. Mieszkam tam, gdzie mnie zanieś albo gdzie jest akurat najlepsza fala.

Przyczepa była srebrna i lśniąca, miała jakieś sześć metrów długości i kształt bochenka chleba. Umocowana do stareńkiego jeepa, wprost wydawała się krzyżeć: „Tu mieszka kalifornijski marzyciel”. Na ten efekt składały się longboardy na dachu, rower na podwieszonym z tyłu bagażniku i przyczepione po bokach narty. Całość przypominała sportowy składzik na kółkach.

Nie trzeba chyba wspominać, że dzieci były zachwycone. Clare raz po raz wchodziła do środka, zaśmiewając się na widok miniaturowych mebli, Annabel zaś natychmiast usadowiła się przy stole ze swoimi kolorowankami. Było to urocze przez jakieś dziesięć minut, ale potem zaczęło działać wszystkim na nerwy, ponieważ ktoś przez cały czas musiał stać na zewnątrz i ich pilnować. W końcu udało nam się je stamtąd wywabić i zająć ich uwagę domkiem dla wrózek.

W pewnym momencie znaleźliśmy się z Edwardem sami w kuchni.

– Jak się masz, Lilian? Dużo o tobie myślałem.

Spojrzałam na niego i zrozumiałam, że zrobiłam mu przykrość.

– Wszystko dobrze. – Nastawiłam kawę i opanowałam drżenie głosu. – Przepraszam, że nam nie wyszło. Chyba powinieneś dać sobie ze mną spokój.

– Tak jak ty?

Zmarszczyłam brwi i odwróciłam się do niego, ale on szedł już w stronę drzwi wychodzących na ogród. Przygotowując kawę, uświadomiłam sobie, że trzęsą mi się ręce. Opanowałam się i wyszłam z tacą do gości, z nadzieją, że opowieść Mike’a o przyczepie pozwoli mi zapomnieć o tym, co właśnie zaszło.

O dziwo, jej początek okazał się dość nudny. Przyczepa była prezentem od rodziców, którzy mieszkali w niej w dawnych hipisowskich czasach.

– Studiowałeś coś? – zapytała Frances, która wciąż miała nadzieję na ciekawą historię.

Mike pokręcił głową. Miał na sobie podarte džinsy i starą koszulkę z wizerunkiem Bee Gees, założoną prawdopodobnie dla żartu.

– Nie za bardzo. To znaczy tak. W pewnym sensie.

Frances cmoknęła, niezadowolona.

– Studiowałeś czy nie?

Mike sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– No tak. Ale poszedłem na uczelnię trochę wcześniej niż reszta i nie spędziłem tam całych czterech lat.

– Rzuciłeś college?

– Nie, skończyłem przed czasem.

Wbił wzrok w swoje vansy. One jedyne nie próbowały wydusić z niego osobistych zwierzeń.

Rachel nadstawiła uszu.

– Michaelu – powiedziała.

– Tak, Rachel?

– Czy uczęszczałeś do szkoły wyższej?

– Tak.

– A gdzie?

– W Cambridge w stanie Massachusetts.

– Harvard?

– MIT.

– No, wreszcie posuwamy się do przodu. Jesteś geekiem?

Chrząknął.

– Jestem nerdem. Geeki odgryzają głowy kurczakom.

– Wybacz.

– Nie szkodzi. To często popełniany błąd.

Zauważyłam, że jego surferski luz jakby nieco stopniał. Od kilku minut nie nazwał nikogo starym.

– I ile miałeś lat, kiedy zdałeś na MIT?

– Piętnaście.

– Rozumiem. Zatem skończyłeś studia i obroniłeś dyplom?

– Tak. Z informatyki.

– Kiedy?

– Dwa lata później.

– Rozumiem. Jesteś zatem surfującym włóczęgą geniuszem?

– Nie. Geniusz to ktoś...

– Michaelu – przerwała mu ostrzegawczym tonem.

– No dobrze, tak. Jeśli już koniecznie musimy używać etykiet.

Wszyscy momentalnie zmieniliśmy o nim zdanie. Niemal słyhać było obracające się w głowach trybiki. Mike westchnął.

– Boję się, że wszyscy zmienicie o mnie zdanie.

Zapewniliśmy go, że nic podobnego. Tylko Angela z jakiegoś powodu wyglądała na lekko wkurzoną. Odchyliła się, opierając na rękach, i popatrzyła na niego z ukosa.

– Ja na pewno. Miałam cię za upalonego hipisa, a teraz wiem, że jesteś wypalonym hipisem. Oto moja wersja zdarzeń: wykształcony ponad miarę, nieprzeciętnie zdolny, przedwcześnie wysłany na studia – które skończyłeś przed czasem, bo przytłaczali cię starsi znajomi, równie inteligentni jak ty – dwa lata ukrywałeś się w domu rodziców, usiłując się pozbiierać, po czym rzuciłeś wszystko i zacząłeś jeździć od plaży do plaży. Co jakiś czas zapisujesz się na takie kursy jak ten, bo twój umysł nie znosi bezczynności. – Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. – Mam rację?

Śledziliśmy go wzrokiem i chyba wszyscy dostrzeżliśmy to samo. Pierwszą reakcją Mike'a była irytacja – to całkiem zrozumiałe, w końcu nikt nie lubi być pochopnie oceniany. A potem się uśmiechnął.

– Mylisz się tak, że bardziej nie można. Dobrze, powiem wam, jak było, a wtedy naprawdę zmienicie o mnie zdanie. A potem, Angie, skoro tak lubisz wróżenie z fusów, opowiem ci twoją historię.

Angie skinęła głową, a ja zerknęłam na Edwarda. Patrzył na mnie, co wprawiło mnie w zakłopotanie. Przeniosłam wzrok na Rachel. Wzruszyła ramionami. Ogarnęło mnie nieprzyjemne przecucie, że to wszystko skończy się jakąś chryją, ale co mogłam zrobić? Jeszcze przed chwilą wszyscy radośnie zajadaliśmy pizzę, a teraz atmosfera przypomina połączenie gry w butelkę z *Władcą much*. Ale cóż, relacje między tą dwójką zawsze były dość napięte.

Mike położył się na trawie i skrzyżował ramiona na piersi. Rozejrzałam się ukradkiem. Wszyscy sprawiali wrażenie zaintrygowanych, poza dziećmi, które po prostu się bawiły, oraz Gene'em, który skupił uwagę na Franku. Mike wbił wzrok w niebo, jakby miał tam jakieś notatki, i zaczął:

– Faktycznie, byłem ponadprzeciętnie zdolny i dlatego poszedłem wcześniej na studia. Skończyłem je jednak przedterminowo, bo opracowałem nowatorski system przetwarzania informacji wojskowych i rząd zwrócił się do mnie z prośbą o jego wdrożenie. Moi rodzice to zdeklarowani pacyfiści i postawili warunek, że najpierw muszę zdobyć dyplom, dlatego zrobiłem go przed czasem. Wyjechałem na Bliski Wschód. Mój system zabezpieczał pracę żołnierzy, którzy byli w większości tylko kilka lat starsi ode mnie. Czuję, że robię coś wspaniałego. A potem ciężarówka, którą jechałem z piątką żołnierzy, została wysadzona w powietrze. Troje ludzi zginęło i to już było znacznie mniej wspaniałe.

Po chwili milczenia ciągnął dalej:

– Wysłali mnie do domu z pogruchotaną nogą i spędziłem rok na oddziale rehabilitacji w San Diego. To tam zainteresowałem się surfingiem. Rodzice podarowali mi przyczepę, żebym mógł podróżować, pływać na desce i pracować nad doktoratem na temat przetwarzania danych wojskowych w czasie rzeczywistym. – Oparł się na łokciach i zerknął na Angie z lekką pretensją. – Ale co do jednego miałaś rację, rzeczywiście zapisuję się na kursy takie jak ten, ponieważ mój mózg potrzebuje nowych wyzwań. A także dlatego, że – co uświadomiłem sobie w szpitalu – życie jest zbyt krótkie, żeby spędzać je wyłącznie we własnej głowie.

No i proszę. Hipisowski *übernerd* okazał się obdarzonym wybitnym umysłem bohaterem wojennym. Właśnie miałam zaproponować oszołomionemu towarzystwu coś do picia, kiedy Mike znów zaczął mówić:

– A teraz, Angelo, czas na twoją historię: i ty jesteś ponadprzeciętnie zdolna, ale bez dostatecznego wykształcenia, bo chodziłaś do kiepskiej publicznej szkoły i choć wiedziałaś, że możesz dokonać więcej, nie miałaś pojęcia, jak się do tego zabrać. Może nawet znalazł się jakiś nauczyciel, który dostrzegł w tobie potencjał, ale większość z nich nie zwracała na ciebie uwagi, bo byli zbyt zapracowani, żeby się takimi rzeczami przejmować. Pewnego razu poznałaś sprytnego chłopaka, który też chciał wyrwać się z tego bagna, i niechcący zaszłaś w ciążę. I trach, koniec marzeń o studiach. Zerwałaś z ojcem małego, bo... – Zerknął na Basha, który był zajęty zabawą, ale znajdował się na tyle blisko, że mógł go usłyszeć, po czym ściszył głos: – ... bo, spójrzmy prawdzie w oczy, był głupszy od ciebie. Opieka nad dzieckiem i nauka okazały się zbyt trudne do pogodzenia, więc rzuciłaś szkołę. Kiedy Bash trochę podrośł, oddawałaś go do żłobka albo zostawiałaś z matką, a sama znalazłaś pracę, zrobiłaś maturę i zapisałaś się do studium pielęgniarstwa, bo nie stać cię było, żeby pójść na medycynę. A teraz starasz się po prostu zdobyć kwalifikacje, żeby się wyrwać ze swojej parszywej dzielnicy i postarać o lepsze życie. Jesteś zdeterminowana i niczego się nie boisz, uważam również, że jesteś niesamowita i piękna, jednak prawdopodobieństwo, że taka dziewczyna jak ty umówi się z kimś takim jak ja, wynosi w przybliżeniu jeden do czterech milionów. – Uśmiechnął się do niej krzywo. – Mam rację?

Przysięgam, że wszyscy wstrzymaliśmy oddech.

Angie nie zmieniła wyrazu twarzy. Odczekała pełną minutę, zanim odpowiedziała: – Tak i nie. To dość przerażające, jak trafnie odgadłeś moją historię, choć z drugiej strony nic dziwnego, jest przewidywalna do bólu. Natomiast w ostatniej kwestii totalnie się mylisz. Bardzo chętnie się z tobą umówię.

Nagrodziliśmy tę deklarację gromkimi oklaskami, no bo naprawdę, jak często się zdarza, że miłość rozkwita dosłownie na twoich oczach? Czułam się, jakbym siedziała na widowni jakiegoś serialu. Dzieci nie miały pojęcia, o co chodzi, ale również zaczęły klaskać, i jest to jedna z tych rzeczy, które są fajne w dzieciach.

Zawsze podłapują wesoły nastrój.

Kiedy wszyscy wyszli, razem z Rachel położyłyśmy dziewczynki spać. Wciąż miały hopla na punkcie domku dla wrózek, była to jedna z tych głębokich obsesji, w jakie wszystkim dzieciom zdarza się popadać od czasu do czasu. Przyniosły figurki do domu, wykąpały je w wannie, a potem suszyły ręcznikiem i płatkami kosmetycznymi. Następnie ułożyły je na dywaniku w sypialni, każdą przekładały z miejsca na miejsce, co chwilę zmieniając im imiona. Wszystko bardzo starannie zapisywały. Odbyły długą dyskusję na temat wzajemnych relacji wrózek i ich drzew genealogicznych. To było jak wykład z antropologii.

Wreszcie pozwoliły położyć się do łóżek. Annabel patrzyła na mnie z głową opartą na poduszce, zaróżowiona i spokojna.

– Czy mama Basha będzie się teraz umawiać z Mikiem?

Pamiętacie, jak mówiłam, że dzieci nas słuchają, kiedy się tego najmniej spodziewamy? Oto kolejny klasyczny przykład. Byłam przekonana, że znajdują się zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć, ale Annabel najwyraźniej przestudiowała protokoły. Zebrałam z poduszki jakieś pół tuzina maskotek i przełożyłam je w nogi łóżka. Jeśli zechcą ją w nocy udusić, będą się musiały bardziej postarać.

– Może – odparłam. – Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Często bywa tak, że dwoje ludzi się lubi, ale nie zostają parą, to zupełnie normalne.

– Tak jak ty i Edward?

– To co innego.

– Czemu?

– Bo ja nie jestem jeszcze gotowa, żeby chodzić na randki. Mike i Angela są.

Popatrzyła na mnie z zadumą. Twarz wciąż miała spokojną. Po raz pierwszy ten temat nie wyprowadził jej z równowagi, był to jakiś postęp. Mnie wyprowadzał jak cholera, ale hej, jak już mówiłam, liczą się małe kroczki.

– Możesz mieć chłopaka, jeśli chcesz. Tacie by to nie przeszkadzało.

Otuliłam ją kołdrą. Z drugiej strony pokoju Rachel czytała Clare książeczkę na dobranoc, wiedziałam jednak, że nadstawia uszu. Clare, pochłonięta z kolei słuchaniem historyjki, nagle postukała palcem w okładkę.

– Hej! Źle przeczytałaś ten kawałek.

Rachel nie zamierzała się poddać bez walki:

– Skąd wiesz? Ty przecież nawet nie umiesz czytać.

– Już prawie umiem. Poza tym znam tę książkę na pamięć. – Wyrecytowała cały akapit. – Powiedziałaś „brązowy miś”, a powinno być „brunatny”.

Rachel zmarszczyła brwi.

– To naprawdę szczegół.

– Nie dla misia.

Odwróciłam się z powrotem do Annabel, z nadzieją, że zdążyła zapomnieć, o czym mówiłyśmy. Ale nie, wciąż na mnie patrzyła. Kiedy moja mała córeczka zmieniła

się w hiszpańską inkwizycję? Tego nikt się nie spodziewał.

– No dobrze, pora spać. – Pochyliłam się i dałam jej całusa.

– Możemy jutro o tym porozmawiać?

Wstałam.

– Naprawdę nie ma o czym.

Nie czekając na odpowiedź, podeszłam do Clare, pocałowałam ją i wyszłam. Rachel została, żeby dokończyć czytanie i zgasić światło.

Wstawiłam wodę na kawę, choć była prawie dziewiąta wieczorem. Są ludzie, którzy w stresie piją alkohol, odmawiają różaniec albo medytują. Mój sposób to włożyć nowy filtr i wypełnić go mieloną kawą. Przynajmniej nie prześpię katastrofy.

Rachel wkroczyła do kuchni z głośnym westchnieniem.

– Gdyby kiedyś przypadkiem zachciało mi się dzieci, to przypomnij mi, żeby trzymać je z dala od ludzi. Na przykład w szafie. Albo w klasztorze.

– Klasztory są pełne ludzi.

– Ludzi przebranych za pingwiny, to nie to samo.

– Szczegóły. Nie powiedziałaś jeszcze, o co ci chodzi.

Usiadła na krześle, po czym natychmiast wstała, żeby nalać sobie wody.

– Słyszałam, jak Annabel cię przyciskała. Nie zdawałam sobie sprawy, że te małe fabryczki kupy i łez wyrastają na ludzi, którzy mają swoje zdanie i nie boją się go wyrażać.

– Ale tak jest. Do tego nadal robią kupę i płaczą. – Dolałam sobie kawy.

– Przeróżające.

– A kiedy już cię całkiem wykończą, pakują manatki i jadą sobie w cholerę, na studia. – Usiadłam naprzeciwko niej. – Co z Richardem?

– Nic. Jest dobrze. Wszystko dobrze. Chwilami wręcz wspaniale.

– Przedstawisz go mamie?

Parsknęła.

– Mówiłam, że jest dobrze. Czemu miałabym wszystko psuć? Poza tym jest za wcześnie. Pewnego dnia życie mi pokaże, że tkwiłam w błędzie, uważając się za dojrzałą i dorosłą. Po co przyspieszać ten moment? – Ukryła dłonie w rękawach swetra i zadrżała.

Westchnęłam.

– Parę dni temu rozmawiałam z mamą przez telefon i było prawie normalnie.

– Na pewno nie pomyliłaś numeru?

– Raczej nie. Jak na obcą osobę sporo o mnie wiedziała.

– Niech będzie. Ja w każdym razie nie zamierzam jej go przedstawiać. Zresztą Richard wciąż jeszcze może się okazać psychopata.

– Grunt to optymizm.

Przeszliśmy do salonu, gdzie pochłonął mnie cotygodniowy rytuał segregowania

zabawek.

– Nie nudzi cię czasem to wszystko?

Zagapiłam się na nią znad kubelka Fisher-Price.

– Co konkretnie? – Wrzuciłam do kubelka plastikowego konika. – Sprzątanie zabawek, tyranie w kuchni bez szansy, że ktoś to doceni, czy wieczne wysłuchiwanie skarg? – Przysiadłam na piętach i zamyśliłam się. – Choć zanim uściślisz, wiedz, że żadna z tych rzeczy nie jest ani nudniejsza, ani ciekawsza niż inne. Póki nie masz dzieci, pracujesz dla siebie, żeby zminimalizować nudę, a potem zaczynasz pracować dla nich. Jest to nudniejsze, ale nie bezcelowe, rozumiesz, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

Włączyła się w sprzątanie, ale szybko rozproszył ją domek dla lalek, który przyniosłam z garażu.

Podpełzłam bliżej i usiadłam obok niej. Oprócz domku znalazłam również plastikową tubę pełną małych mebelków, na których widok dziewczynkom odebrało mowę. A teraz siedziałyśmy z Rachel obok siebie i urządzałyśmy dom. Jej wnętrza, wstyd przyznać, okazały się bardziej eklektyczne od moich. Skonstruowała na przykład stół z dwóch koników z zestawu Playmobil oraz linijki.

– Jesteś bardzo twórcza – powiedziałam.

– Tylko na małą skalę – odparła lekkim tonem. – Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne. – Zaczęłam układać małe poduszki na małej sofie. Z miernym skutkiem.

– Kiedy poznałaś Dana, skąd wiedziałaś, że to jest to?

Zaskoczyła mnie. W zasadzie od początku była świadkiem rozwoju naszego związku; wszyscy zgodnie uważaliśmy, że Dan jest fantastyczny. Zupełnie jakby czytała mi w myślach, ciągnęła:

– Oczywiście wszyscy czuliśmy, że to świetny facet, ale na świecie jest mnóstwo świetnych ludzi. Skąd wiedziałaś, że to ten jedyny?

Wzruszyłam ramionami.

– Po pierwsze, zakładasz, że istnieje tylko ten jeden jedyny.

Spojrzała na mnie.

– To czemu nie chcesz się spotykać z nikim innym? Czy nie dlatego, że był twoim jedynym jedynym i nikt inny nie dorasta mu do pięt?

Zadumałam się, układając mikroskopijne sztuczki w maleńkiej szufladzie.

– Nie, po prostu nie jestem jeszcze gotowa. Jeśli złamiesz nogę, wiesz przecież, że potrzeba czasu, by się zrosła, i nie zaczynasz od razu biegać, prawda? No więc ja wciąż się zrastam. To nie znaczy, że już nigdy z nikim się nie zwiążę. – Bolały mnie plecy, więc przesiadłam się na sofę. – Czemu w ogóle pytasz? Chodzi o Richarda?

Pokiwała głową, wciąż zajęta domkiem.



- Tak, czuję się przy nim jak jeszcze przy żadnym innym facecie.
- Zatem może jesteś gotowa. Może nie chodzi o niego, ale o ciebie.

Roześmiała się.

- Nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie? – Najwyraźniej zmieniła zdanie na temat lokalizacji sypialni, bo nagle wyjęła wszystko z dwóch pokoi i zaczęła od nowa. Naprawdę ją to wciągnęło.

Wygodnie skuliłam się na sofie.

- Właśnie. Wiesz, co myślę? Nie sądzę, by każdy z nas miał na świecie tylko jedną bratnią duszę. Uważam, że jest ich mnóstwo. Ale zastanów się nad tym, ile osób poznajesz w życiu, a ilu nie. Codziennie setki ludzi mijają cię na ulicy i gdzieś wśród nich może być ten, w którym gotowa byłabyś się zakochać, z którym mogłabyś mieć dzieci albo po prostu żyć w spokoju i harmonii do końca swoich dni. Ale co będzie, jeśli ten ktoś skręci za róg wcześniej niż ty albo cofnie się po coś, czego zapomniał, albo minutę dłużej będzie zamawiał kawę w Starbucksie... Wtedy pewnie nigdy się nie spotkacie. Albo się spotkacie, ale któreś z was ma zły dzień albo właśnie z kimś zerwało, albo łapie je przeziębienie, albo jeszcze coś innego, co sprawia, że nie wpadacie sobie w oko. To niebywale, że ludzie w ogóle się w sobie zakochują.

Wlepiała we mnie wzrok.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie odpowiedziałas na moje pytanie?

Byłam rozczarowana.

- Naprawdę? Kiedy to mówiłam, czułam się taka mądra.

- Wybacz. Czy mogłabyś mi po prostu powiedzieć, skąd wiedziałas, że Dan to mężczyzna dla ciebie? Wtedy, w tamtym konkretnym punkcie w czasie i przestrzeni, i mimo tego, że statystycznie rzecz biorąc, odnalezienie prawdziwej miłości jest niemal niemożliwe?

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Dobrze pachniał.

Rachel nagle uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- To rozumiem.

– Serio?

- Aha. – Z zadowoleniem spojrzała na domek dla lalek. – Moim zdaniem to ma sens. Richard też dobrze pachnie. – Zerknęła na mnie przebiegle. – A Edward?

Parsknęłam śmiechem.

- Edward pachnie wspaniale. Może po prostu mój mózg nie nadąża za nosem?

- No wiesz, gdybyśmy miały się trzymać twojej wcześniejszej metafory, to żeby wzmocnić zrastającą się nogę, trzeba jej używać.

- Jesteś okropnie denerwująca, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak. Opróżnię twoje pokoje, dobrze? Nie pasują mi do ogólnej wizji domu.

Nie czekając na odpowiedź, zabrała się do dzieła. Pozwoliłam jej na to. Zawsze

przecież mogę jeszcze wszystko zmienić.

Myślałam o tym, co powiedziała. Może powinnam dać Edwardowi szansę, mimo że na samą myśl o tym oblewam się zimnym potem? Może powinnam posłuchać nosa i zacząć używać nogi, i... Cholera, od nadmiaru metafor zakręciło mi się w głowie. Wyciągnęłam się na sofie i odpłynęłam, słuchając, jak Rachel papla coś o feng shui domku dla lalek.

## KAPUSTA



Kapustę należy wysiać w doniczce, w domu, 6–8 tygodni przed ostatnimi wiosennymi przymrozkami, zakładając, że wiesz, kiedy nastąpią.

Tydzień przed włożeniem do ziemi wynieś ją na zewnątrz, aby się zahartowała i nacieszyła perspektywą świata, który wkrótce zasiedli.

Wsadź roślinki do ziemi 2–3 tygodnie przed ostatnimi wiosennymi przymrozkami, aby zdążyły się umościć, zanim nadejdą i napędzą im pietra.

Sadź w rzędkach co 30–60 centymetrów w zależności od tego, jak duże główki chcesz uzyskać. Im gęściej je posadzisz, tym będą mniejsze.

Istnieje wiele sposobów na przyrządzanie kapusty i niemal wszystkie dają pyszny efekt. Jeżeli uważasz, że kapusta śmierdzi, to znaczy, że za długo ją gotujesz.

Wytwarza wtedy siarkowodór, prawdopodobnie po to, by skomentować twoje umiejętności kulinarne. Taka już jej natura.

## ROZDZIAŁ 18

W pracy spędziłam kolejny dzień na opróżnianiu biurka. Nie mogłam wyjść z podziwu, ile przez lata nagromadziło się tu śmieci. Żałuję, że nie należę do osób, które sprzątaję na bieżąco. Jeżeli trzymam w dłoni kartkę i nie wiem, co z nią zrobić, zazwyczaj kładę ją gdziekolwiek, w nadziei, że sama złoży się w samolocik i poszybuje na właściwe miejsce. Choć optymistyczne, podejście to miało dość oczywiste mankamenty i doprowadzało naszą biurową sprzątaczkę na skraj apopleksji. Każdego wieczoru składała papiery w równy stosik, wygładzając rożki i pozbywając się ewidentnych śmieci, słowem: robiąc, co w ludzkiej mocy, a ja każdego ranka rozrzucałam je na nowo, by znaleźć jakąś kartkę, która była mi natychmiast i niezbędnie potrzebna. W końcu zaczęłyśmy zostawiać sobie liściki.

Ja: Bardzo dziękuję za posprzątanie biurka. Choć wygląda na zabałaganione, jest to bałagan kontrolowany. Proszę na przyszłość nie zawracać sobie nim głowy i zostawiać, jak jest.

Ona: Sprzątanie Pani biurka należy do moich obowiązków.

Ja: Bardzo dziękuję za posprzątanie biurka. Proszę się nim więcej nie kłopotać.

Ona: Sprzątanie Pani biurka należy do moich obowiązków. Jeśli nie uprzątnę wszystkich blatów, będę miała problemy.

Ja: Postawiłam pod biurkiem duży karton. Proszę śmiało wrzucać do niego luźne papiery. To powinno zadowolić nas obie.

Zadziałało. Sprzątaczkę wkładała kartki do kartonu, ja wyjmowałam z niego to, co było akurat potrzebne, a blat był uprzątnięty. Idealna sytuacja.

Całkiem możliwe, że w życiu stosowałam tę samą strategię: zamieść wszystko pod biurko, powierzchnię pozostawiając nieskazitelną, tak by nikt niczego nie zauważył. W pracy ta metoda działała bardzo długo, skutkiem czego miałam teraz do czynienia ze stertami nawarstwiających się latami papierów. Nagle odkryłam, że większość z nich jest mi zbędna. Westchnęłam, starając się zignorować nachalną symbolikę tego stanu rzeczy.

W trakcie czystki zadzwonił telefon. Edward.

– Wiem, dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że nie interesują cię randki, ale jestem niedaleko twojej pracy i pomyślałem, że zaproszę cię na lunch. – Odkaslnął. Był zdenerwowany. – Tylko lunch. Może znów zamówimy koktajle?

W pierwszej chwili zmarszczyłam brwi. Ale potem przypomniała mi się rozmowa o nogach i nosach i stwierdziłam, że jestem głodna.

Poszliśmy na obiad, zamówiliśmy burgery i koktajle, a potem po prostu siedzieliśmy, uśmiechając się do siebie blado. Edward miał na sobie garnitur i wyglądał na zmęczonego.

– Mój syn złamał sobie kostkę na deskorolce, więc musiałem wstać dzisiaj

wcześnie, żeby pogadać z jego matką na Skypie. Nic mu nie jest, no i złamał tę nogę, popisując się przed kolegami jakąś ryzykowną ewolucją, więc chwilowo jest królem podwórka.

– Przypomnij mi: ile on ma lat?

– Dwanaście.

– Dobry wiek na bycie królem podwórka.

Edward pokiwał głową.

– Jego mama przymierza się do wyjścia za mąż.

Znieruchomiałam z widelcem w powietrzu.

– Spodziewałeś się tego?

– Tak, od kilku lat jest z jednym mężczyzną, zna go zresztą od dawna. – Westchnął. – Pewnie to za niego powinna była wyjść za pierwszym razem. Znacznie lepiej do niej pasuje. I jest dobrym ojcem dla mojego syna. Nie mam z nim problemu.

Nie rozwinął tematu, a ja nie naciskałam.

– Zawsze tak się stroisz na rozmowę z żoną?

Przez chwilę mrugał, dezorientowany, więc wskazałam palcem jego strój.

– Nigdy nie widziałam cię w garniturze. – Prawdę mówiąc, wyglądał obłędnie. Elegancko ubrani mężczyźni są tacy... wytworni.

Skrzywił się.

– Rzadko go noszę. Miałem spotkanie zarządu. Rodzina jest nieco zirytowana faktem, że siedzę w Ameryce, ale to nie przeszkadza mojej siostrze zmusić mnie od czasu do czasu, żebym zastąpił ją na jakimś nudnym zebraniu. – Pociągnął łyżeczkę koktajlu i uśmiechnął się. – Z była żoną.

– Słucham?

– Pytałaś, czy stroję się na rozmowy z żoną. Jesteśmy po rozwodzie.

– Jasne. Z była żoną.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

– Czy mieszka tu jeszcze ktoś z twojej rodziny, czy wszyscy są w Holandii? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Moja młodsza siostra studiuje na Wschodnim Wybrzeżu. Ale widuję ją jeszcze rzadziej niż krewnych w Amsterdamie.

– Studiuje ogrodnictwo?

– Nie, język mandaryński i historię polityki. – Uśmiechnął się. – Zamierza w przyszłości kierować ONZ. W jej wieku wszystko wydaje się możliwe.

Był naprawdę przystojny, miał cudowny, ciepły uśmiech i nagle coś mną owładnęło, natchniona myśl, chwilowe szaleństwo, sama nie wiem.

– Masz ochotę przyjść do nas w piątek na kolację? Będzie moja matka i Rachel... – urwałam zawstydzona. Jeszcze nigdy nie zaprosiłam do siebie żadnego mężczyzny.

Edward był wyraźnie zaskoczony.

– Z przyjemnością. – Umilkł, po czym dodał: – Nie byłem pewien, czy... To znaczy, czy ty...

Uśmiechnęłam się.

– Nie mam pojęcia, czy... To znaczy, czy ja... Pomyślałam po prostu, że byłoby miło. Chociaż muszę cię ostrzec, z moją matką bywa ciężko. – Przełknęłam ślinę. – Za to będziesz mógł sprawdzić, jak ma się ogród.

– Wspaniale.

Oboje wiedzieliśmy doskonale, że zaproszenie nie ma nic wspólnego z ogrodem. Tak było jednak łatwiej.

Rachel wychodziła ze skóry, żeby wymigać się od wizyty, ale kiedy zagroziłam, że wrzucę na Facebooka jej zdjęcia ze szkolnych czasów, ustąpiła. Kiedy wspomniałam, że przyjdą również Maggie i Edward, zgodziła się nawet przyprowadzić Richarda, uspokojona myślą, że nie będzie jedynym celem cierpkich uwag mamy.

– Kiedy zapraszasz na kolację wilka, dobrze mieć na podorędziu kilka owieczek naraz, jest wtedy szansa, że jedna lub dwie ujdą z życiem. Może skupi się na Edwardzie, a wtedy Richardowi uda się uniknąć ciężkich obrażeń ciała.

– Może. A może mama rzuci się nam wszystkim do gardeł i będzie koniec.

Zerknęłam w lusterko wsteczne. Wiozłam dzieci ze szkoły i rozmawiałam z Rachel na głośniku. Dziewczynki sprawiały wrażenie kompletnie niezainteresowanych rozmową, co z dużym prawdopodobieństwem oznaczało, że robią skrupulatne notatki.

– Spróbujmy podejść do tego z otwartym umysłem.

Nie wiem czemu, ale nagle zaczęło mi bardzo zależeć na pogodzeniu się z mamą.

Rachel westchnęła zniecierpliwiona.

– W porządku. Tylko obiecaj, że przyrządzisz coś pysznego i miękkiego, na wypadek gdybym musiała wylądować twarzą w talerzu, żeby odwrócić jej uwagę.

– Zamierzam upiec lasagne.

Ucieszyła się.

– Znakomicie. Miękkie lądowanie plus milion kalorii na porcję. Lepiej być nie może.

– Uwielbiam lasagne. – Annabel jednak słuchała.

– Ja też. – Podobnie jak Clare.

– A na deser będzie ciasto czekoladowe.

Rachel zachichotała.

– Wiesz, że nie weźmie go do ust? Już i tak grabisz sobie tą lasagne. Mam nadzieję, że zaserwujesz także wiązkę suchych gałązek, żeby nie wyszła całkiem głodna.

– Myślałam raczej o sałatce z suchych liści. – Skreśliłam na podjazd. – Przynajmniej będzie więcej dla nas.

Nasza matka ze swojej kariery modelki wyniosła dwie rzeczy: żelazną zasadę, by zawsze chronić skórę przed słońcem, oraz opór przed jedzeniem czegokolwiek, co zawierało więcej niż trzydzieści kalorii na sto gramów. W czasach naszego dzieciństwa prawie nigdy nie gotowała – chyba że liczyć makaron z sosem pomidorowym ze słoika – za to bardzo często zabierała nas do restauracji. Skubiąc sałatkę, zachęcała, byśmy zamówiły deser, a potem patrzyła, jak go zjadamy. Wiedziałam, czym jest dezaprobata, zanim jeszcze poznałam to słowo.

Z nadejściem piątku mój entuzjazm zaskakująco się wzmógł. Zawczasu przygotowałam lasagne, żeby nie krzątać się w ostatniej chwili, i nakryłam do stołu srebrnymi sztuczkami. Kupiłam kwiaty, uprzątnęłam dom, a nawet otarłam buzie dzieci wilgotnym rąbkiem ręcznika – pamiętałam o wszystkim. Maggie przyjechała wcześniej i była w wyraźnie lepszym nastroju. Tylko raz zalała się łzami, co napełniło mnie nadzieją, że nie powtórzy tego przy kolacji. Na wszelki wypadek położyłam przy talerzach dodatkowe serwetki.

Mama zjawiała się z trzema butelkami wina i dwiema olbrzymimi paczkami dla dzieci. Były w nich gigantyczne pluszowe konie, jeden różowy, drugi fioletowy. Dziewczynki, rzecz jasna, były zachwycone i natychmiast zawlokły zabawki do siebie, a mama pękała z dumy, pozując na babcię roku. Wkrótce nadjechali Edward, Richard i Rachel. Wszystko szło jak z płatka, choć w pewnej chwili wpadłam w panikę i jednak zaczęłam krzątać się nerwowo, nalewając wino, raz po raz mieszając sałatę i niepotrzebnie podgrzewając gotowe grzanki z Trader Joe's.

Wyciągnąwszy lasagne z piekarnika, pogratulowałam sobie w duchu: wyglądała wystarczająco dobrze, by można było zanurzyć w niej twarz. Nasłuchując chwilę, uświadomiłam sobie, że Edward i moja matka są razem w pokoju dziewczynek. To oznaczało niebezpieczeństwo. Odstawiłam lasagne i pobiegłam sprawdzić, czy nie ma ofiar.

Wparowałam do pokoju: obyło się jednak bez rozlewu krwi. Clare usadziła Maggie, moją matkę i Edwarda w kółku na dywanie, wśród maskotek, których imion nie umiem sobie w tej chwili przypomnieć, i perorowała w najlepsze. Mama spoglądała na Edwarda z namysłem, ale bez wrogości i bez kokieterii, on zaś, wsparty na łokciach, z uwagą słuchał trajkotania Clare. Kiedy weszłam, podniósł wzrok.

– Wiedziałaś, że głównym źródłem energii w Pacynkowie jest miłość?

Pokręciłam głową.

– Miłość z głębi serca?

Edward kiwnął głową w stronę Clare.

– Właśnie nas o tym poinformowała, używając dokładnie takich słów.

Clare się rozpromieniła.

– Słyszałam to w telewizji – wyjaśniła. – To chyba znaczy, że kogoś kochasz i chcesz ścisnąć sobie serce, żeby ta miłość wylazła.

Annabel prychnęła z pogardą.

– Ale ty jesteś głupia. To po prostu znaczy, że kogoś bardzo mocno kochasz.

Clare zmarszczyła brwi.

– Wcale nie jestem głupia, poza tym bawimy się po mojemu, więc ma być tak, jak ja mówię.

Oznajmiłam, że kolacja gotowa, i wróciłam do salonu, gdzie ukrywali się Richard i Rachel.

– Zauważyliście, że wasze imiona zaczynają się na tę samą literę? – Nalałam im wina. Każdemu pełen kieliszek. Taka ze mnie hojna gospodyni. Richard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Owszem, zauważyliśmy to prawie na samym początku. Co więcej, doszliśmy do wniosku, że jeśli również naszemu dziecku damy imię na „R”, nigdy nie będzie miało problemów z wymową.

Próbowałam opanować ekscytację na myśl o tym, że moja siostra mogłaby mieć dzieci. Zdążyłam już pogodzić się z faktem, że ich nie chce, zresztą oczywiście nie ma w tym nic złego, no ale jednak dziecko to dziecko, nie?

Rachel wzruszyła ramionami.

– Czemu nie? Co powiesz na Roszpunkę, Requiema albo Rumpelstiltskina?

– Ewentualnie Randoma, Rorschacha albo Ritalina. – Richardowi wyraźnie spodobała się ta zabawa.

– Można by też pójść w technologię i nazwać je RAM lub ROM.

– Albo w terminy medyczne: Reumatyzm, Ropień, Różyczka.

– Różyczka brzmi ładnie.

– Właściwie – wtrąciła moja matka, która uwielbiała wielkie wejścia – to ciebie, Rachel, powinniśmy byli nazwać Różyczka. Jako nastolatka cała byłaś obsypana pryszczami.

W ciszy, która zapadła, niemal dało się słyszeć cienki świst, jakby ktoś nagle spuścił powietrze z balonu.

– Cześć, mamo, dzięki, że mi o tym przypomniałaś. – Rachel uściskała matkę, po czym odwróciła się do ukochanego. – To jest Richard. A to moja mama, Karen.

Richard uścisnął jej dłoń i powiedział:

– Widzę, że nie licząc pryszczatej młodości, to po pani Rachel odziedziczyła piękną cerę.

Obie z Rachel w tej samej chwili przewróciłyśmy oczami. A jednak jego słowa przyniosły pożądaną skutek. Mama błysnęła zębami w olśniewającym uśmiechu, tym samym, który swego czasu ozdobił okładkę „Cosmo” i który wyraźnie zrobił wrażenie na Richardzie. Widziałam, jak dziękuje losowi za to, że jego dziewczynie tak się poszczęściło na genetycznej loterii. To była jedyna zaleta posiadania tak pięknej matki – ludzie często zauważali, jak ładnie się starzeje, i twierdzili, że my też z pewnością pójdziemy w jej ślady. Była to miła perspektywa, ale to jednak



zbyt mało, by wynagrodzić nam samotne dzieciństwo – albo to, że kiedy za młodu przyprowadzałyśmy do domu chłopców, oni spędzali całą wizytę w kuchni z cholerną panią Robinson. Kiedy poznałam Dana, dość długo wahałam się, czy zaprosić go do domu. Na szczęście, chociaż mama natychmiast wypróbowała na nim swoje sztuczki, oznajmił mi, że wprawdzie jest ładna, ale nie dorasta mi do pięt.

„Kiedy patrzę ci w oczy – powiedział tuż przed tym, jak po raz pierwszy rozpiął mi stanik – widzę, jakie masz piękne wnętrze, po niej natomiast widać, że myśli wyłącznie o sobie”. I choć była to dość tandetna zagrywka, bez wątpienia motywowana chęcią zdjęcia ze mnie wspomnianego stanika, to z jakiegoś powodu zapadła mi w pamięć.

Usiedliśmy do kolacji.

– Ojejku – pisnęła mama. – Ciasno tutaj. Dziewczęta, o ile zdołacie utrzymać swoich panów przy sobie, będzie nam potrzebny większy stół.

Puściłam tę uwagę mimo uszu, ale Rachel była bardziej zmotywowana.

– Mamo, czy dla ciebie każdy związek to pretekst, żeby kupić sobie nowe meble?

Matka wzruszyła ramionami.

– Prawie każdy, Rachel. Niestety żaden z twoich związków nie trwał dostatecznie długo, żeby można było zacząć o tym myśleć, prawda? – Uśmiechnęła się do Richarda, jakby sądziła, że to wystarczy, by zatrzeć złe wrażenie. – Ale kto wie, kochany, może z tobą będzie inaczej.

– Mam taką nadzieję – odparł chłodno Richard.

Świetnie. Nie zdążyłam jeszcze postawić jedzenia na stole, a one już się kłóciły. Proszę cię, Dan, modliłam się, jeśli patrzysz na mnie z niebios, szepnij słówko, komu trzeba, żeby ten wieczór nie skończył się katastrofą. Dan był świetny w unikaniu sporów, w czym zawsze sekundował mu tata, i za życia ich obu zdarzało nam się przetrwać rodzinny posiłek bez przygód. Tak było na przykład w Święto Dziękczynienia w dziewięćdziesiątym siódmym.

Tymczasem mama zwróciła się do Maggie:

– Dobrze, że tego twojego już nie ma, bo byśmy się nie zmieścili.

To się nie mogło dobrze skończyć. Maggie wyglądała, jakby miała ochotę się rozplakać, ale знаła mamę od dawna i w porę przypomniała sobie, z kim ma do czynienia. Edward niemal całą uwagę poświęcał dzieciom i możliwe, że złośliwości mamy w ogóle do niego nie dotarły. Wreszcie usiadł, a ja przyniosłam lasagne. Na jej widok dziewczynki aż zagruchały z zachwytu. Wystawne dania zawsze robiły na nich wrażenie. Przez chwilę napawałam się ich reakcją, po czym postawiłam brytfankę na stole.

– Uważajcie, gorące – ostrzegłam, podając Edwardowi dużą łyżkę. – Nałożysz im?

– Zobacz, Edwardzie, już cię zaprzęgła do roboty – rzuciła mama i zachichotała uwodzicielsko. Czekałam, aż wypuści kolejną strzałę, ale nic więcej nie

powiedziała.

– Z wielką chęcią pomogę, zwłaszcza jeśli to znaczy, że będę sobie mógł nałożyć największy kawałek.

Jego spokojny, dźwięczny głos kojarzył mi się ze świątynnym dzwonkiem wzywającym na medytację i pięknie zgrywał się z radosnym popiskiwanym dziewczynkiem.

– Edwardzie – zagaiła Annabel – wolisz więcej sera czy więcej mięsa?

Wzruszył ramionami.

– Lubię jedno i drugie. A ty?

Też wzruszyła ramionami.

– Ja chyba tak samo. Ale sos z mięsa jest też dobry do spaghetti.

Richard popatrzył na mnie i powiedział:

– Lilian, w życiu nie miałem w ustach lepszej lasagne. Nie wiem, jakim cudem udało mi się choć raz wyciągnąć Rachel na kolację, skoro mogłaby codziennie jadać tutaj.

Uśmiechnął się do niej, ale w tym momencie do rozmowy wtrąciła się mama:

– Całe szczęście, że córki odziedziczyły po mnie geny, prawda? Nie mają może mojej figury, ale przemianę materii owszem. Ja mogę jeść za dwóch i wciąż nosić rozmiar S. – Uśmiechnęła się. – Tylko trochę się martwię o Clare. Robi się z niej mały grubasek. To po tacie, prawda, pączuszk?

Rachel struchlała. Milczałam, ale tylko dlatego, że wszystko się we mnie gotowało. Właśnie miałam wstać i na zawsze wyrzucić ją ze swojego życia, kiedy głos zabrała Clare:

– Ale wiesz, babciu, to nieważne, czy jest się grubym, czy chudym. – Ugryzła kęs lasagne i z pełnymi ustami objaśniła: – Ważne, żeby być silnym i zdrowym. Trzeba dużo jeść, dużo biegać, pić wodę i wcześniej chodzić spać, tak mówi mama.

Zapadła cisza. Moja matka wpatrywała się w Clare z rozrzewnieniem, a w jej oczach błyszczały miłość i duma – i nagle zdałam sobie sprawę, że nic nie poradzi na to, jaka jest. Moje dzieci odziedziczyły po niej część genów, ale oprócz tego były podobne do mojego taty, swojego taty oraz do mnie, a na dodatek najwyraźniej potrafiły bronić swoich racji o wiele lepiej niż ja.

– Tak, skarbie – powiedziała moja matka, ujmując drobną rączkę Clare. – Masz wspaniałą mamę, prawda?

– Najlepszą – potwierdziła Clare.

Rachel skorzystała z okazji, by zmienić temat:

– A więc, Edwardzie, wychowałeś się w Amsterdamie?

– Tak. Byłaś tam kiedyś? – zapytał z uśmiechem.

– Jasne. W interesach i dla przyjemności. Bardzo mi się podobało.

– W latach sześćdziesiątych znałam pewną dziewczynę o nazwisku Bloem. Arlette. Też była modelką. – Moja matka lubi, gdy rozmowa kręci się wokół niej.

Edward pokiwał głową.

– To starsza siostra mojego ojca. Zrezygnowała z modelingu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ale była dość sławna w Holandii i wciąż od czasu do czasu widuję gdzieś jej zdjęcia.

Mama była wniebowzięta.

– O rany, jaki ten świat mały!

– Skąd, świat jest ogromny, to Holandia jest mała – odparł cierpko Edward.

Mama nie zwracała na niego uwagi.

– Nie masz pojęcia, jakie historie mogłabym ci opowiedzieć o Arlette.

– Błagam, mam, daj spokój – poprosiłam. – Edward na pewno nie ma ochoty słuchać o szalonej młodości swojej ciotki.

Równie dobrze mogłabym mówić do ściany.

– Była przepiękną dziewczyną, dobrze ją pamiętam. Podczas jednego tygodnia mody w Mediolanie zdołała się przespać ze wszystkimi najlepszymi fotografami, wszystkimi bez wyjątku. Nosiła ze sobą numer włoskiego „Vogue’a” i wykreślała ich nazwiska, jedno po drugim. Taka właśnie była, niczego się nie bała i kochała przygody. – Zachichotała, zerkając na Edwarda. – Jesteś do niej podobny?

Roześmiał się.

– Niezupełnie. Prawdę mówiąc, na świecie żyje wielu wybitnych fotografów, których nawet nie pocałowałem. – Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, nawet dzieci, choć nie miały pojęcia, o czym mowa. Mam nadzieję. – Dziś moja ciotka jest czcigodną starszą panią, która rozpieszcza wnuki i udziela się charytatywnie. Ale sądzę, że z radością odnowiłaby z panią kontakt. Mogę jej przekazać pani adres mailowy. – Uśmiechnął się do niej. – Mam nadzieję, że gdy będę starszy, też będę miał mnóstwo cudownych wspomnień. To musi być coś wspaniałego.

Mama pokręciła nosem na dwukrotne użycie słowa „starszy” w odniesieniu do osoby w jej wieku, ale Edward wyraźnie ją oczarował i chyba zamierzała puścić to mimo uszu.

– Ależ Edwardzie, ja wciąż zyskuję nowe wspomnienia. Na przykład w przyszłym tygodniu wybieram się z pewnym farmerem milionerem do Wenezueli. Konkretnie do Caracas.

Richard odkaszlnął i rzucił:

– Proszę nie zapomnieć o marakasach.

Zignorowała go. Nie było trudno stwierdzić, który z mężczyzn zaskarbił sobie jej sympatię. Cóż, Rachel, tak czy inaczej, nie zależało na matczynym błogosławieństwie. Siedziała obok Richarda i wymieniała z nim na ucho dowcipy o Caracas. Wyglądała na szczęśliwą. Przeniosłam wzrok na matkę i zauważyłam, że ręka lekko jej drży, kiedy podnosi kieliszek z winem. Ona też się denerwowała, prawdopodobnie bardziej niż którekolwiek z nas. Podbródek wciąż miała sprężysty, ale to wszystko, co jej zostało. Nasz dom był pełen jej zdjęć – okładek

czasopism, słynnych portretów – a niemal każde zostało tak wyretuszowane, że nawet jako dwudziestodwulatka nie przypominała na nich siebie. Ciężko pracowała, by zachować młody wygląd, ale czas jest bezlitosny, a kremy nawilżające docierają tylko na pewną głębokość. Starzenie się jest wystarczająco trudne i bez ciągłego zderzania się z dowodami na to, o ile lepiej się kiedyś wyglądało. Zawsze gdy widzę starzejące się byłe piękności, wyobrażam sobie ciężkie girlandy zdjęć „sprzed” na ich szyjach, niczym łańcuch na szyi ducha Marleya z *Opowieści wigilijnej*. W ten sposób wracamy do Meg Ryan.

Przez jakiś czas przy stole panował spokój, aż w pewnej chwili mama zwróciła się do mnie i powiedziała:

– Lilian. Rachel wspominała, że masz zamiar spróbować zawodowo własnych sił. Spojrzałam na siostrę. Jej mina wyraźnie wskazywała na to, że w żadnym razie nie wyraziła się w ten sposób, ale ja się przecież nie gniewałam. Moja matka potrafiłaby wydusić informacje od parkometru.

Skinęłam głową.

– Tak, mam nadzieję, że zdołam znaleźć wystarczająco dużo zleceń, żebyśmy nie umarły z głodu, a dodatkowo chciałabym zajmować się własną twórczością. Możliwe jednak, że będziemy musiały odrobinę zacisnąć pasa.

– Domyślam się, że w takim razie zamierzasz zwolnić Leę? – Mama zawsze była o nią lekko zazdrosna.

Cholera. Zerknęłam na Clare, która na szczęście nie zwróciła uwagi na te słowa. Czego nie można było powiedzieć o Annabel.

– Co? Lea od nas odchodzi?

Okej. Tym razem Clare wszystko słyszała.

– Lea nie może odejść – rzekła twardo. – Jest naszą rodziną, a rodzina zawsze trzyma się razem.

– Pogadamy o tym później. Na razie Lea nigdzie się nie wybiera.

– Ale kiedyś odejdzie? – drążyła nieustępliwie Annabel.

Pokręciłam głową.

– Nie, kochanie, mam nadzieję, że nie. Pogadamy o tym innym razem, dobrze?

Maggie ruszyła z odsieczą:

– Clare, słyszałam że urosły ci piękne truskawki.

Clare przytaknęła z buzią pełną jedzenia. Maggie odwróciła się do Annabel, która wciąż obserwowała mnie spod oka. Musiałabym być szalona, by sądzić, że rozmowa o Lei na tym się zakończy.

– Bel, ty też zasadziłaś owoce?

Potrząsnęła główką.

– Nie, kwiaty. Zrobiłam z nich wzorek. Jest jeszcze trochę dziurawy, ale niedługo się wypełni. – Uśmiechnęła się. – Widziłaś nasz domek dla wrózek? Edward nam go przyniósł, ma w środku wróżki i wszystko. Stoi w ogrodzie.

Mama parsknęła śmiechem.

– Dobra robota, Edwardzie. Świetny pomysł: rozkochać w sobie dzieci, żeby zaciągnąć ich matkę do łóżka.

Nie wierzyłam własnym uszom. A jednak. Edward wyglądał na zaskoczonego, ale nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Można i tak na to patrzeć, ale przede wszystkim chciałem sprawić, żeby polubiły zabawę w ogrodzie. Kontakt z przyrodą jest dla dzieci bardzo ważny.

Zbita z pantalonyk mama tylko się roześmiała. Rachel odłożyła widelec i wlepiła w nią przerażone spojrzenie. Maggie z trudem powstrzymywała histeryczny wybuch śmiechu. Na szczęście w tym momencie ktoś załomotał do drzwi.

Wstałam, odrobinę roztrzęsiona, i poszłam otworzyć. Ponieważ wszyscy byli w środku, podejrzewałam, że ujrzę w progu mormonów czy kogoś w tym stylu. Być może zdołałabym ich zaskoczyć, nawracając się na miejscu i błagając, by natychmiast zabrali mnie ze sobą do Utah.

– Czy jest tu moja żona?

Berto. Potargany i źle ubrany, co u Włocha jest niechybnym objawem nadciągającego załamania nerwowego. Świetnie, pomyślałam, teraz kolacja zmieniła się w zupełną farsę. Brakowało już tylko nagich kochanków zniecka wypadających z szafy i wikarego w bieliźnie.

– Ee... Cześć, Berto. Poczekaj, sprawdzę.

Zamknęłam mu drzwi przed nosem, co nie było zbyt uprzejme, ale hej, w końcu jest parszywą pijawką i podłym, zdegenerowanym seryjnym oszustem. Lepiej niech nie narzeka.

Dźwięk jego głosu dotarł oczywiście do salonu. Kiedy tam weszłam, Maggie była blada jak ściana.

– Berto przyszedł – wyjaśniłam niepotrzebnie. – Powiedzieć mu, że cię nie ma?

Bez słowa skinęła głową, a ja wróciłam do drzwi.

– Nie ma jej. Wybacz. – Chciałam zamknąć drzwi, ale zablokował je stopą. Byłam gotowa mu ją zmiażdżyć, wahałam się jednak o sekundę za długo. Berto oparł się o framugę.

– Lili, *cara*, proszę, wpuść mnie.

– Maggie tu nie ma, Berto. Idź sobie.

Cofnęłam się gwałtownie, szykując się, by wezwać posiłki.

– Jej samochód stoi przed domem.

Cholera.

– Obiecałam, że wymienię jej olej. Wróciła do domu taksówką. Idź sobie.

– Znam cię całe wieki i pierwszy raz słyszę, że wiesz, że samochód potrzebuje oleju. Maggie tu jest, a ja muszę z nią pogadać.

Obrzuciłam go najwynioślejszym spojrzeniem, na jakie było mnie stać.

– Po pierwsze, ty zdradziecki łajdaku, to nie najlepszy moment, żeby mnie obrażać,

a po drugie, ona nie chce z tobą gadać.

Zwiesił głowę.

– To prawda, byłem podłym mężem, głupcem i złym przyjacielem, ale kocham swoją żonę i muszę z nią porozmawiać.

Wyglądał okropnie, co przyjąłem z satysfakcją. Pokręciłem głowę.

– Dopiero przyleciałeś? – zapytałem, a kiedy przytaknął, wypaliłem: – To pewnie nie zdążyłeś się rozpakować, i dobrze, przynajmniej oszczędzisz czas. Wracaj do Włoch, Berto, i do swojej panienki.

– Ona odeszła. Wszystko skończone.

Tym razem zmierzyłem go wzrokiem pełnym niesmaku.

– Maggie nie jest nagrodą pocieszenia, ty zakuty łbie. Jest pucharem świata, Pulitzerem i Noblem w jednym. Co kogo obchodzi, że rzuciła cię dziewczyna? Wracaj do domu.

Szczęśliwie mogłam czerpać do woli z pokładów gniewu, które wezbrały we mnie podczas rozmowy z matką. Czułam, że zaraz skopię mu tyłek.

Nie dane mi było jednak przeżyć tej chwili oczyszczenia, ponieważ Berto wybuchnął płaczem. Przejęłabym się, gdyby nie był Włochem. Włosi płaczą nawet na meczach piłki nożnej.

– Lili, przyjaciółko, wiem, że kiedy zginął Dan, kiedy straciłaś ukochanego, oszalałaś z rozpaczy. Rozumiałem to. A teraz to ja tracę zmysły, tyle że ze mną jest jeszcze gorzej, bo to ja ją do siebie zniechęciłem, to ja ją odepchnąłem.

Nie zamierzałam dać się nabrać.

– Spóźniłeś się, ty żaloszny palancie. Maggie już o tobie zapomniała.

Zdusił okrzyk grozy.

– Znalazła sobie kochanka?

Wzruszyłam ramionami.

– Żeby to jednego. Jest piękną kobietą.

Ponownie zalał się łzami.

– Wiem. Wyrzuciłem na śmietnik własne serce, własne życie. Jestem najnikczemniejszym robakiem, jaki kiedykolwiek pełzał po ziemi. Jestem nędzarzem...

Bełkotał tak jeszcze przez jakiś czas. Nie był w stanie się powstrzymać. Maggie, niestety, również nie.

Znienacka stanęła za mną i otworzyła drzwi na oścież, niemal zwalając mnie z nóg.

– Berto – wycedziła lodowatym tonem.

– Maggie, *cara mia!* – zakrzyknął ogniście on.

Skoczył naprzód, by ją uściskać, ale ona z posępną miną wyciągnęła przed siebie rękę. Zauważyłam, że zdążyła poprawić szminkę. Nie była głupia.

– Odsuń się! I nie próbuj mnie czarować, nie mam zamiaru ci wybaczyć. Złamałeś mi serce, kopnąłeś jak psa. – Dopiero się rozgrzewała. – Przez ciebie musiałam

uciekać, zostawić dom, pracę, przyjaciół. Znajomi z pracy, sąsiedzi, wszyscy się dowiedzieli, że rzuciłeś mnie dla młodszej. Litowali się nade mną. Ale ja się nad tobą nie zlituję, Berto. Jestem dumną i piękną kobietą, i to ja powinnam cię żałować. Ale nie żałuję, bo sam nawarzyłeś tego piwa, więc teraz wracaj do Włoch i je wypij.

Następnie cofnęła się, pociągnęła mnie za ramię i zatrzasnęła drzwi.

– Chryste, Mags, to było niesamowite... – bąknęłam, ale powstrzymała mnie gestem dłoni. Miała łzy w oczach. Nasłuchiwała.

Przez moment z zewnątrz dochodził tylko szloch. Potem głośne siąknięcie nosem i głębokie, drżące westchnienie. A potem targany łkaniem głos zaśpiewał z włoskim akcentem:

– Z nieba szept... Słodki ptaków śpiew...

Cholera.

– Zawsze gdy... widzę cię...

Spojrzałam na Maggie. Łzy płynęły jej po policzkach.

– To nasza piosenka – szepnęła.

– Do ciężkiej cholery – westchnęłam cicho i otworzyłam drzwi.

Bogu niech będą dzięki za dodatkowe serwetki.

## RZEPA



Wybierz w pełni nasłonecznione miejsce.

Rzepa lubi dobrze spulchnioną, miękką, przyjemną glebę, szczerze wzbogaconą kompostem.

Rozsyp nasiona, a potem delikatnie przykryj je cienką warstwą pysznej świeżej ziemi.

Gdy sadzonki osiągną 10 centymetrów wysokości, przerzedź je, tak by odległość między roślinami wynosiła 5–10 centymetrów (odmiana młoda) lub 15 centymetrów (odmiana zwykła). Jeśli zależy ci tylko na liściach, przerzedzanie oczywiście mija się z celem.

Rzepa to pod wieloma względami cicha bohaterka świata warzyw korzeniowych. Nie ma promocyjnego budżetu ziemniaka ani olśniewającej figury marchewki, nie należy jednak lekceważyć jej walorów. Jest pełna witamin oraz minerałów, zawiera mało cukru i wyśmienicie smakuje pieczona, karmelizowana bądź ugnieciona na purée z dodatkiem masła. Pliniusz Starszy chwalił rzepę i jadał ją codziennie, ponieważ, jak twierdził, „swą użytecznością przerasta wszelkie inne warzywa”. Mów sobie, co chcesz, o Pliniuszu Starszym, ale... gość znał się na rzeczy.



## ROZDZIAŁ 19

### LEKCJA PIĄTA

Następnego dnia lekko mżyło. Mimo deszczu wśród zgromadzonych w ogrodzie botanicznym panował pogodny nastrój. Rachel uraczyła wszystkich opowieścią o naszej dziwacznej rodzinnej kolacji.

– Jakie to romantyczne – zachwycała się Frances.

Gene marszczył czoło.

– Obawiam się, że kto zdradził raz, już zawsze będzie zdradzał.

W zasadzie się z nim zgadzałam, ale tylko wzruszyłam ramionami.

– Kto wie? Maggie nie pojechała z nim do hotelu i nadal zamierza złożyć pozew o rozwód. Jestem pewna, że nie da sobą pomiatać.

A jednak miałam wątpliwości. Po latach szczęśliwego związku trudno się pogodzić z samotnością. To trochę jak z porodem: człowiek łatwo zapomina o bólu. Przykładem choćby liczne dzieci i małżeństwa Elizabeth Taylor.

Deszcz powoli ustawał, kiedy nadbiegł Bash. Za nim w pewnym oddaleniu kroczyła Angie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Mój tata przyszedł! – Chłopiec nie posiadał się z radości. – Patrzcie!

Wszyscy wykręcali szyje, włącznie z Mikiem, który musiał być szczególnie zainteresowany przybyłym. Wiedziałam, że w minionym tygodniu kilka razy spotkał się z Angie, nie miałam jednak okazji podpytać o więcej. Sądząc po jego minie, nie uważał jej byłego za zagrożenie, co znaczyło, że albo stracił nią zainteresowanie, albo nie miał powodu do zmartwień. Albo jedno i drugie. Cholera wie.

Kiedy podeszli, Angie dokonała prezentacji:

– Poznajcie się, to jest Matthew. Matt, to moi znajomi z kursu.

Matt nie był specjalnie przystojny, ale w tej chwili zza chmur wyszło słońce, oblewając go złocistą poświatą. Miał piękny uśmiech i dostrzegałam w jego twarzy rysy Basha. Poza tym miał w sobie jakiś luz i pewność siebie, które sprawiają, że nawet przeciętny facet wygląda atrakcyjnie, a przystojny staje się nieodparcie pociągający. Bez trudu potrafiłam zrozumieć, czemu nastoletnia Angie się w nim zakochała.

– Cześć wszystkim. Bardzo chciałem poznać ludzi, którymi tak zachwyca się mój syn. Ten kurs to ostatnio jego najulubieńsze zajęcie pod słońcem. Bardzo się cieszę.

Ukląkł i zwrócił się do moich dzieci.

– A wy, moje piękne panny, jesteście pewnie Clare i Annabel? Sebastian w kółko o was opowiada.

– Kto to jest Sebastian? – Clare zmarszczyła nos.

– Ja – oznajmił Bash.

– Czemu nam nie powiedziałaś, że masz tak na imię?

Mały się nachmurzył.

– Nie wiem. Możecie dalej mówić na mnie Bash. Tak jak moja mama. Tata zawsze mówi Sebastian.

Clare złapała się za serce, przybierając dramatyczną pozę gwiazdy niemego kina.

– Jak to bajecznie brzmi! – Rozpromieniła się w uśmiechu. – Będę cię nazywała Sebastian. A ty możesz do mnie mówić „księżniczko Clare”.

Matt parsknął śmiechem.

– Oj, chłopie, ciężkie jest życie mężczyzny. – Wstał i uśmiechnął się do Angie. – Zobaczmy się później?

Pokręciła głową.

– Nie, zawiozę go do twojej mamy, zgoda?

– Jasne.

Nagle nachylił się i pocałował ją w usta, jednocześnie niby od niechcienia przesuwając dłonią po jej pupie. Angie wyraźnie nie spodziewała się takiego obrotu spraw – natychmiast się cofnęła i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. W tym momencie jednak zerknęła na Basha, który przyglądał im się z zainteresowaniem, i tylko uśmiechnęła się sztywno.

– Cześć, Matt, później pogadamy.

Matt wyszczerzył zęby, pomachał dzieciom i odszedł. Spoglądała za nim w milczeniu, po czym odwróciła się do Mike’a. Ten z początku nie reagował, ale potem kąciaki jego ust delikatnie podjechały do góry.

– Skurwiel jeden – powiedział cicho.

Na twarzy Angie odbiła się ulga.

– Właśnie.

Niedługo później siedziałam na ziemi, nieuważnie wrywając chwasty z grządki z ziołami, kiedy obok mnie przykucnął Edward.

– Jesteś świadoma, że wrywasz całkiem dobre rośliny? – zapytał ściszym głosem, zapewne pragnąc oszczędzić mi drwin pozostałych.

Chrząknęłam.

– Ee... nie. Myślałam, że to chwasty.

Uśmiechnął się.

– Z tego, co widzę, uwzięłaś się na melisę. Musiała ci nieźle zaleźć za skórę.

– Zapewniam cię, że nie mam nic przeciwko melisie.

– Cóż, nieobecni nie mają głosu, nie może więc zaprzeczyć twoim słowom.

Zmarszczyłam czoło.

– Nie sądziłam, że poziom twojego angielskiego pozwala ci stosować podobne metafory. Czy to nie ja powinnam pokonać cię w tej potyczce?

Wstał i rozłożył ręce.

– Holandia słynie z najlepszego systemu edukacji na świecie.

– Ach tak? A moje dzieci wiedzą, że dżdżownice to hermafrodyty, co ty na to?

Oddalił się bez komentarza. W ogrodzie panował sielski spokój. W oddali Sebastian i dziewczynki gawędzili w najlepsze.

– Mój tata jest policjantem – chwalił się Bash. To mnie zaskoczyło. Kiedy Angie na samym początku wyraziła nadzieję, że ktoś zastrzeli jej byłego męża, automatycznie wyszłam z założenia, że chodzi o jakieś ciemne interesy.

– Łapie złoczyńców i broni dobrych ludzi.

Ojciec napawał Basha dumą, ale czy jest się czemu dziwić? Oto kolejny z problemów, z którymi muszą się zmagać samotni rodzice: pragniesz, by dzieci miały jak najlepsze zdanie o twoim byłym małżonku, choć twoje życie byłoby znacznie prostsze, gdyby irytował je tak samo jak ciebie. Gdybyście mogli wszyscy zgodnie orzec, że byłoby znacznie lepiej, jeśli tatuś trzymałby się z daleka. Ale nie, musisz wciąż potwierdzać, że to fantastyczny gość, nadzwyczajnie odważny, i unikać nieuchronnie nasuwającego się pytania, czemu zatem nie chcesz już z owym fantastycznym gościem dzielić życia. To trudna wprawka z orwellowskiego dwójmyślenia. Po raz kolejny doszłam do wniosku, że może łatwiej jest być wdową niż rozwódką. Dziewczynki i ja w pełni się zgadzamy, że życie bez tatusia jest do bani.

Przysiadłam na piętach i rozejrzałam się. Było to nasze przedostatnie spotkanie i wszyscy w pocie czoła upiększali swoje grządki. Wszyscy oprócz Rachel, która siedziała wśród lawendy i czytała książkę. Nie mogłam nie podziwiać jej samozaparciu. Miała pomysł i go urzeczywistniła, a teraz cieszyła się rezultatem. Chyba wyczuła, że na nią patrzę, bo podniosła głowę.

– Upajasz się zapachem lawendy?

Pokręciła głową.

– Nie. Martwię się różnymi głupotami. A ty?

Roześmiałam się.

– Czy to przypadkiem nie moja działka? Czym się martwisz?

Wyciągnęła ręce i zaczęła wyliczać, odginając palce:

– Richardem, Maggie i Bertem. Swoją skórą, zwłaszcza na szyi. Pracą i tym, czy kiedykolwiek odważę się ją rzucić. Oraz tym, co będzie z tobą i dziećmi, kiedy wyjadę do Paryża.

Zdumiałam się.

– Zamierzasz się przeprowadzić do Paryża?

– Nie, ale co gdybym zamierzała?

Odwróciłam się, uznawszy ją za beznadziejny przypadek. Popatrzyłam na Mike’a i Angie, którzy siedzieli obok siebie, gawędząc wesoło. Przyszło mi do głowy, że Mike należy do ludzi, którzy wciąż ujawniają coraz to nowe strony swojej osobowości, a jedna jest fajniejsza od drugiej. Im więcej o nim wiedziałam, tym

bardziej go lubiłam. Zważywszy, jak swobodnie czuła się przy nim Angie, stanowczo nie byłam jedyna.

Kawałek dalej Frances i Eloise przekomarzały się o coś łagodnie, a Gene przerzucał łopatą obornik na pusty placek ziemi. Napotkawszy jego spojrzenie, pomachałam i krzyknęłam:

– Sałata ci nie wystarczy? Rozszerzasz swoją bazę operacyjną?

Eloise i Frances podniosły wzrok.

– Mam nadzieję, że nie planowałeś aneksji naszych grządek, Gene? – rzuciła Frances z udawanym oburzeniem. Gene pokręcił głową.

– Nie, po prostu pomagam. Zawsze dobrze się na coś przydać. – Ściągnął rękawicę i otarł czoło rękawem. – Ale gorąco. – Ociekał potem, ale najwyraźniej mu to nie przeszkadzało. W końcu była to zapewne miła odmiana po wielu latach wyrzaskiwania: „Kupujemy, kupujemy!” i „Sprzedajemy, sprzedajemy!”.

Znów zerknęłam na dzieci. Annabel leżała na plecach. Na krótką chwilę zamarło mi serce, ale potem dostrzegłam tenisówkę podrygującą w takt nuconej pod nosem piosenki.

– Wszystko w porządku, Bel?

– Tak, patrzę sobie na chmury. – Mała nuciła dalej, radosna jak skowronek.

Po drugiej stronie dziecięcego ogródka Lisa pomagała Bashowi i Clare przesadzić na grządki dodatkowe krzaczki truskawek, pewnie po to, by powiększyć plony. Clare nagle zerwała się na równe nogi i zaczęła wirować z rozpostartymi ramionami, po czym z powrotem klapnęła na ziemię. Pokręciłam głową. I bądź tu, człowieku, mądry. Ten dzieciak nie tylko nie tańczy jak mu zagrają; sam sobie gra i w dodatku ma własną orkiestrę.

Leniwie pochyliłam się nad swoją grządką, gdy nagle usłyszałam krzyk. Podniosłam głowę. Wszyscy wokół zerwali się na równe nogi. Mike i Angie pełzli na czworakach w stronę Eloise i Frances, które pochylały się nad kimś, a Edward biegł ku głównej bramie parku. Obok mnie przemknęła Rachel i popędziła do dzieci. Oszołomiona z przestrachu dopiero po chwili zrozumiałam, co się dzieje.

Gene leżał na ziemi obok porzuconej łopaty, nieruchomy i blady jak ściana. Angie rozerwała mu koszulę na piersi i rozpoczęła reanimację.

Skamieniałam. Po śmierci Dana często się zastanawiałam, czy kiedy następnym razem ktoś będzie umierał na moich oczach, lepiej dam sobie radę. Nie potrafię zliczyć, ile razy śniłam o tym, że ratuję mu życie, wyciągam jego ciało z pogruchotanego samochodu albo podnoszę ciężarówkę, która go przygniotła, że wynoszę płaczące niemowlę z płonącego domu, odprowadzam w bezpieczne miejsce spłoszone konie – co tylko chcecie. W snach zawsze mi się udawało. Teraz, w obliczu kolejnego kryzysu, okazałam się jeszcze bardziej bezużyteczna niż za pierwszym razem. Gdyby Bóg patrzył z nieba albo z pokładu jednego ze słynnych sterowców Goodyeara (o ile ktoś by go tam wpuścił), dostrzegłby dwa

nieruchome punkty: mnie, stojącą jakieś osiem metrów od Gene'a, i samego Gene'a, leżącego w pozycji upodabniającej go do zwłok. Dookoła nas ludzie uwijali się jak mrówki wokół lukrowanego pączka. Rachel odprowadziła dzieci na bok, zajmując czymś ich uwagę, ale Annabel raz po raz odwracała się za siebie. Eloise i Frances odgrywały rolę zapory, podczas gdy Mike i Angie na zmianę wykonywali sztuczne oddychanie. Świeciło słońce. Śpiewały ptaki. Drzewa szumiały obojętnie. Widziałam but Gene'a, lekko przekrzywiony na bok. Stałam w całkowitym bezruchu. Miałam wrażenie, że jeśli się poruszę, będzie po nim.

Nagle Edward przemknął obok mnie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Coś ze sobą niósł i dopiero gdy Angie skoczyła w jego stronę, zrozumiałam, że to przenośny defibrylator. Wciąż się nie ruszałam. Czułam, jak po policzkach płyną mi łzy. Powinnam biec do dzieci. Powinnam zadzwonić po pogotowie. Powinnam zacząć kopać grób.

– Defibrylacja! – krzyknęła Angie i zobaczyłam, jak but Gene'a podskakuje.

Cisza.

– Uwaga! – Głos Angie brzmiał inaczej niż zwykle. Był głosem pielęgniarki. – Defibrylacja! – krzyknęła znów i but znów podskoczył.

Usłyszałam za plecami tupot stóp i uświadomiłam sobie, że to, co wzięłam za dzwonienie w uszach, w rzeczywistości było odległym wyciem syren. Przedstawienie skończone. Proszę się rozejść. Powoli usiadłam na ziemi i czekałam, aż mnie zabiorą.

Rachel dotknęła mojego ramienia.

– Chodź. Odsuńmy się. – Uklękła i zajrzała mi w oczy. – Nic mu nie będzie. Zawieziemy dzieci do domu, okej?

Potrząsnęłam głową.

– On nie żyje.

– Żyje. Angie go uratowała. Edward przyniósł defibrylator, Mike zrobił sztuczne oddychanie, a Angie władowała w niego prąd i wróciła mu życie. Nic mu nie będzie.

Podniosłam wzrok. Sanitariusze załadowali ciało na nosze i z turkotem kółek wieźli je po wyboistej ziemi do karetki. Dostrzegłam, jak Gene podnosi rękę do Mike'a, który patrzył na niego z uśmiechem. Nie, to jednak nie było ciało. To był żywy człowiek.

Rzeczywistość uderzyła mnie z ogłuszającym łomotem jak trzęsienie ziemi w fabryce perkusji. Zerwałam się na nogi. Rachel przypatrywała mi się bacznie.

– Wszystko dobrze, Lili. Z tobą też wszystko dobrze. – Uświadomiłam sobie, że ściska mnie za rękę. Edward stanął obok nas i oboje wymienili spojrzenia.

– Wszystko w porządku, Lilian. To było okropne.

Popatrzyłam na niego.

– Uratowałeś mu życie. Wiedziałeś, co robić.

Uśmiechnął się, wciąż jeszcze odrobinę wystraszony.

– Właściwie pochwały należą się władzom Los Angeles. Nie pozwalają ci prowadzić kursu na terenie miasta, póki nie przejdziesz szkolenia z pierwszej pomocy. Wiedziałem, że mamy defibrylator i gdzie go szukać.

– Niebywałe. A na dodatek nauczyli moje dzieci wszystkiego o zwyczajach dżdżownic.

Edward i Rachel wybuchnęli śmiechem. Chyba im ulżyło, że nie zwariowałam.

Skoro o dzieciach mowa, nagle i one znalazły się obok nas. Przyciągnęłam je do siebie i przytuliłam.

– Gene się przewrócił! – Clare była zdumiona, że takie rzeczy nie przytrafiają się tylko jej.

– Gene miał atak serca, Clare – nauczyła ją Annabel, mały doktor medycyny.

– I jeszcze na dodatek się przewrócił. To ci pech!

Bash stał obok, przyglądając się matce, która biegła za noszami do karetki. Z jego twarzy niewiele można było wyczytać.

– Dobrze się czujesz, Bash? – spytałam, klękając obok niego.

Spojrzał na mnie oczami pełnymi łez.

– Moja mama go uratowała, prawda? – Skinęłam głową, a on się uśmiechnął. – To jeszcze fajniejsze niż łapanie złoczyńców.

– Najfajniejsze – powiedziała Clare. – O, a to jakie fajne. – Chodziło jej o ambulans, który właśnie odjeżdżał z rykiem syren i błyskaniem koguta.

Następnie zwróciła się do nas i z bardzo poważną miną rzekła:

– Wiecie, myślałam, że kurs ogrodnictwa będzie trochę nudny. Ale wcale nie jest! Jest lepszy niż telewizja!

## KUKURYDZA



Nasiona kukurydzy siejemy w ogrodzie lub na polu kilka tygodni po ostatnich przymrozkach. Kukurydza lubi ciepłą glebę.

Nasiona należy włożyć do ziemi na głębokość 2,5 centymetra, 10–15 centymetrów od siebie, w rzędkach oddalonych jeden od drugiego o 75–90 centymetrów. Widzisz, twoja mama miała rację: matematyka jednak się w życiu przydaje.

Pamiętaj, by podlać nasiona.

Możesz zacząć zbiory, kiedy wiecha zbrązowieje, a kolba zacznie grubieć. Odciągaj liście ku dołowi, a potem skrętnym ruchem odłam łodygę.

Kolby kukurydzy po zebraniu szybko tracą słodycz, należy je więc zjeść od razu albo zakonserwować.

## ROZDZIAŁ 20

Kiedy tylko Isabel zjawiała się w szpitalu, Angie i Mike przyjechali do mnie odebrać Basha i odrobinę ochłonać.

Powitały ich głośnie wiwaty – cała grupa zebrała się w moim domu i czekaliśmy właśnie na nieśmiertelną pizzę. Najmłodszy z naszego grona wykazywali się przy tym mniejszą cierpliwością, niżbym sobie tego życzyła.

– Mamo! Jesteś bohaterką! Uratowałaś Gene’a! – zakrzyknął Bash, rzucając się Angie na szyję.

Uściskała go mocno i popatrzyła na nas.

– To była jak zwykle praca zespołowa, kochanie. Edward i Mike bardzo mi pomogli. Żadne z nas nie poradziłoby sobie samo.

Bash wyglądał tak, jakby miał ochotę się pokłócić, ale w samą porę rozbrzmiał dzwonek u drzwi. Pizza.

– Isabel była niesamowita – oznajmił Mike i zaniósł się chichotem. Chyba schodziło z niego napięcie. – Wpadła na ostry dyżur, wołając Gene’a po imieniu, i natychmiast rozstawiła wszystkich po kątach. Wtedy Gene też zaczął ją wołać po imieniu. Byli jak Romeo i Julia. – Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Angie także się uśmiechała.

– Zostawiliśmy ich tam. Gene jest w dobrych rękach i ma się całkiem nieźle jak na faceta, który przez dwie minuty był martwy.

– To był zwykły zawał? – zapytał Edward.

Angie pokiwała głową.

– Tak myślę, ale robią dodatkowe badania. Gene od lat miał problemy ze zdrowiem. Kiedy się sobie przedstawialiśmy, sam powiedział, że jest w słabej formie, a dziś przerzuczał w skwarze obornik.

Edward się zasepił.

– Powinienem być bardziej na niego uważać. Zdawało mi się, że nic mu nie dolega.

Angie potrząsnęła głową.

– Bo nie dolegało. A chwilę później był martwy. Tak to jest.

Kilka głów zwróciło się w moją stronę. Rozłożyłam ręce.

– Ona ma rację. Tak to jest. Tak to właśnie było.

– W takim razie życzę ci długiej i powolnej śmierci, żebyś zdążyła się przygotować. – Rachel ścisnęła moje ramię. – Wiem, że źle to zabrzmiało, ale wiesz, o co mi chodzi.

Uśmiechnęłam się do niej.

– Wiem bardzo dobrze. Dziękuję. Ja też ci życzę długiej i powolnej śmierci.

Zaprotestowała:

– Nie. Ja chcę umrzeć szybko, bawiąc się w najlepsze – nie wiem, niech to będzie



pęknięcie tętniaka albo coś, tak żebym zdołała wszystkim zepsuć wieczór na tym przyjęciu, na którym akurat będę.

Eloise zerknęła na nią z ukosa.

– W takim razie cofam zaproszenie na kolację.

– Och, daj spokój. Jestem młoda i śliczna, mam przed sobą wiele lat.

Milczałam. Widziałam już kiedyś kogoś młodego i ślicznego, kto został zgnieciony jak robak, ale uznałam, że to nie jest dobra chwila, żeby o tym wspominać.

Choć czułam się dobrze, tej nocy po raz pierwszy od dawna przyśnił mi się koszmar. Stałam przed domem, na opustoszałej ulicy. Słyszałam przejeżdżające samochody, dwa z nich przemknęły obok mnie, każdy z innej strony. Rozbrzmiały syreny, a wokół zaroilo się od gapiów, ale już po chwili znowu było pusto, a samochody znów nadjeżdżały. Widziałam twarz Dana i twarz tamtej dziewczyny. Nie patrzyła na drogę, a Dan jej nie widział, nie mógł jej widzieć, skoro uderzyła w niego tak mocno, i na dodatek czołowo. Wrzeszczałam, darłam się i wyłam, ale oni nie słuchali. Próbowалаm oderwać stopy od asfaltu, ale utkwily w nim po kostki, jak w błocie. Samochody zderzyły się z ogłuszającym łoskotem, otoczyły mnie pogięty metal, dymiące silniki i piekący smród benzyny, a mimo to nic mi się nie stało. W nieznośnie zwolnionym tempie widziałam, jak ręka Dana leci do przodu i uderza w szybę, widziałam miażdżone dłonie, trzaskające nadgarstki, gruchotane przedramiona, kości przebijające skórę i rozrywane ścięgna. Głowa Dana opadła i gwałtownym szarpnięciem odskoczyła do tyłu, a w jego oczach dostrzegłam nieme przerażenie, jak u zwierzęcia prowadzonego na rzeź. Deska rozdzielcza pękła niczym jedwabna płachta, poduszki powietrzne napęczniały jak wielkie, obsceniczne purchawki, a potem kawał metalu przebił je i niczym harpun przeszył pierś Dana. Dan nawet go nie zauważył, ale ja owszem, chwyciłam pręt, gdy rozdzierał poduszkę, ale tylko poharatał mi dłonie, pozostawiając zwisające strzępy żywego mięsa, rozedrgane niczym wyrastające z przegubów macki. Znowu wrzasnęłam, tym razem ze strachu o siebie, na moment zapominając o Danie, a kiedy znów spojrzałam w dół, już go nie było. Jego miejsce zajął Edward, harpun przygwoździł go do fotela, utkwil tak głęboko, że musiało go wyciągać trzech strażaków, a gdy wreszcie im się udało, zostały na nim kawałki ciała Dana. Edward zamienił się w Clare i Annabel, tulące się do siebie, przyszpilone do siedzenia niczym motyle, martwe i struchlałe z przerażenia, a ja nie mogłam ruszyć pokiereszowanymi, śliskimi od krwi rękami. Krzyknęłam i zapadła ciemność.

Doktor Graver znalazła dla mnie miejsce w kalendarzu następnego popołudnia. Jej gabinet wyglądał tak samo jak zawsze, promienie słońca kładły się na półkach z książkami, w powietrzu łagodnie dryfowały drobinki kurzu – krzepiący widok. Byłam udręczona, na skraju hysterii. Przez cały ranek jakoś się trzymałam ze względu na dzieci, bo nie miałam wyboru, ale gdy tylko zniknęły mi z oczu, gardło zacisnęło mi się gwałtownie i dosłownie popędziłam do doktor Graver.

– Znow śnił mi się wypadek, było zupełnie jak kiedyś, wszystko widziałam i nie mogłam nic zrobić, ale tym razem w samochodzie siedzieli najpierw Dan, potem Edward, a potem dziewczynki.

– Czy kiedykolwiek się zdarzyło, że to byłaś ty?

Zmarszczyłam brwi.

– Jak to?

– Czy śniło ci się kiedyś, że to ty siedzisz na miejscu kierowcy?

Jej ciemne, równo przycięte włosy były jak zwykle lśniące i idealnie ułożone, stylowa garsonka w stylu retro – lekko ironiczny akcent – jak zwykle elegancka. Doktor Graver była najbardziej poukładaną osobą, jaką znałam, i czasem zastanawiałam się, czy zdarza jej się kiedykolwiek tracić panowanie nad sobą. Teraz przypatrywała mi się spokojnie, lecz z zaciekawieniem, zupełnie jakbyśmy rozmawiały o zaletach diety bezglutenowej, a nie o moim potencjalnym powrocie do wariatkova.

Zastanowiłam się nad odpowiedzią.

– Nie. To zawsze jest Dan albo dzieci, albo Rachel. Edward pojawił się po raz pierwszy, ale to dlatego, że jest nowy. To znaczy nowy dla mnie.

Doktor Graver weszła w rolę klasycznej psychoterapeutki:

– Jak myślisz, Lili, co znaczą te sny?

Westchnęłam. Łzy już mi obeschły.

– Że chciałabym móc wszystkich uratować? Że czuję się bezsilna, bo nie potrafię chronić tych, których kocham?

Pokiwała głową.

– Taka interpretacja sama się nasuwa, prawda? Wszystko się zgadza. Każdy z nas miewa tego typu lęki, chyba że jest socjopatą. Ale ty masz za sobą konkretne doświadczenie momentu, kiedy nie udało ci się zapobiec katastrofie, i postrzegasz wszystko w kontekście tego traumatycznego wydarzenia. Co ciekawe, boisz się o wszystkich, tylko nie o siebie, i to mnie właśnie martwi. Całkiem jakbyś nie istniała we własnej podświadomości.

Miałam inne wrażenie.

– Może wydaje mi się, że jestem niezwyciężona?

Spojrzała na mnie surowo.

– A może się boisz, że zostaniesz sama? Śmierć w wypadku mogłaby się okazać łatwiejszym wyjściem, prawda? Nie byłoby żadnego „po”, z którym trzeba by się zmagać.

Powoli skinęłam głową.

– Ostatnia na posterunku.

Lekko zirytowana wycelowwała we mnie palec.

– Czemu na posterunku, Lili? Zawsze definiujesz swoją reakcję na nieszczęście w kontekście siły, tymczasem po śmierci Dana po prostu się rozsypałaś. Myślę, że

to cię najbardziej przeraża: nie boisz się, że kogoś stracisz, boisz się, że znów będziesz słaba. Zakochując się, ryzykujesz utratę tej miłości, a co za tym idzie, załamanie, i to właśnie wydaje ci się najstraszniejsze. – Odchyliła się w fotelu i rozłożyła ręce. – Wczoraj wydarzyło się coś złego i co zrobiłaś?

– Nic.

– Tak jest. Po prostu stałaś i czekałaś, aż niebezpieczeństwo minie. Broniłaś się przed nim. I przetrwałaś. Przeżyłaś złe chwile i nie rozsypałaś się. Nic dziwnego, że w nocy znów miałaś koszmary. Twoja podświadomość szaleje ze strachu.

Byłam kompletnie zdezorientowana.

– Ale to dobrze czy źle? To chyba normalne, że człowiek boi się zwariować?

Skinęła głową.

– Oczywiście że tak. Gdybyś się nie bała, prawdopodobnie zwariowałabyś dawno temu.

Nagle wybuchnęłam śmiechem.

– Dziwny z pani człowiek, wiedziała pani o tym? Przez panią mam jeszcze większy mętlik w głowie, niż kiedy tu przyszłam.

Ona również się roześmiała.

– I dzięki temu właśnie, droga Lilian, wiesz, że żyjesz. Witaj w prawdziwym świecie. – Wstała. – A teraz wracaj do domu. Znakomicie sobie radzisz.

– To znaczy nie licząc nocnych koszmarów i wiecznych rozterek dotyczących Edwarda i wszystkiego innego?

– Zgadza się. No idź już, zaopiekuj się dziećmi. One też na pewno szaleją ze strachu.

Gabinet doktor Graver znajdował się obok szpitala, więc po wyjściu od niej postanowiłam odwiedzić Gene'a. Na miejscu zastałam Isabel, w milczeniu czuwającą przy łóżku męża. Tym razem wyglądała na swój wiek. Gene spał, podłączony do różnych maszyn, pikających każda w swoim tempie, które raz na jakiś czas łączyły się w zgodny rytm. Do pokoju raz po raz wpadały pielęgniarki i nie odzywając się do nikogo, z uwagą pochylały się nad maszynami. Zajmując się nimi, zajmowały się również Gene'em.

– Cześć, Isabel – powiedziałam cicho, żeby jej nie przestraszyć.

– Cześć, Lilian – odparła bez cienia zaskoczenia w głosie.

– Ale on spokojnie wygląda – zauważyłam, przysuwając sobie krzesło i siadając obok niej.

– Pozory czasem mylą. – Jej zwykła żywiołowość zniknęła, zastąpiona przez ponure przygnębienie.

Omiotłam wzrokiem nieruchome posłanie, bawełniane koce złożone równo w nogach chorego, śnieżnobiałą, wykrochmaloną pościel i wszechobecne jasnoszare przewody przypominające bezkrwiste arterie.

– Co mówią lekarze?

Isabel nie odrywała wzroku od twarzy Gene'a.

– Mówią, że jeszcze wszystko może się zdarzyć. Gene ma bardzo zniszczone serce. Może nie przeżyć operacji, choć to jedyne wyjście. Chyba mówią, że umrze, ale nie jestem pewna.

Pochyliła się i wzięła go za rękę. Kiedy cofnęła dłoń, palce Gene'a jeszcze przez chwilę pozostały ściśnięte, po czym bezwładnie osunęły się na kołdrę.

Zapadła cisza. Nagle Isabel zaczęła mówić dalej:

– Postanowiłam więc po prostu wierzyć, że przeżyje, i zamierzam tu siedzieć, póki nie uwierzą w to wszyscy pozostali. Dopiero wtedy pojadę do domu.

– Jak mogę ci pomóc?

Potrząsnęła głową.

– Poradzę sobie.

Z doświadczenia wiedziałam, że nie ma w tym grama prawdy. Rozejrzałam się. Nieopodal leżała nietknięta taca z obiadem.

– Jadłaś coś? – Zaprzeczyła. – Jesteś głodna?

Znów pokręciła głową.

– Słuchaj, jeśli nie będziesz jadła ani piła, osłabniesz i usuną cię stąd siłą. Jeżeli chcesz przy nim zostać, musisz jeść.

Wreszcie się odwróciła i spojrzała na mnie.

– Twój mąż umarł, prawda?

– Prawda.

– Jak sobie z tym poradziłaś?

– Fatalnie. Przeszłam załamanie i do dziś nie jestem okazem zdrowia psychicznego. Ale Gene przeżyje, bo będziesz przy nim siedziała i tego dopilnujesz.

Oczy zaszkły jej łzami, które jednak nie spłynęły po policzkach.

– Sądzisz, że zwariowałam, bo mi się zdaje, że zdołam utrzymać go przy życiu?

– Nie. W pełni cię rozumiem. Ale z tym jedzeniem ci nie odpuszczę. Zaraz przyniosę ci kanapkę i coś do picia, a potem będę patrzeć, jak ją zjadasz. W tym czasie opowiem ci o moim zmarłym mężu, a kiedy już skończysz jeść, ty opowiesz mi o swoim żywym. Zgoda?

Uśmiechnęła się słabo.

– Zawsze jesteś taka bezwzględna?

Odwzajemniłam uśmiech i wstałam.

– Nie, tylko dziś i tylko dla ciebie. Więc bądź tak miła i pozwól mi robić, co do mnie należy.

Ruszyłam w stronę bufetu. Isabel niech sobie siedzi i utrzymuje Gene'a przy życiu, ja tymczasem muszę zadbać o nią.

Siedziała tak przez dwa dni. Zostałam przy niej, póki nie przyjechała ich córka, a potem zmieniałyśmy się aż do operacji. Jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu

Gene przeżył, ale potem nadeszły kolejne dni siedzenia i czekania, aż się obudzi. Było to nudne i przerażające, frustrujące i koszmarne, ale takie właśnie jest życie. Co takiego robili pozostali, gdy Gene balansował na granicy śmierci? Cóż, oczywiście żyli dalej zgodnie z irytującym zwyczajem ludzi zdrowych. Mike zaparkował przyczepę na podjeździe Gene'a i pomagał, jak mógł, załatwiając bieżące sprawy i przygotowując dom na powrót gospodarza. Urządzili mu sypialnię na parterze. Kupili bajeranckie szpitalne łóżko, które wywołało u moich dzieci szaleńczy entuzjizm i które niemal połamały pierwszego dnia, jeżdżąc na nim tam i z powrotem. Druga córka Gene'a miała przyjechać, gdy ojciec wyjdzie ze szpitala, i zostać mniej więcej tydzień. Potem miała ją zastąpić siostra – ta, która niedawno urodziła dziecko. Ogólnie rzecz biorąc, udało się więc zorganizować całkiem niezły system wsparcia.

Jeśli chodzi o mnie, nadal jeździłam do pracy, gdzie zamykałam niedokończone sprawy i pomagałam Sashy. Nie żeby tego potrzebowała. W ciągu jakichś dwóch dni znalazła pracę marzeń w wydawnictwie specjalizującym się w powieści graficznej. Nie wiem, czemu obie nie odeszłyśmy wcześniej. Gdybym zdawała sobie sprawę, jak wiele ofert jest na rynku, być może zrobiłabym to dawno temu. Al zachował posadę korektora, Rose natomiast po prostu odmówiła odejścia i z czasem przesunięto ją piętro wyżej, gdzie najprawdopodobniej wciąż siała zamęt na całe mnóstwo zachwycających sposobów.

Pod koniec tygodnia do naszego pokoju wkroczyła rozpromieniona Roberta King. Odkąd wyrzuciła wszystkich z pracy, nabrała sporo luzu. Może tego było jej potrzeba, żeby wreszcie wyjąć z szafy dzinsy?

– Hej, Bloemowie przysłali pierwszą część tekstu do przewodnika. Mam nadzieję, że nie wzięłaś za dużo dodatkowych zleceń.

Popatrzyłam na nią. Jakim cudem, choć ubrane byłyśmy praktycznie tak samo – w dzinsy, bluzy oraz tenisówki – ona przypominała elegancką studentkę prywatnego college'u, podczas gdy ja wyglądałam, jakbym zaparkowała wózek z zakupami w damskiej toalecie? Rozmyślając nad tym, zdołałam jednocześnie pokręcić głową. Istna mistrzyni wielozadaniowości.

Roberta przysiadła na skraju biurka. Cóż za niewymuszona swoboda.

– Oprócz rozdziałów poświęconych poszczególnym warzywom trzeba będzie również zilustrować opisy rozmaitych technik ogrodniczych, narzędzi i tak dalej. – Zamachała nogami. – Prześlę ci te teksty, kiedy tylko wrócę na górę. Jutro mamy telekonferencję z ich redaktorem, wtedy ustalimy, co i jak.

– Zaczynamy od bakłażanów i buraków?

– A nie. Na początek przysłali nam część na literę „P”. Pietruszka, pory, papryka...

Uniosłam brwi, odsunęłam się z krzesłem od biurka i odchyliłam się na oparcie.

– Cholera, to ile to wszystko ma zająć?

– Około roku. Nie będziesz się nudzić.

Zastanowiłam się nad tym. Nigdy bym nie przypuszczała, że warzywa do tego stopnia rozplenią się w moim życiu, ale tak to już jest z roślinami... Rozrastają się, by wypełnić całą wolną przestrzeń.

Pogrążona w myślach, dopiero po chwili zorientowałam się, że Roberta nie przestała mówić:

– ... i przyślą ci wzory, i prawdopodobnie zdjęcia.

– Czemu właściwie nie chcą użyć zdjęć?

– Zadałam im to samo pytanie. Twierdzą, że chodzi o tradycję.

Zeskoczyła z biurka.

– Wydajesz się dziś bardziej wyluzowana, Roberto.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Ubierałam się tak oficjalnie tylko ze względu na was. Teraz mogę wreszcie być sobą.

Parsknęłam śmiechem.

– Ale my cię prawie nie widywaliśmy.

– Owszem, ale słyszałam, jak oddychacie. Wyobrażałam sobie, że w każdej chwili zostanę wezwana, by rozstrzygnąć jakiś spór, i uważałam, że muszę wyglądać jak osoba na dyrektorskim stanowisku.

– Żartujesz. Przecież mieliśmy Rose. To ona była naszym sędzią i ławą przysięgłych w jednym.

Roberta spoważniała.

– Wiem. W tej chwili panoszy się w holu przed moim gabinetem. Boję się jej jak cholera. Gapi się na mnie wściekłym wzrokiem od chwili, gdy wysiadam z windy, do chwili, gdy pod koniec dnia znowu do niej wsiadam.

– Pączki. W nich cała nadzieja. Wystarczy, że przez tydzień lub dwa będziesz przychodziła pierwsza i kładła jej na biurku pączki. Ani się obejrzysz, jak zostaniecie serdecznymi kumpelami.

Roberta podziękowała i odeszła. Przeciągnęłam się i rozejrzałam po niemal pustym pokoju. Wszystko ułożyło się całkiem nieźle. Długoterminowe zlecenie dla Forest, książeczki dla dzieci, moje własne rysunki... Byłam jednoosobową fabryką sztuki. Nie licząc nocnych koszmarów, wszystko było wspaniale.

## RZODKIEWKA



Rzodkiewki należy sadzić mniej więcej miesiąc przed ostatnim przymrozkiem. Zanim to zrobisz, pamiętaj, by szczerze uzupełnić ziemię nawozem.

Nasiona wysiewaj na głębokości około 1 centymetra, oddalone od siebie o 2,5 centymetra.

Rzodkiewka potrzebuje słońca. Jeżeli go nie dostanie, zemści się i całą energię włoży w wypuszczanie liści, a tobie nie pozostanie nic innego, jak kupić rzodkiewki w sklepie, a potem kłamać znajomym, jaki to z ciebie mistrz ogrodnictwa.

Póki jest chłodno, powtarzaj wysiew co 2 tygodnie, aby zapewnić sobie regularne zbiory.

## ROZDZIAŁ 21

Postanowiłam wybrać się z wizytą do rodziców Dana i zabrałam ze sobą dzieci. Paul i April mieszkali w Pasadenie, zaledwie pół godziny drogi od nas, i zazwyczaj odwiedzaliśmy ich mniej więcej raz w miesiącu. Byli superdziadkami, najlepszymi w kraju, a może nawet na całym świecie. Matka Dana, April, piekła ciasteczka, nosiła fartuch, miała przyjemnie okrągłą twarz i rumiane policzki i oglądała serial *My Little Pony*, aby móc inteligentnie rozmawiać o nim z dziećmi. Ojciec Dana, Paul, konstruował rakiety i urządzał wybuchy na swoim ogromnym podwórku. Byli jak bajkowe postacie mieszkające w domku z marzeń. Nikt, kto ich nie znał, nie domyśliłby się, że oboje niedawno przeszli na emeryturę po wielu latach pracy w Laboratorium Napędu Odrzutowego, gdzie zajmowali się programowaniem satelitów.

Gdy przyjechałyśmy, Maggie nie było – pewnie wyszła gdzieś z Bertem. April potwierdziła te przypuszczenia.

– Tak, zgodziła się pogadać z tym wszarzem – powiedziała, wyciągając z piekarnika blachę ciasta czekoladowego, które posypała cukierkami M&M's tak, by wtopiły się w jego puszysty wierzch. – Łajza.

Zdumiałam się.

– Maggie?

April pokręciła głową.

– Jasne, że nie Maggie. Srerto.

– Srerto?

Wzruszyła ramionami.

– Na pewno już się zdążyłaś przekonać, że kiedy ktoś krzywdzi twoje dziecko, nie masz ochoty traktować go ani serio, ani z szacunkiem. Dla mnie ten baran jest i pozostanie Srerem, póki nie zacznie zachowywać się przyzwoicie.

Odstawiła ciasto na kratkę, żeby ostygło, i wyłączyła piekarnik. Spędziłam w jej kuchni miesiące, może nawet lata, i przez ten czas niewiele się tu zmieniło. Nad blatem wisały ozdobne drewniane łyżki, na kredensie stała kolekcja niebiesko-białej porcelany, a na kuchence mikrofalowej spał zwinięty w kłębek kot. Domyślałam się, że nie jest to ten sam kot, co kilkanaście lat temu, ale ponieważ wszystkie były rude, trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

Odsunęłam od siebie kubek z kawą, po cichu licząc na kawałek ciasta.

– Sprawiał wrażenie skruszonego...

April potrząsnęła głową, usiadła naprzeciwko mnie i splotła dłonie na blacie.

– Nie. Sprawiał wrażenie, jakby żałował, a to zupełnie coś innego. Żałuje, bo mu nie wyszło. To nie znaczy, że nie zrobiłby tego jeszcze raz. Skrucha, prawdziwa skrucha, to świadomość, że zrobiło się coś złego, połączona z pragnieniem



poprawy.

Znów wstała, tym razem by ukroić mi kawałek ciasta – w końcu do niej dotarło, że spojrzenia rzucane raz po raz w stronę blachy to sygnał, że potrzebuję cukru.

– Ale wiesz, że jest jeszcze gorące, i możesz się paskudnie poparzyć?

– Aha.

Podsunęła mi talerzyk. Z podwórka dobiegał głos Paula zachęcającego Clare, by potarła zapalką o draskę. Może powinno mnie to zaalarmować, ale byłam o nią spokojna. Czasem lepiej nauczyć dzieci pewnych rzeczy, żeby nie wpadły w panikę i nie zrobiły sobie krzywdy, kiedy zaczną wykonywać własne samowolne próby. Poza tym Paul był specem od techniki raketowej.

Zapadła cisza. Ugryzłam ciasto i natychmiast zaczęłam gwałtownie dmuchać. April tylko zmarszczyła czoło.

– Maggie wspominała, że się z kimś spotykasz.

Zakrztusiłam się okruszkiem, aż musiała mnie ratować szklanką wody i waleniem po plecach. Wreszcie udało mi się wydukać:

– Nie. Poznałam kogoś, ale nie jestem jeszcze gotowa na randki.

April rzuciła mi niezadowolone spojrzenie.

– Już o tym rozmawialiśmy. Wiesz, że mnie i Paulowi zależy na twoim szczęściu. Naprawdę uważam, że Dan nie chciałby, żebyś musiała wychowywać dzieci sama. Wzruszyłam ramionami.

– Szkoda, że nie możemy go już o to zapytać. Nadal okropnie za nim tęsknię. – Zawiesiłam głos. – A wy nie? Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak strasznie musi być stracić dziecko.

April milczała przez kilka chwil, po czym odparła:

– Przez pierwszy rok codziennie czułam się, jakbym umierała. Nie chciałam żyć, ale musiałam, dla Maggie i Paula. – Wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie. – Wyobrażam sobie, że z tobą było podobnie. Kiedy odwiedziliśmy cię w szpitalu, byłaś najsmutniejszą osobą, jaką widziałam w życiu, nie licząc mnie samej. – Lekko pokręciła głową i dołała sobie herbaty. – Żałowałam, że częściej cię nie odwiedzam, ale martwiłam się, że jeśli te dwie smutne planety zbyt blisko się do siebie zbliżą, wytworzą czarną dziurę, która pochłonie nas obie.

W ogrodzie rozległ się głośny świst, a potem ogłuszający huk i okrzyki radości. Czekałyśmy, aż sufit zacznie się zapadać. Nie zaczął.

– Jeszcze raz! – Głos Clare, o kilka oktaw wyższy niż normalnie, łączył się z pełnymi zachwyty okrzykami Annabel.

W odpowiedzi Paula zabrzmiało wahanie:

– Nie wiem, czy mam jeszcze jakieś silniki. Pójdę sprawdzić.

Wszedł do kuchni, a April bez słowa wskazała mu spizarkę.

– Trzecia półka od góry, kartonowe pudło.

Paul wypadł na zewnątrz, dzierżąc w ramionach stertę silniczków. Podobało mi się,

że trzymają części raketowe w tym samym miejscu co kocią karmę. W końcu co złego mogło się wydarzyć?

April namyślała się przez chwilę.

– Wciąż dostajesz listy do niego?

Skinęłam głową.

– Listy i maile. Choć trudno w to uwierzyć, odkąd umarł, zdołał niebywale zwiększyć swoją moc kredytową. Możliwe, że w zaświatach przyjmują kartę Visa.

– Ostrożnie podmuchałam na kolejny kęs ciasta. – Do tego katalogi wędkarskie, bo kupił sobie kiedyś wędkę, reklamy sprzętów elektronicznych... – Spojrzałam na nią. – A ty?

– Jasne. Jego korespondencja przychodzi tu, odkąd wyjechał na studia. Raz w miesiącu odsyłaliśmy mu to, co wyglądało na ważne, a potem, kiedy zamieszkaliście razem, większość listów zaczęła przychodzić na nowy adres, do nas tylko od czasu do czasu. Ale wciąż się to zdarza.

– Okropnie się czuję, kiedy widzę jego nazwisko. Ale nie potrafię zebrać się w sobie, żeby zadzwonić do tych ludzi i powiedzieć im, że nie żyje. Zwłaszcza że często słyszę, że tylko on sam jest upoważniony do zlikwidowania konta. – Znów ugryzłam ciasto i tym razem się nie oparzyłam. – Chyba nadal płacę za jego komórkę.

Utrzymałam również jego profil na Facebooku i inne społecznościowe śmieci. Domyślałam się, że „chmura” pełna jest duchów.

April w milczeniu pokiwała głową, a potem powiedziała:

– Ale z biegiem lat jest coraz lepiej. Na początku każde wspomnienie sprawiało mi ból, bywało, że nie do wytrzymania, ale z czasem nauczyłam się znów myśleć o nim z radością, przypominać sobie to wszystko, co było w nim cudowne. Był wspaniałym synem i wspaniałym ojcem.

– To prawda – przyznałam. – Niezastąpionym.

Spojrzała na mnie ze spokojem.

– Ale ty przecież nie chcesz go nikim zastąpić, Lili. Wolno ci pójść w inną stronę, a jednocześnie wciąż o nim pamiętać. To nie zdrada ani odrzucenie. Ja potrafię się cieszyć z towarzystwa Clare i Annabel, Maggie i Paula, i to nie umniejsza ani mojego smutku po stracie Dana, ani radości, z jaką go wspominam. – Sięgnęła przez blat i złapała mnie za rękę. – Jedno z drugim nie ma nic wspólnego, musisz to zrozumieć. – Wstała. – Kochanie, on nie odszedł od nas celowo, ale jednak odszedł, tak się po prostu stało. – Ruszyła w stronę tylnych drzwi. – A teraz pójde sprawdzic, czy Paul dobrze wyliczył trajektorie lotu. Bywa, że podchodzi do tego odrobinę niechlujnie.

Zostałam w kuchni sama i siedziałam przy stole, patrząc na kota, który pracowicie wylizywał sobie ogon. Następnie owinał go starannie wokół łap i przybrał kształt obwarzanka, z której to pozycji koty całkiem słusznie słyną. Przez chwilę

zazdrościłam mu wygodnego legowiska na kuchence i prostego życia. Potem jednak wrzuciłam do ust ostatni kawałek kleistego od czekolady ciasta, wstałam i wyszłam na dwór popatrzeć na fajerwerki.

## SĄSIEDZTWO ROŚLIN



Koper i bazylia wśród pomidorów pomagają chronić te ostatnie przed gąsienicami, zaś szalwia rozsiana na grządce kapusty odstrasza bielinki.

Aksamitka znakomicie zgrywa się właściwie ze wszystkimi roślinami ogrodowymi, zniechęcając chrząszcze, nicienie, a nawet drobne ssaki. Na dodatek zatknięta za ucho wygląda niezwykle stylowo.

Niektórzy roślinni towarzysze grają rolę pułapek, nęcąc owady i odciągając ich uwagę od twoich drogocennych warzyw. Nasturcje na przykład są tak uwielbiane przez mszyce, że ściągają ku sobie całe ich tłumy, dzięki czemu pozostałe rośliny mają spokój. Takie buty!

Większości ogrodowych wyzwań pomoże sprostać kieliszek wina umieszczony w dłoni ogrodnika. Należy go często uzupełniać, zwłaszcza w cieplejsze dni oraz piątkowe wieczory.

## ROZDZIAŁ 22

### LEKCJA OSTATNIA

Następna sobota była ostatnim dniem kursu, a także Dniem Wielkich Zbiorów. Spodziewałam się olbrzymich snopów zboża, potężnych koni zaprzęzonych do pługów i innych sielankowych obrazków, rzeczywistość wyglądała jednak inaczej. Wszyscy sumiennie wzięliśmy się do zbierania, wrywania i kopania i skończyliśmy z wielką górą pyszności. Muszę przyznać, że wyglądało to imponująco. Miałam około dwudziestu kolb kukurydzy, dwa duże kosze dyń i trzy fasolki szparagowej o strączkach długości mojej dłoni. Świeżo zebrana surowa fasolka okazała się znacznie bardziej soczysta, niż przypuszczałam, i o wiele pyszniejsza. Największą jednak niespodzianką, przynajmniej dla mnie, było odkrycie smaku świeżej sałaty. Zebrana, umyta i spałaszowana na miejscu nie przypominała niczego, co wcześniej znałam. Naprawdę można ją było jeść garściami, bez żadnych dodatków – a w każdym razie ja mogłam. Przynajmniej do momentu, gdy Mike pogroził mi rydlem. Jako że Gene wciąż leżał w szpitalu, Mike sam zajmował się zbieraniem sałaty i kiedy nie patrzył, zakradałam się na jego grządki, szabrując, ile wlezie. Całkiem jak Piotruś Królik, brakowało mi tylko niebieskiego płaszczyka.

Gene miał się już lepiej, prawdopodobnie dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom Isabel, i za mniej więcej miesiąc miał wrócić do domu. Angie i Mike odwiedzili go poprzedniego wieczoru, a teraz zdawali nam obszerną relację.

Angie trzymała Mike'a za rękę.

– Będzie wymagał troskliwej opieki i rehabilitacji, więc Mike pomieszka jakiś czas na jego podjeździe, a Bash i ja zamierzamy się wprowadzić do domku dla gości. – Uśmiechnęła się do synka. – Coś mi się zdaje, że Isabel i Bash uknuli ten plan razem, bo trudno stwierdzić, które z nich bardziej się z niego cieszy.

– Isabel powiedziała, że mogę się huścić na huśtawce, kiedy tylko będę chciał.

Bash najwyraźniej nie dowierzał własnemu szczęściu. Clare zmrużyła oczy i mruknęła pod nosem: „Farciarz”.

– Kochanie, przecież my też możemy ich odwiedzać – przypomniałam jej.

– No, mam nadzieję. – Serio, moje dziecko w jednej chwili zmieniło się w mafijnego bossa. Nie byłam w stanie za nią nadążyć.

Rachel przyprowadziła ze sobą Richarda i teraz oboje gawędzili o czymś wesoło z Frances i Eloise. Richard zatknął sobie za ucho łądźkę lawendy, która nadawała mu wygląd uroczego wiejskiego głupka. Rachel była spokojna i szczęśliwa, nie miała makijażu i wciąż się uśmiechała. Zdaje ci się, że znasz kogoś lepiej niż siebie samą, aż tu nagle ten ktoś pokazuje się od strony, o której istnieniu nie miałaś pojęcia. Rachel zawsze sprawiała wrażenie twardej babki, kompetentnej

i nieprzystępnej, a teraz nagle zrobiła się słodka, łagodna i delikatna.

Choć lubiłam Richarda, przysięgam sobie w duchu, że jeśli ją skrzywdzi, przytnę mu fiuta szufladą.

Kończyłam zbierać pomidory, które obrodziły tak hojnie, że wciąż odkrywałam wśród liści nowe owoce. Krzaki rozrosły się imponująco, tworząc między grządkami niewidoczne z zewnątrz zielone korytarze. Usiadłam na ziemi i na chwilę zamknęłam oczy, chłonąc leniwą atmosferę, wdychając zapachy i nasłuchując odgłosów dookoła. Nagle moich uszu dobiegł jakiś szelest. Uchyliłam powieki i dostrzegłam Edwarda, który właśnie siadał obok mnie. Choć nie bez trudu, zdołał się jakoś zmieścić między grządkami.

Siedzieliśmy po turecku, jak dzieci, kolano przy kolanie, wśród zagonu pomidorów.

– Fajna kryjówka – powiedział. – Bardzo tu zielono.

Skinęłam głowę.

– A jak ładnie pachnie.

– O, tu jeszcze przeoczyłaś pomidora.

Nachylił się, żeby mi go pokazać. Był bardzo blisko i wiedziona impulsem nagle go pocałowałam, kładąc mu dłoń na policzku. Poczułam, że się zawahał, zanurzyłam więc palce w jego włosach i mocniej przyciągnęłam go do siebie, żeby nie miał wątpliwości, że tego chcę, że go pragnę. Było w tym mniej brawury niż wtedy, w kuchni, za to więcej namysłu, a po kilku sekundach również więcej żaru. Pocałunek trwał, coraz głębszy, a ręka Edwarda ześliznęła się po moim ramieniu, jego palce splotły z moimi. Poczułam znajome podniecenie. To nie był tylko pocałunek. To była gra wstępna. Wiedziałam, że zostaniemy kochankami, i nie mogłam się tego doczekać.

– Fuj! – rozległ się pełny obrzydzenia głosik. – Znalazłam ich. Całują się w pomidorach! Jak gąsienice!

Oderwaliśmy się od siebie i podnieśliśmy wzrok. Clare spozierała na nas spomiędzy liści, a po chwili za jej plecami zebrali się pozostali. Ich głowy jedna po drugiej pojawiały się nad zieloną gęstwiną. Edward odkaszlnął.

– Koniec zajęć – oznajmił stanowczo, po czym znów mnie pocałował.

Po skończonej pracy zapozowaliśmy wszyscy do zdjęcia z koszami pełnymi warzyw – obrazek jak z wiejskiego festynu. Nasze plony? Cztery duże kosze sałaty, moja kukurydza, fasolka i dynia, pięć wielkich koszy pomidorów – koktajlowych oraz zwykłych – worek lawendy, trzy kosze groszku i osiem koszy owoców. Istne szaleństwo. Moglibyśmy otworzyć własny stragan. Zamiast tego urządziliśmy przyjęcie.

Frances i Eloise pojechały do domu, gdzie z pomocą Mike'a i Angeli zamierzały przygotować z naszych zbiorów wielką ucztę. Nie zabrali wszystkiego. Pozostałe warzywa, a było ich całkiem sporo, zawiozłyśmy z dziewczynkami do banku

żywności, gdzie przyjęto je z wielką radością. Małe pękały z dumy. Clare poprosiła mnie o telefon, żeby zadzwonić do babci. Oczywiście słyszałam tylko jedną stronę tej rozmowy:

– Cześć, babciu, wiesz co? Oddałam właśnie warzywa dla głodnych ludzi, te, które sama wyhodowałam! (Z naciskiem na „sama”).

(Cisza).

– Nie, nie na ulicy. W takim jednym miejscu.

(Cisza).

– Tak, pojechałam tam.

(Cisza).

– Nie, z mamą i Annabel.

(Cisza).

– Nie, nikt mnie nie macał po pupie. (W tym momencie zerknęła na mnie ze zmarszczonymi brwiami, a ja odebrałam jej telefon. Poważnie, moja matka potrafiłaby wyssać radość nawet ze świąt Bożego Narodzenia).

Frances i Eloise mieszkały w przyjemnej i zacisznej części miasta. Fatalna sytuacja na rynku nieruchomości pozwoliła im kupić dom, co tylko potwierdza po raz kolejny, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – choć ludzie, którzy im go sprzedali, zapewne odnieśli zgoła inne wrażenie. Domek był nieduży, ale pełen uroku, a ogród piękny, otoczony wysokimi żywopłotami, porośnięty kępami maków i innych kolorowych kwiatów, których nazw nie potrafiłabym wymienić. Gdy tam weszłyśmy, Mike i Frances dyskutowali o budowie uniesionej grządki pod warzywa, a może nawet niewielkiej zagrody dla kur. Chyba wszyscy dostaliśmy lekkiego bzika.

Obok drzwi do kuchni stał duży stół piknikowy zastawiony półmiskami z jedzeniem. Sałatka ziemniaczana z fasolką, grillowana na patelni dynia z cebulą i czosnkiem. Pomidory, świeże i nadziewane – kremowym serkiem lub ryżem i papryką. Miski sałaty, z dressingiem i bez. Świeże pieczywo. Ciasto owocowe, placek z owocami i kruszonką, owoce z bitą śmietaną. Niemal wszystko pochodziło z naszych upraw i jedzenie sprawiało nam olbrzymią satysfakcję. Wokół stały dzbanki z napojami i wiaderka z lodem, ludzie otwierali piwo, krążyli, rozmawiali. Było cudownie i wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest to nasze ostatnie spotkanie.

Ktoś zadzwonił widelcem w kieliszek. Odwróciłam się. Edward.

– Czy wszyscy mnie słyszą? Chciałbym coś powiedzieć.

Ucichliśmy wszyscy, z wyjątkiem dzieci, które jak zwykle biegały dookoła, bawiąc się w berka. Całe szczęście, że Frances i Eloise nie zdążyły jeszcze założyć hodowli kur.

Edward zaczął przemowę:

– Prowadzenie tego kursu było dla mnie wspaniałym doświadczeniem i cieszę się, że wszyscy zapisaliście się na jego kontynuację. W zamian za pewne bardzo

rzadkie rośliny zarząd ogrodu przedłużył umowę z moją firmą na nowych warunkach i w przyszłym semestrze będziemy mieli do dyspozycji dwa razy tyle miejsca.

– Więcej robali! – wrzasnęła radośnie Clare.

Edward uśmiechnął się do niej.

– Zamierzam poszerzyć warzywnik, żeby móc wesprzeć dwa albo nawet trzy banki żywności. Aby się to udało, wszyscy będziemy musieli ciężko pracować, ale będzie świetnie. – Spojrzał na mnie. – Poza tym chciałbym napisać książkę o naszym kursie i mam nadzieję, że zdołamy wszyscy przekonać Lilian, żeby ją zilustrowała. Dochód ze sprzedaży przeznaczymy na rozwój naszego ogrodu.

O rany, to znaczy, że mogę zapomnieć o wolnym czasie. Ale właściwie co mi tam? Uniosłam kieliszek.

– Będę zaszczycona.

Annabel podeszła bliżej.

– W takim razie lepiej zacznijmy już sprzątać ten garaż – powiedziała z powagą. Przytuliłam ją.

– Nie ma pośpiechu, kochanie. Mamy całe lato.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem. W jej niedługim życiu lato zawsze mijało jak z bicza strzelił.

Rachel wstała i podniosła rękę.

– Hej, ludzie, uciszcie się na chwilę. Chciałabym wznieść toast.

Wszyscy natychmiast umilkli. Co zrobić, moja siostra po prostu ma charyzmę.

– Proponuję toast za Edwarda, który nauczył nas uważniej patrzeć pod nogi i traktować z szacunkiem nawet dżdżownicę.

Wybuchnęliśmy śmiechem i wznieśliśmy szklanki.

– Drugi toast będzie za Gene'a – *in absentia* – dzięki któremu wiemy, że choć nigdy nie jest za późno, by znaleźć sobie nowe hobby, to lepiej nie machać zbyt żywiolowo łopata, kiedy przerzuca się krowie łajno.

Szklanki znów powędrowały w górę.

– Wreszcie wnoszę toast za matkę naturę, która obdarzyła nas plonami, dodała koloru truskawkom i naszym policzkom, sprawiła, że kilkoro z nas się zakochało, oraz odebrała, a potem zwróciła nam naszego drogiego przyjaciela. Za matkę naturę!

Tym razem wznieśliśmy chóralny okrzyk i wypiliśmy do dna.

– Ale wiecie co? – zapiszczał dziecięcy głosik. – Ja już wcześniej szanowałam dżdżownicę tak bardzo, że bardziej się nie da.

Chwila ciszy, a potem:

– Są super ekstra.

Rachel i Richard wrócili z nami do domu. Kiedy tam dotarliśmy, dziewczynki nagle dziwnie się rozchichotały.



– Mamy dla ciebie prezent – obwieściła Clare, uśmiechnięta od ucha do ucha.

– Naprawdę?

Rachel również się uśmiechnęła i kazała mi zamknąć oczy.

– Rozbijesz mi jajko na głowie?

Milczenie.

– Czy kiedykolwiek to zrobiłam? – zdziwiła się Rachel.

– Nie, nie wiem, skąd mi to przyszło na myśl. Przepraszam.

Richard uniósł brwi.

– Dziwne jesteście, dziewczyny. Lili, zamknij oczy. Mamy dla ciebie miłą niespodziankę.

Zacisnęłam powieki, a dzieci zaprowadziły mnie przez kuchnię i po schodkach do ogródka.

– Jeszcze więcej wrózek? – zapytałam. Serio, strasznie się mnożyły.

– Nie – odparła Clare i puściła moją rękę. – Chociaż można je na niej posadzić, czemu nie.

– Otwórz oczy – zakomenderowała Annabel, ciągnąc mnie za rękę.

Otworzyłam. Na końcu ogródka, pod drzewem, stała ławka. Idealna, prosta, drewniana parkowa ławka.

– Zobacz – zawołała Clare, tańcząc dookoła mnie. – Tu jest twoje imię!

Podeszłam powoli i przesunęłam palcami po żłobionym napisie, który głosił: „Dla naszej najlepszej i najukochańszej Mamusi. Do siedzenia”.

Popatrzyłam na Rachel.

– Czy to znaczy, że ławka jest do siedzenia czy że ja jestem do siedzenia?

Roześmiała się.

– Clare wymyśliła napis, a nam wszystkim spodobała się ta dwuznaczność. – Wskazała na ławkę. – Siadaj!

Usiadłam, a dzieci natychmiast wpełzły mi na kolana.

– Widzisz? – wrzasnęła zachwycona Clare. – Ty sobie siedzisz na ławce, a my siedzimy na tobie!

Richard uśmiechnął się szeroko.

– Z tego, co zauważyłem, rzadko zdarza ci się tak po prostu posiedzieć.

– Naprawdę?

Pokiwał głową.

– Tak. Zawsze się koło kogoś uwijasz albo sprzątasz, albo robisz tysiąc innych rzeczy. – Zerknął na Rachel. – Twoja siostra siedzi za was obie.

Szturchnęła go w ramię, ale nie zaprzeczyła. Zamiast tego po prostu usiadła obok. Mimo ciasnoty było nam wygodnie. Przypomniał mi się tamten rysunek, Dan siedzący na ławce dokładnie w tym samym miejscu. Czy to źle, że jestem szczęśliwa, choć go tu nie ma? – pomyślałam. Ale potem popatrzyłam na dzieci i uświadomiłam sobie, że za ich sprawą on zawsze będzie obok. Gdyby mógł, na

pewno próbowalby mnie przekonać, że będzie szczęśliwy, tylko jeśli one będą szczęśliwe. A żeby tak się stało, ja też muszę być szczęśliwa, w końcu jestem najlepszą mamusią. Nawet jeśli tylko do siedzenia.

Oparłam głowę na ramieniu Rachel i pozwoliłam, by ogarnął mnie spokój. Jak się można było spodziewać, Frank wybrał ten właśnie moment, by wpaść do ogrodu, szurając tyłkiem o trawnik.

– On ma robaki! – ogłosiła Clare.

– Mamo! – jęknęła Annabel.

– Wiem, wiem – uspokoiliam ją. – Zajmę się tym.

Pewnie, że się zajmę. Ale najpierw jeszcze chwileczkę sobie posiedzę.

Tytuł oryginału: *The Garden of Small Beginnings*

Copyright © 2017 by Dorset Square, LLC

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Redaktor prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Wydawca prowadzący: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Rysunki: Laura K. Corless

Adiustacja i korekta: Ewa Polańska Kropka

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © James Darell / Cultura / Getty Images

Grafika na okładce: © Ola-la / Shutterstock.com

ISBN 978-83-7515-673-7



[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com

